

Anne Rampling

Ucieczka do Edenu

Exit To Eden

Tłumaczyła Ewa Wojtczak

Dla Stana

Rozdział 1

Mam na imię Lisa.

Mierzę metr siedemdziesiąt pięć. Moje włosy są długie, koloru kasztanowego. Ubieram się głównie w skórę: zawsze noszę wysokie buty, czasami miękkie kamizelki, a od czasu do czasu nawet skórzane spódniczki. Nakładam też koronki, szczególnie gdy znajdę takie, jakie lubię: wyszukane, bardzo staromodne, w białym odcieniu śniegu. Mam jasną cerę, która łatwo się opala, duże piersi i długie nogi. I chociaż nie czuję i nigdy nie czułam się urodziwa — wiem, że jestem piękna. Gdybym była brzydka, nie pracowałabym w Klubie jako trenerka.

Kształtne kości twarzy i duże oczy: oto prawdziwe podstawy dla urody, tak mi się zdaje. Poza tym gęste, ładne włosy i coś, co dodaje wyrazu mojej twarzy, coś, dzięki czemu wyglądam zazwyczaj słodko, a nawet miło, choć równocześnie — gdy zacznę mówić — z łatwością wzbudzam strach w niewolniku lub niewolnicy.

W Klubie nazywają mnie Perfekcjonistką i nie jest to byle jaki komplement w takim miejscu jak Eden, gdzie każdy jest doskonały w jakiejś dziedzinie i gdzie każdy się stara, a samo staranie jest już częścią przyjemności.

Pracuję w Klubie od dnia jego otwarcia. Pomagałam w jego tworzeniu, w ustalaniu zasad jego działania, zatwierdzałam jego najwcześniejszych członków i pierwszych niewolników. Określałam reguły i ograniczenia. Wyobraziłam sobie także i zamówiłam większość wyposażenia, którego używamy po dzień dzisiejszy. Zaprojektowałam nawet niektóre bungalowy i ogrody, poranne baseny i fontanny. Sama ozdobiłam ponad dwadzieścia apartamentów. Liczni naśladowcy naszego Klubu wywołują na mojej twarzy jedynie drwiący uśmiech. Bo z Klubem żaden przybytek nie może się równać.

Eden jest wspaniały, ponieważ w niego wierzymy. Z tej wiary wynika jego splendor i panująca tu atmosfera strachu.

Opowiem teraz o pewnym zdarzeniu, do którego doszło w Klubie.

Większa część tej historii zdarzyła się nie na naszej wyspie, lecz w Nowym Orleanie i na nizinach wokół miasta, a także w Dallas. Jednak te wypadki właściwie się nie liczą.

Ważne, że wszystko rozpoczęło się w Klubie. I niezależnie od tego, co się działo dalej, najważniejszy jest Klub.

Witajcie w Klubie.

Rozdział 2

NOWY SEZON

Czekaliśmy na pozwolenie lądowania. Ogromny odrzutowiec powoli krążył nad wyspą jak w trakcie turystycznej wycieczki. Przez okno widziałam całą wyspę — białe jak cukier plaże, zatoczki i rozległe tereny samego Klubu: wysokie, kamienne ściany i zacienione drzewami ogrody, olbrzymi kompleks pokrytych dachówką budynków na wpół zasłoniętych przez mimozę i drzewka czerwonego pieprzu. Dostrzegałam też zagajniki białych i różowych rododendronów, gaje pomarańczowe, pola pełne maków i wysokiej zielonej trawy.

Przy wejściu do Klubu znajduje się przystań, a za jego terenami ruchliwe lotnisko i lądowisko dla helikopterów.

Wszędzie można było zauważyć oznaki nowego sezonu.

W porcie stało około dwudziestki migoczących w słońcu srebrem kadłubów prywatnych samolotów oraz pół tuzina śnieżnobiałych jachtów zacumowanych na połyskliwej, niebiesko — zielonej wodzie przy brzegu.

„Elizjum” stał już na przystani. Wyglądał jak dziecięca zabawka, zakrzepła w morzu światła. Któż mógłby przypuścić, że wewnątrz przebywało ponad trzydzieścioro niewolników, którzy bez tchu czekali, aż popędzimy ich nagich przez pokład, po trapie i na brzeg?

Z oczywistych powodów niewolnicy wyprawili się w rejs do Klubu w pełni ubrani. Jednak zanim otrzymają pozwolenie obejrzenia wyspy, zanim choćby postawią na jej powierzchni stopę — muszą się rozebrać.

Wolno im wejść tylko nago i w pokorze, a cały ich spakowany dobytek trafia do jednego z numerowanych pomieszczeń ogromnej piwnicy, gdzie leży aż do dnia ich odjazdu.

Obecnie niewolnika identyfikuje bardzo cienka złota bransoletka na prawym przegubie z ładnie wygrawerowanymi imieniem i numerem. W początkowym okresie istnienia Klubu wypisywaliśmy dane mazakiem na gołych ciałach oszołomionych przybyszów.

Samolot opadł nieznacznie. Unosił się teraz nad dokiem. Cieszyłam się, że mały spektakl jeszcze się nie zaczął.

Przed inspekcją będę miała niewiele czasu dla siebie — zaledwie godzinkę czy dwie, by w ciszy swojego pokoju posiedzieć ze szklaneczką dżinu marki „Bombay” z lodem.

Rozsiadłam się w samolocie wygodnie, czując, że całe moje ciało powoli się rozgrzewa i przenika mnie podniecenie, wypływające z wnętrza na powierzchnię skóry. W tych pierwszych chwilach niewolnicy zawsze byli tak rozkosznie zaniepokojeni. Bezcenne uczucie. A był to wszakże dopiero początek emocji, które miał im zaoferować Klub.

Aż się paliłam do powrotu.

* * *

Z jakiegoś powodu każde kolejne wakacje wydawały mi się coraz trudniejsze, a dni spędzane w zewnętrznym świecie stawały coraz bardziej nierealne.

Wizyta u mojej rodziny w Berkeley była zaś dla mnie wręcz nieznośna, ponieważ musiałam zbywać stale te same, w kółko zadawane przez nich pytania: Co robię i gdzie mieszkam przez większą część roku.

— Dlaczego to taki sekret, na litość boską? Dokąd jedziesz?

Były momenty przy stole, gdy zupełnie nie docierało do mnie, co mówi ojciec, widziałam jedynie jego poruszające się wargi. A gdy mi zadał pytanie, tłumaczyłam się bólem głowy i złym samopoczuciem, gdyż znowu zgubiłam wątek.

Najlepszymi chwilami, dziwnie wystarczającymi, były te, których nienawidziłam jako mała dziewczynka: gdy we dwoje wczesnym wieczorem szliśmy wznoszącymi się i opadającymi ulicami. Ojciec odmawiał różaniec, otaczały nas wczesnonocne odgłosy dochodzące ze wzgórz Berkeley i nie mówiliśmy do siebie ani słowa. Podczas tych spacerów nie czułam się aż tak nieszczęśliwa jak w dzieciństwie, lecz spokojna jak ojciec, choć niewytłumaczalnie smutna.

Pewnego wieczoru pojechałam z siostrą do San Francisco. Zjadłyśmy kolację w lśniącym małym lokaliku przy North Beach o nazwie „Saint Pierre”. Przy barze stał ktoś, kto ciągle na mnie patrzył — klasycznej urody młody mężczyzna o wyglądzie prawnika. Nosił biały dziergany sweter, szarą marynarkę w kurzą stopkę, miał usta gotowe do uśmiechu i włosy ułożone w niedbałą, jakby potarganą przez wiatr fryzurę. Właśnie tego typu facetów zawsze unikałam w przeszłości, starając się pozostawać obojętna na ich piękne usta i piękne twarze.

— Nie oglądaj się teraz — ostrzegła mnie siostra — ale ten mężczyzna zjada cię żywcem.

A ja miałam straszliwą ochotę wstać, podejść do baru i zacząć z nim rozmowę, a potem wręczyć mojej siostrze kluczyki do samochodu i powiedzieć jej, że spotkamy się nazajutrz. „Dlaczego nie mogę tego zrobić?”, zadałam sobie pytanie. Tylko z nim porozmawiać? Był przecież mną zainteresowany i wyraźnie był bez pary.

Jak by to było, uprawiać tak zwany seks po bożemu w jakimś pokoiku małego hotelu wychodzącego na Pacyfik z tym cudownym panem Przystojnym, który wygląda jak uosobienie zdrowia, który nigdy nie marzył o upojnej nocy z panną „Skóra i Koronki” z największego klubu egzotycznego seksu na świecie? Może nawet zabierze mnie do siebie, do jakiegoś przyjemnego mieszkanka obitego boazerią, pełnego luster i z widokiem na zatokę. Mężczyzna włączy Milesa Davisa i wspólnie przyrządzimy kolację w chińskim woku.

Coś nie tak z twoją głową, Liso? Zarabiasz na fantazjach, lecz nie fantazjach tego rodzaju...

Musiałam natychmiast opuścić Kalifornię!

* * *

Później jednak nie cieszyły mnie już zwyczajne coroczne rozrywki, chociaż ruszyłam na Rodeo Drive po nową garderobę, spędziłam szalone zakupowe popołudnie u Sakowitza w Dallas, pojechałam do Nowego Jorku obejrzeć *Cats* i *My One and Only* oraz kilka off-broadwayowskich przedstawień, które okazały się świetne. Odwiedziłam muzea, byłam dwukrotnie w Metropolitan Opera, oglądałam dosłownie wszystkie przedstawienia baletowe i kupowałam książki, mnóstwo książek oraz filmów wideo, aby mi wystarczyły na następne dwanaście miesięcy.

Powinnam się dobrze bawić. Do dwudziestego siódmego roku życia zarobiłam przecież więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek marzyłam, że zarobię przez całe życie. Co jakiś czas usiłowałam sobie przypomnieć, jak pragnęłam wszystkich tych pomadek w złotych puzderkach z „Bill’s Drugstore” przy Shattuck Avenue, a miałam tylko ćwierćdolarówkę na paczkę gumy do żucia. Jednak wydawanie pieniędzy nie znaczyło dla mnie zbyt wiele. Szybko mnie zmęczyło, wręcz wyczerpało.

Jedyną przyjemność sprawiły mi te nieliczne słodkie, choć zabarwione goryczą momenty, kiedy w Nowym Jorku zapatrzyłam się w taniec i zasłuchałam w muzykę... tyle że wewnętrzny głos stale mi powtarzał: „Wróć do domu, wróć do Klubu. Bo jeżeli nie odwrócisz się na pięcie i nie wrócisz do Edenu, może Klub zniknie. Wszak wszystko, co widzisz przed sobą, jest nierealne”.

Dziwne uczucie. Kompletny „absurd”, tak jak postrzegali ten termin francuscy filozofowie. Czułam się straszliwie nieswojo i odnosiłam wrażenie, że nie potrafię znaleźć dla siebie miejsca, gdzie mogłabym wziąć głęboki oddech.

W pierwszych latach pracy wciąż potrzebowałam wakacji, wciąż pragnęłam chodzić normalnymi ulicami. Skąd zatem tym razem wziął się niepokój, skąd niecierpliwość, skąd myśl, że zagrożony jest spokój ludzi, których kocham?

Końcówkę urlopu spędziłam w swoim pokoju w hotelu Adolphus w Dallas. Oglądałam na wideo ciągle to samo, niskobudżetowy filmik nakręcony przez aktora Roberta Duvalla. Nosił tytuł *Angelo, moja miłość* i opowiadał o nowojorskich Cyganach.

Tytułowy bohater był bystrym, ciemnokim dzieciakiem, mniej więcej ośmioletnim, naprawdę cwany, mądrym i ładnym, a film mówił o nim, a ściśle rzecz ujmując, o nim i o jego rodzinie. Duvall pozwolił wymyślić swoim Cyganom sporo własnych dialogów i może także dlatego ich życie w cygańskiej społeczności wydawało się bardziej prawdziwe niż jakiegokolwiek inne. Byli outsiderami w samym środku Nowego Jorku.

Wiedziałam, że to szaleństwo siedzieć w ciemnym hotelu w Dallas i oglądać ten film siedem razy pod rząd, patrzeć na ten egzotyczny świat, przyglądać się, jak bystry, mały, czarnowłosy chłopiec bajeruje swoją rówieśniczkę albo wchodzi do garderoby dziecięcej gwiazdki country–and–western i z nią flirtuje. Ten dzielny, dobroduszny malec był głęboko zanurzony w życiu — aż po czubek noska.

„Co to wszystko właściwie znaczy?“, zapytywałam się w kółko jak nastolatka. Dlaczego kiedy patrzę na ekran, chce mi się płakać?

Może czułam, że wszyscy jesteśmy outsiderami, że wszyscy tworzymy drogę naszego niezwykłego losu poprzez dzicz normalności, która jest tylko złudzeniem.

Być może nawet pan Przystojny w barze „Saint Pierre” w San Francisco to swego rodzaju outsider — na przykład młody prawnik, który pisze wiersze. I może nie zaskoczyłabym go, gdybym następnego ranka spytała nad kawą i croissantami: „Domyślasz się, jak zarabiam na życie? Nie, właściwie to jest powołanie, to bardzo poważne, to... moje życie”.

Wariactwo. Piję białe wino i oglądam film o Cyganach albo wyłączam światła i spoglądam na nocne Dallas, na wszystkie te błyszczące wieżowce niczym drabiny wznoszące się ku chmurom.

Żyję w niebie dla outsiderów, nieprawdaż? W krainie, gdzie można zaspokoić wszystkie swoje najtajniejsze pragnienia, gdzie nigdy nie bywasz sam i gdzie zawsze jesteś bezpieczny. Właśnie w Klubie spędziłam całe swoje dorosłe życie.

Muszę tam wrócić i tyle.

* * *

A zatem krążymy nad Edenem. Już prawie nadeszła pora, by bardzo dokładnie obejrzeć świeżych niewolników wysiadających na brzeg.

Chciałam im się przyjrzeć, sprawdzić, czy może tym razem dojrzę kogoś nowego i absolutnie nadzwyczajnego... Ach, ten stary romantyzm!

* * *

Jednak co roku niewolnicy nieco się zmieniają, są trochę bystrzejsi, jeszcze bardziej interesujący, bardziej skomplikowani. Z każdym rokiem Klub staje się wszak sławniejszy, wszędzie na świecie otwiera się coraz więcej nowych, podobnych do naszego przybytków i przybywają do nas niewolnicy o coraz rozmaitszej przeszłości. Nigdy nie wiadomo, czego się spodziewać i jaką formę tym razem przybiorą ciała i tajemnice.

Zaledwie kilka dni temu odbyła się ogromnie ważna aukcja, jedna z trzech międzynarodowych aukcji, w których warto wziąć udział, i wiedziałam, że Klubowi udało się nabyć co najmniej trzydzieści osób — mężczyzn i kobiet — na pełne dwa lata. Wszyscy oni

muszą wyglądać zachwycająco, mieć doskonałe papiery z najlepszych domów w Ameryce czy za granicą.

* * *

Na aukcjach nie prezentuje się żadnego niewolnika, chyba że ukończył wcześniej pełne szkolenie i zdał wszystkie testy. Od czasu do czasu dostajemy (ze źródeł innych niż aukcje) niewolników niechętnych lub niezrównoważonych, młodych mężczyzn bądź kobiety, którzy już flirtując ze skórzanymi pagaja — mi i rzemieniami, mniej czy bardziej przypadkowo dają się ogarnąć emocjom. Takich niewolników bardzo szybko uwalniamy i spłacamy. Nie lubimy strat. Zresztą tacy niewolnicy zwykle nie ponoszą winy za własne zachowanie.

Tym niemniej zdumiewające, jak wielu z nich pojawia się rok później na najlepszych aukcjach. A jeśli znowu do nas trafiają (wybieramy ich czasem, jeśli są wystarczająco piękni i silni), mówią nam, że od chwili uwolnienia marzą wyłącznie o Klubie.

Takie „pomyłki” na dużych aukcjach zdarzają się jednak rzadko.

Na dwa dni przed sprzedażą niewolnicy stają przed radą egzaminatorów. Muszą okazać idealne posłuszeństwo, zwinność i gibkość. Sprawdza się też starannie ich papiery. Następnie niewolnicy są oceniani pod kątem wytrwałości i temperamentu; w końcu klasyfikuje się ich według serii standardów fizycznych. Do obszernych katalogów trafiają ich zdjęcia i dokładne opisy. Kupiec może wybrać satysfakcjonującego go niewolnika z katalogu i go nabyć.

Oczywiście później, gdy już do nas trafiają, oceniamy ich ponownie dla własnych celów i wedle naszych standardów. Najpierw jednak ich kupujemy — najczęściej właśnie na tych wielkich aukcjach.

Do pokoju pokazów na aukcjach docierają jedynie najwspanialsze okazy, niewolnicy, którzy potrafią z dużą wprawą chodzić po oświetlonym wybiegu, gdzie badają ich tysiące oczu i rąk.

Początkowo w ważnych aukcjach brałam udział osobiście.

Chodziło nie tylko o przyjemność wybierania najodpowiedniejszego narybku — kandydatów nazywamy narybkiem niezależnie od jakości ich wyszkolenia i do czasu, aż sami ich wyszkolimy — ekscytowały mnie też same aukcje.

Mimo wszystko, obojętnie, jak dobrze niewolnik jest przygotowana aukcja stanowi silne przeżycie, czasem nawet jest to swoista tragedia. Drżą, płaczą i czują przerażającą samotność, gdy stoją nadzy na starannie oświetlonym piedestale, gdzie prezentują się jak dzieła sztuki uosabiające rozkoszne napięcie i cierpienie. Oglądanie ich stanowi równie dobrą rozrywkę jak wszystkie inne, które przygotowywałam w Klubie.

Kupcy godzinami dryfują po ogromnym, wyłożonym dywanami pokoju pokazów i tylko się rozglądają. Ściany zawsze są tam pomalowane na kojące kolory: cynobrowy albo błękit jak jajko rudzika. Oświetlenie jest idealne, szampan przepyszny. Nie słychać żadnej rozpraszałającej muzyki. Wszelki rytm powstaje dzięki uderzeniom naszych serc.

Kandydatów podczas badania można dotykać i co jakiś czas zadawać pytania tym, którym z tej racji zdejmuje się knebel. (Nazywamy to szkoleniem głosu, co oznacza, że kandydat odzywa się jedynie wówczas, gdy mu się każe, i nigdy w swojej wypowiedzi nie wyraża najdrobniejszej nawet preferencji czy pragnienia). Nieraz inni trenerzy przyciągają naszą uwagę do jakiegoś pięknego okazu, na który sami najwyraźniej nie mogą sobie pozwolić. Od czasu do czasu kupujący zbierają się wokół osobnika o nadzwyczajnej urodzie, któremu poleca się przybrać około tuzina ukazujących wszelkie wdzięki pozycji i wykonać tuzin rozkazów.

Nigdy nie poklepywałam ani nie biłam niewolników w pokoju pokazów przed aukcją, jeśli jednak poczeka się cierpliwie, można popatrzeć, jak robią to inni. Czasem kilka klapsów już na wybiegu w chwili licytacji powie ci wszystko, co musisz wiedzieć o reakcjach niewolnika.

Na aukcjach łatwo się zyskuje nieocenioną wiedzę. Na przykład, na skórze niektórych niewolników długo pozostają znaki po uderzeniach, co oznacza skórę mięciutką jak u kociaka, a jeśli znaki szybko znikają — skóra jest elastyczna. Albo odkrywasz, że najlepsze są małe piersi.

Tak, człowiek wiele się tam może nauczyć, o ile będzie się na aukcjach trzymał z dala od szampana. Jednak najlepsi trenerzy nie ujawniają ani swojej wiedzy, ani jakości biednych, drżących ofiar, które oceniają. Naprawdę dobry trener może się dowiedzieć wszystkiego, czego pragnie, jedynie dzięki szybkiemu podejściu do niewolnika i niespodziewanemu zaciśnięciu dłoni na jego karku.

Niemalą część zabawy to oglądanie przy pracy innych trenerów, którzy przybywają z całego świata. Wyglądają jak bogowie i boginie, gdy wysiadają z czarnych limuzyn podjeżdżających przed drzwiami... I wszędzie ta marka wykwinętego krawiectwa, która wydaje się luksusowo krucha: wytarte dżinsy i rozpinana koszula w najcieńszej bawełny lub jedwabna bluzka z odkrytymi ramionami, tak delikatna, jakby za chwilę miała się rozpaść. Cieniowane włosy i paznokcie jak szpony. Albo chłodniejsi arystokraci w trzyczęściowych czarnych garniturach, prostokątnych okularach o srebrnych oprawkach i modnych krótkich fryzurach. Wielojęzyczny bełkot (choć za międzynarodowy język niewolników oficjalnie uznano angielski), tuzin różnych narodowości oraz atmosfera komend i nakazów. Nawet ci o najśladziej twarzach, o pozornie niewinnym wyglądzie mają autorytet, skoro są trenerami.

Potrafię rozpoznać trenerów, nawet kiedy widuję ich w innych miejscach. Dostrzegam ich zresztą wszędzie — od brudnego luxorskiego małego pawilonu w Dolinie Królów po werandę Grand Hotel Olafsson w Port au Prince.

Najbardziej zdradzają ich szerokie paski do zegarka z czarnej skóry i buty na wysokim obcasie, których nie sposób znaleźć w zwykłym sklepie. No i sposób, w jaki rozbierają oczyma każdego przystojnego mężczyznę lub kobietę w pomieszczeniu.

Kiedy pracujesz jako trener, każdy człowiek staje się dla ciebie potencjalnym nagim niewolnikiem. Otacza cię też aura nadmiernej zmysłowości, z której prawie nie sposób się otrząsnąć. Nagie zagłębienia z tyłu kobiecych kolan, mała zmarszczka w miejscu, gdzie ramię łączy się z tułowiem, koszula opięta na piersi, kiedy mężczyzna wkłada ręce do kieszeni, ruch bioder kelnera, który pochyla się, by podnieść z podłogi serwetkę — widzisz to wszystko, gdziekolwiek pójdziesz, i czujesz wieczną ekscytację. Dla trenera cały świat zmienia się w klub rozkoszy.

Na aukcjach doświadczamy też dodatkowych przyjemności — na przykład gdy spotykamy bardzo majątne osoby, które utrzymują trenerów w swoich domach albo wiejskich rezydencjach i wolno im kupować na aukcjach niewolników na własny użytek. Ci prywatni właściciele bywają często wspaniałymi i niezwykle interesującymi ludźmi.

Pamiętam, że któregoś roku przybył na aukcję przystojny osiemnastolatek w towarzystwie dwóch ochroniarzy. Z wielką powagą młodzieniec ów przeglądał katalog i przez fiołkowe okulary przeciwsłoneczne oceniał z oddali każdą ofiarę, do której później podchodził i całkiem rozmyślnie ją szczypał. Mężczyzna nosił się na czarno z wyjątkiem pary rękawiczek w odcieniu gołębiej szarości, których ani na chwilę nie zdjął. Ilekroć szczypał któregoś z niewolników, prawie czułam dotyk tych rękawiczek na własnym ciele. Ochroniarze nie odstępowali go na krok, a stary trener — dodam, że jeden z najlepszych, jacy istnieją — stał przy jego prawym ramieniu. Ojciec młodzieńca od lat miał u siebie trenera i dwoje niewolników, a teraz nadszedł czas, by jego syn nauczył się cieszyć tym „sportem”.

Przystojniak wybrał bardzo krzepkiego chłopca i dziewczynę.

* * *

Na pewno rozumiecie, że kiedy mówię „chłopiec” czy „dziewczyna”, nie mam na myśli dzieci. Klub i szanujące się domy aukcyjne z oczywistych powodów nie interesują się dziećmi, a prywatni trenerzy są na tyle mądrzy, że również nam ich nie podsyłają. Gdy nastolatki pojawią się czasami same — dzięki oszustwu lub fałszywym papierom — natychmiast je odsyłamy.

Przez „chłopca” albo „dziewczynę” rozumiem pewien rodzaj niewolnika, który bez względu na swój prawdziwy wiek wygląda i zachowuje się jak osoba bardzo młoda. Bywają trzydziestoletni niewolnicy i niewolnice, których nazywa się chłopcami bądź dziewczętami. A są niewolnicy dziewiętnaste — czy dwudziestoletni, którzy w stanie niewoli i upokorzenia emanują powagą i zranioną godnością, dzięki czemu myślisz o nich jako o kobietach czy mężczyznach.

Tak czy owak, osiemnastoletni pan nabył parę bardzo młodzieńczych i doskonale umięśnionych niewolników, a zapamiętałam to zdarzenie, ponieważ o dziewczynę młodzieniec licytował się z naszym Klubem. Należała ona do tych opalonych na brąz blondwłosych istot, które nigdy nie uronią nawet łzy niezależnie od srogości kar i gniewu pana. Ogromnie chciałam ją kupić i źle się czułam, gdy później obserwowałam, jak zostaje związana i zabrana. Młody pan dostrzegł moje spojrzenie i uśmiechnął się pierwszy i jedyny raz.

Jednak zawsze się o nich martwię, to znaczy o niewolników, którzy trafiają do prywatnych właścicieli. Nie dlatego, że nie uważam ich za godnych zaufania. Aby kupować od szanowanego niewolniczego domu aukcyjnego albo od szanowanego prywatnego trenera, trzeba być nieskazitelną osobą, której sztab został poddany testom i zatwierdzony, a dom uznano za bezpieczny. Tym niemniej jakże samotnie i niesamowicie muszą się czuć niewolnicy, kiedy jest ich tylko dwoje lub troje na wielkiej posiadłości.

Wiem, jak to jest, ponieważ tak właśnie zaczynałam jako osiemnastolatka. Nawet jeżeli pan był przystojny, a pani piękna, nawet jeśli w posiadłości wiecznie odbywały się przyjęcia i inne zabawy, trenerzy byli energiczni i dobrzy, wielokrotnie pozostawałam wtedy sama ze swoimi myślami.

Klub natomiast w pierwszej chwili przeraża niewolników; widać po nich strach. Wkrótce jednak odkrywają, że trafili do wielkiego, ciepłego łona. Klub to ogromna społeczność, która nigdy nikogo nie pozostawia samemu sobie i gdzie nigdy nie gasną światła. Nikt tu też nie doświadcza prawdziwego bólu czy krzywdy. W Klubie nigdy nie zdarzają się wypadki.

Tyle że — jak wcześniej wspomniałam — nie chodzę już na aukcje i to od dość dawna.

Po prostu zbyt dużo czasu zajmują mi ostatnio inne obowiązki: wydawanie naszego małego periodyku zatytułowanego „Gazeta Klubowa” i praca związana z nienasyconym popytem na pamiątki i inne nowinki sprzedawane w klubowym sklepiku.

Białe, obciążone skórą pagaje do klapsów, rzemienie, wysokie buty, przepaski na oczy, nawet kubki do kawy z monogramem Klubu — nigdy nie jesteśmy w stanie zaprojektować czy dostarczyć ich w wystarczającej ilości. A przedmioty te trafiają do sypialni nie tylko w Stanach. W San Francisco i Nowym Jorku sprzedawane są (wraz z numerami „Gazety”) po cenie cztery razy wyższej niż w Edenie. W ten sposób towary te reprezentują nas i reklamują. Z tego też względu są dla nas ważne.

Mam również do czynienia z nowymi członkami, których należy pokierować podczas pierwszej wizyty i przedstawić im nagich niewolników.

Nader ważna jest także indoktrynacja, szkolenie i doskonalenie samych niewolników, czyli moja prawdziwa praca.

Dobry niewolnik jest nie tylko istotą z gruntu promieniującą erotyzmem, lecz także osobnikiem gotowym spełnić każdy łóżkowy kaprys swojego pana. Dobry niewolnik umie swego pana wykapać, wymasować, porozmawiać z nim — jeśli ktoś tego właśnie pragnie — popływać z nim, zatańczyć, przyrządzić mu drinka i nakarmić go rano łyżeczką. Wystarczy

zadzwoić z pokoju i można mieć specjalnie wyszkolonego niewolnika, który z wprawą cię zabawi, spełniając każdego twoje marzenie.

* * *

Nie, nie mam już czasu brać udziału w aukcjach.

A poza tym odkryłam, że bardzo interesujące jest czekanie na nową dostawę niewolników i wybór spośród nich tego, którego osobiście pragnę szkolić.

Kupujemy sporo niewolników, co najmniej trzydzieścioro za jednym razem, jeśli aukcje są odpowiednio duże. Nigdy nie bywam rozczarowana. A na następne dwa lata otrzymałam prawo pierwszego wyboru, co oznacza, że wybieram sobie niewolnika pierwsza — przed wszystkimi innymi trenerami.

* * *

Wydawało mi się, że samolot krąży już od godziny.

Mój niepokój rósł. Przyszło mi do głowy, że uczestniczę w jakiejś zabawie dla egzystencjalistów. Poda mną znajdował się mój świat, lecz nie wolno mi było do niego wejść. Może go sobie tylko wyobraziłam?! Dlaczego, do diabła, nie lądujemy?

Nie chciałam już myśleć o rozmarzonym panu Przystojnym z San Francisco ani o tuzinie innych starannie ogolonych męskich twarzy, które mignęły mi w Dallas lub w Nowym Jorku.

(Czy chciał akurat podejść do naszego stolika w „Saint Pierre”, kiedy wychodziłyśmy tak nagle? A może moja siostra to sobie wymyśliła?)

Nie miałam też ochoty rozmyślać o „normalnym życiu” ani o wszystkich tych małych sprawach, które rozdrażniły mnie podczas kilkutygodniowych wakacji.

Jednak póki lataliśmy nad wyspą, byłam uwięziona. Nie mogłam się otrząsnąć z atmosfery wielkomięjskiego ruchu, nie kończących się rozmów o drobiazgach ani tych godzin w Kalifornii, gdy wysłuchiwałam od moich sióstr skarg na temat kariery, kochanków, drogich psychiatrów, „grup podnoszenia świadomości”. Całego tego banalnego żargonu związanego z „poziomami świadomości” i uwolnieniem ducha.

I moja matka, która z dezaprobatą w głosie wypominała mi nieobecność na porannej mszy ze świętą komunią i konieczność spowiedzi. Jej zdaniem psychiatry nie byli potrzebni, wystarczył mocny, staroświecki katolicyzm. Ach, ten zmęczony wyraz na jej twarzy i ta niepoohamowana niewinność w małych czarnych oczach.

Nigdy nie znalazłam się tak niebezpiecznie blisko powiedzenia im wszystkim, że „uzdrowisko”, w którym pracuję, to stale wymieniany w plotkarskich kolumnach skandaliczny Klub, o którym czytali na łamach „Esquire” i „Playboya”.

„Jak sądzicie, kto go stworzył? — zapragnęłam spytać. — Domyślcie się, jak w Klubie traktujemy »poziomy świadomości«?”

Och, smutno mi. Istnieją bariery, których nigdy nie zdołam rozbić.

Tylko ranisz ludzi, kiedy mówisz im prawdę o rzeczach, których nie potrafią uszanować albo zrozumieć. Wyobraźcie sobie twarz mojego ojca. (Pewnie nic by nie powiedział). I wyobraźcie sobie podenerwowanego pana Przystojnego, który pośpiesznie płaci za kawę i croissanty w restauracji hotelu Pacific Coast. „Hmm — powiedziałby — chyba lepiej odwieźć cię teraz z powrotem do San Francisco”. Nie, nie wyobrażam sobie tego.

Lepiej kłamać i to kłamać dobrze, jak powiedział Hemingway. Wyjawienie prawdy byłoby w moim przypadku równie głupie jak odwrócenie się w zatłoczonej windzie i oświadczenie towarzyszom: „Zobaczcie, wszyscy jesteśmy śmiertelnikami. Wszyscy umrzemy, zakopią nas w ziemi, zgnijemy. Więc kiedy wysiądziemy z tej windy...” Kto by o to dbał?

Jestem prawie w domu, jest prawie dobrze.

Nadal lataliśmy nad wyspą. Słońce eksplodowało na powierzchni pół tuzina pływackich basenów, jego promienie odbijają się od stu mansardowych okien głównego budynku.

I wszędzie w zielonym raju pod nami dostrzegałam ruch: tłumy na polach do krokieta i na obiadowym tarasie, małe figurki biegnące ścieżkami jeździeckimi obok swoich dosiadających koni panów lub pań.

W końcu pilot ogłosił, że za chwilę wylądujemy, i przypomniał delikatnie o zapięciu pasów.

— Podchodzimy do lądowania, Liso.

W powietrzu wypełniającej małą kabinę poczułam subtelny zmianę. Zamknęłam oczy i przez moment wyobrażałam sobie trzydziestkę tak „doskonałych” niewolników, że zbyt trudne wydało mi się dokonanie jednoznacznego wyboru.

„Dajcie mi naprawdę niezwykłego niewolnika — pomyślałam — postawcie przede mną prawdziwe wyzwanie, dajcie kogoś naprawdę interesującego...”

Odkryłam nagle, że — z niewiadomego powodu — zaraz się rozplaczę. I coś się stało w mojej głowie, doszło do jakiejś nieznaczonej, bardzo powolnej eksplozji. A potem pojawiły się fragmenty myśli czy fantazji — niczym sny zapominane zaraz po przebudzeniu. Czego jednak dotyczyły te myśli? Nie wiem, zniknęły niemal natychmiast i nie zdążyłam przemyśleć ich zawartości.

Jakiś obraz ludzkiej istoty — rozdieranej, poddawanej penetracji, choć nie w sensie dosłownym. Raczej rozbieranej i układanej do delikatnego sadomasochistycznego rytuału... I nagle wyciągasz ręce i dotykasz bijącego serca tej osoby, i to jest cud, ponieważ tak naprawdę nigdy nie widziałeś niczyjego bijącego serca i aż do tej chwili sądziłeś, że nie jest to możliwe...

Chyba mam kłopoty z głową. Ta myśl nie była zbyt przyjemna.

Teraz słyszę bicie mojego własnego serca. Słyszę i czuję bicie setek innych serc. Obojętnie, jak dobrzy są ci niewolnicy, obojętnie, jak są rozkoszni, za kilka godzin moje życie będzie znowu takie samo jak zawsze.

I właśnie dlatego pragnę tu wrócić, prawda?

Właśnie tego powinnam chcieć.

Rozdział 3

Przypływamy

Powiedzieli mi, że gdy nadejdzie pora wyjazdu, mam wziąć wszystkie ubrania, na które mam ochotę. Skąd miałem wiedzieć, czego zechcę, kiedy nadejdzie pora wyjazdu? Podpisałem dwuletni kontrakt z Klubem i w ogóle nie myślałem o chwili wyjazdu. Zastanawiałem się jedynie, jak będzie na miejscu.

Napełniłem więc dość szybko kilka walizek, a „zbędne ubranie” nałożyłem na czas podróży. Miałem też torbę z rzeczami, których mógłbym potrzebować na pokładzie.

Jednak w ostatnim momencie dorzuciłem do walizki smoking, bo nagle przemknęło mi przez głowę, że może od razu po wypełnieniu kontraktu polecę, cholera, na przykład do Monte Carlo i postawię wszystkie pieniądze, które zapłacą mi za dwa lata pracy. Takie przeznaczenie dla stu tysięcy dolarów wydawało mi się najsensowniejsze. Śmieszyło mnie, że w ogóle mi płacą. Może to ja powinienem zapłacić im?

Zabrałem też moją nową książkę, chociaż nie byłem pewien po co. Może nadal znajdę ją w kilku księgarniach, gdy wrócę, o ile na Bliskim Wschodzie wciąż będzie trwać wojna. Moda na albumy fotograficzne przychodzi i odchodzi.

Chyba po prostu sądziłem, że powinienem ją przejrzeć, gdy już opuszczę Klub, może nawet przekartkować od razu, w samolocie. Może ważne będzie przypomnienie sobie, kim byłem, zanim utknąłem w Edenie. Ale czy nadal będę się wtedy uważał za niezłego fotografa? Może za dwa lata ten album będzie dla mnie wyglądał jak śmieć.

Co do Salwadoru, nie dokończyłem książki o nim, zostawiłem ją w połowie... Cóż, teraz na jej dokończenie było już za późno.

Pamiętałem, że mógłbym już nie żyć... gdyby tylko ten dupek sobie tego życzył... Jednym słowem, uważałem za cud, że wróciłem z Salwadoru, że żyję, oddycham i chodzę.

* * *

Dziwnie się czułem tego ostatniego wieczoru. Byłem chory i zmęczony oczekiwaniem. Odkąd podpisałem kontrakt, wiecznie tylko czekałem, odrzucając kolejne przydziały od „Time’a” (które wcześniej przyjąłbym z wielką chęcią) oraz odsuwając się powoli od wszystkich znajomych. A potem wreszcie zadzwonili z Klubu.

Ten sam wesoły, grzeczny głos amerykańskiego dżentelmena czy też Amerykanina, który zachowuje się jak brytyjski dżentelmen, choć mówił bez brytyjskiego akcentu.

Zamknąłem dom w Berkeley i pojechałem do San Francisco wypić drinka u Maxa na Opera Plaża. Przyjemnie było rozglądać się po tłumie, podziwiać mosiężno — szklane budowle i światła neonów. Sporo pięknych kobiet z San Francisco przechodzi Opera Plaża. Widzisz je we włoskiej restauracji „Modesto Lanzone” albo właśnie u Maxa. Staranny makijaż pań, profesjonalnie wykonane fryzury i ubiór zgodny z najnowszymi trendami *haute couture*. Cudownie się na nie patrzy.

Na Opera Plaża mieści się też duża księgarnia, której czyste, doskonale oświetlone wnętrza pasuje do jej nazwy „A Clean Well Lighted Place”. Wybrałem sobie na podróż pół tuzina kryminałów Simenona, coś Rossa MacDonalda i le Carre’a oraz nieco eskapistycznych dzieł na wysokim poziomie, z serii tych, które czytywałem w pokoju hotelowym o trzeciej nad ranem, gdy bomby spadały na Damaszek.

O mało nie zadzwoniłem do domu, aby się ponownie pożegnać. Jednak uznałem, że nie, wziąłem taksówkę i podałem kierowcy adres na nabrzeżu.

Stał tam tylko opuszczony magazyn. Dopiero po odjeździe taksówki pojawił się dobrze ubrany mężczyzna — jeden z tych nieokreślonych facetów, których widzisz około południa w bankowych dzielnicach wielkich miast. Szary garnitur, ciepły uścisk dłoni.

— Jesteś zapewne Elliott Slater. Zaprowadził mnie na przystań.

Kotwiczył tam spory biały jacht rozjaśniony rzędem odbijających się w ciemnej wodzie świateł. Jacht otaczała martwa cisza, toteż skojarzył mi się ze statkiem widmem. Wszedłem sam po trapie.

Naprzeciw wyszedł mi kolejny mężczyzna, znacznie bardziej interesujący, młody lub najwyżej w moim wieku. Miał ładną rozczochraną blond fryzurkę, bardzo opaloną skórę i rękawy białej koszuli zawinięte aż do łokci. Uśmiechnął się do mnie, błyskając przepięknymi zębami.

Wziął moje walizki i ruszył do przydzielonej mi kabiny.

— Elliotcie, nie zobaczysz tego przez następne dwa lata — oświadczył przyjaznym tonem. — Może więc potrzebujesz czegoś szczególnego na podróż? Cały pozostały twój bagaż zostanie zmagazynowany do czasu wypełnienia kontraktu: twój portfel, paszport, zegarek, wszystko, z czego zrezygnujesz. — Byłem nieco zaskoczony. Staliśmy bardzo blisko siebie w przejściu i zrozumiałem, że mężczyzna wie, dokąd mnie zabierają. Nie był jedynie zwykłym marynarzem na jachcie, — Niczym się nie martw — dodał. Stał w świetle i dostrzegłem trochę piegów na jego nosie, a we włosach pasma rozjaśnione od słońca. Wyjął z kieszeni jakiś mały przedmiot, który rozpoznałem jako złoty łańcuszek, na którym wisiała tabliczka z nazwiskiem. — Podaj nadgarstek — polecił. Gdy nakładał bransoletkę i zaciskał zatrzask, pod wpływem dotyku jego palców stanęły mi włoski na karku. — Posiłki będziemy ci wsuwać przez otwór w drzwiach. Podczas podróży nikogo nie zobaczysz i z nikim nie będziesz rozmawiał. Za chwilę po raz ostatni przyjdzie cię obejrzeć lekarz. Do tej pory nie będziesz zamknięty na klucz.

Otworzył drzwi kabiny. Wewnątrz płonęło łagodne bursztynowe światło. Ciemna boazeria, pokryta połyskującym lakierem. Jego słowa załomotały w mojej głowie. „Do tej pory nie będziesz zamknięty na klucz”. A mała bransoletka mnie irytowała niczym lepka pajęczyna, która do mnie przyłgnęła. Na tabliczce przeczytałem swoje imię i coś w rodzaju kodu złożonego z cyfr i liter. Czuję, że na karku znowu stają mi włoski.

Kabina mi się podobała. Kosztowne fotele obite brązową skórą, mnóstwo luster, wielka koja ze zbyt dużą ilością poduszek, wbudowany w ścianę monitor wideo, pod nim szereg filmów i sporo książek. Sherlock Holmes i klasyki erotyczne: *Historia O*, *Justyna*, *Przebudzenie Śpiącej Królowny*, *Kara dla Śpiącej Królowny*, *Romans różdżki*.

W pokoju znalazłem ekspres do kawy, kawę w szklanym pojemniku, lodówkę pełną francuskiej wody mineralnej i amerykańskich napojów gazowanych, magnetofon, talie pięknie zdobionych kart. Wziąłem jedną z książek o Sherlocku Holmesie.

Nagle bez ostrzeżenia otworzyły się drzwi. Aż podskoczyłem.

Wszedł lekarz w wykrochmalonym białym kitlu. Rzuciwszy mi beztroskie, uprzejme spojrzenie, postawił typową czarną torbę. Gdyby nie miał kitla i torby, nie domyśliłbym się, że jest lekarzem. Cherlawy młodzieniec, nawet jeszcze nieco pryszczaty, a jego brązowe włosy były tak niechlujne jak tylko może być krótka fryzurka. Może miał za sobą dwudziestoczwierogodzinny dyżur? Tak czy owak, rzucił mi grzeczne, choć czymś zaabsorbowane spojrzenie, a następnie wyjął stetoskop i poprosił mnie o zdjęcie koszuli. Później wyciągnął z torby szarą teczkę i otworzył ją na łóżku.

— Pan Elliott Slater — mruknął, drapiąc się po potylicy i usiłując porównać mnie ze zdjęciem. Po chwili zaczął opukiwać moją klatkę piersiową. — Dwadzieścia dziewięć lat. W dobrym zdrowiu? Żadnych większych problemów zdrowotnych? Ma pan lekarza domowego?

— Odwrócił się i znowu zajrzał do papierów, przesuając wzrokiem po podpisanym przez mojego lekarza sprawozdaniu z badania. — Wszystko sprawdzone — mruknął pod nosem — lubimy jednak się spotkać z wami twarzą w twarz. — Pokiwałem głową. — Dba pan o siebie, prawda? Nie pali pan. To dobrze. — Oczywiście mój prywatny lekarz nie wiedział, do czego ma służyć badanie, gdy pisał raport. „Może uczestniczyć w długookresowym forsownym programie sportowym” napisał pospiesznie na pustej części u dołu swoim niemal niemożliwym do odcyfrowania pismem. — Wszystko wydaje się w porządku, panie Slater — podsumował lekarz, wkładając teczkę do torby. — Proszę się dobrze odżywiać, dużo spać i cieszyć podróżą. Nie zobaczy pan zbyt wiele przez te okna. Zostały pokryte cienką powłoką, która nieco zamazuje widok. Mam tylko jedno zalecenie dla pana. Proszę się podczas podróży powstrzymać od wszelkiej potajemnej stymulacji seksualnej. — Spojrzał mi prosto w oczy. — Wie pan, co mam na myśli... — Zaskoczył mnie, lecz starałem się nie okazać zdziwienia. Więc lekarz rozumiał wszystko. Nie odpowiedziałem. — Kiedy ktoś przyjeżdża do Klubu, powinien być w stanie seksualnego napięcia — dorzucił, ruszając do drzwi. Równie dobrze mógłby mi kazać wziąć aspirynę i zadzwonić w przyszłym tygodniu. — Sprawi się pan znacznie lepiej, jeśli pan wytrzyma. Teraz zamknę drzwi na klucz, panie Slater. Otwierają się automatycznie w przypadku jakiegoś nagłego wypadku na statku. Mamy też na pokładzie mnóstwo odpowiedniego wyposażenia pozwalającego przeżyć każdą katastrofę. Jeśli jednak nic się nie zdarzy, pozostaną zamknięte. Może chciałby pan zadać mi ostatnie pytanie?

— Hmm... — odparłem. — Ostatnie pytanie! — Nie mogłem się powstrzymać i cicho się roześmiałem. Niestety, nie potrafiłem wymyślić żadnego pytania. Serce biło mi trochę zbyt szybko. Przez chwilę przypatrywałem się mężczyźnie. W końcu odparłem: — Nie, dziękuję, doktorze. Myślę, że wszystko załatwiliśmy. Trudno jest nie walić w takich warunkach konia, ale nigdy nie chciałem, by urosły mi na dłoniach gęste włosy.

Lekarz zaśmiał się tak niespodziewanie, że wydał mi się naraz kimś innym.

— Niech się pan zatem dobrze bawi, panie Slater — oświadczył, walcząc z uśmiechem.

Gdy za lekarzem zamknęły się drzwi, usłyszałem dźwięk klucza obracającego się w zamku.

Przez długi moment siedziałem na koi i gapiłem się na drzwi. Uświadomiłem sobie, że za chwilę mi stanie, postanowiłem jednak spróbować zagrać uczciwie. Poczułem się jak dwunastolatek, który ma wyrzuty sumienia z powodu onanizmu. Poza tym wiedziałem, że lekarz ma rację. Lepiej wylądować w Klubie na pełnych obrotach i w gotowości do działania, nie zaś w postaci pustej, wyczerpanej wydumuszki.

W dodatku podejrzewałem, że podpatrują mnie przez lustra. Teraz należałem do nich. Cud, że nie napisano na bransoletce „niewolnik”. Ale w końcu... dobrowolnie podpisałem wszystkie dokumenty.

Wziąłem z półki jedną z książek... o tematyce nieerotycznej. Ułożyłem się na stosach poduszek i zacząłem czytać. James M. Cain. Niezła powieść, lecz okazało się, że już ją kiedyś czytałem. Sięgnąłem z kolei po Sherlocka Holmesa. Wspaniały przedruk z kwartalnika „Strand Magazine”, zamieszczającego opowiadania wraz z małymi rysunkami piórkami. Od lat czegoś takiego nie widziałem. Miło było znów śledzić poczynania Holmesa. Pamiętałem zarysy opowiadań na tyle, by nadal mnie interesowały, lecz nie tak dobrze, żeby mnie znudziły. Czytanie tych tekstów wydało mi się synonimem „dobrej, czystej zabawy”. Po pewnym czasie odłożyłem książkę i sprawdziłem, czy na półce stoją filmy z sir Richardem Burtonem albo książka Stanleya opowiadająca o znalezieniu Livingstone’a. Nie było ich. Miałem film z Burtonem w swojej walizce, gdzie go spakowałem wiele dni temu i o czym później zapomniałem. Zateęskniłem za nimi i po raz pierwszy doświadczyłem uczucia uwięzienia. Usiłowałem otworzyć drzwi, były jednak zamknięte na klucz. Co, u diabła, miałem robić? Pozostawało się chyba tylko przespać.

* * *

Czasami uczciwa gra jest trudna.

* * *

Często brałem prysznic, moczyłem się w wannie, robiłem pompki. Przeczytałem też ponownie wszystkie powieści Jamesa M. Caina (*Listonosz zawsze dzwoni dwa razy*, *Podwójne ubezpieczenie* i *Serenadę*) oraz obejrzałem wszystkie filmy wideo.

Jeden z tych filmów naprawdę do mnie przemówił. Był zupełnie nowy, nadal w brązowej papierowej obwolucie. Otworzyłem go jako ostatni. Opowiadał o nowojorskich Cyganach i nazywał się *Angelo, moja miłość*. Chciałbym, by nakręcono dalsze części, opowiadające o tych samych Cyganach, a zwłaszcza o tym chłopcu imieniem Angelo.

Poza tym film nie bardzo pasował do reszty kolekcji złożonej z klasycznych czarnych kryminałów z Bogartem i takich ciężkich i pretensjonalnych śmieci, jak *Flashdance*. Wyjąłem opakowanie z kosza na odpadki. Kasetę wysłano ekspresem ze sklepu wideo w Dallas parę dni przed naszą podróżą. Niesamowite. Może ktoś go obejrzał, polubił i pod wpływem impulsu zamówił do kabin na jachcie. Zastanowiłem się, czy jeszcze ktoś na pokładzie go oglądał. Żaden obcy dźwięk nigdy nie dotarł do mojej kajuty.

* * *

Dużo spałem. Właściwie mogę powiedzieć, że spałem przez większość czasu. Zadałem sobie pytanie, czy nie podawano mi leków nasennych we wsuwanym przez drzwi jedzeniu. Myślę, że nie, ponieważ po przebudzeniu zawsze czułem się bardzo rześki.

* * *

Niekiedy budziłem się w środku nocy i uświadamiałem sobie, gdzie jestem.

Płynąłem do Klubu, tego dziwnego miejsca, na całe dwa lata. Nawet gdybym prosił czy błagał, przez dwa lata nie wolno mi będzie stamtąd odejść. Fakt ten wydawał mi się wszakże najmniej ważny. Bardziej się przejmowałem tym, co może mi się przydarzyć w Klubie. Pamiętałem słowa mojego pana i trenera, mojego sekretnego erotycznego mentora, Martina Halifaxa, który stale mi powtarzał, że dwa lata to bardzo długo.

— Sześć miesięcy, Elliotcie, choćby i rok. Nie możesz sobie w gruncie rzeczy wyobrazić, czym jest Klub. Nigdy cię nie uwięziono na okres dłuższy niż kilka tygodni. W dodatku przebywałeś wtedy w małych pomieszczeniach. Klub zaś jest ogromny. I mówimy o okresie dwóch lat.

Nie chciałem się z nim więcej sprzeczać. Powtórzyłem tysiąc razy, że pragnę się tam zagubić, że nie interesują mnie dłużej dwutygodniowe podróże i egzotyczne weekendy. Chciałem utonąć w Klubie, wejść weń tak głęboko, by stracić poczucie czasu i nie czekać na dzień uwolnienia.

— Daj spokój, Martinie, sam im przesłałeś moje papiery — odpowiedziałem. — A ja zostałem poddany egzaminowi i przyjęty. Gdybym nie był gotów, nie wzięliby mnie, prawda?

— Jesteś do tego przygotowany — przyznał ze smutkiem. — Poradzisz sobie ze wszystkim, co ci się tam przydarzy. Jednak... Czy właśnie tego chcesz?!

— Chcę doświadczyć czegoś niezwykłego, Martinie. Właśnie to w kółko ci mówię.

* * *

Właściwie znałem na pamięć reguły i przepisy. Za moje usługi otrzymam sto tysięcy dolarów. Na dwa lata stanę się ich własnością, a oni będą mogli robić ze mną, co im się spodoba. Zastanowiłem się, ile płacą ich „goście”, czyli ludzie korzystający z naszych usług, skoro nam płacono tak szczerze.

* * *

Tak czy owak w chwili obecnej znajdowałem się na pokładzie jachtu i nie miałem już odwrotu. Docierał do mnie szum morza, chociaż nie widziałem wody ani nie czułem jej zapachu.

Odwrociłem się na drugi bok, by znowu zasnąć.

Prawda była taka, że nie mogłem się doczekać dopłynięcia na wyspę. Chciałem już tam być. Wstałem raz w nocy i ponownie spróbowałem otworzyć drzwi. Upewniłem się, że są zamknięte, i fakt ten zwiększył moje podniecenie do poziomu niemożliwego do opanowania, co zaowocowało mętlikiem bolesnych i rozkosznych snów.

Później byłem skruszony, choć popełniłem przecież tylko jeden jedyny błąd — miałem erotyczny sen niczym katolicki chłopiec.

* * *

Sporo czasu poświęcałem na myślenie o Martinie i o początkach tego, co on i ja sam nazywaliśmy „moim sekretnym życiem”.

Widziałem mnóstwo wzmianek o „Domu” Martina, zanim ostatecznie dowiedziałem się od kogoś szczegółów. Trudno było mi się dodzwonić pierwszy raz pod jego numer, ale bardzo łatwe okazało się wylądowanie przed ogromną wiktoriańską rezydencją o dwudziestej pierwszej w letni wieczór. Samochody pędziły obok mnie na wzgórze, a ja skręciłem i przeszedłem pod wysokimi, prostymi drzewami eukaliptusowymi, docierając w końcu do bramy z kutego żelaza. („Podejdz do drzwi suterenu”).

Zapomnieć tandetne dziwki w czarnych gorsetach i szpilkach („Byłeś złym chłopcem? Potrzebujesz chłosty?”) oraz niebezpiecznych małych uliczników o dziecięcych twarzach i niskich, męskich głosach. Będę miał ekstraluksusową wycieczkę po sadomasochizmie wraz z przewodnikiem.

A najpierw odbyliśmy kulturalną rozmowę.

Małe lampy w wielkim pokoju obitym ciemną boazerią dawały niewiele więcej światła od świec, ponieważ oświetlały głównie obrazy. Na jednej ścianie wisiał gobelin. Orientalne parawany, intensywnie czerwone i złote rolety okienne w tu — reckie wzory. Ciemne, lakierowane oszklone drzwi, lustro wzdłuż tylnej ściany. Duży wygodny skórzany fotel. Ja w nim, ze stopą na otomanie i zacieniona męska postać za biurkiem.

Martin, wkrótce mój kochanek, mój mentor, terapeuta i niezmordowany partner w wewnętrznym sanktuarium. Wysoki, czarnowłosy, o młodzieńczym głosie, siwiejący na skroniach pięćdziesięciokilkuletni profesor college’u, który w domu nakładał brązowy sweter z wycięciem w serek, a pod niego koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. Miał niewielkie, ale niezwykle interesujące oczy. Oczy, które wyglądały, jakby zawsze patrzyły na coś cudownego. Blask staroświeckiego złotego zegarka na tle ciemnych włosów porastających jego ręce.

— Przeszkadza ci zapach fajki?

— Uwielbiam go.

Balkański tytoń „Sobranie”, bardzo miły.

Byłem zdenerwowany, ale siedziałem spokojnie w fotelu, przesuając wzrokiem po ścianach, po starych landszaftach pod czerwonym lakierem, po małych emaliowanych

figurkach na mahoniowej skrzyni. Inny, bajkowy świat. Masa purpurowych kwiatów w cynowym wazonie obok marmurowego zegara. Dywan, którego gładki śliwkowy aksamit widuje się obecnie jedynie na marmurowych schodach w bardzo starych hotelach. Skrzypienie desek, przytłumione echo muzyki.

— Teraz chciałbym, żebyś ze mną porozmawiał, Elliotcie — oświadczył ze swobodną powagą, sugerującą, że cała ta sytuacja nie była powtarzana, że nie zdarzyła się nigdy przedtem. — Proszę, odpręż się i opowiedz mi o fantazjach, którym się oddawałeś przez ostatnie lata. Nie musisz być drastyczny w opisach. My tu wiemy, co to znaczy „drastyczny”. Jesteśmy geniuszami tego typu opowieści. — Martin rozsiadł się, przesunął wzrokiem po suficie, dotknął swoich siwiejących brwi. Gęsty dym z fajki wzniósł się, po czym rozwiął. — Jeśli ci trudno opowiadać o własnych fantazjach, możesz je dla mnie opisać. Mogę cię zostawić w spokoju na chwilę... z papierem, ołówkiem, może nawet maszyną do pisania...

— Ale sądziłem, że to dzięki tobie dojdzie do pewnych zdarzeń, że chodzi o środowisko, że tak powiem, o świat...

— Och, o to się nie martw, Elliotcie. W odpowiednim momencie przejmie kontrolę. Kompletną kontrolę. Kiedy przejdiesz przez te drzwi. Mamy tysiące pomysłów, tysiące sprawdzonych sposobów. Ważna jest jednak wstępna rozmowa. O tobie, o twojej wyobraźni. To dobry początek. Chcesz papierosa, Elliotcie?

Jakże wytrąciła mnie z równowagi wiadomość, że sam muszę zacząć, że to ja muszę zainicjować bieg zdarzeń. Zobaczyłem siebie, jak się poddaję i ruszam do drzwi, mówiąc: „Tak, jestem winien. Ukarz mnie”. Jakże zdenerwowało mnie, kiedy stwierdziłem, że oświadczam:

— Chcę przejść przez te drzwi teraz.

— Wkrótce przez nie przejdiesz — odparł z nieznacznym uśmiechem Martin. Jego oczy złagodniały i otworzyły się szerzej, gdy mnie obserwował. Miał w sobie spokój człowieka, który zna cię przez całe życie. Taki człowiek jak on nigdy nie mógłby nikogo zranić. Jego twarz przywołała na myśl dobrego lekarza rodzinnego albo profesora college’u, który rozumie i szanuje twoją manię na punkcie jakiegoś tematu, albo doskonałego ojca...

— Wiesz — odezwałem się niepewnie — nie jestem typem, jakiego się tu spodziewacie. — Boże, odkryłem, że Martin jest strasznie przystojny. Cechowała go jakaś niesamowita elegancja, jakiej nigdy nie mają młodzi ludzie, niezależnie od tego, jak bardzo są atrakcyjni. — Jako uczeń byłem prawdziwym utrapieniem — dodałem. — W mojej rodzinie uważa się mnie za osobę irytującą. Nie wykonuję posłusznie poleceń. Jestem prawie maniakiem męskich popisów. Jednak... Rozumiesz, nie chełpię się nimi. — Przesunąłem się w fotelu trochę skrępowany własnymi zwierzeniami. — Naprawdę uważam za śmieszne ryzykowanie życia: czy to pędząc dwieście czterdzieści kilometrów na godzinę po torze Laguna Seca, czy to zjeżdżając na nartach z najbardziej zdradzieckich stoków, czy to prowadząc cholerny ultralekki samolot jak najwyżej i jak najszybciej, lecąc na benzynie, która mieści się w filiżance do herbaty. — Mój towarzysz kiwnął głową, zachęcając mnie do kontynuacji opowieści. — Wiem, że jest w takim ryzyku coś niepoprawnego i głupiego. Od dwóch lat pracuję jako fotoreporter. W pewnym sensie stale mam do czynienia z tą samą procedurą. Coraz większe niebezpieczeństwo. Tarapaty, w które się wpakowałem, są nieprzyzwoite. Ostatnim razem w Salwadorze wyszedłem, ignorując godzinę policyjną, i o mało nie zginąłem... jak jakiś durny bogaty dzieciak na wakacjach...

Naprawdę nie chciałem o tym opowiadać. O tych strasznych, nie kończących się sekundach, kiedy po raz pierwszy w życiu naprawdę słyszałem bicie własnego serca. Nie mogłem przestać uciekać przed tym, co prawie się zdarzyło: „ZNANY FOTOGRAF ROZSTRZELANY PRZEZ SZWADRON ŚMIERCI W SALWADORZE”. Koniec Elliotta Slatera, który — zamiast bezsensownie ginąć — mógł przecież napisać w Berkeley wielką amerykańską powieść lub jeździć na nartach w Gstaad.

Przez dwie noce nie przygotowałem wiadomości dla sieci.

— Ależ często właśnie tego typu mężczyźni tu przychodzą, Elliotcie — zapewnił mnie cicho Martin. — Mężczyźni, którzy nie poddają się nikomu i niczemu w... hmm... prawdziwym świecie. Są na przykład przyzwyczajeni do sprawowania władzy i karmią się onieśmielaniem innych. Tacy mężczyźni przychodzą do nas, abyśmy zmienili ich wnętrza.

Chyba wtedy się uśmiechnąłem. „Zmiana wnętrza!”

— Nie redaguj fantazji, Elliotcie. Po prostu ze mną rozmawiaj. Jesteś bardzo elokwentny. Większość przychodzących do nas mężczyzn jest taka. Cechuje ich błyskotliwa, wyszukana wyobraźnia i snują wspaniałe, cudownie rozwinięte fantazje. Nie słucham tych fantazji jako lekarz, lecz... słucham ich. Jako historii. Słucham ich jak literat, jeśli wolisz. Może drink pomógłby ci mówić dalej? Szkocka? Kieliszek wina?

— Szkocka — odrzekłem bezwiednie. Nie miałem ochoty się upijać. — Nawiedzała mnie pewna szczególna fantazja — powiedziałem, kiedy Martin wstał i podszedł do barku. — Nawiedzała mnie, gdy byłem chłopcem.

— Opowiedz mi ją.

— Boże, nie wiesz, jakim mi się wydawała przestępstwem. Mieć takie fantazje, uważać się za obłąkanego, podczas gdy wszyscy koledzy najnormalniej w świecie oglądali rozkładówki w „Playboyu” albo gapili się na cheerleaderki na boisku futbolowym,

„Johnny Walker” z czarną etykietką. Powodzenia. Tylko mały kawałek lodu. Nawet zapach i grube kryształowe szkło szklaneczki w mojej ręce zadziałały odpowiednio.

— Kiedy ludzie dyskutują o swoich fantazjach, często mówią jedynie o tych mile widzianych — wyjaśnił Martin, kiedy znowu usadowił się za biurkiem i wygodnie rozparł w fotelu. Nie pił, ledwie pykał fajkę. — Opowiadają banalne szczegóły, nie zaś swoje prawdziwe wyobrażenia. Ilu twoich kolegów z klasy oddawało się identycznym fantazjom, jak ci się zdaje?

— Hmm... ja sobie w każdym razie często wyobrażałem coś na kształt greckiego mitu — odparłem. — Byliśmy młodzieńcami w wielkim greckim mieście i co kilka lat siedmiu z nas... wiesz, tak jak w micie o Tezeuszu... wybierano i wysyłano do innego miasta, gdzie służyli jako erotyczni niewolnicy. — Wypiłem mały łyk szkockiej. — To był stary, nienaruszalny porządek — ciągnąłem — a dla wybrańca wielki honor. Tym niemniej się baliśmy. Zabierano nas do świątyni, gdzie kapłani kazali nam zachować w tajemnicy wszystko, co się zdarzy w obcym mieście. Potem błogosławili nasze genitalia. Rytuał powtarzał się dla niezliczonych pokoleń młodzieńców, jednak starsi chłopcy, którzy go przeszli, nigdy nie opowiadali, co im się przydarzyło.

— Przyjemne — powiedział spokojnie. — A potem...

— Skoro tylko przybyliśmy do tego drugiego miasta, zabrano nam ubrania i wystawiono na aukcję. Mieliśmy trafić do człowieka, który zaoferuje najwyższą cenę, i służyć mu przez kilka lat. Wydawało nam się, że przynosimy szczęście bogaczom, którzy nas kupili, że jesteśmy symbolami urodzajności i męskiej władzy: jak Priap w rzymskim ogrodzie, Her — mes u greckich drzwi. — Dziwnie się czułem, opowiadając to wszystko komuś obcemu, nawet osobie, która wyglądała na idealnego słuchacza. Nie widziałem u Martina najlżejszego znaku, że moja opowieść nim wstrząsnęła. — Nasi panowie dobrze nas traktowali. Tyle że nie uważali nas za ludzi. Byliśmy ogromnie pożyteczni i służyliśmy do rozrywki. — Wziąłem kolejny łyk. Równie dobrze mogłem się trochę napić. — Co oznaczało czasem bicie — dorzuciłem — a także seksualne tortury i głód. Pędzono nas na przykład przez miasto dla rozrywki naszego pana albo kazano stać godzinami przed bramą w stanie erotycznego napięcia, podczas gdy przechodnie nam się przypatrywali. I tak dalej. Dręczenie nas stanowiło część religijnego rytuału, my zaś nie ujawnialiśmy na zewnątrz naszego strachu i wewnętrznego upokorzenia.

Czy naprawdę powiedziałem to wszystko?

— Porażająca fantazja — ocenił Martin z wielką szczerością, unosząc lekko brwi. Odniosłem wrażenie, że przez moment rozmyśla. — Same najlepsze składniki. Nie tylko potrafisz się cieszyć poniżeniem, ale nazywasz go rytuałem religijnym. Dobrze.

— Słuchaj, mój umysł to istny cyrk. — Zaśmiałem się, potrząsając głową.

— Tak to jest z nami, sadomasochistami — odparł. — Nie mogą się z nami równać żadne cyrkowe zwierzęta.

— Trzeba mieć jakąś teoretyczną podbudowę — oznajmiłem. — Logiczną i zgrabną. Nie dajemy się ot, tak torturować. Przymus musi być uzasadniony. — Odstawiłem szklanekę na biurko, a Martin natychmiast mi dołał. — Chcę powiedzieć, że dobra fantazja wymaga i zgody, i przymusu — podjąłem, przyglądając się mojemu rozmówcy. — Potrzebne jest upokorzenie, walka wewnętrzna między tą częścią ciebie, która pragnie przeżyć fantazję i tą częścią, która jej nie pragnie. Ostateczne upodlenie tkwi w fakcie, że się na wszystko zgadzasz i zaczynasz to lubić.

— Właśnie.

— W mojej młodszej fantazji byliśmy obiektami powszechnego lekceważenia, a równocześnie obiektami czci. Każdy z nas stanowił dla tamtych tajemnicę. Nie pozwolono nam rozmawiać.

— Po prostu bezcenne — mruknął.

Co Martin naprawdę usłyszał ode mnie podczas godzin, które spędziliśmy na pogawędce? Coś zupełnie innego, nowego czy unikalnego? Może dowiedział się jedynie, że jestem taki sam jak tysiące podobnych do mnie mężczyzn, którzy przeszli przez jego drzwi.

— A twój pan... człowiek, który cię kupił w tym drugim greckim mieście... — spytał. — Jak wyglądał? Co o nim sądzisz?

— Uśmiejesz się, gdy ci o tym opowiem. Ów człowiek zakochał się we mnie. I ja zakochałem się w nim. Romans w łańcuchach. Na końcu triumfuje miłość.

Martin wcale się nie roześmiał, ledwie uśmiechnął się do mnie uprzejmie i znowu pyknął z fajki.

— Mimo to nie przestał cię karać ani wykorzystywać... to znaczy, mimo że cię pokochał...

— Nie, nie przestał, był zbyt dobrym obywatelem na tego rodzaju bunt. Jest jednak coś jeszcze. — Czulem, że puls mi przyspiesza. Po co, do cholery, o tym wspominałem?

— Co takiego?

Tym razem ogarnął mnie prawdziwy niepokój i zakłopotanie. „Po co właściwie tu przyszedłem?”, zastanowiłem się.

— No cóż, w tej fantazji występuje też kobieta...

— Hmm...

— Wydaje mi się, że jest żoną mojego pana. Tak, to chyba jego żona. Ta pozycja działa czasami na jej niekorzyść.

— W jakim sensie?

— Nie wiem. Nie miałem i nie mam ochoty na kontakty z kobietami — przyznałem.

— Rozumiem.

— Istnieją tysiące powodów, dla których wybierasz na miłosnego partnera mężczyznę lub kobietę, nieprawdaż? Szczególnie jeśli wcześniej doświadczyłeś zarówno miłości hetero-, jak i homoseksualnej.

— Zgadza się — przyznał, choć przed następną kwestią przez sekundę nad czymś rozmyślał. — A zatem miałeś w swoim życiu związki i z kobietami, i z mężczyznami?

Pokiwałem głową.

— Zbyt dużo jednych i drugich.

— I pewna kobieta pojawiała się w twojej młodszej fantazji.

— Tak. Niech ją szlag. Nie wiem, dlaczego ją stworzyłem w swojej wyobraźni. Zdaje mi się, że szukałem u niej litości czy czułości, a ona coraz mocniej się mną interesowała... niewolnikiem swojego męża... potem jednak stała się gorsza.

— W czym się to przejawiało?

— Była dla mnie delikatna i czuła, a jednocześnie bywała szorstka, ostra i okrutna. Upokorzenie jest jak gwałtowne pożądanie... Wiesz, co mam na myśli? Dziwne uczucie.

— Wiem...

— Ona nie zawsze się pojawiała w moich fantazjach. Chociaż prędzej czy później powracała.

— Rozumiem.

— Ale właściwie odbiegam do tematu.

— Czyżby?

— No tak, chcę cię zapewnić, że zdecydowanie pragnę męskich kochanków, dominujących mężczyzn, jeśli wolisz. Jestem co do tego przekonany. Właśnie po to tu przyszedłem... dla kontaktów z mężczyznami. Słyszałem, że macie pięknych mężczyzn, najlepszych...

— Tak — przyznał. — Sądzę, że spodobają ci się bohaterowie naszego albumu, gdy otrzymasz możliwość wyboru.

— Będę mógł sobie wybrać dominujących mężczyzn?

— Oczywiście. Jeżeli chcesz. Zawsze możesz też pozostawić wybór nam.

— Dobrze, ale to muszą być mężczyźni — zaakcentowałem. — Egzotyczni, gorący mężczyźni. Interesuje mnie seks jako baraskowanie i jako ostre przygody... — Martin pokiwał głową i uśmiechnął się. — Niczego nie da się porównać z tym uczuciem, z bliskością osoby równie twardej jak ja sam. Kiedy pojawiają się kobiety, związek staje się sentymentalny, kruchy, romantyczny...

— Powiedz mi, kogo kochałeś w przeszłości... ale tak naprawdę kochałeś... mężczyzn czy kobiety? — spytał.

Milczałem.

— Dlaczego to takie ważne?

— Och, wiesz, dlaczego jest ważne — odparł bardzo cicho.

— Pewnego mężczyznę. I pewną kobietę. W różnych okresach. Proszę, zmieńmy temat.

— Kochałeś ich jednakowo.

— W różnych okresach...

* * *

Następnym razem rozmawialiśmy w tym samym pokoju dopiero trzy miesiące później, chociaż po tym wszystkim, co tymczasem zaszło między nami na górze, nie podejrzewałem, że jeszcze kiedykolwiek usiądę naprzeciwko niego w pełni ubrany i że znowu będziemy gawędzić.

— Nie musisz mi nic więcej płacić, Elliotcie — mówił — to ci chcę powiedzieć. Mogę załatwić, że trzech czy czterech „panów” pokryje wszystkie wydatki. Przyjdiesz tu tak jak przedtem, lecz tym razem na ich koszt. Przebywając tu, będziesz należał wyłącznie do nich.

— Nie. Pieniądze nic dla mnie nie znaczą, z drugiej strony zaś nie czuję się przygotowany na... — „Na czyjaś kompletną dominację — dodałem w myślach — na świat, w którym czyjaś fantazja zastępuje moją. Nie, jeszcze nie”. Starłem się zachować ostrożność. Czułem, że posunąłem się wystarczająco daleko. Widziałem jednak, że znalazłem się na symbolicznych schodach, po których szybko się wspinam z sutereny ku samemu szczytowi. — Chcę teraz kobiety — odezwałem się nieoczekiwanie. Czy ja to powiedziałem?! — To znaczy... hmm... Tak, kobiety — powtórzyłem. — Uważam... że nadszedł czas na kobietę,

naprawdę atrakcyjną, kobietę, która wie, co robi. Nie potrzebuję nic o niej wiedzieć i wolałbym nie wybierać jej z albumu. Ty ją dla mnie wybierz. Dopilnuj, by była dobra i absolutnie wspaniała. Niech pokieruje wszystkim. Nadszedł czas... na dominującą kobietę, nie sądzisz?

Martin uprzejmie się uśmiechnął.

— Jak mówi dżin wychodzący z lampy: „Tak, panie”. Będzie zatem kobieta.

— Byle była atrakcyjna. Nie musi być piękna, rozumiesz... I żeby wiedziała, co robić...

— Oczywiście. — Cierpliwie kiwał głową. — Powiedz mi jednak... — Pyknął z fajki i powoli wypuścił dym. — Sądzisz, że chciałbyś się spotkać z prawdziwą damą w sypialni wiktoriańskiej? Wiesz, staromodne wyposażenie. Mam namyśli bardzo wytworny kobiecy pokój: koronkowe zasłony, łóżko z baldachimem, tego rodzaju szczegóły...

— O Boże! Czy to naprawdę przydarza się mnie?

* * *

Wspinałem się po symbolicznych schodach, coraz wyżej i wyżej, pokonując rozkoszne warstwy snu jedną po drugiej. A teraz, pół roku później, dokąd się kieruję? Do Klubu!

* * *

— Właśnie tego pragnę — powiedziałem Martinowi.

Pojechałem do niego natychmiast po przeczytaniu zestawu reguł i przepisów. Przeczekałem kilka godzin w małej poczekalni, raz za razem spoglądając na zegarek. — Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej o Edenie, Martinie?

— Do Klubu musisz się przygotować, Elliotcie.

— Cóż, jestem już do niego przygotowany. Pełen dwuletni kontrakt, oto czego pragnę. — Niecierpliwie chodziłem po pokoju. — Ile czasu zabierze mi dotarcie na wyspę? Mógłbym pojechać pojutrze. Albo nawet dziś po południu.

— Dwuletni kontrakt? — spytał, ważąc każde słowo. — Poczekaj, usiądź, napij się. Sądzę, Elliotcie, że powinniśmy dokładniej omówić wszystko, co ci się przydarzyło w Salwadorze. Szwadron śmierci i tego typu kwestie.

— Martinie, nie rozumiesz mnie! Nie uciekam od żadnych zdarzeń, do których doszło w Salwadorze. Dowiedziałem się tam paru rzeczy na temat przemocy, ale nie traktuję ich dosłownie. — Słuchał mnie bardzo uważnie. — Kiedy człowiek poszukuje przemocy — kontynuowałem — czy to jest wojna, sport czy przygoda, ta przemoc wydaje mu się symboliczna i naprawdę za taką ją uważa. A później przychodzi taki moment, gdy ktoś dosłownie przykładła mu pistolet do głowy. I człowiek dosłownie... prawie umiera. Wtedy uświadamia sobie, że przez cały czas mieszał dosłowne z symbolicznym. Tego właśnie się nauczyłem w Salwadorze, Martinie. Nie uciekam od tego. Jest to po prostu powód, dla którego się tu znalazłem. Interesuje mnie przemoc... taka jak dotąd. Poczucie niebezpieczeństwa, Martinie, kocham je. Myślę, że nawet pragnę unicestwienia... tak, czasem go pragnę. Choć w gruncie rzeczy nie mam ochoty zostać zraniony, a już na pewno nie chcę umrzeć.

— Rozumiem cię — odrzekł. — Uważam, że bardzo jasno mi to wyjaśniłeś. Jednak dla niektórych z nas, Elliotcie, sadomasochizm bywa jedynie fazą, etapem w poszukiwaniu czegoś więcej...

— Więc niech to będzie dwuletnia faza... dla mnie, Martinie. Klub wydaje mi się najlepszym miejscem na dalsze poszukiwania.

— Nie jestem tego taki pewny, Elliotcie.

— Przecież Klub ogromnie przypomina tę moją chłopięcą fantazję, nie widzisz tego? Kupił mnie grecki pan na kilka lat. Zbyt idealne porównanie, aby...

— Czas niewiele oznacza w fantazjach... — sprzeciwił się.

— Martinie, w momencie, kiedy mi opowiedziałeś o Klubie, podjąłem decyzję. Kości zostały rzucone. Jeżeli nie podpiszesz moich papierów, znajdę inny sposób, aby tam dotrzeć...

— Nie złość się. — Ostudził mnie natychmiast charakterystycznym dla siebie swobodnym uśmiechem. — Podpiszę je. I jeśli tego właśnie pragniesz, spędzisz w Klubie całe dwa lata. Pozwól tylko, że ci przypomnę, jak wiele różnych elementów towarzyszyło tej twojej chłopięcej fantazji, którą mi opowiedziałeś.

— Zbyt idealne porównanie! — powtórzyłem.

— Może szukasz osoby, nie układu — ciągnął. — Kiedy zaś trafisz do Klubu, Elliotcie... z całym jego nadzwyczajnym przepychem... znajdziesz się w swego rodzaju układzie!

— Chcę tego — nalegałem. — Nie potrafię zrezygnować z tej okazji! Jeśli Klub jest choć w połowie tak wspaniały, jak mi opisałeś, za niczym na świecie bardziej nie tęsknię.

* * *

Efektom tej rozmowy był dwuletni kontrakt z Klubem. Wiedziałem o wszystkim: o niewolnikach i niewolnicach, o gościach obu płci i treserach, o trenerach i trenerkach, o reszcie personelu. No i dobrze.

W porządku. Właśnie tego pragnę. Chociaż nie sądzę, bym to wszystko zniósł. Czy ktoś umiałby znieść tyle elementów naraz? Jednak właśnie tego chcę.

* * *

Nie powinienem myśleć o takich sprawach teraz, gdy tak bardzo muszę nad sobą panować.

Po sześciu dniach na morzu czułem się jak pies — samiec wiecznie dręczony przez sukę w rui. Wreszcie usłyszałem odgłos przekręcanego w zamku klucza.

Było popołudnie, akurat wyszedłem z łazienki, odświeżony prysznicem i ogolony po naprawdę długim śnie. Może tamci o tym wiedzieli. Oszczędziłem im pracy.

Do pokoju wszedł ten sam młody blondyn opalony na brązowo. Białe rękawy koszuli znów miał zawinięte do łokci.

I znowu się uśmiechał.

— No dobrze, Elliotcie — powiedział. — Za osiemnaście godzin wpłyniemy do portu. Nie wolno ci rozmawiać, póki ktoś ci nie każe. Tylko wykonuj polecenia.

Blondynowi towarzyszyli dwaj mężczyźni, lecz właściwie nie zdążyłem im się przyjrzeć, gdyż natychmiast obrócili mnie tyłem i przytrzymali moje ręce za plecami. Mignęła mi biała przepaska, którą przewiązano mi oczy. W duszy poczułem lęk. Gdyby tylko nie zakryli mi oczu! Zaraz po tym zdjęli mi spodnie i buty.

Czyli że naprawdę się zaczynało. Członek natychmiast mi stwardniał. Jednak nic nie widziałem i przez to czułem się jak w piekle.

Czekałem, aż mnie zakneblują, lecz tego nie zrobili. Kiedy mnie obnażyli, spięli moje przeguby skózanymi kajdankami, a ręce podnieśli nad głowę. Nie bałem się. Nie zacisnęli kajdanek zbyt mocno.

Wyprowadzili mnie na korytarz i mimo całego szkolenia, które przeszedłem, poczułem się tu osobliwie ogłuszony.

Równocześnie zaskoczenie okazało się silnym afrodyzjakiem. Gdy mężczyźni powiesili mnie za przeguby na haku, pożałowałem, że postępowałem zgodnie z regułami przez wszystkie te noce, które spędziłem samotnie w kabinie.

Nie wiedziałem, dokąd mnie zabierają, choć z jakiegoś powodu wydawało mi się, że pomieszczenie jest duże. Chyba wyczuwałem obecność innych osób. Słyszałem, że wydają ciche dźwięki. Najprawdopodobniej coś w rodzaju pisków; może jeden z niewolników w pobliżu płakał. Z odgłosów wywnioskowałem, że mam do czynienia z kobietą.

Zatem naprawdę nas pomieszali, mężczyźni i kobiety, tak jak mnie wcześniej zapewniono. Nie potrafiłem sobie tego wyobrazić. A dźwięki wydawane przez niewolnicę skonfundowały mnie. Może odczuwałem szczególną bezsilność, gdyż nie byłem w stanie jej pomóc czy ją ochronić. A może dręczył mnie fakt, że cierpię identycznie jak ona. Naprawdę nie wiem.

Znienawidziłem przepaskę na oczy. Nie mogłem zwalczyć w sobie tej negatywnej emocji. Otarłem twarz o ramię, usiłując zsunąć przepaskę, niestety bez rezultatu. Więc się poddałem.

Przyszło mi do głowy — tak jak już sto razy przedtem — że może Martin miał rację, że rzeczywiście popełniłem straszliwy błąd. Czym było w porównaniu z obecną sytuacją szkolenie w Domu Martina w San Francisco? A te krótkie pobyty w wiejskiej rezydencji, chociaż przerażające, czym były w porównaniu z aktualnymi doświadczeniami? Paradoksalnie ulgę — mocną, słodką ulgę — przyniosła mi myśl: Za późno na narzekanie, Elliotcie. Nie możesz teraz powiedzieć: „Uważajmy tę zabawę za zakończoną, wysiadźmy i chodźmy na dobry stek z paroma piwami”. Chcę powiedzieć, że ponieważ wszystko się zaczęło, w pewnym sensie przestałem się przejmować. Na tym polegało piękno tej sytuacji. Wszystko działa się naprawdę, tak jak obiecał mi Martin.

Po raz pierwszy przemknęło mi przez głowę, że dostrzegam cudowny sens uczestnictwa w tej grze. Uczyniłem przemoc „nieodwracalną” częścią swojego życia i ta myśl okazała się dla mnie ożywcza. Za nic w świecie już bym się nie wycofał.

* * *

Coraz liczniejsze odgłosy znaczyły bez wątpienia, że do sali dociera coraz więcej niewolników. Wsłuchałem się w tupot ich gołych stóp i stukanie obcasów treserów. Do moich uszu docierały z różnych stron ludzkie jęki, pbrzękiwanie łańcucha lub szcęk metalowej sprzączki przesuwającej się przez hak. Skórzane kajdanki mocno trzymały moje przeguby.

Słyszałem głównie ciche westchnienia i stęknienia. Wydawali je i mężczyźni, i kobiety. Odnosiłem wrażenie, że niektóre dźwięki tłumiły kneble.

Byłem pewien, że niedaleko mnie ktoś, prawdopodobnie mężczyzna, walczy. Inna osoba natychmiast potwierdziła moje podejrzenia, rugając nieszczęśnika — treser wymienił jego nazwisko i dodał: „Zachowuj się”; nie krzyczał, przypominał tylko buntownikowi o zasadach. Nagle rozległ się ostry trzask rzemienia, po nim głośny jęk. Później usłyszałem odgłosy prawdziwych cięgow, a dźwięki były tak przenikliwe, że poczułem na własnej skórze ból.

Drżałem. Byłoby strasznie zostać ukaranym w ten sposób za nieodpowiednie zachowanie. Czymś innym wszak jest upokorzenie dla czyjejs przyjemności, bycie egzotycznym mistrzem bólu... Nie, nie, nie chciałbym się okazać tu, w ładowni statku, złym niewolnikiem.

Bicie wydawało się trwać bez końca. Potem dotarły do mnie przypadkowe, lecz coraz bliższe trzaski pasa, a następnie chrząknięcia i stęknienia. Wyczuwałem dokoła siebie ruch. W końcu pas trzepnął mnie po udach i po pośladkach, mimo to stałem zupełnie nieruchomo i nie wydałem najmniejszego nawet dźwięku.

* * *

Mijały godziny.

Bolały mnie ręce i nogi. Zdrzemnąłem się przez chwilę i obudziłem. Czulem się całkowicie nagi, a żądza ciążyła mi jak kamień.

Kiedy się znowu przebudziłem, odkryłem, że się wiję, jakbym usiłował dotknąć innego ciała. Pożądanie było okrutne, a po chwili ktoś mnie uderzył grubym pasem.

— Stój prosto, Elliotcie — zbeształ mnie czyjś głos. Zakłopotany uprzytomniłem sobie, że przemawia do mnie znajomy młody blondyn o ładnych zębach. Później dotknął chłodną dłonią mojego ciała, które właśnie uderzył. Ścisnął mnie mocno. — Jeszcze tylko sześć godzin i dotrzemy na miejsce. Chcemy, żebyś był w jak najlepszej formie. — Po czym położył mi kciuk na wargach, każąc zachować milczenie. Na wypadek gdybym jednak ośmielił się odezwać.

Ciało zrosił mi pot. Nie wiedziałem, czy blondyn się oddalił, czy też nadal stoi obok mnie. Okropnie było mi wstyd, że nie jestem doskonały, mimo to pozostałem cudownie pobudzony. W pachwinach odczuwałem mieszanie przyjemności i bólu.

* * *

Po ponownym przebudzeniu wiedziałem, że jest ciemna noc.

Powiedział mi o tym jakiś wewnętrzny zegar oraz martwa cisza panująca na statku, chociaż wcześniej z pokładu również nie docierały do mnie żadne dźwięki.

Teraz wszakże było spokojniej, to wszystko.

Ogarnęło mnie niepożądane wspomnienie domu, ostatniego weekendu, który spędziłem z ojcem w Sonomie. Blask ognia z kominka w pokoju rekreacyjnym. Ojciec stoi naprzeciwko mnie, dzieli nas stół bilardowy pokryty zielonym filcem, ojciec przygotowuje się do swojej kolejki. Ostatni deszcz w tym sezonie spływa po oknach wychodzących na oliwkowozielone wzgórza, a we mnie całkiem nieoczekiwanie rodzi się graniczący ze smutną złośliwością bunt.

„Zdaje ci się, że jesteś taki strasznie nowoczesny, sądzisz, że zawsze wszystko przewidujesz, że znasz każde najmniejsze zawirowanie — myślałem. — Analizujesz, oceniasz i przewidujesz ostateczny wzór każdej »fazy«, zanim się ona w ogóle rozpocznie. I dlatego wręczyłeś mi rozprawy na temat masturbacji, a także »Penthouse'a« i »Playboya«, gdy miałem zaledwie czternaście lat, a na szesnaste urodziny podarowałaś mi w Las Vegas dwie *call girl* po dwieście dolarów każda... Nie jedną, ale dwie, cholera jasna, dwie *call girl*... A potem ten burdel, pełen ciemnookich uśmiechniętych małych chłopców cudowny burdel w Tangerze. Całe to wyrafinowane gładzenie o zdrowej rozrywce, szkodliwość pomysłów matki, konieczność ponownego sprawienia, by »słowo ciałem się stało«, poezja »rozszerzonej wizji«, no cóż, muszę ci jeszcze powiedzieć, tato, że odpadłyby ci jaja, gdybyś wiedział, czego twój syn naprawdę pragnie!”

— Nie mówisz poważnie, synu. Nie pojedziesz do takiego miejsca na dwa lata! — W trakcie naszej ostatniej rozmowy telefonicznej powtórzył: — Nie zrobisz tego. Masz mi po — wiedzieć, kim są ci ludzie. Przyjeżdżam dziś wieczorem do Berkeley.

— Tato, poddaj się, dobrze? Napisz do mnie na nowojorski adres, który ci wysłałem. Listy będą otwierane, lecz na pewno do mnie dotrą. I nie próbuj żadnych dramatycznych posunięć, tato. Nie zatrudniaj żadnego Philipa Marlowe'a ani Lwa Archera, by mnie wyśledzili, okej?

— Elliotcie, nie rozumiesz, że mógłbym cię za to zamknąć? Na przykład w stanowym szpitalu psychiatrycznym w Napie. Dlaczego to robisz, Elliotcie?

— Przestań, tato. Robię to dla przyjemności, słowo honoru („dokładnie tak jak *call girl* i ci arabscy chłopcy”), dla przyjemności, czystej i prostej, dla niebiańskiej przyjemności. — „Chodzi o coś jeszcze — dodałem w myślach — coś, czego nawet nie potrafię pojąć, jakieś udęczenie duszy, jakąś eksplorację, jakąś odmowę życia na krawędzi mrocznego i ciepłego wewnętrznego świata, istniejącego poza cywilizowanym obliczem, które widzę w lustrze. To wszystko ma związek z bardzo odległą przeszłością”.

— Cholernie mnie przerażasz. Słyszysz, co do ciebie mówię? Te pierdoły związane ze Środkowym Wschodem mógłbym znieść. Z Salwadoru wyciągnąłem cię w niecałe dwie godziny po twoim telefonie. Jednak ten przybytek, Elliotcie, ten seksklub, to miejsce...

— Tato, tam jest bezpieczniej niż w cholernym Salwadorze. W Klubie nie mają pistoletów ani bomb. Przemoc jest pozorowana. Sądziłem, że człowiek o twoim stopniu wyrobienia byłby ostatnim, który...

— Posunąłeś się zbyt daleko. „Zbyt daleko?”

„Tato, właśnie opuściliśmy ziemską atmosferę. Niedługo lądujemy na księżycu”.

* * *

Wiedziałem, że nadszedł ranek, ponieważ dotarły do mnie odgłosy kręcących się wokół ludzi. A godzinę później jacht dosłownie ożył. Otworzyły się drzwi, rozległo tupanie stóp, ktoś odpiął z haka moje przeguby, po czym zdjęto skórzane kajdanki. Otrzymałem polecenie założenia rąk na kark.

„Zdejmijcie mi z oczu tę przeklętą przepaskę!”, pomyślałem rozpaczliwie. Ktoś mnie pchnął i nagle dotknąłem czyjś nagiego ciała przed sobą i nieco po prawej stronie. Jakieś ręce pomogły mi odzyskać równowagę i cofnąłem się o krok.

Bzikowałem. Ledwie udawało mi się zwalczyć pragnienie zerwania przepaski z oczu. Na szczęście moment szaleństwa minął, a wraz z nim gniew. Serce biło mi w szybkim *staccato*. Odkryłem, że mam w głowie kompletną pustkę.

Nagle czyjeś ręce znowu mnie dotknęły. Penis mi stanął, gdy ktoś dopasowywał u jego podstawy skórzany rzemień. Jądra mi podniesiono i pociągnięto do przodu, a na członku i fragmencie luźnej skóry ściśle zamocowano cienki rzemyk.

Pomyślałem, że zaraz od tej całej zabawy zwariuję, kiedy wreszcie odślonięte mi oczy.

Na sekundę zacisnąłem powieki przed światłem. Potem kątem oka dostrzegłem nad głową i ramionami wąski korytarz oraz metalową drabinę, prowadzącą ku pokładowi zalanemu niemal oślepiającym słońcem.

Z pokładu docierał do mnie okropny hałas. Krzyki, rozmowy, nawet śmiechy. Widziałem, jak na drabinę wepchnięto niewolnicę, stojący obok treser popędzał dziewczynę własnym paskiem. Kobieta miała piękne, gęste rude włosy, które niczym chmura unosiły się nad jej ramionami, a widok jej nagiego ciała absolutnie mnie sparaliżował. W końcu wspięła się szybko po drabinie i zniknęła mi gdzieś w jaskrawym słońcu. Nigdy nie potrafiłem zdecydować, przedstawiciel jakiej płci — obnażony — wygląda dla mnie na bardziej „nagiego”. Patrząc jednak teraz na pełne kobiece biodra niewolnicy i jej wąską talię, naprawdę o mało nie oszalałem.

Po chwili wszystkich nas popędzono naprzód.

Zostałem pchnięty, potem uderzony. Zauważyłem przystojnego blondyna, zanim poleciał mi wejść na drabinę.

— Na pokład, Elliotcie — oświadczył z tą samą wesołą miną, po czym smagnął mnie paskiem. — I nie zdejmuj rąk z karku.

Kiedy dotarłem na szczyt drabiny, usłyszałem rozkazy: „Spuść wzrok” i „Naprzód”, kątem oka jednak dostrzegłem niebieską wodę i białą plażę.

Widziałem wyspę!

Bujne niskie drzewka, róże na kracie przy pobielonych stiukowych ścianach i tarasy umieszczone jeden nad drugim, niczym wiszące ogrody Babilonu, całe porośnięte wielobarwnymi kwiatami bugenwilli; wszędzie widziałem intensywną, tropikalną zielen. Przy stołach na tarasach siedzieli ludzie, setki ludzi, może nawet tysiące. Naprawdę, nie żartuję! Bryła w moim gardle stwardniała niczym głaz.

Przypomniały mi się liczne ostrzeżenia Martina — zwłaszcza stwierdzenie, że w gruncie rzeczy nie sposób człowieka przygotować na zetknięcie z takim układem jak Klub. Można ci opowiedzieć o wszystkim, a jednak kiedy zobaczysz Eden i odkryjesz wielki rozmiar tego układu, zawsze czeka cię niemożliwy do przewidzenia szok.

Polecenia wydawano ostro i szybko. Niewolnicy przede mną przemierzali pokład i zbiegli po szerokim trapie. Idealne ciała, mięśnie marszczące się z wysiłku, fruujące włosy. Skoczne, brykające kobiety kontrastowały z mężczyznami, którzy stawiali szybkie, potężne kroki.

Nie umiałem ani przyjąć tego, co się wokół działo, ani się przeciwko temu zbuntować. I co dziwne, na jedną osobliwą chwilę zwątpiłem nie w rzeczywistość rozgrywających się dookoła mnie zdarzeń, ale w realność wszystkiego, co przydarzyło mi się wcześniej.

Gdy schodziłem wraz z innymi po trapie, ogarnęło mnie przyjemne wrażenie, że całe moje wcześniejsze wygodne życie stanowiło iluzję, ja zaś zawsze należałem do tego właśnie świata, do Edenu. Nie potrafię wyjaśnić, jak niewytłumaczalnie rzeczywiste było to odczucie. Zawsze należałem tutaj!

Musiałem nadażyć za innymi i uważnie wypełniać rozkazy. Młody blondyn ponownie się zjawił w pobliżu niczym jakiś demon (o mało mu nie powiedziałem: „To znowu ty, mały draniu”), podniósł opaloną rękę i prawie z czułością uderzył mnie paskiem.

— Do zobaczenia, Elliotcie — rzucił przyjaznym tonem. — Baw się dobrze w Klubie.

Posłałem mu swój najjadowitszy uśmiech, tym niemniej pozostałem dziwnie zdezorientowany. Opuszczając trap, zapatrzyłem się na porośnięte winoroślą ściany, na nieskończony układ tarasów oraz na jasnoblękitną kopułę niemal bezchmurnego nieba.

Kolejny silny młody mężczyzna nakłaniał niewolników do wspięcia się zygzakowatą ścieżką. Nie miałem wyjścia, poddałem się więc i przyjmując liźnięcia bata, biegłem wraz z resztą.

Treser krzyczał na nas niecierpliwie, poganiając do szybkiego truchtu. Zastanowiłem się, dlaczego słuchamy tego mężczyzny i dlaczego posłuszne wypełnianie jego rozkazów wydaje nam się takie ważne. Wiedziałem, że przybyliśmy tutaj dla przyjemności tysięcy osób zgromadzonych na tarasach. Ale... czy tamci nie doświadczyliby równie wielkiej rozkoszy patrząc, jak ktoś z nas się potyka, a później zostaje zabrany z grupy i potraktowany batem?

Postanowiłem, że jeśli ktoś się potknie, na pewno nie będę to ja. I uświadomiłem sobie, że na tym właśnie polega genialność tej sytuacji. Pragnąłem im się przypodobać.

Nie tylko zatem zachowywaliśmy się jak niewolnicy, ale już myśleliśmy jak oni.

Rozdział 4

Miłość od pierwszego wejrzenia

Było odurzająco gorąco, a na terenach Klubu panował tak wielki tłok, że słyszałam głośny, równomierny szum rozmów nawet w pustym korytarzu, którym śpieszyłam do swojego pokoju.

Teraz nie było już czasu na spokojnego drinka, na spacer po ogrodzie czy na obejrzenie spędzanych z jachtu niewolników.

Za godzinę wszyscy oni zgromadzą się w sali powitalnej, a ja nawet jeszcze nie przejrzałam ich akt.

Otrzymujemy dokładne opisy wyglądu i charakteru każdego niewolnika wraz z jego przeszłością, trenerskim komentarzem i szczegółowymi fotografiami. Nauczyłam się zwracać równie dużą uwagę na te akta, co na samego niewolnika.

Gdy otworzyłam drzwi, dostrzegłam czekającą na mnie Diane — była naga, z luźno rozczesanymi włosami, czyli taka, jaką lubię najlepiej. Niektórzy trenerzy uważają, że dzięki różnym subtelnym ozdobom niewolnik może się wydawać „bardziej” nagi. Nie zgadzam się z tym.

W naszych pokojach — wypełnionych grubymi wełnianymi dywanami, zabytkowymi aksamitnymi draperiami i licznymi małymi atrybutami cywilizacji — rozebrany niewolnik płonie niczym prawdziwy płomień.

Wśród ciemnych łagodnych barw, ekranów i monitorów oraz niskich rzeźbionych mebli, Diana promieniowała czystą zwierzęcością i nieskończoną tajemniczością; tylko ludzkie zwierzę może się tak cudownie prezentować.

A w pomieszczeniach tak intensywnie ozdobionych jak moje — wśród haitańskich obrazów, paprotek w donicach i prymitywnych kamiennych rzeźb — dziewczyna stawiała się żywym uosobieniem bujności i dojrzałości. Niemal można było wyczuć kadzidło, choć go nie używam. To ciało Diany pachnie dymem i solą.

Wielokrotnie widywałam ją w korytarzach i ogrodach, a jednak największą rozkosz odczuwałam, przyglądając jej się tutaj, gdy czekała na moje rozkazy, patrząc na jej ciężkie rozkołysane piersi i wilgotny trójkąt włosów łonowych.

Ta kształtna i zwinna dziewczyna zawsze kojarzyła mi się z delikatną tancerką, której śnieżnobiałe włosy opadają wprost na wdzięczne ramiona i plecy. Z kolei twarz Diany stanowi zaprzeczenie subtelności: duże, prawie wydęte wargi oraz najbardziej okrągłe oraz najruchliwsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałem. Chociaż najmocniej przemawia do mnie jej francuski akcent. Usiłowałam go zanalizować i równocześnie się do niego przyzwyczaić. Ostatecznie jednak uznałam go za jeden z jej nie dających się do końca określić atutów i dałam sobie spokój.

Nie mogłam jej po prostu wziąć w ramiona i całować. Nie było na to dość czasu. Zauważyłam ogromny stos szarych teczek pod białym ekranem komputerowym stojącym na moim biurku. Wszystkie dane były w komputerze, ja jednak nadal lubiłam brać do ręki zdjęcia i kartki z tekstem, stale więc posyłałam po papierowe teczki z aktami, mimo ich prymitywnego wyglądu.

— Otwórz okna, moja droga — poleciłam.

— Tak, Liso.

Dżin „Bombay” już czekał w szklaneczce z lodem, limetki dopiero co zostały pokrojone. „Bombay” to jedyny dżin, który mogę pić czysty i nigdy nie pijam go z tonikiem.

Kącikiem oka patrzyłam na Diane poruszającą się z typową dla siebie kocią szybkością i zręcznością. Jej długie ręce wyciągały się powoli, jakby uprawiały miłość nawet ze sznurem, który rozsuwał ciężkie purpurowe zasłony.

Przez trzy lata Diana mieszkała tutaj, stanowiąc niemal fragment wyposażenia. Raz na rok znikwała na sześciotygodniowe wakacje. I muszę przyznać, że zastanawiałam się, dokąd w tym czasie jeździ, co robi, jak się zachowuje... Mówiono mi, że członkowie Klubu proponowali jej kontrakty filmowe, małżeństwo, luksusowe prywatne mieszkania w egzotycznych miejscach. Nie jest to jednak nic nadzwyczajnego dla tutejszych niewolników. Właśnie z tego powodu podsuwamy im do podpisania dwuletniej umowy i tak dobrze im płacimy.

Widziałam ją raz w ubraniu, gdy jechała na wakacje. Pod rękę z inną niewolnicą szła ku czekającemu samolotowi. Ktoś mi mówił, że w pięć wynajęły zamek w szwajcarskich Alpach. Diana wystroiła się odpowiednio na czekającą ją śnieżną pogodę, toteż była w płaszczu z białym, futrzanym kołnierzem i białej futrzanej czapce. Wyglądała jak Rosjanka, a równocześnie jak przerośnięta baletnica, kiedy — przyćmiewając drugą dziewczynę — wielkimi, swobodnymi krokami przecinała płytę lądowiska. Podbródek uniesiony, usta naturalnie wydęte, niemal zawsze gotowe do pocałunku.

Takiej Diany jednak właściwie nie znałam. Znam tylko nagą użyteczną niewolnicę, która służy mi dniem i nocą. Jest czystą doskonałością, o ile taka istnieje. Powtarzam jej to często w niczym nie zakłóconej nocnej ciszy.

Światło słoneczne wpadło przez szklane drzwi. Wielkie, gęsto ulistnione konary kalifornijskich drzewek czerwonego pieprzu wyglądały jak welon przesłaniający błękit letniego nieba.

Niebo wydało mi się nagle zbyt klarowne. Z ogrodu dobiegały słabe dźwięki wiatrowych dzwoneczków. Na południu zniknęła szybko samotna chmura.

Diana kucnęła blisko mnie. Opuściłam rękę i przesunęłam palcami po jej piersiach — idealnych, nie za dużych piersiach — i wyczułam, że dziewczyna milcząco mi się poddaje. Klęknęła, po czym usiadła pośladkami na piętach — tak jak lubię. Oczy jej zwilgotniały, opuściła wzrok.

— Nalej — powiedziałam i zabrałam się do akt. — Dobrze się sprawowałaś podczas mojej nieobecności?

— Tak, Liso — odparła. — Staralam się przypodobać wszystkim — dodała.

Wzięłam szklankę z jej ręki, odczekałam kilka bolesnych sekund, aż dżin się ochłodzi, wreszcie wypiliśmy duży orzeźwiający łyk. Natychmiastowe ciepło rozlało mi się w piersi.

Diana pozostała w bezruchu niczym polujący kot, gotowa się w każdej chwili zerwać i otoczyć ramionami moją szyję. W innej sytuacji pewnie nie potrafiłabym się jej oprzeć, dziś jednak jeszcze się nie otrząsnęłam z wakacyjnego szoku. Odnosiłam wrażenie, że nadal krążę nad wyspą.

Przysunęłam się i zrobiłam lekki znany jej gest, dzięki któremu wiedziała, że wszystko w porządku. Podniosła się w klęku i przyłgnęła do mnie. Była ucieleśnieniem miękkości. Obróciłam się i pocałowałam jej duże, wydęte wargi. Obserwowałam, jak przenika ją uczucie, jak płynie w górę jej rąk. Naga, oferowała mi całą siebie. Czyżby wyczuwała we mnie sztywność? Gdy pozwoliłam jej się odsunąć, zmarszczyła brwi i szerzej otworzyła usta.

— Nie mam teraz czasu — szepnęłam. Naprawdę nie musiałam jej tego mówić. Była równie dobrze wyszkolona jak wszyscy moi niewolnicy. Jednak łączyła nas wzajemna słabość, która zawsze ją podniecała, podczas gdy dzieląca odległość za każdym razem przyprawiała o łzy.

Włączyłam wideo, szybko przewinęłam wstępny raport, wystukując odpowiednie białe plastikowe przyciski. Od razu ciąg lśniących zielonych liter rozpoczął marsz po ekranie. Pięćdziesięcioro nowych niewolników! Zdumiała mnie ta liczba.

Trzydzieścioro, których znalazłam z aukcji, oraz dwudziestka zakupiona niezależnie. Same dwuletnie kontrakty! Czyli że nasze nowe reguły i przepisy funkcjonowały. Nie spodziewałam się, że tak wcześnie zaczną się sprawdzać, byłam pewna, że do — staniemy znowu wielu sześciomiesięcznych lub co najwyżej rocznych, którzy odejdą dokładnie wtedy, kiedy zaczną się sprawdzać. Naprawdę bowiem potrzebowaliśmy dwóch lat na wyszkolenie niewolnika i zwrot zainwestowanych w niego pieniędzy; w krótszym okresie rzadko się nam to udawało.

Pora przejrzeć akta.

Na wewnętrznej okładce każdej teczki znajdowało się duże zdjęcie danego niewolnika. Przejrzałam je szybko. Natychmiast odrzuciłam na bok sześć, siedem, potem dziesięć.

Wszyscy piękni, więc ktoś na pewno będzie ich kochał i dręczył. Ale nie ja.

Niespodziewanie natknęłam się na cudowną kobietę o gęstych naturalnie kręconych brązowych włosach i owalnej typowej dla Amerykanek twarzy.

Oderwałam się powoli od znów przyklejonej do mnie Diany i tak ją przesunęłam, że otoczyła mi ramionami talię. Czułam przy sobie jej rozkoszny ciężar. Czołem musnęła mój brzuch, a ja prawą ręką pogładziłam ją po włosach. Zadrżała. Zawsze była zazdrosna o nowych niewolników. Jej piersi wydały mi się bardzo gorące. Niemal słyszałam, jak głośno bije jej serce.

— Tęskniłaś za mną? — spytałam.

— Rozpaczliwie, Liso — odparła.

Kitty Kantwell. Nauczyłam się na pamięć nazwiska niewolnicy z teczki. Miała wzrost nieco powyżej średniej (metr sześćdziesiąt osiem), więc zabawnie byłoby ją uczyć, miała także bardzo wysoki współczynnik inteligencji. Ukończyła dziennikarstwo, dużo podróżowała, była prezenterką pogody w kalifornijskiej stacji telewizyjnej w Los Angeles, przez pewien okres prowadziła własny talk — show w San Francisco. Szkoliła ją w prywatnym klubie w Bel Air paryżanka nazwiskiem Elena Gifner. Nie znalazłam tej trenerki, choć kupiliśmy od niej wcześniej kilka dobrych nabytków. Wróciłam do zdjęcia.

— I dużo pracowałaś? — spytałam. Umyślnie pozwoiliłam Dianie na pracę podczas moich wakacji. Potrzebowała pracy. Każdy niewolnik musi pracować.

— Tak, Liso — odrzekła. Mówiła urywanym głosem. Podniosłam jej włosy z szyi. Była cała rozpalona. Wiedziałam, że jej włosy łonowe są mokre.

Brunetka ze zdjęcia bez wątpienia była amerykańską piękną — w typie dziewcząt z rozkładówek „Playboya” lub telewizyjnych prezenterek pogody. Wyobraziłam ją sobie w wieczornych wiadomościach. Miała duże, okrągłe oczy — jak u Diany — ale równocześnie, mimo ślicznych rysów, dostrzegłam w niej coś doczesnego. Z jej twarzy biła też spora inteligencja i dociekliwość. Zdrowa amerykańska dziewczyna o piersiach cheerleaderki.

Na pewno muszę jej się bliżej przyjrzeć.

Napiłam się dżinu i przyspieszyłam, przeglądając kolejne teczki. Diana całowała mnie.

— Czekaj!

Zagapiłam się na fotografię mężczyzny.

Blondyn, metr osiemdziesiąt osiem. Jednak przerwałam czytanie opisu i znów wróciłam do fotografii, niezdolna przez chwilę zrozumieć własnej reakcji, a szczególnie jej intensywności. No chyba że chodziło o minę mężczyzny.

Niewolnicy rzadko uśmiechają się do zdjęcia. Patrzą wprost przed siebie, jakby fotografowano ich na posterunku, do akt policyjnych. Czasami zdjęcie ujawnia całą ich wrażliwość i cały strach. W końcu trafiają do niewoli, nie wiedzą, co się zdarzy, i nie są pewni, czy nie popełnili pomyłki. Ten zaś się uśmiechał, a przynajmniej dostrzegłam u niego jakieś rozbawienie i spryt.

Gęste blond włosy, nieco falujące, częściowo opadające na czoło, ładnie przycięte przy uszach i szyi. Oczy szare lub może niebieskie — za jasnymi dymnymi szklami wielkich

okularów, ciemniejszymi u góry, jaśniejszymi poniżej, na policzkach. I ten jego uśmieszek! Na zdjęciu mężczyzna miał czarny golf, ręce ułożył po bokach. Wyglądał na zdumiewająco odprężonego.

Sprawdziłam wewnątrz tylnej okładki, gdzie znajdował się jego akt. Rozsiadłam się wygodnie i wpatrzyłam w fotografię, powoli popijając dżin.

— Popatrz na tę parkę — poleciłam. Diana podniosła głowę, a ja pokazałam jej dwie fotografie. — Piękny — szepnęłam, stukając w zdjęcie Slatera. Dałam znak, że chcę więcej dżinu z lodem.

— Tak, Liso — odparła maksymalnie zranionym głosem, na jaki mogła sobie pozwolić zgodnie z regulaminem, i napełniła moją szklankę powolnymi, niezwykle znaczącymi ruchami. Znowu ją pocałowałam.

Na nagim zdjęciu mężczyzna stał z rękoma po bokach, lecz w jego twarzy dostrzegłam to samo lekkie rozbawienie, choć starał się je ukryć. Może podczas pozowania ktoś zakazał mu się uśmiechać. Z fotki emanowała też zaskakująca znajomość własnej osoby. Niewolnik nie krył swej osobowości za przybraną pozą ani za jakimś wyobrażonym obrazem samego siebie. Ciało miał idealne, bez najmniejszej skazy, prawdziwie kalifornijskie, o pięknych, wyćwiczonych (lecz nie nadmiernie) mięśniach i potężnych łydkach. I ta naturalna plażowa opalenizna.

Elliott Slater. Berkeley, Kalifornia. Wiek dwadzieścia dziewięć lat. Szkolił się w San Francisco u Martina Halifaxa.

Cóż, te dane wręcz mnie zaintrygowały. Slater mieszkał w moim rodzinnym mieście, Martin Halifax zaś był nie tylko najlepszym na świecie przedstawicielem swojego fachu, ale także najbliższym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałam. Człowiek może trochę stuknięty, jednak nie bardziej niż my wszyscy.

Jako dwudziestolatka pracowałam w wiktoriańskim domu Martina Halifaxa w San Francisco. Zaledwie piętnaście mrocznie oświetlonych i elegancko umeblowanych pokoiów, które mnie wydawały się całym wszechświatem, równie ogromnym i tajemniczym jak Klub. Właśnie Martin udoskonalił solarium dla niewolników, wprowadził też małą ruchomą bieżnię i stacjonarny rower, na którym musieli pedałować za karę. Gdy trzeba wymyślić „zdrową karę”, najlepsi są Kalifornijczycy, nawet tak bładzi jak Martin Halifax.

Jednak Martin i jego Dom łączą się dla mnie z epoką przed Klubem, chociaż w pewnym sensie Martin jest odpowiedzialny za powstanie Klubu — tak jak ja czy też człowiek, który sfinansował budowę. Tyle że Martin nie chciał przylecieć z nami na wyspę. Nie potrafił opuścić San Francisco i Domu.

Przeszłam do napisanego ręcznie raportu Martina poświęconego Slaterowi. Halifax uwielbiał pisać.

Oto mężczyzna niezwykle wyszukany, niezależny finansowo, prawdopodobnie bogaty i — mimo licznych zainteresowań — opętany pragnieniem zostania niewolnikiem.

Liczne zainteresowania. Doktorat z literatury angielskiej, zdobyty na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley. Na mojej starej Alma Mater! Za swój doktorat powinien dostać order Purpurowego Serca. Współczynnik inteligencji Slater miał niższy niż Kitty Kantwell, lecz i tak niezmiernie wysoki. Uprawiał wolny zawód, był fotografem, robił zdjęcia zarówno zwykłym ludziom, jak i tym z pierwszych stron gazet. Często przyjmował wojenne zlecenia od należącego do „Time’a” „Life’a”. Wydał dwa albumy z fotografiami: *Bejrut: Dwadzieścia cztery godziny* oraz *San Francisco: Slumsy i biedota*. Posiadał galerię sztuki w Castro District i księgarnię w Berkeley. (Którą księgarnię? Znałam je wszystkie. Martin nie napisał, o którą chodzi). Slater lubił także niebezpieczne sytuacje i ekstremalne, indywidualne dyscypliny sportu.

Miał charakter tak samo niezwykły jak twarz.

Zerknęłam na zegarek. Niewolnicy nie zjawią się w sali jeszcze przez najbliższe czterdzieści pięć minut, a ja już miałam dwa swoje typy, tego byłam pewna. Albo Kitty Kantwell, albo Elliott Slater. Ledwie spojrzałam na zdjęcie Elliotta Slatera, wiedziałam, że oszalałabym, gdybym nie mogła go wybrać.

Na szczęście mogłam, ponieważ wybierałam pierwsza.

Skąd zatem ta fala niepokoju we mnie? Skąd to nagłe wrażenie, że coś okropnie ważnego pozostaje poza moim zasięgiem? Psiakrew, wysiadłam już z samolotu. Wakacje się skończyły. Wróciłam do domu.

Odsunęłam inne teczki i czytałam dalej o Slaterze:

Niewolnik zjawił się na szkolenie 7 sierpnia ubiegłego roku. („Czyli dziewięć miesięcy temu! Absolutny fenomen na nasze warunki. Ale przecież Martin wiedział, co robi”). Zdecydowany poddać się najintensywniejszym oferowanym przez nas programom, równocześnie odrzucał wszelkie okazje na sojusz z panami poza Domem, chociaż wielu z nich ochoczo oferowało mu przyjaźń niemal po każdym grupowym spotkaniu, w którym uczestniczył.

Osobnik o niezwykle sprężystym i silnym ciele. Wrażenie robią na nim tylko najcięższe kary, choć zaskakująco łatwo go upokorzyć, doprowadzić do paniki — w rozmaitych okolicznościach... Zdarza mu się subtelny upór, który na pozór trudno dostrzec, chyba że...

Przerwałam. Tego typu problemy odkrywałam osobiście i na swój własny sposób, który sprawiał mi sporo przyjemności. Przerzuciłam kilka stron, znając skłonność Martina do dokładnych opisów.

Niewolnik przebywał przez krótki czas uwięziony w wiejskiej posiadłości w hrabstwie Marin i jawnie uznał całotygodniowy program za bardzo forsowny, a jednak niemal natychmiast poprosił o ponowne odbycie go. Po wszystkich sesjach bardzo dobrze sypia. Podczas przerw na odpoczynek stale coś czyta: mnóstwo klasyki, lecz także zwykłe szmiry, czasami poezję. Wręcz uzależniony od kryminałów i opowieści o Jamesie Bondzie, przeczytał też wszystkie wielkie dzieła literatury rosyjskiej. („Interesujące — pomyślałam. — Któż poza Martinem zauważyłby coś takiego?”) Jest romantykiem. Tym niemniej do tej pory nie przywiązał się do żadnego pana, pyta tylko, co mu zalecę w przyszłości, mówiąc, że „chce tego, czego się najbardziej boi”.

Znowu zerknęłam na zdjęcie. Nieco kanciasta twarz, z wyjątkiem dość pełnych ust. I uśmiech, który można by uznać za nieco drwiący czy wręcz szyderczy. Chociaż chyba „szyderstwo” to słowo zbyt mocne. Slater miał „miłą” twarz, do której zupełnie nie pasowało słowo „szyderstwo”.

Boże, może dwa tygodnie temu mijalam go na ulicy w Berkeley, może widziałam go kiedyś w barze...

„Spokojnie, Liso”, powiedziałam sobie.

Przeczytałam już tysiące akt niewolników z San Francisco i okolic. Poza tym nie istnieje życie poza tą wyspą, prawda? Informacje zawarte w teczkach — jak stale powtarzałam nowym trenerom — mają pomóc nam tutaj, nie tam.

Znalazłam opis historii szkolenia.

Zaskoczyło mnie — pisał Martin — że niewolnik wrócił natychmiast po dwutygodniowej sesji na wsi, podczas której prawie bez przerwy pracował z grupą zamiejskich gości. Zakochała się w nim pewna starsza hrabina o pochodzeniu rosyjsko-pruskim (patrz: dalsze

notatki). Niewolnik grozi, że jeśli odmówię mu dalszego uwięzienia, odejdzie. Pieniądze nie grają dla niego roli.

Slater wspomniał kilka razy, że przerazili go młodszy panowie, mimo to w żaden sposób nie starał się ich unikać. Twierdzi, że szczególnie przeraża go poniżanie przez kogoś od niego słabszego.

Przeszłam do końcowych notatek.

Wysyłany z najwyższymi rekomendacjami (idealny dla Klubu!), choć muszę podkreślić, że pozostaje nowicjuszem. I trzeba na niego uważać! Mimo iż mogę zapewnić o jego gotowości i umysłowym zrównoważeniu, muszę dodać, że przeszedł bardzo krótkie szkolenie! I chociaż zdał testy także u kobiecych treserek, kontakt z płcią przeciwną niezwykle go stresuje. Kobiet wyraźnie boi się bardziej niż mężczyzn. Odmawia jednakże wszelkich rozmów na ten temat, nie przestając przy tym podkreślać, że robi wszystko, co w jego mocy, by przyjęto go do Klubu. Powtarzam, że trzeba na niego uważać! Dobrze reaguje na kobiety i na pewno go podniecają, lecz w kontaktach z nimi bardzo się denerwuje.

Zaczęłam mieć co do Slatera podejrzenia. Przejrzałam akta, szukając dodatkowych małych fotografii. Tak, miałam rację. W ujęciach z profilu, gdy nie patrzył na fotografa, wyglądał na osobnika twardego, niemal zimnego. Było coś naprawdę strasznego w jego zaabsorbowanym obliczu. Wróciłam do zdjęcia, na którym się uśmiechał. Uroczo się uśmiechał...

Zamknęłam teczkę bez czytania „Notatek na temat faworyzujących niewolnika panów i pań”. Bóg jeden wie, co Martin tam powypisywał. Mój przyjaciel Halifax powinien zostać powieściopisarzem. A może powinien pozostać dokładnie tym, kim był...

Usiadłam i przez chwilę wpatrywałam się w szarą teczkę. W końcu znowu ją otworzyłam i ponownie się przyjrzałam fotografii Elliotta Slatera.

Diana zbliżyła się do mnie. Czułam jej ciepło i jej pożądanie. Zauważyłam u niej coś jeszcze, może niepokój z powodu napięcia, które we mnie rosło.

— Nie wrócę na kolację — powiedziałam. — Teraz weź szczotkę do włosów, szybko mnie uczesz, a potem chcę sobie ochłodzić twarz wodą Chanel.

Gdy Diana szła do toaletki, wcisnęłam guzik na biurku.

Moja niewolnica trzymała dla mnie wodę toaletową Chanel w małej lodówce w garderobie. Przyniosła ją teraz wraz z czystą flanelową szmatką.

Oklepałam sobie policzki szmatką, a Diana szczotkowała mi włosy. Nikt nie potrafił mnie czesać tak dobrze jak ona. Świetnie się na tym znała.

Zanim skończyła, otworzyły się drzwi i wszedł Daniel, mój ulubiony służący.

— Cieszę się, że cię widzę z powrotem, Liso, tęskniliśmy za tobą — zagaił, po czym zerknął na Diane. — Richard mówi, że niewolnicy będą w sali za czterdzieści pięć minut. I że cię potrzebuje. Ma jakąś szczególną sprawę.

Pech.

— W porządku, Danielu. — Poleciłam Diane gestem, by przerwała szczotkowanie, po czym się do niej odwróciłam i przyjrzałam. Skłoniła głowę, białe włosy opadły wokół twarzy. — Będę bardzo zajęta — oświadczyłam. — Chciałabym, żeby Diana pracowała.

Wiedziałam, że doświadczyła lekkiego zawodu. Najgorętsze momenty zdarzały nam się zaraz po powrocie którejś z nas, a później, po południu powinnyśmy mieć sporo czasu na miłość, prawda? Z czego moja niewolnica doskonale zdawała sobie sprawę.

— Jest tutaj hrabia Solosky, Liso. Już pytał o Diane, ale mu odmówiliśmy.

— Och, dobry stary hrabia Solosky, który chce zrobić z Diany międzynarodową gwiazdę... Zgadza się?

— Tak, właśnie — odparł Daniel.

— Podaruj mu ją. Prze wiąż ją ładnie wstążką, coś w tym rodzaju... — Diana posłała mi oszołomione spojrzenie, pięknie przy tym wydymając wargi. — Jeśli hrabia nie znajdzie w tej chwili dla niej żadnego zadania, niech Diana pracuje do późna w barze.

— Chyba cię nie zdenerwowała, Liso.

— Oczywiście, że nie. Jestem po prostu zmęczona podróżą. Krążyliśmy przez dwie godziny nad wyspą.

Zadzwonił telefon.

— Liso, potrzebujemy cię w biurze. — To był Richard.

— Już wychodzę, Richardzie. Daj mi dwadzieścia minut. — Odłożyłam słuchawkę.

Diana i Daniel zniknęli. Błogosławiony spokój.

Upiłam kolejny długi zimny łyk dżinu i ponownie otworzyłam teczkę.

„Elliott Slater. Berkeley, Kalifornia... Szkolił się w San Francisco u Martina Halifaxa”.

Skojarzył mi się dom, te wszystkie miejsca: Berkeley, San Francisco, dokąd jeździłam na szczególną pokutę zwaną wakacjami. Nie, nie o to chodziło. To były tylko punkty orientacyjne w długiej podróży, która przywiodła mnie na tę wyspę i do tego pokoju.

Na wpół odurzona, zaczęłam przypominać sobie różne detale związane z pierwszym etapem mojej drogi. Jak się to wszystko zaczęło? Przed oczyma mignęły mi obrazy. Przypomniały mi się moje najwcześniejsze kroki na tej drodze, gdy jeszcze nie było w moim życiu kogoś takiego jak Martin Halifax.

* * *

Oczyma wyobraźni zobaczyłam pierwszy pokój hotelowy, w jakim uprawiałam miłość, o ile tak można nazwać moje doświadczenia. Ekscytujące, zakazane spotkanie, zapach czarnej skóry, cudowne uczucie utraty wszelkiej kontroli.

Czy można powtórzyć gorączkę odczuwaną podczas pierwszego razu? Jakież to było dziwne: te długie, poprzedzające spotkanie godziny marzeń o tym... o bezlitosnym panu, okrutnym mistrzu... dramat kary i uległości bez prawdziwego bólu. Nie ośmieliłabym się nikomu opowiedzieć swojej historii. Wtedy właśnie poznałam Barry’ego, przystojnego niczym młodzieńcy z romantycznego komiksu, a spotkałam go w najosobliwszym z miejsc — w bibliotece uniwersyteckiej w Berkeley, kilka przecznic od mojego domu. Zagadnął mnie o książkę, którą czytałam, tekst poświęcony posępnym wyobrażeniom masochistów spisany przez ich psychiatrów, który udowodnił mi... Co? Że istnieją inne osoby, podobne do mnie, ludzie, którzy także lubią być w imię miłości krępowani, biczowani, dręczeni.

Barry natychmiast szepnął mi w ucho propozycję randki, mówiąc, że też tego chce, że wie, jak się to robi, i że zrobi to dobrze. Pracował w weekendy jako goniec w małym, ale eleganckim hoteliku w San Francisco i powiedział, że mogliśmy tam teraz pójść.

— Jeśli tylko chcesz — dodał. Od jego lekkich pocałunków krew zadudniła mi w uszach.

Byłam okropnie przerażona, wspinając się po marmurowych stopniach. Nie mogliśmy skorzystać z windy w głównym holu... niczym para przestępców. W końcu mój towarzysz otworzył ciemny mały apartament.

A jednak dokładnie tego pragnęłam, właśnie tego i właśnie tak. Obcego otoczenia. I stanowczość Barry’ego, jego poleceń, jego nieomylnego wycucia chwili, znajomości moich ograniczeń i umiejętności delikatnego, minimalnego odsuwania granic.

Najbardziej podniecał mnie fakt, że ledwie go znałam.

Teraz już nawet nie pamiętam jego twarzy. Wiem jedynie, że był przystojny, młody, wyglądał zdrowo — jak każdy inny chłopak z Berkeley. Wiem tylko, w którym domu mieszkał i na której ulicy.

Wtedy o dreszcz przyprawiała mnie ta „prawie” anonimowość — fakt, że byliśmy „parą zwierzaków”, że byliśmy szaleni, że tak naprawdę zupełnie nic o sobie nie wiedzieliśmy...

Spokojna uczennica szkoły średniej, zbyt poważna na swoje szesnaście lat, i uczeń z college'u ledwie dwa lata od niej starszy, który przeczytał Baudelaire'a, rzucał zagadkowe zdania dotyczące zmysłowości, palił fantazyjne pastelowej barwy papierosy marki „Sherman”, które zamawiał wprost od producenta. Barry chciał tego, czego ja chciałam, i miał pomieszczenie, gdzie mogliśmy oddawać się swoim fantazjom, miał też... doskonałą technikę.

Można by rzec, że tworzyliśmy dysharmonijną, lecz piękną muzykę. A niebezpieczeństwo? Czy nas porywało? Nie, stanowiło raczej brzydki podtekst, który zniknął dopiero wraz z końcem nocy, gdy wyczerpana i milcząca wychodziłam za Barrym z hotelu, prześlizgując się przez boczne drzwi, czując ulgę, że nic „straszego” się nie zdarzyło i mój towarzysz nie okazał się szaleńcem. Niebezpieczeństwo nie było wtedy dla mnie przyprawą, tylko ceną, którą musiałam zapłacić.

Na łonie Klubu nikt nigdy nie płacił takiej ceny... na tym polegała genialność Edenu, jego mądrość, jego *raison d'être**. Nikogo nigdy tu nie skrzywdziliśmy.

Z Barrym spotkałam się trzy razy, po czym zaproponował popołudniową randkę we troje, z jego przyjacielem, Davidem. Czy wtedy sytuacja przestała mi się wydawać intymna? Czy nagle odkryłam, że nie jesteśmy „równymi” uczestnikami gry? Kiedy się przestraszyłam? Powiedziałam sobie „stop”, gdy Barry zadzwonił z kolejną propozycją randki z następnym przyjacielem. Tak, wówczas poczułam się zdradzona.

Później spędzałam długie, bolesne wieczory na wędrówkach do centrum San Francisco, gdzie popatrywałam na twarze mijających mnie mężczyzn, zaglądałam do holi wielkich hoteli i myślałam: „Tak, tak, na pewno gdzieś jest ten mężczyzna, elegancki i doświadczony, nowy, nieskończenie bardziej inteligentny, bardziej imponujący, dyskretniejszy.

Siadywałam w domu przy telefonie z gazetą otwartą na stronie z ogłoszeniami. Szukałam tajnego kodu? Czy wystarczyło się ośmielić i wybrać numer? Miałam w tym czasie „normalne” doświadczenia — zabawy klasowe, randki w kinie. Mówiłam czasem kłamstwa, by usprawiedliwić apatię, niepokój... I stale towarzyszyło mi to przerażające uczucie, że jestem wybrykiem natury, wariatką, przestępczynią.

Przechodziłam obok lad, na których w gablotce za szkłem leżały długie rękawice, wyglądające nieco złowieszczo w płytkim pudełku wyłożonym białą bibułą.

Chciałam takie mieć, takie długie, obcisłe czarne rękawiczki... I szeroki skórzany pas, który przepasałby moją talię niczym egzotyczna obręcz. I czarne jedwabne pończochy, i wysokie obcisłe kozaki. Zamierzałam to wszystko kupić, gdy tylko będzie mnie stać. Odkryłam też wspaniałą księgarnię w pobliżu miasteczka uniwersyteckiego w Berkeley i w milczeniu, z niedowierzaniem, rumieniąc się z ekscytacji, przeglądałam ten wstrząsający francuski klasyk, który inni znali zapewne od lat. Jakże niewinnie w śliskiej białej okładce prezentowała się *Historia O*.

Nie, nie byłam osamotniona w swoich zainteresowaniach.

Kiedy płaciłam za książkę, wydawało mi się, że wszyscy w sklepie na mnie patrzą. Zaczerwieniona i ze szklistymi oczyma usiadłam w „Cafe Mediterranee”, czytając, przewracając stronicę za stronicą. Nie pozwalałam nikomu zajrzeć do książki, skomentować mojego wyboru, podejść. Zamknęłam powieść dopiero, gdy skończyłam czytać, po czym zagapiłam się w otwarte drzwi, patrząc na studentów pędzących w deszczu Telegraph Avenue i myśląc, że nie zamierzam przeżyć swojego życia bez urzeczywistnienia swoich fantazji, nawet gdybym musiała...

Mimo to nigdy więcej nie zadzwoniłam do Barry'ego. Wyzwolenie zawdzięczam pewnemu ogłoszeniu, choć wcale niejednemu z tych tajemniczych, zaszyfrowanych czy krzykliwych, za pomocą których komunikują się ze sobą sadyści i masochiści. Nie, nie było to ogłoszenie z serii tych, które szokują przypadkowych czytelników „podziemnych”

* *Raison d'être* (fr.) — racja bytu. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

periodyków, lecz zupełnie niewinna notatka zamieszczona w codziennej gazecie z San Francisco:

Anons specjalny! Akademia Roissy nadal przyjmuje zgłoszenia. Ze względu na ograniczoną liczbę miejsc interesują nas przede wszystkim podania od osób obeznanych z programem szkolenia.

„Roissy” było nazwą baśniowej posiadłości, do której we francuskiej powieści zabrano O. Każdy czytelnik *Historii O* wiedział, czego dotyczy ogłoszenie.

— Ale nie będziecie używać pejcza — zastrzegłam się. — Ani niczego, co może mnie naprawdę zranić, co może mi sprawić zły ból... — szeptałam do telefonu już po uzgodnieniu wszystkich warunków, wyznaczeniu terminu spotkania w jakiejś restauracji w San Francisco, ustaleniu, w jaki sposób się rozpoznamy.

— Na pewno nie, moja droga — odparł Jean Paul. — Nikt tego nie robi, chyba że w książkach.

Och, straszliwa udreka tych dawno zapomnianych chwil, tajemnych nadziei i marzeń...

Jean Paul wyglądał tak europejsko, gdy wstawał od stołu u Enrica. Aksamitna marynarka, wąskie klapy. Przypominał mi pewnego pięknego ciemnookiego francuskiego aktora, którego zapamiętałam z któregoś filmu Viscontiego.

— Prawdziwie zmysłowa amerykańska kobieta, cóż za skarb — oznajmił cicho, kiedy skończyłam kawę. — Po co jednak tracimy czas w tym lokalu? Chodź ze mną, moja droga.

* * *

Tak, udreka to właściwe słowo. Byłam strasznie młoda, czułam się zniewolona, przestraszona... Jakiś pogański anioł pilnował mnie w tamtych czasach, na pewno, bez dwóch zdań.

* * *

W tym momencie jednak bezgłośnie zabrzączał mój wewnętrzny budzik. Richard czekał, bo teraz... to my byliśmy pogańskimi aniołami. I zostało nam niecałe pół godziny do spotkania z nowymi niewolnikami w sali powitalnej.

Rozdział 5

Spacer dziką stroną

Chyba sobie wyobraziłem, że te tarasy wychodzące na morze to cały Klub, gdyż w ogrodzie od oczu adoratorów osłoniły nas rozłożyste gałęzie drzew.

Tyle że... Nie ma tak dobrze, niestety.

Aż pochyliłem głowę, starając się złapać oddech. Jedynie w połowie wierzyłem w to, co widzę. Ogród ciągnął się bez końca, wszędzie stały przykryte lnianymi obrusami stoły, a przy nich siedziało mnóstwo elegancko ubranych mężczyzn i kobiet, których z dużą swobodą obsługiwały setki nagich niewolników, noszących tace pełne jedzenia i wina.

Dziesiątki gości kręciły się wokół szwedzkich stołów, ustawionych pod koronkowymi liśćmi kalifornijskich drzewek pieprzowych. Wielu śmiało się i gawędziło w małych grupkach. Oczywiście również na tarasach głównego budynku gapił się na nas prawdziwy tłum.

Wstrząsnął mną jednak nie rozmiar ogrodów czy liczba osób.

Raczej dziwiło mnie zachowanie tych ludzi, fakt, że tutejsi „widzowie” tak bardzo przypominali inne masy ludzkie, tyle że... oglądali wspaniały spektakl w wykonaniu nagich niewolników.

Na opalonych rękach i szyjach błyskała złota biżuteria, słońce co rusz eksplodowało w lustrzanych szklach okularów, srebra brzęczały w zetknięciu z porcelaną, a mocno opaleni, eleganccy jak z Beverly Hills mężczyźni i kobiety jedli lunch, niemal nie zwracając uwagi na obsługujące ich hordy pięknych golasów. My także stanowiliśmy dla nich normalny widok — mniej więcej pięćdziesiątka drżących ze strachu przybyszów, stojących w wejściu z duszą na ramieniu.

Okropnie się czułem, widząc niektórych z ich odwróconych plecami i pograżonych w poważnych rozmowach. Z drugiej strony nie podobało mi się też, gdy się gapili i uśmiechali.

Po raz kolejny jednakże sytuacja zmieniła się bardzo szybko.

Wszyscy świeżo przybyli niewolnicy stłoczyli się w grupie, do której podeszła ekipa treserów. Nasi nowi „nauczyciele” odczekali, aż złapiemy oddech, po czym kazali nam ruszyć biegiem jedną z ogrodowych ścieżek.

Silny, rudowłosy niewolnik objął na rozkaz prowadzenie, za nim podążył następny, smagany przez treserów, którzy wydawali się nieco bardziej wyrafinowani od naszych panów na jachcie.

Treserzy byli równie potężnie zbudowani jak mój blond żeglarz, lecz wszyscy nosili stroje z białej skóry, na które składały się obcisłe spodnie i kamizelki. W rękach trzymali rzemienie, służące do poganiania nas.

Być może jasne ubrania miały pasować do pastelowych obrusów, ogromnych, zdobionych kwiatami kapeluszy na głowach kobiet, spodni w kolorze białym lub khaki i pasiastych marynarek, które nosili mężczyźni goście.

Rozejrzałem się szukając wzrokiem treserek, ale żadnej nie dostrzegłem, chociaż wszędzie w ogrodzie widziałem sporo fantastycznych kobiet. Rzucały mi się w oczy ich krótkie spódniczki, idealnie zgrabne nogi i jasne sandały na wysokim obcasie.

Trawa, choć miękka, drapała mnie w stopy. Oszalała mnie wszędobylska bujna roślinność, intensywne zapachy licznych jaśminów i róż, a także migające mi tu i ówdzie ptaki w złotych klatkach, olbrzymie błękitne i zielone ary, różowe i białe papugi kakadu. W

jednej ogromnej zdobnej klatce siedziały tuziny paplających kapucynek. A dodatkowego smaczku dodawały swobodnie chodzące wśród kwiatów i traw pawie.

Przede mną ciągnął się zatem raj, a my byliśmy niewolnikami sprowadzonymi dla przyjemności naszych panów. Widok skojarzył mi się z malowidłem na egipskim grobowcu, gdzie wszyscy niewolnicy byli nadzy, a ich panowie i panie wybornie ubrani. Przybyliśmy tu dla ich uciechy niczym dania, które spożywali, i wino, które pili. Trafiliśmy do ogrodu dekadentkich rozkoszy.

Czułem, że tracę oddech, choć nie od biegu, lecz raczej z powodu zalewu emocji i stale rosnącego pożądania.

Niewolnicy obsługujący stoły wyglądali na niewiarygodnie zrównoważonych. Popatrywałem na lśniące od oliwki ciała ozdobione jedynie srebrną biżuterią lub kołnierzykiem z białej skóry. Gdziekolwiek spojrzełam, widziałem ich włosy łonowe lub sutki. „Jestem jedną z takich postaci — pomyślałem. — Taką mam zagrać rolę i nie pora odbiegać od scenariusza”.

Treserzy zmuszali nas do zwiększenia tempa, smagając dość mocno rzemieniami. Ich uderzenia zaczynały boleć.

Na ciele czułem ciepło, które jednocześnie podniecało mnie i osłabiało. Podczas gdy inni niewolnicy starali się biec jak najbliżej środka ścieżki, by uniknąć smagnięć, ja o to nie dbałem. Zawzięłem się i nie myślałem o bólu.

Ścieżka tysiące razy wiła się bądź skręcała. Zrozumiałem, że okrążamy ogród. Najwyraźniej prezentowaliśmy nasze wdzięki. Przez głowę przemknęła mi nagła myśl. Stąd nie było ucieczki! Nie istniało żadne tajne hasło, które pozwoliłoby mi stąd odejść — odmeldować się i udać na kąpiel z masażem.

Sytuacja wymknęła mi się spod kontroli. Być może pierwszy raz w życiu.

Przebiegliśmy bardzo blisko kamiennego tarasu ze stołami. Głowy siedzących przy stołach osób obróciły się i członkowie Klubu czy też jego goście — kimkolwiek byli — wskazywali na nas i komentowali. Jeden młody ciemnowłosy treser zaczął nas w tym momencie mocniej okładać rzemieniem.

Rozum mi mówił: „To praca tego mężczyzny, ma z nas wybić głupie myśli, więc po co stawiać mu opór? Mają nas tutaj zredukować do zera i pozbawić woli”. Nie potrafiłem jednak tak myśleć. Traciłem powoli życiowe perspektywy, „gubiłem się”... Tak jak tego chciałem (o czym zapewniałem Martina).

Otoczenie zaczęło wyglądać znajomo. Ponownie mijaliśmy baseny pływackie i wysoką siatkę otaczającą korty tenisowe.

W pewnym momencie dotarliśmy niemal do miejsca, z którego wystartowaliśmy, a wtedy skierowano nas do środka ogrodu, gdzie stoły rozchodziły się promieniście od dużej białej sceny. Takie sceny bywają w małych miejskich parkach, gdzie w niedziele grają lokalne zespoły, tyle że od tej tutaj odchodził pomost w typie używanych na pokazach mody.

Patrząc na ten wybieg, byłem równocześnie rozgrzany i przestraszony.

W przeciągu kilku sekund zebrano nas w grupę i ustawiono w cieniu, który rzucały drzewa mimozy za sceną. Treserzy zepchnęli nas razem, potem zabronili dotykać towarzyszy w grupie, z głośników zaś popłynął równy, płynny radiowy głos spikera: „Panie i panowie, za moment będzie można oglądać kandydatów na wybiegu”.

Na sekundę serce zabiło mi tak głośno, że ten odgłos zagłuszył wszystkie inne dźwięki. Później usłyszałem hałaśliwe oklaski docierające od stołów. Odnosiłem wrażenie, że poklask odbija się echem od rzędów tarasów, po czym znika w bezchmurnym, błękitnym niebie.

Wyczuwałem wokół siebie identyczne drżenie i niepokój — jakbyśmy wszyscy byli przyłączeni do tego samego przewodu pod napięciem.

Stojąca obok mnie wysoka niewolnica o gęstych lśniących złotych włosach wyprostowała się, mimowolnie muskając mnie pięknymi piersiami.

— Chyba nie każą nam chodzić po tym podeście, jedno po drugim, co? — spytała szeptem.

— Ależ tak, droga pani, sędzę, że nam każą — odparłem równie cicho. Zarumieniony, zdałem sobie sprawę, że jesteśmy parą rozmawiających ze sobą niewolników. Cholernie przeraziła mnie myśl, że treserzy nas usłyszą.

— A to dopiero początek — dodał rudy niewolnik po mojej prawej stronie.

— Dlaczego, do diabła, nie możemy po prostu podać drinków albo czegoś? — spytała blondynka, niemal nie poruszając wargami. — Jeden z treserów odwrócił się i smagnął ją rzemieniem. — Bestia! — syknęła.

Wepchnąłem się między nią i tresera, korzystając z faktu, że spojrział w inną stronę. Gdy odwrócił się do nas ponownie, wyraźnie niczego nie zauważył i niedbale uderzył kogoś innego.

Blondynka lekko się do mnie przytuliła i po raz pierwszy pomyślałem, że kobiety są w łatwiejszej sytuacji, ponieważ nikt nie wie, co czują. Natomiast wszyscy mężczyźni w moim otoczeniu, podobnie jak ja sam, doświadczali pełnej, poniżającej erekcji.

Cokolwiek się zdarzy, na pewno będzie to dla nas piekło. Dać się związać to jedna rzecz, biec w grupie — zupełnie inna, gorsza. Lecz zejść samotnie po wybiegu? Tyle że... „Gdybym nie był gotów, nie wybraliby mnie, prawda, Martinie?”

Tłum gęstniał, jakby ludzie rozmnażali się przez podział komórkowy. Wszyscy podchodzili do sceny z pomostem. Wiele pustych stołów w pobliżu szybko się zapełniło.

Miałem ochotę uciec. Co nie znaczy, że brałem pod uwagę możliwość ucieczki. Nie zdołałbym odejść nawet o metr, lecz naprawdę spanikowałem, że jeśli każą mi stanąć samotnie na scenie, wycofam się albo rzucę do biegu. Pierś mi zafalowała, a jednocześnie czułem się jak po wstrzyknięciu jakiegoś środka wzmagającego popęd płciowy. A blondynka przyciskała się do mnie słodkimi, jedwabiście miękkimi ramionami i udami. „Nie mogę oszaleć — powiedział sobie — nie mogę oblać tego pierwszego testu”.

Białowłosy młodzieniec o bladoniebieskich oczach chodził wzdłuż sceny z mikrofonem w rękę i opowiadał widowni, że nowi kandydaci stanowią oszalamiający zbiorek. Mężczyzna nosił również spodnie z białej skóry i kamizelkę, ale jego stroju dopełniała rozpięta pod szyją koszula i ładnie skrojona bawełniana marynarka, dzięki której prezentował się nieco bardziej „tropikalnie”.

Wielu członków Klubu podeszło do wybiegu i usiadło po obu jego stronach na trawie. Niektórzy — w grupkach — pozostali pod drzewami.

Pierwszą ofiarę — rozkoszną ciemnoskórą niewolnicę — pchnięto na środek sceny; treser trzymał oba jej nadgarstki nad głową. Widok był lepszy niż niegdyś na aukcjach niewolników — potencjalny nagi nabytek wił się w uścisku tresera.

— Alicia z Zachodnich Niemiec — obwieścił prezenter do mikrofonu. Zebrani zareagowali entuzjastycznie. Treser obrócił niewolnicę w kółeczko, po czym pchnął ją naprzód, ku długiemu pomostowi.

„Nie”, pomyślałem, a może nawet wysapałem to słowo. Na pewno nie byłem przygotowany na to, czego ode mnie wymagano. A przecież powinienem jej współczuć, psiakrew, zamiast gapić się na jej pulchną małą pupę i rumieniec na twarzy. Czekala mnie wszak ta sama przeprawa co ją.

Wyglądała rozkosznie, gdy odwróciła się na końcu pomostu i ruszyła pospiesznie z powrotem do mistrza ceremonii, wyraźnie starając się powstrzymać przed biegiem.

Aplauz tłumu był coraz głośniejszy. Niektóre kobiety usadowiły się wygodnie na trawie.

„Nie, nie, to niemożliwe. Mogą mnie skłonić do wielu rzeczy wymagających pasywności, lecz nigdy do czegoś takiego...” Tym niemniej... Ileż razy jęczałem tak samo przed Martinem, a później zawsze udawało mi się wykonać każde jego polecenie? Prawda?

— To są małe pomieszczenia, Elliotcie. A Klub jest ogromny... — mówił mi.

„Tak, ale jestem na to gotów, Martinie. Powinieneś to wiedzieć”, pomyślałem.

Następny przeszedł po wybiegu młody mężczyzna imieniem Marco. Miał twarde, sprężyste pośladki i niezwykle piękne oblicze. Płonił się niemal tak mocno jak Alicia, a członek sterczał mu jak taran. Marco pokonał pomost trochę niezgrabnie, ale nie sędzę, by komuś przeszkadzała jego lekka niezdarność. Tłum zachowywał się chyba teraz bardziej ordynarnie — jakby niewolnik wyzwolił w widzach coś, czego dziewczyna wyzwolić nie potrafiła.

Kiedy poczułem, że treser łapie mnie za ramię, nie mogłem się ruszyć. Myślałem: „Mój Boże, jest tu pięćdziesięcioro innych niewolników, dajcie mi święty spokój”.

— Musisz to zrobić! — szepnęła mała blondynka.

— Chyba żartujesz! — odburknąłem szeptem.

— Cisza. A ty, Elliott, ruszaj się! — Treser podszedł i mnie szturchnął, lecz bardzo się zdumiał, gdyż trwałem nieruchomo jak głaz. Po prostu nie byłem w stanie zrobić kroku. Konferansjer odwrócił się, by ustalić powód zwłoki. W tym momencie drugi treser chwycił mnie za przeguby, trzeci natomiast pchnął mnie do przodu.

Często słyszałem wyrażenie „zaprzec się”. Nigdy wcześniej się tak nie zachowywałem — aż do tej chwili. Wiedziałem, że straciłem nad sobą kontrolę.

Wciągnęli mnie na scenę siłą. Czuję się jak na rzymskim targowisku. Kolejne dwa przystojne typki o silnych ramionach pomogły pierwszej trójce, więc nie miałem żadnych szans.

— Nie mogę tego zrobić! — krzyczałem, walcząc zawzięcie.

— Ależ tak, możesz — mruknął ironicznie jeden z moich prześladowców — i natychmiast to zrobisz. — Nagle puścili mnie i pchnęli ku mistrzowi ceremonii. Pewnie wiedzieli, że będę się za bardzo wstydził, aby się obrócić i uciec.

Rozległy się gromkie owacje. Reagowali na mnie jak na zrzuconego jeźdźca, który podczas konkursu ponownie dosiada krnąbrnego konia. Przez sekundę widziałem przed sobą wyłącznie światła. Nie ruszałem się, tylko stałem bezradnie na scenie, jak wszyscy moi poprzednicy. Dobrze chociaż, że się spodobałem.

— Dalej, Elliott, przejdź się — ponaglił mnie konferansjer słodko, wręcz pieszczotliwie, równocześnie zakrywając ręką mikrofon. Z pierwszego rzędu siedzących na trawie widzów dał się słyszeć chór gwizdów i zachęcających okrzyków. Wydawało mi się, że spróbuję się cofnąć i umknąć ze sceny jak najszybciej, a jednak postawiłem jedną stopę przed drugą i zacząłem iść po wybiegu.

Przestałem myśleć o tym, co robię, gdyż byłem zbyt upokorzony. Spacer po tym cholernym pomoście był dla mnie niczym droga na ścięcie. Cały byłem mokry od potu, a jednak penis sterczał mi jak nigdy przedtem.

Powoli odzyskałem jasność widzenia, toteż dostrzegałem śledzące mnie oczy. Zacząłem też słyszeć oklaski i krótkie komentarze — choć bardziej ton wypowiedzi niż słowa. „Układ — przypomniałem sobie — w całym swoim nadzwyczajnym przepychu”. Rozmyślnie zwolniłem tempo przechadzki. Tak, przynależałem do tych ludzi i ta świadomość przyprawiła mnie niemal o orgazm. Wziąłem głęboki wdech.

Wiedziałem, że odwrócenie się i powrót będą nieco łatwiejsze, po co zatem, do diabła, ciągle się zmuszałem do patrzenia wprost na osoby, które mnie oglądały? Po co zaglądałem im w oczy? Uśmieшки, kiwnięcia głową, krótkie aprobujące gwizdy. „Ty draniu, ty”.

„Nie popisuj się, Elliotcie. Nie rób tego”, powtarzałem sobie. A jednak czułem, że na twarzy rozkwita mi wielki uśmiech. Mimowolnie się zatrzymałem, założyłem ramiona na piersi i niespiesznie mrugnąłem do uśmiechniętej ślicznej ciemnoskórej damy w białym kapeluszu. W pierwszych rzędach podniósł się ryk. Wszyscy szaleńczo klaskali. Cholera, wiedziałem, że nie powinienem się uśmiechać i popatrywać kątem oka na zebranych. A ja... W dodatku posłałem małego całusa niedużej brunetce w białych spódnico — spodniach.

Właściwie... Dlaczego nie uśmiechać się do wszystkich ładnych dziewcząt, nie mrugać do nich i nie posyłać im pocałunków?

Ze wszystkich stron docierały do mnie głośne śmiechy i wiwaty. Zyskałem już sporą grupkę prawdziwych fanek — dostrzegałem zainteresowanie nawet u osób stojących pod drzewami. Wiele kobiet cmokało do mnie, a i mężczyźni pokazywali gesty aprobaty. Postanowiłem się odpowiednio zaprezentować, niczym prawdziwy model na pokazie, żadnej przesady, sami rozumiecie... po prostu się przejdę, popatrzę na nich, zawrócę...

Nagle zerknąłem za pomost na grupkę najbardziej rozzłoszczonych facetów, jakich kiedykolwiek widziałem i jakich na pewno nie chciałbym spotkać w ciemnej uliczce. Patrzyli na mnie groźnie, podczas gdy zaskoczony konferansjer milcząco zastygł z mikrofonem w dłoni.

— Koniec pokazu, Elliottcie! — syknął mi jeden z treserów teatralnym szeptem przez zaciśnięte zęby. — No dalej, schodź!

Znieruchomiałem. Nic jednak więcej nie mogłem zrobić, jak tylko pomachać na pożegnanie moim fankom i odejść. Nie zamierzałem pozwolić, by ktoś siłą ściągał mnie ze sceny.

Pochyliłem głowę i ruszyłem ku czekającym prześladowcom, nawet na nich nie patrząc. Znów byłem grzecznym chłopcem. Kilka sekund później treserzy chwycili mnie za ramiona i zepchnęli ze schodów. Rękoma i kolanami wpadłem w trawę.

— No dobra, panie charakterny — rzucił mi jeden głosem wibrującym od gniewu. Drugi naciskał mnie kolanem.

Przed sobą widziałem jedynie parę białych wysokich butów, których prawie dotykałem wargami — czy mi się to podobało, czy nie.

Potem poczułem na swoich włosach czyjąś rękę i ktoś szarpnął mi głowę w tył. Teraz spoglądałem prosto w parę ciemnobrązowych oczu jakiegoś mężczyzny, który wgapił się we mnie z tą samą wściekłością co pozostali. Był przystojny i sądziłem, że czeka mnie z jego strony słodka tortura, która — może wbrew woli — podgrzeje mi krew. Jednakże na dźwięk jego głosu zamarłem.

— Ej, widzę, że naprawdę jesteś sprytny, co, Elliott? — warknął mężczyzna oburzonym tonem, który zmroził mi krew w żyłach. — Trzymasz w rękawie sporo sztuczek, co?

Pomyślałem złośliwie, że w ogóle nie mam rękawów, lecz zachowałem tę odpowiedź dla siebie. Wystarczająco już na — mieszałem. Moi prześladowcy zaczęli mnie naprawdę przerażać. Aż nie mogłem uwierzyć, że tak bardzo ich rozzłościłem.

Inni treserzy zbliżali się do mnie z kilku stron niczym do niebezpiecznego zwierzęcia. Słyszałem ze sceny, że niewolnicy nadal prezentują swe wdzięki, a widownia wiwatuje równie głośno jak przedtem.

Z trudem potrafiłem analizować własne poczucie wstydu i klęski. Popełniłem błąd i zachowałem się głupio, niech to szlag, spanikowałem na scenie i zawiodłem!

Próbowałem przybrać pokorną minę, widząc w milczącej uległości jedyny sposób obrony.

— Pierwszorzędny numer, Elliottcie — zadrwił brązowooki. — Niezły miałeś pomysł — dodał. — Naprawdę się wstawiałeś. — Miał bardzo miłą twarz i zupełnie do niej nie pasujący, niepokojąco donośny głos. Muskularna pierś niemal rozrywała mu szwy obcisłej koszuli. — Jak ci się zdaje, Elliottcie — spytał — co z tobą robi Pan Kandydatów, gdy się dowie o twoim małym wyczynie?

Trzymał coś przed moimi oczyma i odkryłem, że jest to duży mazak.

Najwyraźniej w tym momencie wyrwało mi się jakieś „cholera” albo „do diabła”, gdyż treser warknął:

— Zamknij się. Chyba że mamy cię dodatkowo zakneblować. — Poczułem nacisk mazaka na plecach. Mężczyzna pisał, równocześnie sylabizując słowa: — Dum–ny nie–wol–nik. — Podciągnięto mnie do pozycji pionowej. Stojąc, czułem się osobliwie gorzej. W sekundę

później treser smagnął mnie próbnie rzemieniem, po czym na moje plecy spadł grad kolejnych uderzeń, od których aż się skrzywiłem. — Nie podnoś oczu, Elliotcie — polecił mój prześladowca. — A dłonie trzymaj na karku.

Dotknął mazakiem mojej piersi. Staralem się nie zgrzytać zębami, gdy wypisywał po raz drugi te same słowa, ponownie je sylabizując. Zastanowiłem się, dlaczego ta drobna kara wydaje mi się tak żenująca, i żal, który odczuwałem, zmienił się znowu w paniczny strach.

— Czy nie powinien trafić pod pręgierz? — spytał inny treser. — Mała publiczna chłosta na pewno go uspokoi i do sali powitań dotrze łagodny jak baranek.

„O rany, panowie — pomyślałem — przecież po prostu jestem tu nowy”.

— Nie, nie, zostawimy go Panu Kandydatów w stanie nienaruszonym — odparł pierwszy. — Niech sam zdecyduje, co z nim zrobić. — Podniósł mi podbródek końcówką mazaka. — Nie próbuj niczego więcej, niebieskooki — uprzedził mnie. — Nie masz pojęcia, w jakie kłopoty się już wpakowałeś.

Zerknąłem na innych niewolników, którzy grzecznie stali w grupie. Mnie treserzy kazali się trzymać z dala od reszty i czekać w milczeniu.

Rudy niewolnik właśnie szedł po wybiegu, prezentując stosownie pokorną postawę. Publiczność zareagowała na niego gwizdami. A mała blondynka gapiła się na mnie jak na jakiegoś bohatera. Niech to diabli!

Coś było ze mną nie tak. Co mi się stało, że zacząłem tak błaznować? Dobrze się zachowywałem, póki nie spojrzałem na widzów i nie zacząłem się do nich uśmiechać.

Wyłamałem się z układu, którego częścią tak strasznie pragnąłem się stać. Walczyłem z nim, zamiast mu ulec, buntując się przeciwko niemu dokładnie tak samo jak wcześniej przeciwko „zewnątrznemu” światu.

„Jesteś na to gotów, Elliotcie — przypomniałem sobie. — Potrafisz znieść wszystko, co cię tam czeka. Ale czy właśnie tego pragniesz?”

„Tak, Martinie, do jasnej cholery, właśnie tego”.

Uświadomiłem sobie, że dzięki temu małemu buntowi kara i upokorzenie wyglądają dla mnie jeszcze bardziej realnie niż wcześniej.

Rozdział 6

Interesy jak zwykle

Gdy weszłam, Richard stał przy oknie swojego biura. Okulary przeciwsłoneczne wetknął na gęste rudawoblond włosy i — oczywiście — przyglądał się nowym, chodzącym po ogrodzie pod nami niewolnikom.

Na mój widok ożywił się i uśmiechnął, po czym ruszył ku mnie typowym dla siebie powolnym, pełnym gracji krokiem, zatknąwszy kciuki o tylne kieszenie spodni. Richard miał głęboko osadzone oczy, trochę zbyt krzaczaste brwi i głębokie zmarszczki na opalonej twarzy, które Teksasńczycy nabywają w dość młodym wieku z powodu suchego, gorącego powietrza panującego w ich stanie. Nigdy nie patrzyłam mu w oczy ani nie zastanawiałam nad jego klubowym przewiskiem, które brzmiało „Wilk”.

— Liso, kochana — zagał. — Tęskniliśmy tu za tobą. Nie pytaj, jak bardzo, bo odpowiedź tylko by cię zmartwiła. Daj całusa, moja droga.

Jako dwudziestoczworoletniak Richard był najmłodszym głównym administratorem i Panem Kandydatów, jakiego kiedykolwiek mieliśmy, a poza tym należał do najroślejszych trenerów w Klubie.

Chciałabym wierzyć, że wzrost nie ma znaczenia, że najważniejsze są maniery, jednak przy manierach Richarda wzrost stawał się dodatkowym atutem.

Zawsze doskonale sobie radził z niewolnikami, bez najmniejszego wysiłku chłoscząc ich czy smagając, a poruszał się przy tym tak powoli i ociężale, że jego siła nieodmiennie ich zdumiewała. Poza tym — mimo głęboko osadzonych, niekiedy patrzących z ukosa oczu — przybierał często szczególnie rozbijającą minę, sugerującą otwartość, zaciekawienie i natychmiastową sympatię wobec każdego niewolnika, na którego patrzył.

Był idealnym Panem Kandydatów, gdyż potrafił doskonale wszystkim wyjaśniać. Wydawał się też najlepszym możliwym administratorem. Wręcz się upajał każdym czekającym go zadaniem, bez reszty zaabsorbowany działalnością Klubu. Niemal boleśnie bratał się z bezpośrednio mu podlegającymi niewolnikami. „Wierzył” w Klub, co było oczywiste choćby teraz, gdy zaskoczył mnie radosnym powitaniem. Czułam się nieswojo, otaczając go ramieniem i przyciskając wargi do jego policzka.

— Ja również za wami tęskniłam — odparowałam. Własne stwierdzenie rozbawiło mnie. Chyba jeszcze nie odzyskałam formy sprzed urlopu.

— Małe problemy, piękna — odparł.

— Teraz, gdy są już prawie gotowi? — spytałam, mając na myśli kandydatów. — Ta sprawa nie może poczekać?

— Myślę, że poradzisz sobie z nią szybko, jednak potrzebna jest twoja decyzja. — Wsunął się za biurko i pchnął ku mnie akta. — Nowy członek. Jerry McAllister. Pełna obsługa przez rok. Sponsoruje go pół tuzina innych członków i wszyscy oni są tutaj. Rozmawiają z nim i mówią mu, co ma robić, ale Jerry nie wie, od czego zacząć.

„Pełna obsługa” oznaczała, że dany osobnik zapłacił najwyższą opłatę członkowską, czyli dwieście pięćdziesiąt tysięcy za rok, i dzięki temu w ciągu dwunastu miesięcy mógł do nas przyjeżdżać i wyjeżdżać stąd, kiedy tylko miał ochotę. Mógłby też mieszkać na wyspie przez okrągły rok, gdyby zechciał. Jednak jego poprzednicy nigdy nie chcieli.

Klub działa trochę jak bank, wychodząc z założenia, że jednego dnia wszyscy jednocześnie nie zjawią się z żądaniem odebrania wpłaconych oszczędności.

Usiadłam przy biurku i przejrzałam teczkę McAllistera. Miał po czterdzieście, zarobił miliony na produkcji domowych komputerów w kalifornijskiej Dolinie Krzemowej, posiadał ogromną posiadłość w hrabstwie San Mateo i prywatny odrzutowiec Lear.

— Wypił z przyjaciółmi na tarasie kilka drinków — wyjaśnił Richard — i teraz siedzi w pokoju, czekając na poradę. Chce młodą niewolnicę, ciemnoskórą brunetkę. Posłałem mu Cynthię, ale ją odesłał. Twierdzi, że trzeba nim pokierować, że potrzebuje „praktycznego pokazu”, używając żargonu komputerowców. Pomyślałem, że mogłabyś pójść do niego, pogawędzić z nim i obiecać, że wrócisz po południu.

— Myślę, że mogę mu pomóc — odparłam i podniosłam słuchawkę telefonu. — Dajcie mi Monikę. Szybko. — Monika była jedyną trenerką, której mogłam zaufać w takiej sprawie. Jeśli się z nią nie skontaktuję, będę musiała pójść sama. Na szczęście, była obecna.

— Cześć, Liso, właśnie wychodziłam.

— Objazd? — spytałam. Podałam jej szczegóły dotyczące Jerry’ego McAllistera: heteroseksualista, trochę popała, trochę popija, prawdopodobnie czasem bierze kokainę, pracoholik... Namów go na Deborah. Powiedz mu, że wróćcie do niego obie zaraz po indoktrynacji. Deborah powinna sobie z nim poradzić. Ta dziewczyna bez jednego słowa potrafi zmienić Piotrusia Pana w Markiza de Sade.

— Jasne, Liso, zostaw tę sprawę mnie.

— Dzięki, Moniko. Poświęć mu kwadrans. Nie zapomnij o indoktrynacji. Obiecuj, że wróćcie do niego po południu.

Odłożyłam słuchawkę i spojrzałam na Richarda.

— W porządku?

— Pewnie. Po prostu sądziłem, że zechcesz to załatwić sama. Możemy przesunąć zebranie o kilka minut...

Posłał mi identyczne spojrzenie jak wcześniej Diana i Daniel.

— Jestem trochę zmęczona po wakacjach — oznajmiłam, zanim zdążył zadać nieuchronne pytanie. — Samolot się spóźnił.

Zerknęłam na inne papiery leżące przede mną. Do Klubu przybył szwajcarski trener kuców, który chciał nam sprzedać niewolników przyzwyczajonych do uprzęży, wędzideł i cugli. Potrafili obsługiwać riksze, ciągnąć wózki. Hmm... Ślicznie. Dlaczego jednak myśl o nich przyprawiła mnie o natychmiastowy ból głowy?

— Nieważne — mruknął Richard. — Obejrzymy sobie jutro ładną małą stajnię. — Usadowił się na krześle po drugiej stronie biurka.

— A co to... — Podniosłam nabazgraną wiadomość telefoniczną. — Jakiś dzieciak twierdzi, że został zniewolony?

— Czysty nonsens. Przystojny młody faun, idealnie w typie małego Persa powiedział ubiegłej nocy chłopakom na jachcie, że jest jeńcem porwanym w Stambule... ni mniej, ni więcej. Oczywiście kłamie. Pochodzi z Nowego Orleanu i najnormalniej w świecie stchórzył.

— Jesteś pewien?

— Sprowadziliśmy go wcześniej rano. Teraz pracuje z nim Lawrence. Pewnie do tej pory mały już się przyznał, że po prostu się wystraszył. Może został porwany w swoich snach — przed pałacem Dariusza, zanim najechał na nich Aleksander.

Ponownie sięgnęłam po telefon.

Żadne z nas nie lubi przeszkadzać panu podczas spotkania z niewolnikiem w prywatnym gabinecie, musiałam jednak załatwić ten problem jak najszybciej.

Telefony dzwonią u nas bardzo cicho. Interesujące jest, jak różni niewolnicy reagują na ich dźwięk. Niektórym niewolnikom i ich panom dzwoniący telefon całkowicie niszczy atmosferę, innym zaś przypomina o panującej zależności. Pan przerywa pogawędkę i odbiera telefon, niewolnik tymczasem czeka w udręce na dalszy ciąg przesłuchania czy testu.

Lawrence odezwał się charakterystycznym ostrożnym szeptem:

— Tak?

— Jak ci idzie? — spytałam. Otwarcie się roześmiał.

— Wyznał wszystko. Przez cały czas kłamał. Po prostu wpadł w panikę. Powinnaś jednak posłuchać historyjki, którą zmyślił. Dam ci kasety. — Odwrócił się od słuchawki i wydał rozkaz niewolnikowi, który przebywał wraz z nim w pokoju. — W najlepszej części opowiada, jak zaaplikowali mu narkotyki — oświadczył wesoło — zdarli z niego ubranie i wysłali na północ Orient Expressem. Słyszysz?! Orient Expressem! Zastanawiam się poważnie nad karą dla niego. Wysłać go pod schody na trzy dni czy osobiście nad nim popracować?

— Lepiej poświęć mu trochę swojego czasu. Jeśli jest tak przerażony, jak twierdzisz, powinieneś mu pomóc. Ukarz go za kłamstwo, jednak nie zmuszaj do ciężkiej pracy. Mógłby się załamać.

— Myślę dokładnie tak samo, ale tak czy owak musi ponieść karę.

— Koniecznie daj mi kasety z przesłuchania. Chciałabym usłyszeć tę opowieść.

Odłożyłam słuchawkę.

Przyszedł mi do głowy świetny scenariusz, który rozwijał się szybko jak przejażdżka w wesołym miasteczku. Opierał się na założeniu, że powinniśmy mieć na naszym terenie pociąg z dużą staromodną lokomotywą parową i ozdobnymi staroświeckimi wagonami pasażerskimi. Można by tym pociągiem dowozić niewolników do różnych części posiadłości, prezentować ich zebranych na peronach członkom Klubu, w wagonach sypialnych zaś odbywałyby się krótkie sesje...

Nie Orient Express, lecz Eden Express. Spodobały mi się zarówno własny pomysł, jak i nazwa. Już widziałam złote litery tworzące napis „Eden Express”. Tak, wyposażenie w stylu edwardiańskim. Z czasem może Klub rozrośnie się jeszcze bardziej i pokryje całą wyspę, a wtedy naprawdę będziemy potrzebować środków transportu. Moglibyśmy położyć kilometry torów...

Oczywiście wyobraźni zobaczyłam nieskończoną trasę, jakby ziemia i morze przestały być namacalne, a Eden Express jechał i jechał, jego cyklopie oko wwiercało się w ciemną noc, gdy opuściwszy nasz mały Klub, trafiał w niezbrane fragmenty wyspy...

— Boże, ależ się robisz miękka — przerwał mi niespodziewanie Richard. Najwyraźniej było to do mnie. A właśnie wyobrażałam sobie siebie jadącą w białej sukience Eden Expressem. — W ubiegłym roku posłałabyś tego chłopca na dwa tygodnie ciężkich robót.

— Naprawdę? — Miałam na głowie biały kapelusik, w ręku białą torebkę i byłam ubrana jak dziewczyna, którą przypomina sobie starzec w filmie *Obywatel Kane*, dziewczyna, którą widział wiele lat wcześniej na promie i której nigdy nie zapomniał. „Biała sukienka, którą nosiła...” Czy tak powiedział? Uśmiechnęłam się w głębi duszy na myśl, że ktoś mógłby mnie taką zapamiętać. A jednak gdzieś w walizce miałam nową białą sukienkę i biały słomiany kapeluszek z długimi białymi wstążkami... Hmm... czy będą pasować do mojego czarnego skózanego paska od zegarka i wysokich kozaków? — Oczywiście uważam, że podjęłaś właściwą decyzję — dodał Richard. Popatrzyłam na niego, usiłując się skoncentrować na jego słowach. — Twój sposób też się sprawdzi — ciągnął. — A to jest najważniejsze. Wszystko się udaje, jeśli działamy stanowczo i wyznaczamy sobie właściwy cel.

— Dzieciak był przerażony — tłumaczyłam się. Bo Richard nadal mówił zapewne o tym samym dzieciaku, nieprawdaż? — Która godzina? — spytałam.

— Za piętnaście minut nowi zaczną się zjawiać w sali. Nie mów mi, którego masz na oku. Sam zgadnę.

— Nie chcę tego słyszeć — bąknęłam, siląc się na lekki uśmiešek.

Richard zawsze miał rację. Bez wahania potrafił wskazać, którego niewolnika wybierze który trener, i nigdy się nie mylił. Oczywiście większość trenerów musiała walczyć między sobą o niewolników, wręcz ich sobie wrywać. A ja miałam pierwszeństwo wyboru.

— Blondwłosy dżentelmen nazwiskiem Elliott Slater — powiedział żartobliwym tonem.

— Jak ty to robisz? — Poczułam gorąco na policzkach. Chyba się zarumieniłam. Śmieszne, przecież powtarzaliśmy tę grę pewnie po raz tysięczny.

— Elliott Slater to twarde! — odparł. — Facet naprawdę do ciebie pasuje. No a poza tym jest piękny.

— Wszyscy są piękni — odparłam, nie chcąc się przyznać do dokonanego wyboru. — A co z dziewczyną z Los Angeles? Kitty Kantwell?

— Och, w Kitty zakochał już się Scott. Założę się, że ty wybierzesz Elliotta Slatera.

Scott był Trenerem Trenerów. Wraz z nimi dwoma tworzyłam ekipę, którą pozostali pracownicy Klubu nazywali „Świątą Trójcą”. Właściwie we troje rządziliśmy Klubem.

— Sugerujesz, że mam się poświęcić dla Scotta — zauważyłam. Scott jako trener był artystą. A niewolnik, którego wybierał, połowę swego czasu pracy spędzał jako model na kursie dla trenerów. Cóż za wspaniałe doświadczenie dla niewolnika!

— Nonsens. — Richard roześmiał się. — Po prostu Slater nie pasuje do Scotta, natomiast dla ciebie wydaje się wręcz stworzony. Poza tym przychodzi od twojego mentora, Marti — na Halifaxa z San Francisco. Halifax przysyła nam geniuszy, filozofów albo prawdziwych wariatów. Jak to napisał o Slaterze? „Przeczytał też wszystkie wielkie dzieła literatury rosyjskiej”?

— Przestań, Richardzie! — Staralam się mówić lekkim, swobodnym tonem. — Martin to romantyk. Ale dostajemy od niego ludzi z krwi i kości.

Ta rozmowa zaczynała mnie niepokoić. Znow ogarnęło mnie to desperackie wrażenie, że omija mnie coś strasznie ważnego. I zaczynała mnie boleć głowa. Nie powinnam pić tyle dżinu.

— Lisa kocha Elliotta! Lisa kocha Elliotta! — zaśpiewał cicho Richard.

— Daj spokój — poleciłam mu ze złością, która zadziwiła nas oboje. — Och, wiesz, zobaczymy, co z tego wyjdzie — bąknęłam nieudolnie. Ci faceci robią się dla mnie zbyt sprytni.

— No dobrze, chodźmy wreszcie do sali powitań — powiedział. — Za chwilę zaczną po nas dzwonić.

— Dobry pomysł.

Niewolnicy prawdopodobnie już się zbierali.

— Założę się, że wybierzesz Slatera. Jeśli tego nie zrobisz, będę ci dłużny sto dolarów.

— Postępujesz nie fair, mówiąc mi o tym, wiesz? — Zmusiłam się do uśmiechu.

Scott czekał na nas w korytarzu. Nosił spodnie ze śliskiej czarnej skóry i kamizelkę tak ściśle dopasowaną, że wyglądała jak druga skóra.

Cmoknął mnie jak zwykle ciepło na powitanie i otoczył ramieniem moją talię. Trenerzy nadali mu przydomek Pantera i zasłużył sobie na nie, dokładnie tak jak Richard na przydomek Wilka. Był mężczyzną o intrygującej fizjonomii, a ponieważ nigdy nie poszliśmy do łóżka, łączyło nas przyjemne erotyczne napięcie, które odczuwaliśmy, ilekroć się dotknęliśmy. W powietrzu stale wisiał potencjalny flirt. Z samego patrzenia na przechodzącego przez pokój Scotta wiele można się było nauczyć na temat zmysłowości.

Przytuliłam się do niego na sekundę. Był taki umięśniony... i taki gorący.

— Chodzi o pewnego niewolnika nazwiskiem Elliott Slater — powiedziałam. — Nie próbujcie mnie brać pod włos. To nieładnie.

— Cokolwiek Lisa chce, Lisa to dostaje — odparł, ponownie mnie całując. — Ale może nie tak szybko, jak sądzi.

— Co to znaczy?

— Twój wybranek jest bardzo żwawy, kochana. Właśnie został ukarany za mały popis podczas prezentacji na wybiegu.

— Co dokładnie zrobił?

— Zagrał nam na nosie, parodiując całą imprezę. — Scott się roześmiał. — Ledwo go ściągnęli.

— Richardzie? — Obróciłam się do niego natychmiast.

— Moja droga, nie oczekuj po mnie takiej łagodności, jaką dopiero co sama okazałaś — odparł. — Ja nie mięknę.

Rozdział 7

Sąd w sali powitań

Serce zaczęło mi bić mocniej, gdy zrozumiałem, że pokaz na scenie dobiegł końca. Pozostali nowi niewolnicy zostali zebrani w grupę i wyprowadzeni parami jak nadzy uczniowie.

Jeden z treserów wreszcie podszedł do mnie i polecił mi ruszyć naprzód ze spuszczonymi oczyma.

Z ust gości przy stolikach padały docinki pod moim adresem i komentarze dotyczące napisu „Dumny niewolnik”, który miałem na swoim ciele i który migotał mi w głowie niczym neon.

Parę razy treser kazał mi się zatrzymać i stać nieruchomo podczas kontroli. Jakimś sposobem udało mi się wytrzymać w bezruchu, ze spuszczonymi oczyma. Ignorowałem rozmowy, które toczyli stłumionymi głosami ludzie obok mnie — czasem po angielsku, czasem po francusku.

„Dobrzy niewolnicy” znaleźli się poza zasięgiem mojego wzroku.

Wkrótce dotarliśmy do niskiego zadaszonego budynku, na wpół ukrytego pod drzewami bananowymi i liściastymi, po czym weszliśmy do wyłożonego dywanami korytarza, który prowadził do wielkiej, dobrze oświetlonej sali.

Inni niewolnicy byli już obecni. Słuchali jakiegoś wykładu.

Twarz mi poczerwieniała, kiedy zostałem dość demonstracyjnie poprowadzony wzdłuż stojącej grupy aż na przód sali.

Indoktrynację prowadził wysoki, młody mężczyzna o pociągłej twarzy i rudawych włosach. Na nasz widok przerwał i spytał:

— O co chodzi?

Czułem się gorzej niż na scenie. Byłem okropnie spięty i usiłowałem wyglądać na prawdziwie skruszzonego.

— Dumny niewolnik, proszę pana — odparł treser z zaskakującą urazą w głosie. — Trzeba było nas trzech, żeby go wypchnąć na scenę w ogrodzie...

— Ach, tak — przerwał mu wysoki rudzielec. Odniosłem wrażenie, że te dwa słowa rozbrzmiewają przez chwilę w sali. Wszyscy potulni na pewno się na mnie gapili. Ponownie spróbowałem dokonać analizy odczuwanego wstydu, niestety, nie doszedłem do żadnych wniosków.

— Nie za wcześnie na dumę, panie Slater? — spytał rudy. Aż się wzdrygnąłem, gdy wypowiedział moje nazwisko. Przecież nawet nie obejrzał tej małej misternej złotej bransoletki z tabliczką. Po prostu świetnie. Nie ośmieliłem się podnieść oczu, lecz kątem oka zauważyłem, że mężczyzna jest nie tylko wysoki, ale także zgrabnie muskularny i naturalnie opalony, jakby spędzał całe dnie, pływając jachtem po morzu.

Widziałem szklane ściany po obu stronach, za ścianami zaś tkwili mężczyźni i kobiety. Pewna liczba osób zebrała się także za ruzielcem.

Wszyscy przyglądali się mojej kłęsce. Wiedziałem, że ten niesamowity tłumek to trenerzy, prawdziwe szczyby Klubu, u — brani niemal wyłącznie na czarno.

Nosili wysokie buty z czarnej skóry, czarne spódnice lub spodnie oraz białe bluzki bądź koszule. Do haczyków przy paskach mieli przypięte czarne rzemienie. Martin powiedział mi, że w Edenie tylko najważniejsze osoby ubierają się w czarną skórę. Przyznam, że trenerzy robili na mnie wrażenie.

Mężczyzna zaczął kroczyć przede mną i jawnie mnie sobie oglądał. Z całej jego postawy i sposobu poruszania się emanowała władza.

W lekkim szoku zauważyłem czworo stojących w rzędzie na prawo od niego wyraźnie zaniepokojonych niewolników. Wszyscy patrzyli na zgromadzenie, niektórzy mieli spocone twarze, inni byli zarumienieni. Każde z czwórki miało na piersiach albo brzuchach napisy wykonane mazakiem i ślady po rzemieniu. „Mój gang — pomyślałem posepnie — tutejsi przestępcy”. Niezbyt dobrze zaczynałem.

Czułem się jak w starodawnej szkole, do jakiej nigdy nie chodziłem... Za chwilę nauczycielka w długiej sukni zaciągnie mnie pod tablicę i wychłoszcze na oczach pozostałych uczniów...

— Słyszałem o pańskim małym występie w ogrodzie, panie Slater — oświadczył rudy trener. — O krótkim pokazie, w którym zaprezentował się pan nam na wybiegu. — „Wybierają tych facetów ze względu na głos”, oeniłem w myślach. Facet był gorszy niż nauczycielka z powieści Dickensa. Przepraszam, ale poproszę zamiast tego tekstu *Robinsona Crusoe*... — Otrzymałbyś, mój drogi, tegoroczną nagrodę za przedsiębiorczość, gdybyśmy takie wręczali — ciągnął rudy. Lekko potrząsałem głową, sugerując, iż wiem, że zachowałem się okropnie. Bo naprawdę się zachowałem okropnie! — Tyle że my tu nie potrzebujemy przedsiębiorczości, Elliotcie — oświadczył, podchodząc tak blisko, że jego wzrost wydał mi się równie groźny jak jego głos. Pomyślałem złośliwie, że tak wysokim mężczyznom powinno się w znieczuleniu wycinać po dziesięć centymetrów z każdej nogi. — Jesteś niewolnikiem i najprawdopodobniej masz trudności z zapamiętaniem tego drobnego faktu. — Zamilkł na moment dla lepszego efektu. — Naszym zadaniem natomiast jest pomóc ci w przełamaniu tej trudności, wykorzenieniu jej wraz z... że tak powiem... twoją dumą.

Już nie musiałem się starać wyglądać na nieszczęśliwego. Byłem nieszczęśliwy. Ten człowiek zdierał ze mnie nagą skórę centymetr po centymetrze. Cisza panująca w tej przeklętej sali szarpała mi nerwy. Znów doświadczyłem tego samego uczucia co na jachcie — wrażenia, że nie istnieje żadna rzeczywistość poza tą, która mnie otacza. Zawsze byłem złym, małym chłopcem, którego trzeba jak najostrzej skarcić... I prawdziwy świat kształtował się obecnie wokół tych prostych uczuć.

Co gorsza, jedna z trenerek wyraźnie się we mnie zapatrzyła. No cóż, wiedziałem, że dojdzie do tego prędzej czy później. Musiałem się trzymać. Jednak słowo „bezbронny” nabierało w mojej głowie nowych znaczeń. Widziałem jej cień, czułem jej perfumy.

Zapachy i seks tworzą swego rodzaju beczkę prochu.

Widziałem jej wysokie buty, obcisłe, pięknie dopasowane do kształtu nóg. Słyszałem własny oddech, uderzenia własnego serca. („Trzymaj się, Elliotcie — powtarzałem sobie. — Nie panikuj”). Trenerka była wysoka, choć nie tak duża jak górujący nade mną rudzielec, delikatna jak jej perfumy, o twarzy przyozdobionej welonem długich, ciemnobrązowych włosów.

Nieoczekiwanie rudy trener położył mi rękę na ramieniu i odwrócił mnie ku sobie. Już nie widziałem pozostałych niewolników, lecz na myśl, że stoję tyłem do nich, zamarło we mnie serce.

Patrząc na podłogę, usłyszałem subtelne klikanie i wiedziałem, że trener odpina od pasa rzemień. No to teraz sobie popatrzycie, moja klaso!

Poczułem miłe, mocne smagnięcia na udach i łydkach. Sztuczka polegała na tym, by się nie wzdrygnąć ani nie wydać żadnego dźwięku. Potem trener szarpnął mną, obrócił mnie i pchnął na kolana. Klękając przed nim, wyciągnąłem ręce, bałem się bowiem, że upadnę na twarz.

Tym razem otrzymałem smagnięcie w kark, czego zupełnie się nie spodziewałem. Trener zaciął mnie tak mocno, że musiałem się ugryźć w język, by nie krzyknąć. Docierał do mnie

zapach skóry jego butów i spodni... i nagle pocałowałem jego buty, co mnie zdziwiło, szczególnie że nikt mi tego nie polecił. W głowie miałem pustkę.

— No, dużo lepiej — ocenił trener. — Wreszcie wydajesz się obiecujący, może nawet masz styl. — Byłem w stanie łagodnego szoku. — Wstań, połóż ręce na karku, tam, gdzie ich miejsce, i dołącz do grupy innych ukaranych niewolników.

Dwa szybkie smagnięcia i czekało mnie nowe upokorzenie, gdyż dołączyłem do „bandy dzikich” i stojąc bez ruchu, patrzyłem na „klasę”.

Przed sobą miałem rzędy ślicznych ciał, nagich ud, różowych członków ukrytych w bujnej plątanie łonowych włosów. I po raz pierwszy zobaczyłem wszystkie szklane ściany pokoi obserwacyjnych, zarówno na naszym piętrze, jak i wyżej. Wszędzie widziałem pełno skupionych twarzy przedstawicieli obu płci.

Piekielna widownia. W dodatku chłosta jeszcze się nie skończyła. Nastąpiła nowa seria smagnięć rzemieniem trenera. I znów usiłowałem się nie wycofać ani nie narobić hałasu.

Próbowałem nad sobą zapanować, odzyskać wewnętrzny spokój, zwalczyć poczucie własnej kompletnej znikomości i równocześnie jakoś się wszystkiemu poddać. Ból przyprawiał mnie o mrowienie i rozgrzewał.

W pewnym momencie zobaczyłem po prawej stronie „moją” wysoką trenerkę, światło i cień na jej nieco kanciastej twarzy, niezmiernie duże brązowe oczy. Cudowna, absolutnie cudowna!

Serce wyrywało mi się z piersi. I co z tego? Innych męskich niewolników też złamali, prawda?

— Jak się miewa twoja duma, Elliotcie? — spytał rudy trener, podchodząc i stając przede mną. Podniósł rzemień, rozłożył go na całą długość, naprężył i przyłożył do moich ust.

Pocałowałem rzemień, tak jak katolicy całują krucyfiks wykładany w kościele w Wielki Piątek. Dotknąwszy skóry, poczułem ciepło na wargach.

Dostałem osobliwej chwili całkowitego wyzwolenia, ale nie odsuwałem jeszcze warg od rzemienia. W głowie mi się kręciło. Cały opór rozpląnął się w ciepło.

Nawet nie spojrzałem na rudowłosego, lecz chyba zaważył, że przeżyłem coś ważnego. Gdy trener zabrał rzemień i odsunął się na lewo ode mnie, odniosłem wrażenie, że odzyskuję przytomność.

Wtedy wpadłem na kolejny z lekkomyślnych „przymusowych” pomysłów, podobnych decyzji, którą podjąłem na pomoście, patrząc na tłum. Tym razem spojrzałem na trenerkę, w dodatku tylko na sekundę; nie sędzę, by rudzielec w ogóle to zauważył.

Dla takiej twarzy jak jej mógłbym umrzeć. Spuściłem wzrok bez poruszania głową. Przed oczyma nieco mi się zaćmiło.

— Odbędziemy teraz małą lekcję unoszenia tego podbródka i otwartego spoglądania na swoich posłusznych towarzyszy — mruknął rudy trener. Uznałem, że to nic trudnego, i popatrzyłem na resztę niewolników dokładnie tak, jak sobie zażyczył. — Cała klasa patrzy na ukaranych kandydatów — podjął i wszystkie oczy wpiły się w „gang pięciorga”. — Wrócimy teraz do tematu naszych zajęć, jakby nic nam ich nie przerwało

— kontynuował rudowłosy. — A jeżeli ktoś z tej grupki odważy się choćby poruszyć mięśniami albo wydać dźwięk skargi czy cierpienia, znów będziemy zmuszeni przerwać.

Wielkimi krokami odszedł ode mnie i ruszył ku pierwszemu rzędowi posłusznych niewolników. Po raz pierwszy zobaczyłem go w całej okazałości. Tak, był mężczyzną wyjątkowo wysokim, miał bardzo szerokie bary przy stosunkowo wąskiej klatce piersiowej i szopę rudych włosów. Biała jedwabna koszula o bufiastych rękawach i koronce zdobiącej mankiety przywodziła na myśl piracką bluzę.

Drań był też naturalnie niesamowicie przystojny, jedynie jego oczy niemal całkowicie niknęły pod krzaczastymi brwiami, błyskając — jak piszą w romansach — „niczym żarzące się węgle”.

— Jak wspomniałem przed naszą nieszczęsną przerwą — zaczął bardzo, bardzo powoli — stanowicie obecnie własność Klubu. Istniejecie dla jego członków, dla przyjemności, którą odczuwają, patrząc na was, dotykając was, chłoscząc lub upokarzając. Będą robić z wami, co im się żywnie spodoba. Nie macie tu żadnej tożsamości poza statusem niewolnika. Każde z was otrzyma indywidualnego trenera, który będzie go karmił, ćwiczył i o niego dbał.

Mówił teraz nie tylko cicho, ale prawie przyjaźnie.

Widziałem jednak, że niewolnicy kręcą się niespokojnie na swoich miejscach. Gdy na nich patrzył, posyłali mu ukradkowe spojrzenia. Może niektórych z nich sytuacja zaczynała przerastać, ponieważ dawno nie uprawiali seksu. Pewnie można wytrzymać całe dwa lata bez seksu i na koniec umrzeć po załamaniu nerwowym. Jaki scenariusz mógł być gorszy od tego? Należę do grupy buntowników? Bardzo śmieszne.

— Będziecie tu również uczeni — podjął. — Uczeni i kształceni. Trenerzy, których wokół siebie widzicie... z waszą świadomą współpracą lub bez niej... odkryją to, czego się wstydzicie, co was podnieca, co was osłabia bądź wzmacnia, wszystkie wasze zalety i wady. Odkrywając siebie, zaczniecie sprawiać większą przyjemność swoim panom, czyli członkom Klubu. Wiemy, że potrzebujecie kar, że za nimi tęsknicie, że musicie zostać ukarani. Może w obecnej chwili jesteście przestraszeni i macie wyrzuty sumienia, lecz przecież dobrowolnie przyjęliście status niewolnika i zaoferowaliście się nam na eleganckiej aukcji sami lub poprzez najlepszych na rynku pośredników... Weszliście w jeden z bardziej interesujących i zachwycających układów, jakich może dostarczyć sama natura. Będziecie tu pracować niezamordowanie i dzięki temu otrzymacie to, czego zawsze pragnęliście — w formach, których nigdy sobie nawet nie wyobrażaliście. Wszystkie wasze najdziksze marzenia zostaną poddane oczyszczającym próbom. Pamiętajcie, że zawsze najważniejsza jest przyjemność waszych panów i waszego trenera, który tych panów reprezentuje i który dokładnie wie, czego oni pragną. Celem waszego szkolenia w Klubie jest doskonalenie was dla dobra waszych panów. Nigdy nie zapominajcie, że Klub istnieje po to, by zaspokajać ich pragnienia, pragnienia panów i pań, czyli gości Klubu. — Przerwał i przez pewien czas kroczył tylko powoli przed rzędem kandydatów, odwrócony do mnie szczupłymi plecami, założywszy ramiona na piersi. Rzemień zwisał mu z paska. Widziałem, że niektórzy niewolnicy drżą, a jeden z mężczyzn blisko mnie zaczął cicho pojękiwać. — Na pewno was ucieszy, choć pewnie i wprawi w zakłopotanie fakt — podjął trener — że staniecie się obiektem nieprzerwanej uwagi, że będziecie pracować ciągle i niezamordowanie. W nowym sezonie gościmy u siebie około trzech tysięcy członków. Obecnie nasze apartamenty i sypialnie wypełnione są w trzech czwartych. Piękno, różnorodność, intensywność doznań... tych trzech rzeczy oczekują nasi goście, a ich apetyt jest nienasycony. Nigdy nie poczujecie się zaniedbani przez gości Klubu. — Spróbowałem sobie wyobrazić, że stoję w grupie i słucham tych słów wraz z innymi, a nie z boku, że nie zblikowałem w ogrodzie, że osiągam niesamowite postępy w szkoleniu... — Oczywiście, zadbamy o wasze zdrowie — kontynuował rudzielec. — Posiłki będziecie otrzymywać trzy razy dziennie, czasami w obecności waszych panów i pań, innymi razy prywatnie. Czekają was masaże, kąpiele, ćwiczenia. Będziecie się opalać i smarować. Żadna kara nie spowoduje fizycznych obrażeń. Waszej skóry nikt nie naruszy, nie przypali ani nie zniszczy. Prawie w każdej sytuacji pozostaniecie pod nadzorem, wasi trenerzy będą zawsze pod ręką. Jak dotąd w Edenie nie doszło do żadnego wypadku i ze wszystkich sił postaramy się, by nigdy żaden się tu nie przydarzył. Z drugiej strony jednak nie zapominajcie, że waszym wyłącznym zadaniem jest dawanie innym przyjemności i z tego względu możecie niejednokrotnie zostać wychłostani, upokorzeni i bezlitośnie pobudzani seksualnie. Powtarzam, jesteście wyłącznie przedmiotem rozrywki... takiej, jakiej pragną wasi panowie i panie.

Zatrzymał się przede mną, nadal odwrócony do mnie plecami. Zobaczyłem, że wyciąga rękę i dotyka piersi niskiej niewolnicy, która wyglądała na strasznie zdenerwowaną.

Dziewczyna płakała, po subtelnej buzi spływały łzy, a jej całe ciało wydawało się wyginać ku trenerowi, który przesuwał palcem w dół, po jej małym brzuchu.

— Tak, zostaliście już wszyscy zaprezentowani członkom Klubu — podjął, cofając się o krok. — Dziś wieczorem jednakże pokażecie się im dokładniej, w sposób bardziej imponujący, w wyjątkowych przedstawieniach, w których zagracie główne role.

Czy to dotyczyło nas wszystkich?! Co, do diabła, się z nami stanie?!

— Aby was do tego występu przygotować, aby was przygotować do całego waszego szkolenia, wybiorą was teraz trenerzy, którzy starannie przestudiowali wasze cechy i charaktery. Od momentu wyboru traficie do stajni regularnych niewolników danego trenera czy trenerki. Indywidualny trener pozna was lepiej niż wy sami, będzie nadzorował wasze zachowanie, waszą kondycję fizyczną, będzie doglądać waszych ćwiczeń i specjalnego szkolenia, prowadzić rozmowy z gośćmi, którzy poproszą o spotkanie z którymś z was i o wasze usługi. Trener nauczy was dyscypliny, zajmie się waszym rozwojem i doskonaleniem, aż staniecie się pełnoprawnymi niewolnikami Klubu. W tym momencie muszę was ostrzec, że jeśli uważaliście się za dobrze wyszkolonych, jeśli sądziliście, że skórzany pagaj i rzemień, trener, pan czy pani niczym nie zdołają was zaskoczyć... w takim wypadku... czeka was naprawdę sporo nauki w Klubie. Podczas najbliższych kilku miesięcy szkolenia możecie się spodziewać serii wstrząsów. A zatem: oczekujcie niespodziewanego i pogódźcie się z faktem, że od tej pory wasz umysł i ciało całkowicie należą do innych. Jeżeli okażecie się skłonni do współpracy, czyli poddacie się swojemu trenerowi we wszystkich możliwych sferach życia, wtedy tutejsza egzystencja stanie się dla was znacznie łatwiejsza, lecz... w gruncie rzeczy wasza współpraca nie jest nam potrzebna, ponieważ wszystko, co ma się zdarzyć, i tak się wydarzy.

— Obowiązkowa od tej chwili — kontynuował, podnosząc w tym momencie głos i patrząc na nas, ukaranych — jest absolutna cisza z waszej strony i całkowite posłuszeństwo, wasza kompletna uległość wobec wszystkich decyzji waszego trenera i waszych panów, czyli waszych zwierzchników. Stanowicie na tej wyspie najniższą kastę, więc będziecie służyć także w kuchni lub pracować w ogrodzie. Jesteście prawdziwymi niewolnikami, naszą własnością i nie wolno wam przez cały okres pobytu wykonać najdrobniejszego nawet ruchu, gestu czy wypowiedzieć słów... albo ich odmówić, gdy zostaniecie o nie poproszeni... które ktoś mógłby zinterpretować jako objaw nieposłuszeństwa czy dumy. Jednak najgorsza z waszej strony — dodał, obracając się do reszty niewolników — będzie choćby najmniejsza sugestia, że nie wspomnę o próbie, ucieczki. Wszystkie błagania o uwolnienie będą karane z równą surowością jak próba ucieczki. Czy potrzebuję dodawać, że stąd i tak nie sposób się wydostać? Co do samej kary, jej okres nie zalicza się do czasu z waszego kontraktu, więc często karani zostaną u nas dłużej niż na okres zakontraktowany, czyli dłużej niż na przykład pierwotnie planowane dwa lata.

Zatrzymał się i znowu odwrócił do naszej pięcioosobowej grupki. Czuję na sobie jego wzrok, chociaż ciągle spoglądałem gdzieś obok niego, przed siebie, podobnie jak śliczna zapłakana czarnowłosa niewolnica.

Nie mogłem też dojrzeć wysokiej ciemnowłosej trenerki. Dokąd poszła? Prawdopodobnie miała prawo poruszać się po sali jak wolny człowiek, podczas gdy ja stałem się tutaj jeńcem. Myśl o tej różnicy między nami nieco mnie przeraziła.

Rudy trener zbliżył się do mnie.

Widziałem miękki, lśniący jedwab jego koszuli, mały pasek koronki na mankiecie otaczającym jego duży przegub. Od stania bolały mnie nogi. Usiłowałem utrzymać równowagę, tym — czasem rudzielec przechadzał się przed nami w tę i z powrotem. Ponownie usłyszałem czyjeś ciche jęki.

— Przyznam jednak, że rzadko miewamy takie problemy — podjął trener. — Częstsza, jak sami zauważyliście na podstawie naszego małego pokazu, jest duma. Zdarza się też upór czy

odruchowy bunt, tak jak dzisiaj. Ta piątka nieposłusznych niewolników straszliwie się zhańbiła, zanim jeszcze zaczęli właściwą służbę w Edenie.

Przerwał ponownie, stanął przed naszą grupką i oglądał nas jednego po drugim. W tym momencie wtoczono duży metalowy przedmiot. Paskudnie wyglądał. Biały podest na ciężkich kołach, od którego odchodziły grube stalowe pręty stanowiące wsparcie dla wysokiej i długiej od końca do końca poprzeczki. Całość przypominała nieco sklepowy stojak z wieszakami na odzież. Tyle że przedmiot z pewnością nie został przeznaczony dla ubrań. Pręty były zbyt strzeliste i zbyt grube, z poprzeczki zaś zwisały ogromne haki.

Rudy zerknął na przedmiot i ruszył do pierwszej osoby z grupy ukaranych niewolników po mojej prawej stronie.

— Jessica — powiedział, po czym szybko wyrecytował: — Nieposłuszeństwo, przerażenie, kulenie się ze strachu, ucieczka na czworakach przed badającymi! — Jego ton świadczył o pogardzie. Znowu usłyszałem jęki. — Pięć dni w kuchni. Będiesz na kolanach czyścić naczynia i patelnie, staniesz się zabawką dla pracowników kuchni. Ten czas powinien wystarczyć na zrozumienie prawdziwego celu.

Strześlił palcami i do niewolnicy natychmiast podeszło kilku treserów. Jessica zaczęła głośno lamentować.

Mężczyźni natychmiast obrócili niewolnicę głową do dołu i przytrzymali ją za nogi. Jej włosy szurały po ziemi. Na kostkach nóg założono jej kajdanki z białej skóry połączone paskiem i za ten pasek powieszono dziewczynę na haku.

„To mi się nie może przydarzyć — pomyślałem od razu. — Nie mogę tak zawisnąć do góry nogami!”

Oczywiście nikt nie zamierzał dać mi wyboru. Byłem w grupie skazanych. Pozostało mi tylko stać nieruchomo i czekać. Jessice jeden z treserów kwiecistym pismem wypisał na plecach słowo „kuchnia”.

Rudowłosy trener ganił już kolejnego niewolnika.

— Eric — powiedział — za upór, niechęć do wypełniania najprostszych nawet rozkazów tresera otrzymujesz karę pięciu dni w stajniach, gdzie będziesz oporządzał konie i staniesz się wierzchowcem dla innych stajennych. Taka kara powinna wystarczyć.

Gdy rudzielec skończył mówić, dostrzegłem kątem oka, jak owego Erica — potężnego mężczyznę — treserzy podnieśli równie łatwo jak jego poprzedniczkę i już po chwili również wisiał za kostki na haku.

Serce biło mi szybciej na myśl o czekającej mnie niedługo kłopotliwej przyszłości. Tak, za chwilę powieszę mnie za nogi i co wtedy? Pięć dni poza nawiasem! Och, nie, czas zadzwonić do domu. Nastąpiło przeciążenie obwodów! Wadliwe wyposażenie! Przepaliły się bezpieczniki!

— Eleanor. Samowola, niezależność, wielka duma, okropny, gburowaty stosunek do gości. — Treserzy podeszli do blondynki, już wcześniej zakneblowanej paskiem czarnej skóry, szybko ją podnieśli i powiesili. — Pięć dni w pralni. Przyda ci się nauka prania i prasowania — podsumował trener, pisząc słowo „pralnia” na ładnych plecach niewolnicy.

Zakręciło mi się w głowie. Obok mnie pozostał jeszcze tylko jeden krnąbrny niewolnik. A potem? Kuchnia, stajnie... ach, nie. Nie, niech mi się to nie przydarzy! Poproszę o zmianę w scenariuszu.

Po swojej lewej stronie zobaczyłem znowu wysoką trenerkę. Poczulem jej perfumy. Usłyszałem stukanie małych, delikatnych nóżek na obcasach.

— Gregory — mruknął rudzielec. — Bardzo młody, bardzo głupi i ogromnie lekkomyślny. Jest raczej niezdarny i nerwowy niż rozmyślnie niechętny...

Niewolnik lamentował głośno i bez skrepowania.

— Pięć dni służby wraz z pokojówkami powinno ci pomóc i wyleczyć cię z nerwowości. Szkolenie ze szmatą i miotłą na pewno ci nie zaszkodzi.

Stałem teraz samotnie, przyglądając się wieszaniu Gregory'ego — młodziutkiego Mulata z czarnymi krótkimi loczkami.

Niewolnicy wisieli spokojnie, ze złożonymi rękoma. Jedyne zakneblowana Eleanor wierciła się szaleńczo mimo powtarzanych co jakiś czas uderzeń paskiem.

— Elliott — powiedział w końcu trener, unosząc mój podbródek. — Dumny, samowolny, zbyt duża indywidualność jak na gusta tutejszych pań i panów.

To było nieznośne. Podejrzywałem, że sukinsyn zaraz się roześmieje.

Wcześniej jednak usłyszałem kobiecy głos.

— Richardzie, chcę go dla siebie — szepnęła wysoka trenerka.

Tryb awaryjny dla wszystkich układów! Przepalenie izolacji obwodów! Za chwilę wszystko stanie w ogniu.

Trenerka podeszła bliżej. Poczulem słodkie kwiatowe perfumy, kątem oka dostrzegłem jej ciemny kształt, ostre krągłości wąskich bioder, spiczaste piersi.

— Wiem, że go chcesz — odparł cicho rudy drań — ale kara...

— Daj mi go — upierała się. Jej głos pieścił moją szyję jak aksamitna rękawiczka. — Przed chwilą w biurze zrobiłam dla jednego niewolnika wyjątek, ponieważ wiedziałam, że to najdoskonalsze wyjście. Wiesz, że najlepiej sobie z nim poradzę.

Zjeżyły mi się wszystkie włoski na ciele. Rozróżniłem zapach. Była to woda Chanel, która docierała do mnie krótkimi falami, jakby wraz z pulsem kobiety.

— Liso, tamten wyjątek był twoim przywilejem... Ja jednak jestem Panem Kandydatów, a ten przypadek jest rutynowy. — Więc miała na imię Lisa. Aż się skręcałem w środku, jednak nie poruszyłem się nawet o milimetr. Mężczyzna ponownie dotknął dłonią mojego podbródka i unióś go. — Elliotcie — podjął.

— Mam prawo pierwszego wyboru, Richardzie — naciskała trenerka nieco bardziej szorstko. — I chciałabym go dokonać właśnie teraz. — Podeszła bliżej, jej koronkowa bluzka niemal dotykała mojego ramienia. Poczulem, że za chwilę wybuchnę. Patrzyłem na jej obcisłą krótką spódniczkę z czarnej skóry i na długie smukłe ręce. Wspaniałe ręce — jak ręce świętych w kościołach.

— Oczywiście, że tak — odparł rudy. — Możesz go już wybrać... tak, naturalnie, lecz i tak zostanie ukarany przed rozpoczęciem szkolenia. — Ciągłe trzymał mój podbródek, studiując moją twarz. Przesunął mi kciukiem po policzku. W głowie wciąż miałem pustkę. — Elliotcie, popatrz na mnie — polecił.

„Spokojnie”, powiedziałem sobie w myślach. Trzeba spojrzeć na tego miłego człowieka. Głęboko osadzone szare oczy, energia, swoboda, humor.

— Posłuchajmy głosu naszego dumnego kandydata — stwierdził, ledwie poruszając wargami, niemal telepatycznie. Stał tak blisko mnie, że z łatwością mógłby mnie pocałować. — Patrząc mi w oczy, powiedz bardzo szczerze, że żałujesz hańby, którą na siebie sprowadziłeś. — Byłem kompletnie zagubiony. — No więc?

— Przepraszam, panie — usłyszałem swoją cichą wypowiedź. Nieźle jak na kogoś, kto umarł pięć minut temu. Jednak ten drań na pewno wiedział, jak strasznie się czułem zmuszony patrzeć mu prosto w twarz i wymawiać te słowa, a równocześnie kątem oka dostrzegać jej cień i wciągać nosem jej perfumy.

Zauważyłem błysk w jego oczach, na moment zadrżały mu powieki.

— Poradzę sobie z nim, Richardzie... — oświadczyła Lisa jeszcze ostrzej.

Na sekundę zamknąłem oczy. Czy chciałem, by ta kobieta zwyciężyła w tej bitwie? Czego właściwie pragnąłem? I co oznaczały moje pragnienia?

— Zawrzyjmy układ — zaproponował rudzielec, nadal mocno przyciskając swoją dłoń do mojej twarzy. Badał mnie wzrokiem niczym naukowy okaz. — Ukarzemy cię, młody człowieku, tylko trzydniową pracą przy czyszczeniu toalet, a potem trafisz do Lisy Perfekcjonistki, tak jak sobie twoja nowa trenerka życzy.

— Richardzie! — szepnęła kobieta. Jawnie tłumiała w sobie gniew.

Moja nowa osobista trenerka! Ta zagadkowa dama była moją przyszłością, o której mogę rozmyślać przez trzy dni w toaletach, o ile będę jeszcze w stanie o czymś myśleć.

— Jesteś bardzo szczęśliwym młodzieńcem, Elliotcie — oznajmił trener Richard. Wyraźnie drżałem. Po co ciągle miałem to ukrywać? — Panna Perfekcjonistka pierwsza wybiera niewolnika spośród nowo przybyłych. Jej wybrańcy należą do najwspanialszych artystów Klubu. Jeśli jednak uzna, że się co do ciebie pomyliła, będziesz się modlił o więcej kar w toaletach.

Lisa stanęła przede mną, lecz nadal nie miałem śmiałości oderwać oczu od twarzy Richarda. Tym niemniej kątem oka widziałem, że jest delikatną kobietą, a jej ciemne faliste włosy skojarzyły mi się teraz bardziej z płaszczem niż z woalem. Duże ciemne oczy wwiercały się we mnie.

Było w niej coś jeszcze, coś, czego nie potrafiłem zdefiniować. Nigdy nie wierzyłem, że ludzie mają aury, że wysyłają wibracje. A jednak od Lisy emanowała jakaś pierwotna siła. Czulem ją. Czulem wszystko. Jakby wydawała dźwięki, których ludzkie ucho nie jest w stanie świadomie usłyszeć.

Kiedy rudy trener rozkazał głośniej: „Trzy dni czyszczenia toalet”, kobieta wyciągnęła obie ręce i położyła je na bokach mojej głowy. Jej dotyk wydał mi się niesamowity i natychmiast na nią popatrzyłem. Doznałem szoku.

Była naprawdę śliczna. Twarz o pięknych rysach i wspaniałej cerze, lekko wydęte czerwone usta, oczy wyrażające absolutną niewinność.

Znowu zakręciło mi się w głowie. Nie zniosę tortury z jej ręki, nie mogę do niej należeć! Jej kruchość przyprawiała mnie o skrajną bezsilność. Jednocześnie ledwo już panowałem nad swoim członkiem. Nigdy chyba nie miałem tak potężnego wzrodu. Lisa na pewno o tym wiedziała. Taka kobieta nie potrafiłaby przeoczyć mojej reakcji.

Nagle zdjęła ręce z mojej twarzy.

Dostrzegłem zbliżających się do mnie treserów w białych skórach, lecz nie potrafiłem skoncentrować się nawet na strachu. Podnieśli mnie i odwrócili do góry nogami.

Byłem zdziwiony, po prostu zdziwiony, że to jednak zrobili, psiakrew, ale niemal nic nie widziałem, nie mogłem się skupić... Gładkie skórzane kajdanki zacisnęły się na moich kostkach i zawisłem na haku.

Mazak przesunął się po moich plecach. Szybko straciłem rachubę stawianych liter, które i tak nie miały dla mnie żadnego sensu. Rozpaczliwie usiłowałem powstrzymać kołysanie ciała. Krew napłynęła mi do głowy.

Wtedy wpadłem w panikę. Zacząłem wariować. Jednak mój strach niczego nie zmieniał, gdyż byłem zupełnie bezsilny i nie mogłem nic na to poradzić. Metalowy wieszak z hakami zaskrzypiał i ruszył. Wywożono nas. Moja sytuacja była prosta, choć straszliwie nieznośna.

Głos trenera zadźwięczał na pożegnanie. Rudzielec wyjaśnił, że ukarani kandydaci będą pracować i spać w warunkach najbardziej niewygodnych z możliwych, że ich kara jest sroga, zadania okażą się nużące i nikomu nie sprawią przyjemności. W ciągu najbliższych dni cała grupa „potulnych” odwiedzi każde z pięciorga i przypatrzy się ich pracowitemu życiu, dzięki czemu zobaczycie, jakie są skutki nieposłuszeństwa.

Wieziono nas ku otwartym drzwiom. Czulem, że całe ciało mam spuchnięte. Klub połykał nas jak olbrzymie usta. Wisząc głową w dół, odnosiłem wrażenie, że wkraczamy do innego wymiaru. Próbowałem nie patrzeć na odwróconą salę z odwróconymi uczestnikami zebrania.

— Teraz — usłyszałem — trenerzy mogą sobie wybrać niewolników.

Rozdział 8

„Wszystko, czego pragniesz, panie”

Musieli go oczywiście wysłać pod schody, prawda? Kto w ogóle powymyślał te wszystkie reguły i srogie kary?! Richard miał rację, sytuacja była rutynowa, nawet jeśli nie zdarzyła się wcześniej.

Zrobiła się dwudziesta pierwsza, gdy w końcu zamknęłam za sobą drzwi sypialni.

Zmierzchało, zasłonami targał przyjemny nocny wietrzyk, który zawsze chłodził naszą wyspę. Dlaczego dziś nie chłodził rozpalającego mnie od wewnątrz gorąca?

Przy kąpeli miało mi usługiwać dwoje moich ulubionych niewolników, Lorna i Michael, oboje jasnowłosi, niewysocy i absolutnie cudowni. Już zdążyli pozapalać lampy.

Nalali też wodę, taką jak lubię, przygotowali mi nocny strój, zrobili łóżko. Gdy delikatnie myli mnie szamponem i mydłem, zrobiłam się senna. Po kąpeli Michael łagodnie natarł mnie olejkami, wysuszył mi włosy i wyszczotkował.

— Tęskniliśmy za tobą, Liso — szepnął, całując mnie w ramię.

Czekając, aż Lorna odejdzie, wykonywał tuzin niepotrzebnych zadań. Miał wspaniałe ciało i był obficie wyposażony przez los. Czemu się z nim nie zabawić? Tyle że nie dziś wieczorem.

— To wszystko, Mike — powiedziałam.

Przeszedł powoli przez pokój i znowu pocałował mnie w policzek. Objęłam go na moment, po czym wsparłam się na jego ramieniu.

— Zbyt ciężko pracujesz, szefowo — zauważył. Usta miał gotowe do pocałunku.

Opuściłam powieki i oczyma wyobraźni zobaczyłam się w krążącym nad wyspą samolocie. A później moja siostra popatrzyła na mnie przez stół w „Saint Pierre” i spytała: „Dlaczego nigdy nam się nie zwierzasz ze spraw związanych z twoją pracą?”

— Ach! — westchnęłam. Otworzyłam oczy, zadrżałam. O mało nie zapadłam w sen. — Muszę się trochę przespać — rzuciłam.

— We dwoje lepiej się śpi niż samotnie.

— Michaelu, jesteś skarbem. Ale to nie jest dobry pomysł na dzisiejszą noc.

* * *

Leżałam nieruchoma i cicha pod miękką, grubą, białą kapą i gapiłam się na cienką bawełnianą koronkę na baldachimie mojego łóżka.

No cóż, musieli go ukarać. W porządku.

Nie potrafiłam go zapomnieć z sali powitań. W rzeczywistości wyglądał dziesięć razy lepiej niż na zdjęciach, nie, sto razy lepiej. Te niebieskie oczy, tak, przepiękne niebieskie oczy i ciało Mister of America. Najbardziej jednak utkwiła mi w pamięci niewzruszona godność, z którą Elliott przyjmował wszystko, co się wokół niego działo. Niczym Alkibiades w łańcuchach.

„Do diabła, Liso — powiedziałam sobie — spróbuj zasnąć”.

Zresztą... Może on zasłużył na tę karę, na te trzy dni pracy w toaletach. Ale czyja zasłużyłam sobie na trzydniowe czekanie na niego?!

Od tamtej chwili nie spędziłam nawet pięciu minut sam na sam z Richardem, więc nie mogłam mu powiedzieć, co o nim myślę. Za to co pięć minut myślę o Elliotcie Slaterze czyszczącym na czworakach podłogi.

Tuż po zakończeniu wyboru niewolników w sali powitań zamknęłam się w swoim biurze i zabrałam do zaległej korespondencji, która leżała u mnie od ubiegłego roku. Polecenia zakupu, formularze medyczne, rachunki, projekty nowego wyposażenia, zatwierdzone, wypełnione, wysłane itp... Obiecałam pomówić jutro z trenerem kuców. Potem zwykły obiad z nowymi członkami Klubu, odpowiedzi na ich pytania, oprowadzenie ich po terenach. Jerry McAllister był bardzo szczęśliwy. Wszyscy byli bardzo szczęśliwi. Może nawet Elliott Slater był szczęśliwy. Kto wie?

Właściwie Pierwsza Noc przebiegała jak zawsze wspaniale i nikogo nie obchodziło moje zniknięcie.

Ale co teraz?

Gapię się na baldachim nade mną i już nie wierzę, że przed chwilą o mało nie zasnęłam w ramionach Mike'a. Znowu ogarnęły mnie wspomnienia. Fragmenty przeszłości unoszą się wokół, twarze nabierają kształtu, głosy zaczynają przemawiać coraz bardziej zrozumiale.

Słucham wietrzyku wpadającego przez otwarte oszklone drzwi, słucham szelestu liści.

„Nie myśl o nim — powtarzam sobie. — Przecież nie sprzedali go za granicę”.

Muszę też dać sobie spokój ze wspomnieniami. Jak jednak powstrzymać ich napływ? Kiedy człowiek wspomina przeszłość, zdaje mu się, że potrafi ją zmienić, naprawić, a przynajmniej zrozumieć — może pierwszy raz. Tak naprawdę wspomnienia towarzyszyły mi przez cały dzień, czaiły się gdzieś w cieniu mojej psychiki — niczym nieprzyjacielska armia każdej chwili gotowa mnie otoczyć.

* * *

Przypomniałam sobie autostradę biegnącą na południe od San Francisco, potem gęsty las cyprysów wielkoszyszkowych, wysokie domy o spiczastych dachach i porośniętych mchem ceglanych ścianach, wąską żwirową, prywatną drogę, którą ruszyliśmy, kiedy zamknęła się za nami brama. Tkwiłam sztywno obok Jeana Paula na granatowym siedzeniu limuzyny, ręce położyłam na kolanach. Raz nawet spróbowałam obciągnąć spódniczkę, by zakryć kolana. Ależ absurd! Jean Paul przemawiał opanowanym głosem:

— Pierwsze parę dni może ci się wydać strasznie trudne. Przyjdzie moment, gdy zrozumiesz, że nie możesz uciec, i wpadniesz w panikę. Jednak niech cię pocieszy fakt, że zupełnie nic nie możesz na to poradzić. — Zrobił pauzę, przypatrując mi się z uwagą. — Jak się teraz czujesz?

— Przestraszona — szepnęłam — ale i podekscytowana. — Potem zaschło mi w gardle. A przecież chciałam mu powiedzieć, że obojętnie, co czuję, za nic nie zawrócę. Widziałam drewniane wrota i stróżówkę. Limuzyna sunęła ku długiemu ceglaniemu garażowi o spiczastym dachu, reprezentującemu ten sam architektoniczny styl Tudor, co rezydencja, którą właśnie zobaczyłam za drzewami.

Kiedy wjeżdżaliśmy do garażu, ciemność zamykała się wokół auta, a ja w nagłej chwili panicznego strachu wyciągnęłam rękę i dotknęłam dłoni Jeana Paula.

— W każdym momencie będziesz wiedział, jak mi idzie, prawda?

— Oczywiście. A teraz pomyśl. Czy chciałabyś jeszcze coś mi powiedzieć albo czegoś się dowiedzieć? Ponieważ za chwilę cię rozbiore. Na teren posiadłości możesz wejść jedynie naga. Muszę zabrać ze sobą twoje ubranie. Nigdy ci nie wolno podjąć próby rozmowy ani z panem, ani ze stajennym. Za to może cię spotkać jedynie kara.

— Przyjedziesz mnie zabrać...

— Naturalnie, za trzy miesiące, na tyle się zgodziłaś. (Za trzy miesiące musiałam podjąć naukę w Berkeley, naprawdę musiałam!)

— Pamiętasz wszystko, czego cię nauczyłem? Będziesz przechodzić kolejne fazy. W razie strasznego przerażenia, przypomnij sobie, jak bardzo ekscytujące jest twoje życie. Bądź w

tym względzie uczciwa wobec siebie... i nie zapominaj, że stąd nie ma ucieczki. Nie musisz próbować w żaden sposób się ocalić, zostajesz po prostu zwolniona z odpowiedzialności za swój los.

(Ocalić siebie. Ocalić swoją duszę. Mój ojciec popatrzył na książki na łóżku, na nowe powieści i popularne wydania dzieł filozoficznych. „Liso — powiedział — nigdy nie miałaś za grosz gustu, żadnych poglądów, zawsze znajdowałaś upodobanie wyłącznie w najgorszych śmieciach, jakie leżały w księgarni, ale po raz pierwszy boję się o twoją nieśmiertelną duszę”).

Czułam, jak sutki płoną mi pod bluzką, a cienkie koronkowe majtki wilgotnieją między nogami. Jean Paul pochylił się i pocałował mnie w policzek, odrzucając moje włosy na ramiona. Włosy miałam wtedy znacznie dłuższe niż teraz. Wydawały się bardzo grube i ciężkie.

Jean Paul chwycił mnie za nadgarstki, które złączył mi za plecami, po czym przeciął nożycami moją bluzkę; postrzępione płaty materiału spadły na granatowy dywanik auta.

Nagą wyciągnął mnie z limuzyny.

— Pochyl głowę — polecił — i bądź cicho.

Betonowa podłoga była chłodna pod moimi stopami, oślepiało mnie światło padające z otwartych drzwi. Jean Paul znowu mnie pocałował. A kiedy usłyszałam warkot silnika w garażu, zrozumiałam, że odjeżdża.

W tym momencie podszedł do mnie młody służący w szarym mundurze, chwycił mnie za przeguby i pchnął do drzwi. Włosy muskały mi nagie ramiona niczym miłosierne okrycie. Moje sutki pulsowały i zastanowiłam się, czy ten obcy, ten współkonspirator w świetle sekretne seksu widzi wilgoć między moimi udami.

— W zimie używamy zadaszonego przejścia — poinformował mnie. Miał głos starszego mężczyzny. Kulturalny. Neutralny. — Przejdziesz większą część drogi normalnie. W pobliżu domu klęknieš i pozostaniesz na kolanach. Na terenie domu zawsze będziesz klęczeć.

Szliśmy pasażem. Mężczyzna mocno ścisnął mi przeguby rękoma w rękawiczkach, rzadkie, choć jaskrawe światło wpadało przez grube oszronione szkło pozbawionych ram okien. Przede mną znajdowała się jedynie naga ściana. Zieleń cisnęła się do szyb. W nagłej panice pomyślałam, że limuzyna dotarła już zapewne do autostrady i że mnie nie zakneblowano. Mogłabym krzyknąć, błagając o wypuszczenie.

Wtedy jednak mój prześladowca na pewno by mnie zakneblował. Byłam co do tego przekonana. Tak mi zresztą powiedział Jean Paul.

— Nie daj się zwieść życzliwością okazywaną ci przez służbę — oświadczył mi służący prosto w ucho. — Jeśli cię przyłapią w innej pozycji niż klęk, jeśli doświadczą choćby najdrobniejszej bezczelności z twojej strony, z całą pewnością doniosą o tym twojemu panu. A powód takiego zachowania jest bardzo prosty: ilekroć przyuważą u ciebie jakiś błąd, twój pan odda im ciebie i oni cię ukarzą. Ci ludzie tylko na to czekają. Znajdują w tym przyjemność. Szczególnie spodoba im się świeża młoda dziewczyna o tak wrażliwej skórze. Mała nowicjuszka. Więc powtarzam ci, niech cię nie zwiedzie ich troska.

Skręciliśmy. Teraz szliśmy po dywanie. Ja już na kolanach. Na końcu długiego korytarza przed sobą zobaczyłam wejście. Serce zaczęło mi bić szybciej.

— Musisz okazywać absolutną podległość wszystkim osobom w domu. Nigdy nie popełnij pomyłki i nie zachowaj się inaczej. Teraz połóż dłonie na podłodze, dalej pójdziesz na czworakach.

Co było później? Co zapamiętałam?

Drzwi otworzyły się szeroko. Weszliśmy do dużej urządzonej luksusowo i nowocześnie kuchni. Dostrzegłam masywne drzwi lodówki, lśniące zlewy ze stali nierdzewnej i kucharkę w białym fartuchu z wykrochmalonego lnu, zawiązanym wokół jej szerokiej talii. Kobieta obróciła się i spojrzała na mnie z drewnianego stołka.

— Och, ta mała jest cudowna. — Uśmiech rozciągnął jej okrągłą twarz.

Zaszokował mnie widok długiego wypolerowanego korytarza ze stolami o marmurowym blacie, zwierciadłami i prywatnymi salonikami, rozświetlonymi przez słońce wpadające przez koronkowe firanki okolone z boków ciężkimi draperiami. Przeszłam naga przez to prawdziwe królestwo do gabinetu pana, który siedział przy biurku z telefonem przy uchu i ołówkiem w ręku.

Spojrzał na mnie przelotnie. Nie dłużej niż przez sekundę, po czym podniósł głowę, a ja przepełzłam na środek granatowego perskiego dywanu.

Zegary wydzwaniały kuranty. Rozległo się świergotanie kanarka i cichy dźwięk jego skrzydeł uderzających o kraty klatki.

— Ach, tak, no dobrze, mam drugą rozmowę. Wróć do pana... — Rzeczowy brytyjski akcent. Arystokratyczny i pełen ekspresji. Trzask odkładanej słuchawki. — Tak, jest śliczna, absolutnie śliczna. Podnieś się do klęku, kochanie. Tak, podoba mi się. Będzie wspaniała. Chodź tu, piękna królewno. — Obeszłam na kolanach biurko, tak jak mną pokierował, aż zobaczyłam jego buty, poły jego szlafroka z ciemnoczerwonego atłasu obok nogawek ciemniejszych spodni, rękę sięgającą ku mnie i dotykającą mojej twarzy, mojej piersi. — Hmm... — dodał — całkiem miła. — Każde słowo wymawiał tak odmiennie, tak szybko. — Milsza, niż ośmielałem się mieć nadzieję.

— Tak, proszę pana — powiedział służący. — I bardzo rozgarnięta.

— Popatrz na mnie, Liso. — Strzelił palcami.

Szczupła twarz, wydatne kości, czarne oczy niemal nienaturalnie żywe. Gęste, siwe włosy szczesane z czoła i skroni. Przystojny, tak, właściwie nadzwyczajny. Podobnie jak barwa głosu, jego oczy wydawały się wiecznie młode albo naprawdę psotne i prawie młode.

— Zostaw ją ze mną. Poślę po ciebie. — Wydawanie rozkazów przychodziło mu bez wysiłku. — W gruncie rzeczy nie mam na to czasu... — Zastanowił się. — ...Ale go znajde. Chodź za mną, młoda damo.

Otworzył drzwi do niezwykłego pokoju, wąskiego, kiepsko oświetlonego przez słońce wpadające przez witrażowe okna. Długi wypolerowany stół ze skórzanymi kajdankami i obrączkami na nogi, wiszącymi na skórzanych łańcuchach z brzegów. Ścienna półka z pagajami, pasami, kajdankami, uprężami. Pomieszczenie ogromnie przypominało gabinet Jeana Paula, w którym uczył „dyscypliny” osoby odpowiadające na jego dyskretne ogłoszenia w najbardziej nieprawdopodobnych gazetach. Mnie wyuczył doskonale.

Skończyłam naukę i obecnie musiałam przejść coś w rodzaju rozmowy w sprawie pierwszej pracy. Później może czeka mnie kariera...

Cicho przemieściłam się na czworakach przez mrok i po lakierowanym na różowo parkiecie dotarłam na kolejny miękki prostokątny perski dywan, tym razem czerwony. Serce łomotało mi w piersi. Słyszałam odgłosy butów mojego nowego pana.

— Na stopy, moja droga, o tak. — Owinął moją głowę cienkimi skórzanymi rzemieniami. Poczulałam panikę. — Cicho, cicho. Jesteśmy aż tak przerażeni? — Prawą ręką otoczył moją lewą pierś, jego śliska satynowa szata dotknęła moich pleców. — Tak, mocno, zepnij ręce przy podstawie kręgosłupa. Chcesz wyglądać ładnie dla swojego pana, nieprawdaż? — Dotknął wargami mojej twarzy. Rozpływałam się z czułości. „Wszystko dla ciebie, panie”, pomyślałam.

Odnosiłam wrażenie, że moja pleć staje się niemożliwie gorąca, pełna. Czułam dotyk cienkich rzemyków otaczających moje czoło i policzki, opadających na skrzydełka nosowe. Wyciągnęłam język i dotknęłam warg.

— Koci jęczyzek! — szepnął mi do ucha, szczypiąc mnie pod pośladkiem. Uderzyły mnie zapach wody kolońskiej i niski, bezbarwny śmiech. Mężczyzna zebrał moje włosy w dłoń i zwinął je w kok, który ściśle umocował szpilkami. Hełm z rzemieni, zakładany krótkimi szarpanymi ruchami, ścisnął mi mocno głowę. Wokół talii mój pan nałożył mi gorset,

wsuwając górne części pod pachy. Staralam się nie wydać żadnego dźwięku. Gwałtownie drżałam. — Cii, najdroższa. Jesteś tylko dzieckiem, ślicznym małym dzieckiem, prawda? — spytał.

Staął przede mną, sznurując gorset od dołu nad krągłością mojego brzucha, potem ściągając go niemożliwie mocno, wraz z każdym kolejnym haczykiem zbliżając się do moich piersi. Skórzany pancerz zacisnął się wokół mojego tułowia, unosząc w górę piersi, ułożone na półmieszkach, które nawet nie przykrywały sutków.

— Wspaniale — powiedział, nagle całując moje wargi przez cienką maskę z rzemieni. Czułam nieznośne napięcie. Teraz gorset był całkowicie zasznurowany. Wydawał się unosić mnie w górę, jakbym nic nie ważyła i nie miała własnego kośćca. — Cudnie — dodał, unosząc moje piersi, tuląc je ostrożnie nad skórą gorsetu, ciągnąc za sutki, starając się je lekko wydłużyć i zahartować. Jakże obyty był, jaki fachowy i szybki. — A teraz te śliczne ramionka... Co zrobimy z tymi ślicznymi ramionkami? — „Wszystko, czego pragniesz, panie”. Wyciągnęłam szyję, zadrżałam, usiłując okazać poprzez ten ruch swoją uległość. Każdy oddech niemal odczuwalnie uderzał w płonący futerał gorsetu. Poczułam między nogami skurcze pożądania.

Mężczyzna zniknął mi z pola widzenia, wracając prawie natychmiast z interesującą parą długich skórzanych rękawiczek ze sznurkami. Wiedziałam natychmiast, jak można je powiązać. Obrócił mnie i szybko wsunął w jedną moje palce, dłoń i przedramię — najpierw lewą rękę, potem prawą. Później wygładził rękawiczki, które sięgały mi dobrze ponad łokcie. Na koniec szarpnął sznurkami, związując jedno moje ramię z drugim, ściągając je tak mocno, że jeszcze bardziej musiałam wypiąć pierś. Twarz płonęła mi pod rzemieniami, w oczach stanęły łzy. Nie wiedziałam, czy mój płacz mu się spodoba, czy też go rozgniewa. Byłam teraz związana, całkowicie bezradna, pierś falowała mi coraz szybciej i coraz gwałtowniej. Uwięziona...

— O tak, tak — powiedział znów z tą obcą, brytyjską intonacją, która zmieniała najprostsze sylaby w egzotyczny język.

Widziałam długie, sękatę ręce mężczyzny, palce porośnięte cienkimi czarnymi włoskami. Nagle wyjął skądś kozaki na niebotycznych obcasach. Pomyślałam, że niemożliwością jest chodzenie w tak wysokich butach, niemniej jednak mój pan postawił je na podłodze z rozpiętymi długimi bocznymi zamkami, a gdy włożyłam w nie nogi, natychmiast zasunął zamek aż po kolana. Nieznośnie słodki wydał mi się mocny uścisk ręki mężczyzny, wygładzającego obcisłą skórę. Czułam się prawie jakbym stała na palcach, tyle że moje podbicie było straszliwie wygięte w tył. — Dobrze, doskonale. Wiesz? Jean Paul przysłał wszystkie rzeczy w twoim rozmiarze, a on jest ogromnie dokładny. Nigdy się nie myli. — Położył dłonie na bokach mojej twarzy i znowu pocałował mnie przez rzemienie. Żądza zapłonęła we mnie boleśnie. Odniosłam wrażenie, że zaraz zemdleję. — Mam tu jeszcze wspanialsze ozdóbki dla mojej zabaweczki — oświadczył, unosząc mi podbródek. Znałam te ozdoby: okrągłe czarne odważniki, które przymocował mi do sutków, długie kolczyki, które zawiesił mi na uszach, wciskając maleńkie zębki w wewnętrzną część płatka, co przypawiło mnie o dreszcz i zaczęłam się lekko wić. — No, teraz jesteś kompletnie ubrana, moja zachwycająca mała dziewczynko — stwierdził. — Zobaczmy, co możemy osiągnąć dzięki temu strojowi. Stań przede mną, z wdziękiem, popatrz ostro.

Strzelił palcami.

Wysokie obcasy stuknęły głośno na parkiecie, póki ponownie nie weszłam na dywan. Całe moje ciało szalało z pożądania, całe płonęło gorączką.

Mój pan podprowadził mnie do dwóch miękkich aksamitnych sof, ustawionych naprzeciwko siebie a bokami do kominka. Ciepło płomienia rozgrzało moją skórę jeszcze bardziej. Ach, to słodkie ciepło.

— Klęknij, kochana — powiedział. — I rozsuń nogi. — Staralam się wykonać jego polecenie, lecz z powodu tak wysokich i sztywnych butów poruszałam się nieco niezgrabnie. Mężczyzna usiadł na kanapie przede mną. — Wysuń biodra w moją stronę, maleńka — dodał. — Boska jesteś. Twój pan ci mówi, że jesteś naprawdę piękna. — Kiedy zamilkł, przyłapałam się na cichym szlochu. Łzy spłynęły mi po policzkach. Rękawiczki, gorset i buty opinały moje ciało tak ściśle, że odniosłam wrażenie, iż unoszę się w świetle, gdzie ciężar i grawitacja nic nie znaczą. Mężczyzna pochylił się i całował moje piersi, szczypiąc je wargami i dotykając językiem przy sutkach z zawieszonymi odważnikami. Wysunęłam mimowolnie biodra jeszcze bardziej do przodu. Miałam ochotę cała wpaść w jego ręce. — Tak, najdroższa — szepnął mi do ucha. Pocałował mnie w usta. Jego gorące, mocne palce podniosły moje piersi ponad gorset. — Teraz wstań — rzucił, pomagając mi. — Obróć się dla mnie. Właśnie tak. Złącz obcasy. Tak, takie cudowne łyzy. — Pokój był przyćmioną krainą kształtów i światła: blasku ognia w mosiężnym kominku, obrazów na ścianach, szczupłej figury czarnowłosego mężczyzny, który też się podniósł, stanął w pewnej odległości ode mnie i z założonymi ramionami obserwował mnie, wydając mi ciche polecenia: — Tak, znów się obróć, bardzo dobrze, obcasy razem, stale razem, podbródek wysoko.

Aż w końcu mnie objął. Nie potrafiłam się powstrzymać od płaczu, szlochając w jego silnych ramionach, wpatrzona w jego łopatki, dotykając jego piersi. Przytulił mnie, przyciągnął mocniej do gładkiego szlafroka. Poczułam ból piersi, gdy jego wargi ponownie dotknęły moich ust przez rzemienie. Przepęłniała mnie straszliwa żądza, nad którą nie potrafiłam zapanować.

* * *

Co czułam tej pierwszej nocy, gdy było już po wszystkim i leżałam obok niego, a moje ciało nadal drżało od dotyku jego ciała?

Jak podsumować następne trzy miesiące? Niezliczone wieczorne przyjęcia i gwałtowna zażyłość z bezimiennymi obcymi gośćmi, nie kończące się wędrówki z arogancką, surową małą pokojówką, wymachującą skórzanym pagajem, wraz z nadejściem wiosny poranne przebieżki po ogrodzie, obok mojego pana dosiadającego ulubionego wałacha; świat zewnętrzny równie odległy i nieprzekonujący jak baśń.

I nieuniknione upokorzenie z powodu kar zadawanych przez służących, kiedy nie byłam w stanie się komuś spodobać, komuś poddać, na coś odpowiedzieć lub wykazać się absolutną gotowością.

Czy ogarniał mnie prawdziwy strach? Może pierwszego ranka, gdy zobaczyłam ścieżkę konną i zrozumiałam, że będę musiała nią biegać z rękoma zawiązanymi na plecach. Albo kiedy pierwszy raz wiałam się i płakałam nad niesprawiedliwością kary. A może wcale nie.

Panika na pewno mnie dopadła pod koniec sierpnia, gdy Jean Paul chodził w tę i z powrotem po pobielonym pokoju za kuchnią, gdzie sypiałam, i powtarzał w kółko:

— Zastanów się, zanim mi odpowiesz. Wiesz, co to znaczy, że on pragnie cię mieć przez kolejne sześć miesięcy? Nie pojmujesz, co odrzucisz, jeśli mu odmówisz? Popatrz na mnie, Liso. Rozumiesz? — Pochylił się i spojrzał mi w oczy. — Wiesz, jakie to wspaniałe miejsce. Sądzisz, że łatwo mi było znaleźć dla ciebie coś takiego?! Potrzebujesz tego, wiesz, że tego potrzebujesz. Śniłaś o tym. Chcesz się z tego obudzić? Nie wiem, czy potrafię dla ciebie zdobyć kolejną taką ofertę, jeśli się wreszcie opamiętasz. Nie wiem, czy istnieje drugie takie cudowne więzienie.

„Dość tej poezji!”, pomyślałam z gniewem.

— Oszaleję, jeśli stąd nie wyjadę. Nie chcę tu zostać. Mówiłam ci na samym początku, że muszę wrócić do szkoły na nowy semestr...

— Możesz zrobić sobie przerwę i podjąć naukę w następnym semestrze. Nie podejrzewasz nawet, jak wiele osób pragnie zająć twoje miejsce...

— Muszę stąd natychmiast wyjechać, nie rozumiesz?! To nie jest moje życie, to nie jest moje całe życie!

W przeciągu godziny ruszyliśmy do San Francisco. Jakże dziwnie się czułam znowu ubrana, siedząc prosto i patrząc przez przednią szybę limuzyny.

Jak wyglądało dla mnie wielkie miasto po tych trzech miesiącach? Jak się czułam, leżąc w pokoju hotelu i gapiąc się na telefon? Do rozpoczęcia semestru pozostały dwa tygodnie. Moje ciało wyginało się w łuk i sztywniało od wewnętrznej gorączki. Orgazm. Ból.

Tej pierwszej nocy wsiadłam w samolot i za zarobione pieniądze poleciałam do Paryża. Nawet nie zadzwoniłam do domu.

Całe dni oszołomiona chodziłam po kawiarniach Lewego Brzegu. Odgłosy ruchu ulicznego i tłok panujący na chodnikach szokowały mnie i sprawiały mi fizyczny ból — jakby dopiero co wypuszczono mnie z wygłuszonej komórki. Ciało bolało od uderzeń skórzanym pagajem, rzemieniem, od penetracji i ciągłej, przytłaczającej, dręczącej uwagi innych! Orgazm. Ból.

Dwie nieudane randki ze studentem Sorbony, kolacja i kłótnia ze starym przyjacielem ze Stanów, nudny wieczór zimnego seksu z jakimś amerykańskim biznesmenem poderwanym zuchwale w hotelowym holu zupełnie bez powodu.

A potem długi lot do domu, tłumy w miasteczku uniwersyteckim, młodzi ludzie patrzący szklistym wzrokiem, ogłuszeni przez narkotyki i idee, młodzieńcy, którzy wydawali się w ogóle nie widzieć opalonych na brązowo dziewcząt w podkoszulkach, bez staników. Rozmowy o trawce, seksie, rewolucji i prawach kobiet w największym społecznym laboratorium świata.

Sama w pokoju hotelu Saint Francis. Po kilku godzinach gapienia się na telefon w końcu odbyłam tę nieuniknioną rozmowę.

— Tak — odparł Jean Paul z natychmiastowym entuzjazmem. — Mam coś akurat dla ciebie. Ten mężczyzna nie jest aż tak bogaty jak twój poprzedni przyjaciel, lecz posiada pięknie urządzony wiktoriański dom w Pacific Heights. Twoje doświadczenie wywrze na nim prawdziwe wrażenie. A jest bardzo wymagający. Jak długo trwają ferie noworoczne? Kiedy możesz być gotowa do wyjazdu?

Czy to było uzależnienie? „To nie jest moje życie!” Jestem studentką, młodą kobietą. Mam do załatwienia tyle spraw...

Więc był ten człowiek w Pacific Heights, a później para, młody mężczyzna i kobieta, oboje bardzo zręczni, którzy mieli mieszkanie na Russian Hill tylko dla swoich niewolników. I kolejne dwa tygodnie („Nie dłużej, Jean Paul!”) znowu z moim pierwszym panem w tej cudownej posiadłości w Hillsborough, który usiadł obok mnie na wysokim łożu z baldachimem i ściskając moją rękę, mówił:

— Wiesz, głupia jesteś, że mnie tak zostawiłaś. Jean Paul twierdzi, że nie mogę cię dręczyć ani na ciebie naciskać. Ale czy nie widzisz, co odrzucasz? Pozwoliłbym ci wychodzić rano na zajęcia, gdybyś chciała. O ile byłabyś posłuszna. Dałbym ci wszystko, czego pragniesz, gdybyś pozostała oddana... tak jak byłaś. — Szlochałam, a on mówił i mówił. — Potrzebuję cię — oświadczył. — Muszę cię posiadać, posiadać cię całkowicie. Tylko wtedy możesz czuć to, co lubisz. Och, gdybym był bardziej wyzuty z sumienia i miał w sobie nieco mniej delikatności, nigdy nie pozwoliłbym ci odejść. Może byłoby ekscytujące tak przychodzić i wracać. Wystroiłbym cię, poszedł z tobą do opery, usiadł z tobą w łoży, zakazał ci się odzywać i poruszać rękoma, a potem przywiózł tu z powrotem, obnażył cię i posiadał. A każdego dnia po twoim powrocie ze szkoły kazałbym ci biegać nago po ogrodzie... — „Kazałbym, zrobiłbym, ja, ja, ja...” — powtarzałam w myślach. — Ach, wiesz, że tego chcesz, że chcesz należeć do mnie, że do mnie należysz...

Tej nocy stałam samotnie przy autostradzie, aż złapałam okazję do San Francisco. Kierowca powtarzał mi w kółko: „Młode uczennice takie jak ty nie powinny ot tak, po prostu wsiadać do samochodów obcych facetów”.

* * *

Później przez kilka miesięcy odrzucałam wszystkie propozycje, mówiłam: „Nie, nie mogę, nie zrobię tego, już nigdy więcej tego nie zrobię”. Postanowiłam studiować w Europie i żyć w sposób, który świat uważa za normalny. Zakocham się, wyjdę za męża, urodzę dzieci. Zrobię, będę... Cała płonąłam. Byłam w piekle.

Jean Paul zareagował gniewem i oburzeniem.

— Jesteś moją najlepszą uczennicą, moim dziełem sztuki.

— Nie rozumiesz. Ten tryb życia mnie wciągał. Jeśli powtórzę to jeszcze raz, nigdy już od tego nie ucieknę. Nie widzisz? Ten świat mnie pożerał. Zaczęłam tracić zmysły.

— Ależ ty tego właśnie pragniesz! — Wściekły szept. — Nie zdołasz mnie oszukać. Jesteś stworzona do takiego życia, jesteś urodzoną niewolnicą i bez swego pana zawsze będziesz się czuła niekompletna.

— Nie dzwoń do mnie więcej.

* * *

Stukanie do drzwi? Do drzwi ze snu?

Uniosłam się na łóżku. Przytłumione odgłosy rozmów z ogrodu; goście chodzący ścieżkami Edenu. Ciemność rozjaśniła się nieznacznie, gdy się w nią wpatrzyłam. Zauważyłam zarysy odległych drzew za szybą.

Stukanie, tak ciche, że wydawało się złudzeniem. I to dziwne uczucie we mnie, że za drzwiami będzie stał Elliott Slater. Niemożliwe! Przecież go ukarali, kazali spać pod schodami, prawdopodobnie skuli. Poza tym dlaczego, do diabła, myślę, że gdyby mógł, przyszedłby akurat do mojego pokoju?

Wcisnęłam mały brzęczyk na stole i drzwi się otworzyły. Pasek żółtego światła z korytarza i postać, naga, o idealnym kształcie, jak oni wszyscy. Jednak osobnik był znacznie niższy od Elliotta Slatera. Wrócił Michael. Niewiele widział, zaglądając do ciemnego pokoju.

— Lisa?

— O co chodzi, Mike? — Nie byłabym bardziej oszołomiona, nawet gdybym naprawdę spała, gdybym naprawdę śniła. Przeszłość jest swoim własnym narkotykiem, tak mi się zdaje.

— Potrzebują cię w biurze, Liso. Twierdzą, że wyłączyłaś telefon.

Niemożliwe. Nigdy nie wyłączam telefonu, a to była Pierwsza Noc... Mimo to kątem oka dostrzegłam na odbiorniku małe pulsujące światełko. A dzwonek? Co się do cholery stało z dzwonkiem? I przypomniałam sobie, że gdy weszłam, sama specjalnie go wyłączyłam.

— Richard mówi, że mają na dole dziewczynę z fałszywymi dokumentami — wyjaśnił Mikę. — Chyba nie jest pełnoletnia.

— Po jaką cholere takie tu przyjeżdżają? — spytałam.

— Liso, gdybym się dowiedział o Edenie jako siedemnastolatek, skoczyłbym tu na spadochronie. — Już stanął przed otwartą szafą, gotów pomóc mi się ubrać.

Siedziałam przez chwilę, nienawidząc faktu, że moi współpracownicy mnie potrzebują. Jednak praca była lepsza niż te sny, które w gruncie rzeczy nie były przecież snami.

— Michaelu, zobacz, czy mam w barku trochę dobrego czerwonego wina — poleciłam. — Mogę się ubrać sama.

Rozdział 9

Gość w cieniu

Było ciemno.

Stałem znowu na palcach z opuszczoną głową i przegubami przymocowanymi do haka — tak samo jak kilka dni temu na jachcie. Stałem tak drugą noc z kolei. Przyjemne sny. Blisko mnie znajdowali się inni niewolnicy, a co jakiś czas drzwi się otwierały, wzdłuż naszego rzędu przechodził służący i smarował olejkami nasze obolałe pośladki i nogi. Wspaniałe doznanie. Rzadziej oferował nam wodę, którą i tak mogliśmy jedynie lizać.

Całe popołudnie i wieczór czyściliśmy toalety — nie prywatne łazienki bungalowów i apartamentów — lecz publiczne toalety na wszystkich piętrach budynków Klubu, pomieszczenia przyległe do licznych salonów i basenów pływackich. Pełnoprawni niewolnicy z mopami i szczotkami do szorowania większość pracy wykonywali na rękach i kolanach. Muskularni służący, którym podlegaliśmy, wesoła gromadka prawdziwych bystrzaków lubiła sobie na nas poużywać, kopiąc nas czubkami butów i traktując wszędochyłskimi skórzanymi rzemieniami.

Szybko odkryłem, że Klub to miejsce najwyższego wtajemniczenia dla osób lubujących się w poniżaniu innych i wydawaniu rozkazów. Nie sposób chyba wymyślić niczego bardziej boskiego i upokarzającego od mojej kary. Ośmiogodzinne drażnienie doprowadziłoby mnie na pewno do najwspanialszego orgazmu, jakiego kiedykolwiek doświadczyłem... tyle że moi prześladowcy odsuwali moment przyjemności w nieskończoność.

Wchodziłem do tysiąca salonów i barów — wszędzie widziałem pięknych i uprzywilejowanych ludzi, którzy nawet na mnie nie patrzyli. Stanowili swego rodzaju dodatek do tej wspaniałej tortury. A służący, ilekroć mieli okazję, wykorzystywali nas do podniecających zabaw i gier, ot, tak, by po raz tysięczny zasugerować nam, niewolnikom, jak mógłby wyglądać nasz orgazm.

Jednak genialność tej tortury, jej prawdziwy cel, polegał na „odzieraniu” niewolnika. Pozbawiano nas tu nerwowości, zahamowań i przykrego uczucia, że za każdym rogiem czai się niemożliwy do zdania test.

Czułem, że przełamuję w sobie kolejne umysłowe bariery.

Stawałem się częścią tutejszego układu. Więc kara działała. Byłem wdzięczny za noc niewygodnego odpoczynku i bez oporów akceptowałem fakt, że za niecałe sześć godzin znowu będę sprzątał i szorował w blasku światła oraz na oczach przechodzących modnie ubranych członków Klubu. Trzy dni takiej pracy! A prawdziwe szkolenie nawet się jeszcze nie zaczęło.

Prawdziwe szkolenie łączyło się z ciemnowłosą, ciemnooką panną o pięknych dłoniach i imieniu Lisa. „Elliotcie, wygrałeś los na loterii”.

Jednak na razie starałem się o niej nie myśleć. Szczególnie że ilekroć usiłowałem ją sobie wyobrazić lub przypomnieć sobie ton jej głosu, kręciło mi się w głowie.

Lepiej myśleć o czymś innym. Lepiej mieć nadzieję, że po trzech dniach czyścica, po trzech dniach wycierania i szorowania będę tak zahartowany, że wytrzymam piekło.

A może czekało mnie niebo?

Jeżeli dobrze już poznałem zasady działania Klubu, zapewne czekało mnie jednocześnie i piekło, i niebo.

Zdaje mi się, że na wpół spałem, gdy usłyszałem osobliwy dźwięk w cieniu. Najpierw dotarło do mnie stukanie butów na marmurowej podłodze, prawdopodobnie tuż przede mną,

tuż przed wąskim paskiem cienkiego dywanika, na którym stałem na obolałych nogach. Ale ten osobliwy odgłos? Zapalniczka, tak, krótki trzask zapalniczki.

Otworzyłem oczy.

Po mojej prawej stronie stała w ciemności jakaś postać. Wysoka, lecz nie tak wysoka jak tutejsi mężczyźni. Po chwili zaś owionął mnie słodki, upajający zapach Chanel.

Nie miałem co do tego wątpliwości. Była tu Lisa. W moje życie weszła kobieta.

Dostrzegłem świetlne refleksy na jej długich lśniących włosach. I iskiarki w jej oczach.

Jeszcze blask pierścionka na palcu. Poza tym sylwetka była całkowicie ciemna. Nagle zauważyłem błysk światła na jej bucie przy podbiciu stopy, coś załśniło też w jej rękę. Gdy kobieta podeszła bliżej, w mroku zamigotała jej śnieżnobiała bluzka z małymi lśnięcymi perłowymi guzikami. Twarz Lisy jaśniała, jakby rozpraszając ciemność.

W dzień na pewno spuściłbym wzrok, tak jak nas tu uczono. Była jednak noc, więc patrzyłem.

Lisa zbliżyła się jeszcze bardziej. Poczułem na swoim policzku jej gorącą małą dłoń, a moich warg dotknęło coś zimnego.

Wciągnąłem bogaty, owocowy aromat wina i otworzyłem usta. Przepyszne czerwone bordeaux o odpowiedniej temperaturze. Wypiłem duży łyk, a gdy kobieta odsunęła kieliszek, oblizałem językiem wargi.

Oczy Lisy były ogromne, ciemne, przenikliwe.

— Cieszysz się swoją karą wśród szczotek i wiader? — spytała szeptem, bez najmniejszego cienia ironii.

Usłyszałem, że odpowiadam cichym śmiechem.

Niezbyt inteligentnie. Spiałem się, lecz dostrzegłem, że Lisa również się uśmiecha.

Otarła się nagim przedramieniem o moje biodro i pogładziła dłonią moje pośladki.

— Och! — Drgnąłem zbyt szybko, zeszytniałem zbyt gwałtownie: zeszytniały mi nie tylko mięśnie nóg, lecz także członek.

— Brzydki chłopiec — powiedziała moja pani. Uszczypnęła mnie, a jej palce przypawiły mnie o dreszcz, tak samo jak wcześniej w sali powitań.

Mój puls szalał. Czuję go w swoich skroniach. Piersi Lisy niemal dotknęły mojej klatki piersiowej, po czym kobieta szybko się cofnęła.

— Czego się tutaj nauczyłeś? — spytała.

Znowu o mało się nie roześmiałem. Byłem pewien, że wiedziała o tym.

— Całkowitego posłuszeństwa, pani — odparłem. Mimo mojego wesołego tonu stwierdzenie było absolutnie prawdziwe.

Jednak to, co Lisa robiła ze mną teraz, wydawało mi się gorsze od mioteł i szmat. W Klubie każda seksualna podnieta była straszna, gdyż stale oddalał się ode mnie moment spełnienia. Powoli spełnienie stawało się dla mnie czymś mitycznym i niemożliwym do osiągnięcia. Pobudzano mnie przez cały czas, raz mocniej, raz słabiej. Góra, dół, góra, dół. A Lisa kojarzyła się z pobudzeniem maksymalnym, z Mount Everestem podniecenia.

— Podaj mi jakiś konkretny szczegół — poleciła jak najpoważniej. — Opowiedz o czymś całkowicie dla ciebie nowym, czego się tutaj nauczyłeś. O ile coś takiego istnieje. — W jej głosie nie słyszałem śladu sztucznego dramatyzmu. Jej tor był serdeczny, a jednocześnie ostry. Owiewał mnie lekki zapach Chanel. Widziałem zarysy jej twarzy.

Usiłowałem wymyślić jakąś sensowną odpowiedź. Jednak wszystkie moje myśli obracały się wokół moich genitaliów i Lisy — jej wyglądu, zapachu, dotyku jej palców.

Znowu podniosła kieliszek z winem. Wypiłem powoli, po czym zrobiłem głęboki wdech. Nic nie pomagało.

— Więc czego się nauczyłeś? — zapytała ponownie, tym razem ostrzejszym głosem. Skojarzyła mi się z nauczycielką, która na pewno uderzy mnie linijką, jeśli za chwilę nie wyrecytuję całej tabliczki mnożenia.

— Że się boję — odparłem, sam się sobie dziwiąc.

— Boisz się? — powtórzyła. — Ludzi, którzy cię wykorzystują? — spytała. — Czy też mnie?

— I ich, i ciebie, pani — odrzekłem. — Sam nie wiem, kogo bardziej.

Natychmiast pożałowałem swoich słów i zapragnąłem je cofnąć. Nie wiedziałem, skąd mi się wzięły.

Byłem — jak to nazywał Martin i wszyscy jego klienci — szkolony w głosie. Co oznaczało, iż znam wszystkie rytualne odpowiedzi, czyli takie, które nie tylko ukrywają prawdę pod pozorem rytuału, lecz także podniecają.

— Czy ludzie z brygady mopa i szczotki... czy cię dręczą? — spytała.

— Oczywiście. Ilekroć mają okazję — odrzekłem. Moje policzki zalał gorący rumieniec. — Na razie głównie zarzucają mnie robotą i obrzucają wyzwiskami. Jak dotąd nie było czasu na coś innego.

Ja to mówiłem? Do niej?

— Jesteś twardym facetem, nieprawdaż? — zapytała tonem ponownie wolnym od ironii. Wręcz przeciwnie, wydawało mi się, że słyszę w jej głosie troskę.

— Tylko jeśli sobie tego życzysz, pani. — Była to oczywiście jedna z rytualnych odpowiedzi. Tyle że zabrzmiała cholernie sarkastycznie.

Serce mi biło zbyt głośno i zbyt szybko. Mimo to Lisa znowu się uśmiechnęła, chociaż nie był to uśmiech ani szeroki, ani swobodny.

— Dlaczego cię przerażam? — spytała. — Nigdy cię nie karała żadna kobieta?

— Rzadko, pani. — Poczulem lekki ucisk w gardle. Przypomniałem sobie te śliczne istoty w domu Martina, nagie w wy — szukanych wiktoriańskich sypialniach. Ich widok doprowadzał mnie do szaleństwa. I ta rosyjska hrabina w wiejskiej willi, kobieta, która tylko na mnie patrzyła. Tak, miałem podobne doświadczenia, choć nie przygotowały mnie na to, co się działo teraz.

— Jesteś zbyt dumny, by dać się ukarać kobiecie, Elliotcie? — szepnęła. Typowo rytualne pytanie.

— Nie, jeśli kobieta jest dobra — odparłem. „Niech to szlag, muszę to przerwać”, powiedziałem sobie.

Lisa jednak znów się roześmiała. Usiłowała to ukryć, obracając się trochę w bok, a jednak usłyszałem cichy śmiech.

Wyobraziłem sobie nagle, że ją całuję, ujarzmiam pocałunkami, rozpinam perłowe guziki jej bluzki. Nie potrafiłem myśleć o niej w inny sposób, stale widziałem ją w swoich ramionach, stale ją w myślach całowałem, namiętnie, szaleńczo. Po prostu świetnie. Zupełnie nad sobą nie panowałem.

Dlaczego działo się ze mną coś tak dziwnego? Najpierw durny, szalony popis na scenie, potem osobliwe emocje w sali powitań i teraz tu.

— Naprawdę się mnie boisz, Elliotcie? — spytała. Zarumieniłem się jeszcze bardziej. Na szczęście kobieta tego nie widziała, było zbyt ciemno. — W twoim głosie nie słyszę strachu.

Widziałem białą koronkę jej bluzki. I bladą skórę długiej szyi. Jej głos dotykał miejsc gdzieś głęboko w moim wnętrzu, miejsc niezwykle wrażliwych i niezbadanych.

— Boję się — szepnąłem. Milczała.

— Może rzeczywiście powinieneś się mnie obawiać — powiedziała tonem, z jakim powierza się ważne sekrety. — Wstyd mi za ciebie, że się wpakowałeś w takie kłopoty. Sprawię, że pożałujesz swoich wysoków.

Przełknąłem ślinę, starając się powstrzymać zarówno lekki grymas, jak i ironiczny uśmiešek.

Wspięła się na palce, jej włosy musnęły moje nagie ramio — na, zapach perfum owionął mnie. Usta Lisy znalazły się przy moich, koronka bluzki przylgnęła do mojej piersi. Wysokie

napięcie, szok, utrata oddechu. Jej wilgotne wargi rozchyliły się. Dotknąłem penisem śliskiej skóry jej spódniczki, a później wpiłem się w usta mojej pani i ssałem mocno, rozsuwając jej wargi szerzej, wpychając w jej usta język, naciskając na jej ciało członkiem. Puściła mnie nagle i zrobiła krok w tył.

Wyciągnąłem się naprzód — tak daleko jak mogłem na skórzanych więzach — i pocałowałem Lisę mocno w szyję, zanim odskoczyła.

— Przestań — poleciła, odsuwając się ode mnie jeszcze o krok.

— Jestem twoim niewolnikiem — odparłem szeptem. Tym razem mówiłem serio. A jednak nie mogłem się oprzeć, więc dodałem: — Poza tym nie potrafię się urwać z tego przeklętego haka.

Przez sekundę wydawała się zbyt zaskoczona i oszołomiona, by cokolwiek powiedzieć, więc tylko utkwiała we mnie wzrok i pocierała miejsce, w które ją pocałowałem, jakbym jej odgryzł kawałek ciała.

— Jesteś okropnie niepoprawny! — odburknęła wreszcie wściekłym głosem, chociaż chyba dostrzegłem w jej twarzy również dziwną niepewność i brak zrozumienia.

— Nie zamierzałem — odrzekłem z wielką skruchą. Naprawdę pakowałem się w kłopoty. — Wierz mi, pani, nie chciałem, szczerze. Przyplływając tu, planowałem przestrzegać wszystkich reguł. Nie chcę sprawiać takich problemów.

— Zamknij się.

Chwila napięcia. Krew tętniła mi w głowie i w miejscach intymnych. Zastanowiłem się, czy na wyspie znajduje się więzienie dla najgorszych typków. Może najkrnąbrniejsi niewolnicy kopali rowy połączeni jednym łańcuchem. Czy będę miał uczciwy proces? Czy Lisa zostanie świadkiem oskarżenia? Czy Martin wyśle telegram z prośbą o łaskę dla mnie? Prawdopodobnie nie.

Kobieta podeszła ostrożnie, niczym do dzikiej bestii. Nie patrzyłem na nią.

— Postanowiłam pocałować cię jeszcze raz — szepnęła. — Lecz tym razem pozostaniesz nieruchomy.

— Tak, pani.

Stała przy moim prawym boku, starając się mnie nie dotknąć, a później... ponownie doświadczyłem trzystuwoltowego wstrząsu, jednak tym razem wiedziałem, że i ona płonie. Nasze pocałunki podniecały nas oboje. Lisa przylgnęła do mojego boku i otoczyła mnie ramieniem. Kiedy nagle znów mnie puściła, odwróciłem głowę. Tak, góra, dół, góra, dół. Prawdziwy Mount Everest podniecenia.

— Będę na ciebie czekała, Elliotcie — powiedziała.

— Tak, pani — odparowałem, ciągle niezdolny na nią popatrzeć. Odgłos jej oddalających się stóp był dla mnie straszliwą torturą.

Rozdział 10

Amerykańska miss nastolatek

Szłam do budynku administracji szybkim krokiem ściganego zwierzęcia.

Czułam, że mam lekką gorączkę. Stale dotykałam swoich ust, ponieważ wciąż drżały. Odniosłam wrażenie, że Elliott — całując mnie w ten sposób — pozostawił na nich swój ślad, niczym bohater romansów. Stale pamiętałam jego zapach, nieco słony zapach jego skóry.

Tak, był sto razy piękniejszy niż na zdjęciach.

Jednak manieri miał okropne i wcale tego nie ukrywał. Jego paskudny charakter ujawniał się w każdym uśmiechu i wypowiedzi.

„Daj sobie z nim spokój, Liso!”

Miałam do czynienia ze zdrowym, pełnokrwistym Amerykaninem, który przybył tu odgrywać przez dwa lata rolę niewolnika. I okazało się, że ktoś taki potrafi zauroczyć kobiety i wie, jak używać do tego celu oczu i głosu.

Wpadłam w jego sidła. Nie trzeba było sprawdzać go tak wcześnie, nie trzeba było odkładać słuchawki... Poza tym czekano na mnie w biurze, a ja tymczasem zeszałam na dół spotkać się z Elliottem!

W ciągu najbliższych kilkadziesiąt godzin nie wolno mi zejść do niego i kraść mu całusa, jakbyśmy byli małolatami na tylnym siedzeniu chevroleta. Muszę się powstrzymać. Cała kara trwała wszak tylko trzy dni.

Głos miał taki sam jak spojrzenie. Prawdziwie obecny, żywy. Ale właśnie tego od nich wymagamy, czyż nie? Mają powstrzymać swoje fantazje, a równocześnie stawać się obiektem fantazji. Co zatem tak mnie przeraża w Elliotcie?

Mimo późnej godziny w Klubie trwała zabawa. Od jednego końca wyspy do drugiego światła pulsowały za zasłonami setek okien. Niebo było niezgłębionym granatem rozświetlonym w jednym punkcie przez księżyc w pełni.

Przeszłam szybko przez drzwi wyłożonego ciemnymi dywanami kasyna, nie chciałam bowiem, aby ktoś mnie tu zobaczył lub się do mnie odezwał. Zerkałam tylko czasem na nagich niewolników kręcących się zrećnie wśród nieskończonego morza stolików. Trzymając wysoko tace, śpieszyli przyjąć zamówienia, podać wino, mocniejsze trunki lub egzotycznie kolorowe i udekorowane koktajle.

Za grubymi, mrocznie oświetlonymi szklanymi ścianami prezentowali swe wdzięki niewolnicy zwijający się lub wyteżający siły w więzach; kończyny mieli pokryte złotym lub srebrnym proszkiem, we włosy łonowe wpleciono im klejnociki. Na scenie w drugim końcu odgrywano krótką sztukę: rzymscy panowie surowo karali dwie greckie niewolnice w kajdanach połączonych cienkimi łańcuchami.

W prywatnych salonikach rozgrywały się bardziej intymne dramaty. Członkowie Klubu przywoływali swoich niewolników. Ponad ciemnymi, lśniącoimi butelkami w barku przeżył się rząd młodych mężczyzn z rękoma związanymi wysoko nad pochylonymi głowami. Wyglądali jak seria posągów Michała Anioła ustawionych na karuzeli.

Dostrzegłam Scotta zwanego Panterą, naszego mrocznego przystojniaka, genialnego Trenera Trenerów, pogrążonego w żywiołowej rozmowie ze starym angielskim lordem, nowym członkiem Klubu, który kręcił się po wyspie od miesiący. Na widok Kitty Kantwell ogarnęło mnie podniecenie. Dziewczyna przy — kucnęła u stóp Scotta, na dywanie, i w milczeniu czekała na rozkaz swego nowego pana.

Zatem Scott wybrał Kitty. Nieźle dziewczyna trafiła. Prawdopodobnie zabrał ją od razu do klasy nowych trenerów i użył podczas demonstracji. Powinam była pójść na te zajęcia, może bym się czegoś nauczyła. Wreszcie myślałam jak dawna Lisa, interesowałam się dawnymi sprawami, przybierałam stare miny.

Pobożne życzenia, moja droga. Tak naprawdę myślałam wyłącznie o jego trzech dniach na dole. Cóż. Musiałam przyznać, że odkąd ponownie znalazłam się na wyspie, niewiele czułam. Właściwie przestałam cokolwiek czuć jeszcze przed odlotem na wakacje.

Nie liczyło się nic z wyjątkiem dzisiejszego pocałunku z Elliotem Slaterem.

* * *

Gdy weszłam, Richard zwany Wilkiem wstał z krzesła przy biurku.

— Przepraszam, że cię obudziłem, Liso — zagaił. — Usiłowałem się z tobą skontaktować wcześniej, ale...

— Masz prawo mnie budzić, ilekroć zajdzie potrzeba. Po to tu jestem. Co się dzieje? — spytałam.

Richardowi towarzyszyli dwaj treserzy, którzy wyglądali na nieco bladych i mocno zmęczonych długim dniem. Teraz stali nieruchomo, z założonymi rękoma, wręcz próbując się wtopić w białe ściany.

Przed biurkiem natomiast siedziała i szlochała teatralnie dziewczyna w krótkim, przewiązanym paskiem szlafroczką z białej frotki. Co jakiś czas uderzała pięścią w kolano.

— Amerykańska Miss Nastolatek — mruknął Richard. — Lekarze twierdzą, że nie ma nawet siedemnastu lat.

Gdyby nie sprzeczka o Elliotta, pewnie zapamiętałbym tę dziewczynę z sali powitań. Ponętne, widoczne pod odgiętą klapą szlafroka piersi i długie, pięknie ukształtowane nogi. Nastolatka gniewnie odrzuciła czarne loki, wydeła ku mnie dolną wargę i przymknęła oczy, łkając przeraźliwie. Richard wskazał mi swoje krzesło.

— Nie możecie mi tego zrobić! Musicie mnie przyjąć! — oświadczyła dziewczyna jazgotliwie, krzywiąc usta i marszcząc zapłakaną twarz. Potrząsnęła głową, po czym znowu uderzyła pięścią w kolano. Na pierwszy rzut oka nie wyglądała na niepełnoletnią, lecz wystarczyło, że się odezwała, i sytuacja stawała się jasna.

Richard podał mi raport medyczny. Pan Kandydatów wyglądał na zaspanego, jego głęboko osadzone oczy były nieco zaczerwienione, lecz mimo to wydawał się rozbawiony całym zdarzeniem. Nie uśmiechałam się. Dla mnie sprawa była po prostu nieznośna, a rozmowa z nastolatką stanowiła w tym momencie najgorszy z obowiązków.

— Słuchaj — zaczęłam. — Jesteś za młoda na kontrakt z Edenem, a twoje dokumenty są fałszywe.

— Nieprawda, cholera! — wrzasnęła. — Mam dwadzieścia jeden lat. Szkolił mnie Ari Hassler i mogę...

— Rozmawiałeś z Hasslerem? — spytałam Richarda.

— Zaprzecza wszystkiemu, twierdzi, że ta mała zupełnie go ogłupiła — odparł znużonym głosem. — Dziewczyna ma fałszywą metrykę i prawo jazdy...

— Nie jest fałszywe. Mam dość lat, by tu być, niczego mi nie wmówicie!

— Jesteś małoletnia i nie ma dla ciebie miejsca na wyspie — odparłam. — Odlatujesz dzisiaj wieczorem.

Popatrzyłam na Richarda.

— Nie mogę jej zmusić do przyznania się. Ma przygotowane odpowiedzi na każde pytanie. — Obniżył głos. — Założę się, że nie ona jedna nas oszukała.

— No cóż, w takim razie znajdziemy innych! — oznajmiłam ze złością. — Poddaj całą grupę badaniu. Jeśli są wśród nich nieletni, opuszczą wyspę.

— Proszę... — Nastolatka pochyliła się do przodu, skromnie zaciskając poły szlafroka. — Pozwólcie mi pozostać, prze — cięż zgodnie z moimi dokumentami mam dwadzieścia jeden lat, więc czego się boicie? Nie wierzę, że mnie nie chcecie. Popatrzcie na mnie. Widziałam innych. Jestem równie dobra jak...

— Wybierz sobie miasto — przerwałam jej zimno. — Przyjemny prywatny lot do Miami, a stamtąd pierwszą klasą do wybranego portu lotniczego. Pakuj się, zaraz lecisz.

— Chcę zostać tutaj! Jeśli nie rozumiecie, co to dla mnie znaczy, porozmawiajcie z moim trenerem, on wam powie, że byłam idealna. Spójrzcie na mnie, mówię wam, szkolili mnie najlepsi.

— No dobrze, odstawcie ją do Los Angeles.

— Nie! — krzyknęła. Zagryzła wargę, oczy nieco jej się zamglily, prawdopodobnie się zastanawiała. — Niech będzie Nowy Jork — wymamrotała w końcu.

— W porządku, Nowy Jork. Dwie noce w Plaža i dajcie jej tysiąc dolarów. — Przyjrzałam się nastolatce. — Użyj ich mądrze, jak mówi stare przysłowie.

— Suka!

— Och, chętnie bym cię nauczyła manier, zanim stąd znikniesz — odwarknęłam szeptem. Obserwowała mnie, rozpaczliwie usiłując coś wymyślić. — Zabierzcie ją stąd — poleciłam treserom.

— Podaj mi choć jeden dobry powód, dla którego mi to robisz — poprosiła. Łzy spłynęły po jej puciołowatych policzkach, ale oczy pozostały zimne jak dwa kamienie. — Dobrze wiesz, że członkowie Klubu mnie pokochają. Przyznaj to. Czemu, do diabła, wolisz kogoś sześć lat starszego ode mnie, na litość boską?

— Kochanie, to okrutny świat. Słyszałaś kiedyś taki termin „osoba dorosła świadoma swoich czynów”? Nie pracujemy ze świrami, z małoletnimi ani z ludźmi zmuszanymi do niewolnictwa. Wróc zapieć lat i być może... tylko być może... wtedy z tobą porozmawiamy. I nie próbuj nas oszukać pod innym nazwiskiem. No dobrze, zabierzcie ją. Jak najszybciej odstawcie tę pannę do Miami.

— Nienawidzę cię, ty suko! — wrzasnęła. Jeden z treserów usiłował pomóc jej wstać, a ona wbiła mu łokieć w brzuch. — Nie możesz mi tego robić, moje papiery są w porządku. Zadzwońcie do Ariego! — Inny treser otoczył ramieniem jej talię. — Wszystko powiem pieprzonemu „New York Timesowi”!

— Nie trudź się — odparłam. Starła się oderwać rękę tresera od swojego pasa. — Ale jeśli mówisz poważnie, w Bungalowie H jest dwóch reporterów z „New York Timesa”. A w głównym budynku na piątym piętrze znajdziesz też faceta z NBC.

— Zdaje wam się, że jesteście strasznie sprytni. Rozpieprzę tę wyspę w cholere!

— Kochana, wszyscy o nas piszą. Idź do biblioteki i poszperaj. Kiedy niewolnik „zdradza wszystkie szczegóły”, trafia na ostatnią stronę brukowca i jego historia pojawia się obok dramatycznych iikliwych opowieści eks-panienek na telefon i porno gwiazdki, która odnalazła Chrystusa. Co do „New York Timesa”, szczerze ci radzę, zapomnij o tej gazecie. Słyszałaś kiedyś frazę „wiadomość, która nadaje się do druku”?

Treserzy podnieśli dziewczynę z podłogi. Gdy wynosili ją z pokoju, wierzgała wściekle nogami.

Drzwi zamknęły się za nimi cicho, a ja i Richard popatrzyliśmy po sobie.

— Ari na pierwszej linii. Podniosłam słuchawkę.

— Na Boga, Liso, nic nie rozumiem. Ta panienska na pewno dawno temu ukończyła szesnaście lat. Jeśli jest inaczej, tracę rozum.

— Ari, dopiero co ją widziałam. Amerykańska Miss Nastolatek. Nie wciskaj mi bzdur.

— Mówię ci prawdę, Liso, nie wiem, o co tu chodzi. Miała cały szereg dokumentów. Poddałaś ją testom, Liso? Dwa lata przepracowała jako kelnerka w Village, gdzie podawała

drinki. Poza tym to dynamit nie dziewczyna. Mówię tobie, na pewno ma więcej niż szesnaście lat. Nawet mnie nauczyła paru sztuczek.

— Nie kupimy już nikogo od ciebie, Ari — oświadczyłam.

— Nigdy i nikogo.

— Liso, nie możesz mi tego zrobić. Nie pojmujesz...

— Kończę z tobą współpracę, Ari. Nawet jeśli masz kobietę z ciałem Raquel Welch i twarzą Greta Garbo.

— Liso, ta mała mogłaby oszukać samego pana Boga. Sprzedawałem ci zawsze najlepszy towar po tej stronie Gór Skalistych, nie dostaniesz niewolników ze wschodnich stanów od nikogo innego...

— Słyszałeś kiedyś o Gregorym Sanchezie z Nowego Orleanu? Albo o Peterze Slesingerze z Dallas? Sprzedałeś nam małą, Ari, szesnastoletnią dziewczynkę. Nie możemy ci już ufać, Ari. Do widzenia.

Odłożyłam słuchawkę.

Oparłam głowę o wysokie oparcie krzesła i zagapiłam się w sufit.

— Wyciągnąłem teczkę dwóch innych osób, które nam sprzedał — powiedział Richard, podchodząc do biurka z rękoma w kieszeniach. — Najmniejszych problemów. Mężczyzna ma co najmniej dwadzieścia trzy lata, a prawdopodobnie nawet nieco więcej, kobieta zaś ukończyła dwadzieścia dziewięć lat.

— Przypatrzył mi się z uwagą. — Najlepsze towary — dodał, lekko przechylając głowę.

Kiwnęłam głową.

— Co z pieniędzmi?

— Opuśćmy sobie — odrzekłam. — Jak znam Ariego, dziewczyna nigdy nie zobaczy ani centa. Ale nie chcę już rozmawiać z Arim. Mam dość pełnienia roli policjantki wobec dzieci i kłamczuchów.

— Tyle że... — powiedział chłodno Richard — ta młoda istota właściwie nie była dzieckiem. — Popatrzył z ukosa, jak zawsze, gdy mówił poważnie. Jego zmrużone oczy błyszczały.

— Pierwszą miesiączkę dostała prawdopodobnie jako jedenastolatka, dwa lata później straciła dziewictwo... o ile nadal używa się tego barbarzyńskiego określenia. Nie kłamała, mówiąc, że jest doświadczona. Zapewne przepracowała w prywatnych pokojach Ariego dobre sześć miesięcy. Prawie dostała orgazmu, gdy ją dotknąłem. Uderz ją pagajem, a skóra zaczyna jej promienieć. — Kiwnęłam głową. — Znam te wszystkie stare argumenty — ciągnął. — Od Katmandu po Kansas nasza marka oznacza: „żadnych nieletnich, żadnych szaleńców, żadnych jeńców, żadnych narkotyków. Tylko osoby dorosłe świadome swoich czynów!”

Zapatrzył się w dal trochę tęsknie, oczy zamglily mu się i zwężyły w szparki, wszystkie zmarszczki na jego twarzy podkreślały odczuwane emocje.

Przeczesał palcami włosy.

— Nie dokuczaj mi — szepnął. — Sam ją wybrałem. I sam ją wydałem.

— Nie lubię chwalić ludzi tylko dlatego, że zrobili najmniej z tego, czego się po nich spodziewaliśmy. Mam zrobić wyjątek i pochwalić ciebie?

— Ale czy to jest fair, ta zasada? Widzisz... Po wszystkim, co ta mała robiła i czego się nauczyła?

— Chcesz mnie zmienić w belferkę albo socjologa? — spytałam. Byłam na niego zła. — Przypomnę ci tylko o pewnej sprawie... na wypadek gdybyś zapomniał, gdzie się znajdujemy. Nie mamy tu łańcucha mrocznie oświetlonych pokojów, do których wpada się w sobotnią noc, by urzeczywistnić fantazje, które śniłeś przez cały tydzień. Klub jest miejscem totalnym, jest środowiskiem, które pochłania i wymazuje wszelką „inną”, znaną danej osobie rzeczywistość. Tu fantazje stają się prawdą! — Przerwałam. Byłam po prostu wściekła.

Staralam się zapanować nad głosem. — No i weź pod uwagę, jaki to okres jej życia — dorzuciłam. — Chodzi mi o czas między szesnastym a dwudziestym pierwszym rokiem życia... wiesz, jakie to lata...

— Obecnie dziewczęta w tym wieku nie są już czyste i posłuszne — wtrącił.

— Ale to nie jest zwykły czas w ich życiu! To młodość, której ta dziewczyna nie powinna zmarnować u nas, szczególnie że my nie potrzebujemy tak cennej ofiary ani od niej, ani od nikogo innego. Wystarczą nam zwyczajni, starsi kandydaci. Nie obchodzi mnie, jak bardzo jest uległa, piękna, przygotowana! Jaka będzie twoim zdaniem... za dwa lata?

— Rozumiem — przerwał mi.

Nie byłam pewna, czy ja sama rozumiałam własne słowa. Słyszałam w moim głosie nutkę hysterii. Stale nawiedzało mnie wspomnienie posiadłości w Hillsborough, mojego pierwszego pana, autostrady, po której pędziliśmy limuzyną. Kłótnie z Jeanem Paulem. Och, gdybym wtedy znała Martina Hali — faxes...

Nagle poczułam się przygnieciona wielkością i potęgą Klubu. Ile rzeczy się jeszcze zdarzy, zanim ten nowy sezon zacznie się na dobre?

— Nie wiem, co się ze mną dzieje — mruknęłam. — Chyba od czasu do czasu Eden działa mi na nerwy.

— No cóż, sądzę, że każde z nas dojrzało w dość osobliwych warunkach. Może wszyscy żałujemy utraconej młodości...

— Nie mam czego żałować — odparłam. — Ale nie mieszkałam w Klubie ani jako szesnastolatka, ani jako osiemnasto — latka, ani nawet gdy miałam dwadzieścia lat. W tym tkwi sedno. Mogłam wtedy wchodzić i wychodzić, byłam wolna. Nie pchałam się w sytuacje, z których nie było wyjścia. — Richard ze zrozumieniem pokiwał głową. — Zresztą nie chodzi tylko o osoby nieletnie — dodałam. — Z każdym dniem coraz więcej się o nas pisze. W pewnych kręgach staliśmy się powszechnie znani. Byłabym skłonna się założyć, że każdy... naprawdę każdy, kto postanowi się z nami skontaktować, w końcu tu trafi. I nie trzeba wymyślać historyjek o nieletnich, wariatach czy jeńcach trzymanyh tu wbrew ich woli.

Właściwie... zadziwiające, że nikt wcześniej nie wymyślił takich opowieści. Szczególnie że wszystkie artykuły pisano „o nas bez nas”, to znaczy bez naszego potwierdzenia, zgody czy autoryzacji. W artykułach nie podawano żadnych faktów, a zdjęcia były mało wyraźne, pstrykane z samolotów, więc nie ukazywały bliższych szczegółów. Żaden reporter, który chciał o nas napisać, nigdy nie zdołał się dostać do Edenu.

Z wielu powodów. Bardzo dokładnie sprawdzaliśmy wszystkich członków Klubu i jeśli któryś wydawał nam się podejrzany, natychmiast usuwaliśmy go z wyspy, a wniesiona przez niego ogromna opłata przepadała. Jak dotąd nie dotarł tu żaden reporter — szpieg.

Na wyspie nie wolno było używać aparatów fotograficznych. Sami stosowaliśmy monitoring, lecz nie rejestrowaliśmy niczego na taśmach, więc nie można było ukraść nagrań. A elektroniczne urządzenia zamontowane w drzwiach rozmagnesowywały przemycone filmy czy kasety magnetofonowe. Tak więc nie istniały żadne dowody.

Co do niewolników, treserów, kierowców i wszystkich innych pracowników, ich lojalność wiązała się z finansami. Otrzymywali bajeczne pensje plus dodatkowe świadczenia, choć to lekkie niedopowiedzenie.

Alkoholu i jedzenia — do woli, a także służbowy basen, plaża. Nikt nie byłby w stanie zapłacić im dość za demaskatorski wywiad, poza tym gdyby „zdradzili”, nie przyjąłby ich do pracy nikt inny w żadnym klubie na świecie. Parę niezadowolonych osób, które z jakichś powodów zwolniliśmy, przełamało milczenie, lecz ich „niepotwierdzone relacje” spisano nieodpowiednio, stroniczo i na zbyt niskim poziomie nawet jak na brukowce, w których ukazały się artykuły. Dokładnie tak, jak powiedziałam przed chwilą usuniętej z Klubu nastolatce.

Kiedy ludzie piszą o kimś bez autoryzacji, mogą napisać wszystko. A jednak — choć pojawiło się kilka oględnych opowieści w „Esquire” i „Playboyu” oraz w brukowcach — artykuły nie wypaczały idei Klubu i nie znalazłam w nich kłamstw.

— Nie chodzi o to, czy ta dziewczyna jest gotowa — wyjaśniłam. — Po prostu musimy być ostrożni i pozostać bez skazy.

— Zgadza się z tobą — odparł. — Zbyt dużo zainwestowaliśmy, by ryzykować, a i nasi goście mają sporo do stracenia. Twierdzą tylko, że wielu nieletnich to w gruncie rzeczy osoby równie dojrzałe jak ja.

— Nie oszukuj się. Nie każdy tutaj boi się o swoje pieniądze — zadrwiłam. Czuję, że posuwam się za daleko, i miałam dość tej rozmowy. — Słuchaj, Richardzie, przepraszam — rzuciłam. — Nie jestem dziś wieczorem sobą. Miałam zbyt długie wakacje. Nienawidzę odwiedzać rodziny. Zewnętrzny świat nadszarpał mi nerwy.

— Oczywiście — przyznał cicho.

Znowu ogarnęło mnie osobliwe uczucie. Widziałam przed sobą twarz Elliotta Slatera, czułam dotyk jego ust. I nie mogłam zapomnieć mężczyzny z baru w San Francisco, mężczyzny, którego nazywałam panem Przystojnym. Trzy dni na dole... Boże, jakąż byłam zmęczona. Może teraz zdołam zasnąć. Może wszystkie wspomnienia do jutra znikną.

— No cóż, na dziś wypełniłeś już swoje obowiązki wobec niewolników i ich panów — oświadczył Richard. — Może pokręcisz się po Edenie i zabawisz.

Dostrzegłam subtelną zmianę w jego twarzy.

I zrozumiałam, że jest to wyłącznie reakcja na moją dziwną minę. Uświadomiłam sobie, że pogrążona w myślach i wspomnieniach bezwiednie na niego spojrzałam. Och, naprawdę nie byłam sobą.

— Zabawić się? — spytałam.

Studiował mnie z uwagą. Skinął głową. Wyglądał na zmartwionego.

— Tak powiedziałaś? Że mam się zabawić? — upewniałam się. Milczał. — Chciałabym zrobić wyjątek, Richardzie — ciągnęłam. — Chodzi o Elliotta Slatera. Proszę, skróćmy mu karę. Niech jutro po południu zjawi się w moich pokojach.

— Hmm... rzeczywiście nie jesteś sobą. Dostaniesz tego młodego człowieka za trzy dni.

— Nie — upierałam się. — Pokazałeś już wszystkim, że mamy surowe zasady, których przestrzegamy. A teraz proszę cię prywatnie, zrób dla mnie wyjątek. Chcę mieć Slatera jutro po południu. Nikt go jutro nie tknie. Rano się wykąpie, przygotuje i wypocznie, a o trzynastej zjawi się u mnie. Wydaj polecenia. Nikt się nie zorientuje. Inni kandydaci są zbyt zajęci, a trenerzy wręcz zawałeni robotą. Zresztą inni nic mnie nie obchodzą.

Przez długą chwilę Richard się nie odzywał. Potem mruknął:

— Jesteś szefową.

— Tak, szefową i inicjatorką... — odrzekłam.

— Okej zatem — podsumował cicho. — Skoro tak bardzo ci na nim zależy. Zatem jutro po lunchu.

Wstałam i ruszyłam do drzwi.

— Dzieje się coś paskudnego, tak? — spytał.

— O czym mówisz?

— Coś, co nie zaczęło się wcale podczas twoich wakacji

— kontynuował spokojnie. — Sytuacja dojrzewała już wcześniej.

— Nie — zaprzeczyłam, zdecydowanie potrząsając głową.

— Jestem tylko zmęczona. Dopilnuj, aby przysłali mi Slatera o trzynastej. Dopilnujesz?

— Jasne, moja droga. Mam nadzieję, że to załatwi sprawę.

Rozdział 11

Witajcie w domu

Coś złego, co dojrzewało przez długi czas? Żal po zmarnowanej młodości? Musiał istnieć powód dla tego natłoku wspomnień, prawda?

„Mam nadzieję, że to załatwi sprawę”, powiedział Richard.

Stałam w ogrodzie przed budynkiem administracyjnym i patrzyłam w gwiazdy, zawsze tak wspaniale jasne, gdy na niebie nie było chmur. Miałam wrażenie, że niebo ześlizguje się do morza. Japońskie latarnie słabo migotały w kwietnikach. Lilie pod ciemną koronką zimozielonego mirtu lśniły bielą jak księżyc.

Na ustach poczułam mrowienie, jakbym znów całowała się ze Slaterem. Elliott Slater był tak blisko mnie...

Czy wiesz, Elliotcie, że gościmy tu dzisiaj trzy tysiące członków? Tak, odnieśliśmy wielki sukces.

Usłyszałam stłumiony odgłos samolotu startującego po drugiej stronie wyspy. Amerykańska Miss Nastolatek odlatywała, wracając do świata hipokryzji i absurdów związanych z wiekiem dojrzewania. Przepraszam, mała, i powodzenia.

Jednak ja naprawdę niczego nie żałowałam, naprawdę. Nie o to chodziło. Richard się mylił, przynajmniej w tej jednej kwestii. Strasznie skłamałabym, gdybym powiedziała, że z pierwszymi moimi kochankami nie robiłam tego, co chciałam. A kiedy nie chciałam posunąć się dalej, walczyłam z Jeanem Paulem...

Coś jednak rzeczywiście we mnie dojrzewało, coś, czego nie rozumiałam, choć zawsze sama dokonywałam wszystkich wyborów.

Na pewno sama zdecydowałam, gdy po raz pierwszy zadzwonił do mnie Martin Halifax.

Oczywiście słyszałam o nim, o tym tajemniczym właścicielu rezydencji, którą nazywano Domem. W pierwszej chwili ogarnęły mnie mieszane uczucia i o mało nie odłożyłam słuchawki.

— Nie, Liso, mam dla ciebie propozycję innego rodzaju — powiedział. — Sprawę, która może ci się w tej chwili wydać łatwiejsza. Mogłabyś, że tak to ujmę, spróbować stanąć po drugiej stronie...

Amerykański akcent. Podobnie przemawiali starsi duchowni w moim dzieciństwie, ci, którzy nie brzmiali jak protestancy pastorzy, lecz należeli do starej gwardii irlandzkich księży katolickich.

— Po drugiej stronie?

— Najlepsi panowie i panie wywodzą się z grona najdoskonalszych niewolników — wyjaśnił. — Bardzo chciałbym o tym z tobą porozmawiać, Liso. Pragnę mieć cię u siebie, stań się częścią Domu. Jeśli z jakiegoś powodu obawiasz się tu przyjechać, spotkam się z tobą w innym, dowolnie przez ciebie wybranym miejscu.

Domem nazywano wiktoriańską kamienicę. Martin przyjął mnie w pomieszczeniach na parterze, które wyglądały dziwnie, niemal zabawnie i przypominały mi bibliotekę mojego ojca, tyle że dostrzegłam tu więcej drogocennych przedmiotów, a ściany i okna zostały tak wygłuszone, że nie docierały tu żadne odgłosy z zewnątrz. Na półkach nie było też katolickich książek. No i nie było kurzu.

A sam Martin? Oprócz tego cudownego głosu miał także najbardziej przyjazną twarz, jaką kiedykolwiek widziałam. Prosty, naturalny, zdumiewająco bezpośredni.

— Wszystko zaczęło się od wiary i od przypuszczeń — zagał. Na moment złożył dłonie, stykając palce jedynie opuszkami, po czym położył ręce na biurku. — ...I od podejrzeń, że na świecie jest mnóstwo osób, setki, może tysiące osób, które... tak jak ja... żyją schwyte w sieć nowoczesności, a wieczorami wędrują po ulicach, zaglądając do barów i mimo niebezpieczeństw, mimo narażania się na chorobę, śmieszność i Bóg wie na co jeszcze... szukają miejsca, gdzie mogliby odegrać własne małe dramaty, wspaniałe, a równocześnie przerażające sztuki dramatyczne, które wcześniej setki razy urzeczywistniali... urzeczywistnialiśmy w naszych głowach.

— Właśnie. — Chyba się wtedy uśmiechnęłam.

— Nie uważam ich za niewłaściwe, na pewno wiesz. Nigdy ich za takie nie uważałem. Nigdy! Każde z nas ma w swojej duszy mroczną komnatę, w której rozkwitają nasze prawdziwe pragnienia. Często nie mówimy o swoich fantazjach nikomu, gdyż nikt by nas nie zrozumiał. Bywamy z tego powodu samotni.

— Dokładnie. — Pochyliłam się na krzesło, nieoczekiwanie rozbrojona i ogromnie zainteresowana.

— Postanowiłem stworzyć bardzo szczególne miejsce — ciągnął — tak szczególne jak te mroczne komnaty, które nosimy w swoich sercach. Miejsce, w którym moglibyśmy spełnić nasze pragnienia. Dom, czysty, ciepły, bezpieczny dom. — „Czy my, masochiści, wszyscy jesteśmy poetami? — zastanowiłam się. — Czy w głębi serca wszyscy jesteśmy marzycielami, dramaturgami...?” W twarzy Martina dostrzegłam jakąś niewinność, a jednocześnie rzeczowość. Nie był ordynarny, pokrętny ani kpiący i na pewno niczego się nie wstydził. — ...Przez rok odkryłem, że jest tych ludzi więcej, niż kiedykolwiek zdołam u siebie przyjąć czy zaspokoić, a rozpiętość ich pragnień jest znacznie bardziej zawila, niż podejrzewałem... — Przerwał i uśmiechnął się do mnie. — Potrzebuję u siebie kobiety, Liso, młodej kobiety, jednak nie zwyczajnej najemniczki. W Domu nie zatrudniam zwykłych pracowników...

Potrzebna mi jest kobieta, która rozumie, co czujemy, jedynie taka może z nami pracować. Rozumiesz przecież, Liso, że Dom nie jest burdelem, ale symbolem elegancji i piękna. Ktoś może mnie uznać za szaleńca, lecz nazywam go także miejscem miłości.

— Zgadzam się.

— Cechą miłości jest empatia i szacunek dla najgłębszych sekretów drugiej osoby. A także zrozumienie dla samego pożądanego.

— Rozumiem. Wiem.

— Wejdz ze mną na piętro. Pozwól, że ci pokażę tutejsze pokoje. Nie jesteśmy terapeutami. Ani lekarzami. Nie zadajemy pytań typu „dlaczego” ani „z jakiego powodu”. Jesteśmy jedynie grupką osób o podobnych zainteresowaniach, osób, które znalazły schronienie w tej małej cytadeli, gdyż wcześniej musiały ukrywać swoje preferencje seksualne... które się tułały. Dom powstał dla tych, którzy chcą tego, co im oferujemy.

Staromodne pokoje, wysokie sufity, przyćmione światło lamp na pokrytych tapetą ścianach. Solarium, sala szkolna, sypialnia pana oraz czekający na mnie buduar, a w nim atłasowe pantofle, pejcz, pagaj, rzemień, uprząż... iluzja idealna aż po dagerotypy stojące na toaletce w małych złożonych owalnych ramkach, szczotkę do włosów ze srebrną rączką, połyskujące w słońcu kryształowe buteleczki z perfumami i róże — świeże, wilgotne, pochylające główki wśród gałązek paproci w srebrnej wazie.

— Dla właściwej osoby zapłata jest doskonała, że tak powiem, ale powinnaś raczej pomyśleć o tej pracy jak o przyłączeniu się do swego rodzaju klubu...

— Albo zakonu religijnego. Cichy, pełen szacunku śmiech.

— Tak.

* * *

W każdy weekend jechałam przez most ku tym tajemniczym pokojom, ku skazanym na wieczne pożądanie, kruchym obcym ludziom, ku atmosferze piękna i zmysłowości, ku miejscu, które nazywaliśmy Domem. Które ja nazywałam Moim Domem.

Tak, wiedziałam doskonale, co czują, wiedziałam też, co im mówić i że słowa są czasami najważniejsze. Wiedziałam nawet, kiedy stosować nacisk, a kiedy czule pocałować.

Może właśnie wtedy zaczęłam panować nad wszystkim — tak jak zawsze tego pragnęłam. Nareszcie.

* * *

A później, dwa lata później ten tajemniczy nocny lot do Rzymu. Martin i ja w pierwszej klasie, przyjemnie się upiliśmy. Po wylądowaniu jechaliśmy długą limuzyną do Sieny przez pagórkowaty, zielony włoski krajobraz.

Weekendowa konferencja z innymi sławami tajnego świata egzotycznego seksu: Alexem z paryskiego Domu i dawną uczennicą Martina, Christine z Berlina. Większości tych ludzi nie pamiętam, tyle że wszyscy byli wytworni, inteligentni. Wino lało się w tej willi nad miastem strumieniami, na kolacje jadaliliśmy doskonałą cielęcinę, a młodzi ciemnoocy włoscy chłopcy przesuwali się po sali jak cienie.

Niejaki Cross przyleciał własnym samolotem z pięcioma ochroniarzami. Do niego należały także trzy limuzyny marki Mercedes, które przejechały wzgórze i zatrzymały się pod samą willą.

— Kiedy ktoś mi powie, o co w tym wszystkim chodzi?

— Chyba słyszałeś o Crossie — odparł Martin. Sieć hoteli i imperium czasopism erotycznych, między innymi „Dream-baby”, „Xanadu”... i żona z Missisipi, która niczego nie rozumiała i chciała jadać pizzę. — Nieprawdopodobne pieniądze — westchnął, lekko unosząc brwi. — I jest najlepszy z najlepszych.

Czy to możliwe? Zebraliśmy się przy szesnastowiecznym stole, by przedyskutować pomysł.

Elegancki klub, umiejscowiony gdzieś w świecie, gdzie nie przeszkadzałoby nam prawo. A w tymże klubie? Wszystkie rozkosze, które Martin Halifax i jemu podobni wymyślili w swej mądrości. „Pomyślcie o tym...”

— No cóż, wicie, prawdziwe miejsce na ziemi — mówił Alex. — Luksusowe kwatery, jedzenie, baseny, korty tenisowe i wszystko, czego zapagniemy. No i seks. Wszelkie odmiany seksu. Coś w rodzaju terapeutycznego sanatorium, do którego lekarze będą nam przysyłać pacjentów.

Przy słowie „terapeutyczny” lekko się skrzywiłam. Pamiętałam, że Martin nienawidzi takiego podejścia.

I nagle dał się słyszeć spokojny głos pana Crossa, człowieka na końcu stołu, naszego sponsora:

— Jest taka możliwość, karaibska wysepka. Bylibyśmy tam autonomicznym państwem, rządzącym się własnymi prawami. A z drugiej strony chroniłby nas rząd, dzięki czemu nie trzeba by się obawiać zbrojnej interwencji z żadnej strony ani napływu przedstawicieli podziemia. Chodzi mi o to, że w takim miejscu nasza działalność byłaby całkowicie legalna. Mielibyśmy własną klinikę, przyzwoitą policję w razie potrzeby... Takie przedsięwzięcie wymagałoby również oszałamiającej kwoty... — Wszyscy milczeli. — Widzicie — podjął Cross — z naszych badań wynika, że tysiące, a może nawet miliony osób na całym świecie sporo zapłacą za erotyczne wakacje ze swoich snów. Sadomasochizm, inne perwersje,

biczowanie, krępowanie... cokolwiek sobie wyobrazicie, czegokolwiek zechcą nasi klienci, szczególnie jeśli im się zagwarantuje bezpieczeństwo i idealną obsługę.

— A zaoferujemy im sprawdzony, świetnie prowadzony klub, w którym mogą się spodziewać wyłącznie luksusów — dodał Alex. — I przeżycia, których nie doświadczą nigdzie indziej, niezależnie od wydanej sumy.

— Mówimy o atmosferze zmysłowości — ciągnął Cross. — Atmosferze, w której modne jest robienie tego, na co się ma ochotę.

Martin wyglądał na nie przekonanego.

— Hmm... czegoś jednak chyba nie rozumiecie. Większość osób, które pragną wymienionych przez was przyjemności, to masochiści. Są bierni. Do swoich pragnień nie przyznają się nawet partnerom życiowym.

— Ale nam będą się mogli do nich przyznać — zapewnił go Cross.

— Nie — odparł Martin. — Mówimy o ludziach bogatych i posiadających pewną pozycję, gdyż nikt inny nie będzie mógł sobie pozwolić na tego typu wakacje. Sądziś, że przylecą do takiego ogromnego uzdrowiska, gdzie mogą spotkać ludzi ze swojego środowiska? W Domu naszym największym problemem jest dyskrecja, ochrona danego gościa przed spotkaniem z innymi. Ludzie strasznie się wstydzą swojego masochizmu.

— Istnieją wszakże sposoby odpowiedniego rozreklamowania takiego klubu. Możemy sprawić, że masochizm stanie się modny — wtrąciłam. Przez moment panowała cisza. Pomysł założenia sadomasochistycznego przybytku naprawdę mnie zaciekawił. I wydał mi się świetny.

— Tak, ale jak? Jak sprawić, by stał się modny? — Alex przyjrzał mi się. — Jak go zaplanować, wprowadzić w życie i... że tak to nazwę... zaoferować publice?

— No cóż — odparłam. — Potrzebujemy ludzi sławnych i bogatych, a tacy nie mogą się stać celem żartów na temat własnych masochistycznych zwyczajów, czyli tego, że na przykład lubią być chłostani czy krępowani. Czego zatem szukamy? Przykrywkę. Trzeba stworzyć zamknięty świat, zamknięty klub, którego członkami będą bogacze. Otrzymają status „panów” i „pań”. Usługiwać im będą doskonale przygotowani niewolnicy obu płci. Członkowie klubu, powiedzmy goście klubu Kubła Khan w Xanadu, mogą się zabawiać publicznie z dogadzającymi im niewolnikami lub... się oddalić do prywatnych, dźwiękoszczelnych sypialni, zabierając ze sobą wybranego, utalentowanego niewolnika.

Cross uśmiechnął się.

— Inaczej mówiąc, z pozoru członkowie będą się wydawać dominantami.

— Wszyscy mężczyźni będą *macho* — dodał Alex, unosząc brwi, po czym wydał zimny, szyderyczy śmiech.

— Dokładnie — przyznałam. — W taki sposób będziemy reklamować naszą wyspę na całym świecie. Przyjeźdź do klubu i żyj jak sułtan, bądź panem wszystkiego, na co spojrzysz. Gdy ktoś spotka cię na wyspie, wcale nie musi wiedzieć, co robisz we własnej sypialni. Może tylko oglądasz tańczące dziewczęta i chłopców, wystawiane sztuki, może tylko pływasz, opalasz się i cieszysz doskonałą obsługą.

— To mogłoby się udać — zgodził się Martin. — Tak, całkiem dobrze mogłoby działać.

— A skąd wziąć samych niewolników? — spytał Cross. — Personel, o którym wspomniałaś.

— Żaden problem — odparł za mnie Alex. — Teraz mówimy o innej klasie społecznej. O młodych ludziach ze wszystkich środowisk, samotnikach, jacy żyją w każdym dużym mieście, młodych kobietach, które uwielbiają seks dla sportu, i młodych mężczyznach, szczególnie gejach i biseksualistach.

— Właśnie — dodał Martin. — Przystojne dzieciaki, niespełnione gwiazdki, pierwszorzędne prostytutki obu płci, tancerki i tancerze z Las Vegas czy Broadwayu. Zaoferuj

im darmowe mieszkanie i wyżywienie w raju, a także niezłą pensyjkę i możliwość urzeczywistnienia własnych najdzikszych fantazji... Wierciecie mi, ustawi się kolejka.

— Sądzę, że powinniśmy zacząć subtelnie, aby wszystko się udało — zauważyłam. — Trzeba starannie stworzyć podwaliny klubu. I zasady działania, dzięki którym stanie się on absolutnie bezpieczny. Nie możemy niczego zaniedbać, o niczym zapomnieć. Masochizm łączy się z rytuałami, regułami i ograniczeniami.

— Oczywiście, właśnie dlatego jesteś nam potrzebna — powiedział Cross. — No dobrze, pomyślmy o tym małym klubie na ciepłej wyspie...

Od tej pory minęło pięć lat. Dzisiejszej nocy jest na wyspie trzy tysiące gości...

* * *

I mamy naśladowców: „miejsowości wypoczynkowe” w Meksyku i we Włoszech, eleganckie duże miejskie kluby w Amsterdamie i Kopenhadze, klub w Berlinie, gdzie wszyscy członkowie są niewolnikami, a personel panami, oraz naszego najgroźniejszego konkurenta — ogromny kurort w południowej Kalifornii. W przeciągu tych lat powstały też oczywiście domy aukcyjne i zrodzili się prywatni trenerzy. No i ten tajemniczy legion, który istniał zawsze, czyli prywatni właściciele.

Czy ten przemysł musiał powstać? Czy trafiliśmy po prostu we właściwy moment? Czy ktoś inny zorganizowałby taki klub, dyskretnie go zareklamował, inicjując wielki biznes? Jak wyglądałaby sytuacja, gdybyśmy nie byli pierwsi?

* * *

Kto by o to dbał? Kiedyś istniały sączki na męskie genitalia, śpiewacy kastraci, białe peruki w oświeceniowej Francji, wiązanie stóp w cesarskich Chinach, procesy czarownic, krucjaty, inkwizycje... Świat stale się zmienia. Rozwija się. Żyje.

Tak czy owak rozpetaliśmy coś. Stworzyliśmy modę. I obłęd.

Zaczął się od spotkań, szkiców, rysunków, dyskusji, inspekcji budynków, wyboru tkanin, koloru farby, kształtów basenów. Wynajmowaliśmy lekarzy i pielęgniarki, szkoliliśmy najlepszych niewolników na dominantów, aby „zajęli się” członkami Klubu, którzy nawet nie znali swoich masochistycznych pragnień. Zarządzanie, poprawianie, powiększanie. Pierwsze dwa budynki, potem trzeci, w końcu osiedle. Motywy, pomysły, opłaty, kontrakty, umowy.

I ta sama stara ekscytująca gratyfikacja — obserwowanie, jak własne fantazje, własne sekretne sny nabierają przyprawiającego o zawrót głowy kształtu. Tyle że pierwotny pomysł rozrósł się do zupełnie nieprzewidywalnych rozmiarów.

Zawsze potrafiłam wymyślić ciekawsze „gry i zabawy” niż te, których nauczyli mnie moi mistrzowie. Zabawy bardziej złożone. Źródło rozkoszy i metod ich wywoływania jest właściwie nieskończone. Całe życie można uznać za wariację na pewne tematy. Teraz patrzyłam na innych ludzi ogarniętych przyjemnością, oszołomionych, zadziwionych. Coś dodawali, coś zmieniali. A płomień płonął coraz jaśniejszy.

Czym była dla mnie namiętność?

Cóż to słowo dla mnie znaczyło?

Oczywiście już nie miałam nad sobą panów. W tym czy innym momencie kompletnie przepadł gdzieś ten rodzaj zażyłości. Czasami zastanawiam się dlaczego. Prawdopodobnie naprawdę polubiłam pozycję „pani”, która daje mi nie tylko podniecenie, lecz także tę niemal boską znajomość doznań, doświadczanych przez moich niewolników, moich kochanków. Naprawdę wiem, co czują. Wykorzystując własną wiedzę i zrozumienie, wręcz ich przenikam. Należą do mnie zarówno zewnątrz, jak i wewnątrz.

Co do miłości, cóż, chyba nigdy mi się nie przydarzyła. W każdym razie, nie doświadczyłam miłości konwencjonalnej. Lecz czymże jest miłość, jeśli nie emocją, którą czuję do każdego z moich partnerów w tych najważniejszych chwilach?

A w moim łóżu w Edenie, w mojej tajemnej alkoWie gościłam najlepszych niewolników, męskie ciała niewyobrażalnej urody.

Bo w Klubie chcieć oznacza mieć.

Biję ich dla posłuszeństwa, każę im się pieprzyć, zdumiewam się ich gorącem, ich siłą, siłą, nad którą panuję, bo panuję nad tymi nadzwyczajnymi męskimi ciałami. Należą od mnie.

Później notuję ich reakcje w komputerze. Uczę się w ten sposób, jak następnym razem jeszcze lepiej nimi manipulować.

Są jeszcze niewolnice o jedwabistych palcach i długich, ruchliwych językach. Leslie, Cocoa, śliczna i obecnie nieco zaniedbywana Diana, moja kochana, który tuli się do mnie w ciemności, tej samej ciemności, która rozciąga się od jednego końca świata do drugiego. Rozkoszne, miękkie ciało.

* * *

Północ w Edenie. Ale czy to naprawdę jest Eden? Gdzieś staroświecki kurant wydzwania godziny.

* * *

Zostało mi dwanaście godzin do przyjścia Elliotta Slatera. Cóż jest tak szczególnego w tym niebieskookim blondynie? Czy nie okaże się taki jak reszta?

Rozdział 12

Biała bawełna

Korytarze tworzyły labirynt. Mijałem różne części Klubu, które nie robiły na mnie specjalnego wrażenia. Wiedziałem jedynie, że na końcu drogi czeka na mnie ona. Prowadzili mnie do niej — do tej, która wyciągnęła mnie z samego dna.

Obudziłem się ze snu o niej, jednak nadal o niej marzyłem i jej pragnąłem. Nie było sensu udawać, że jest inaczej. Przez cały ranek migąła mi przed oczyma jej twarz, fragmenty snu pojawiały się i znikwały. Na piersi czułem dotyk koronki jej bluzki, na wargach niemal elektryczne drgania od dotyku jej ust.

Kim, do diabła, była ta kobieta, tak naprawdę? I co tu robiła?

I wtedy stało się coś niezwykłego. O świcie zaczęliśmy sprzątać na czworakach, ale służący traktowali mnie wyjątkowo ulgowo. Żadnych złośliwości, żadnych rzemieni.

Zapewne też jej robota, coś jednak ten fakt oznaczał? Szorowałem, nie przestając o tym myśleć. O tym i o niej.

Kiedy otrzymaliśmy nasz południowy posiłek — oczywiście również na czworakach — w pustawej małej jadalni, przyszło mi do głowy, że w Edenie wszystko wygląda inaczej, niż sądziłem.

Niezależnie od tego, co powiedział mi Martin, spodziewałem się długich okresów nudy i nieudolnego załatwiania wszelkich spraw, które osłabi rangę całego przedsięwzięcia.

Hmm... z pewnością nuda mi tu nie groziła. A przecież nie uczestniczyłem wraz z innymi we wszystkich przewidzianych zajęciach. Na dodatek prześladowało mnie nieszczęsne pragnienie ujrzenia mojej pani i niemożliwa do przewidzenia reakcja na jej zapach, spojrzenie czy dotyk.

Przynajmniej nad tą ostatnią częścią postanowiłem zapanować. Przecież ta kobieta z pewnością — w taki sposób jak mnie — szkoliła tysiąc innych niewolników przede mną i prawdopodobnie wcale jej nie obchodzili, nie bardziej w każdym razie, niż mnie obchodzili „panowie i panie”, których obsługiwałem pod czujnym okiem Martina w Domu.

Jeśli się dobrze zastanowić, chyba nawet Martin był mi obojętny. Ma się rozumieć, że go lubiłem, a może i kochałem. Czasami o nim myślałem. Kiedy jednak dochodziło do seksu, do tego całego nienaturalnego masochistycznego rytuału, w gruncie rzeczy nie dbałem o to, kto jest moim partnerem.

Teraz natomiast mój umysł kręcił się wyłącznie wokół Lisy! Ta kobieta całkowicie przejmowała kontrolę. Materializowała się z cienia. I w ogóle mi to nie odpowiadało.

Niemniej jednak podniecenie nie mijało, wręcz przeciwnie. Sprawę pogarszał fakt, że czułem się prawdziwym niewolnikiem, któremu rzeczywiście zagraża jego okrutna pani. A dłonie i kolana bolały coraz bardziej.

Gdy zabrali mnie na kąpiel, wiedziałem, że trafię dziś do niej. Rozkoszny gorący prysznic, fachowy masaż — tak żyją mili, dobrzy faceci.

Mnóstwo innych lśniących ciał leżało na stołach do masażu, a niewolnicy usługujący podczas kąpieli wyglądali jak nimfy i fauny wśród donic z fuksjami i paprotkami, spokojnie trajkocząc („Możesz teraz rozmawiać, Elliotcie, jeśli chcesz”) i błyskając uśmiechami niczym z reklam pasty do zębów.

Dlaczego bałem się spytać, co się dzieje? Dlaczego czekałem, aż przystojny mały Ganymede, który się mną zajmował, powie mi, kiwając białym od talku palcem: „Idziesz do szefowej, Elliotcie, więc lepiej się trochę prześpij”.

Jeśli drzemałem wcześniej, to stwierdzenie zupełnie mnie rozbudziło.

— Szefowej? — spytałem.

— Właśnie — odparł. — Ta kobieta rządzi Klubem i właściwie go stworzyła. A teraz jest twoją trenerką. Powodzenia.

— Najważniejsza pani — mruknąłem. Cały stos petard wybuchł mi w głowie.

— Zamknij oczy — powiedział. — Wierz mi, będziesz potrzebował wypoczynku.

* * *

I zasnąłem. Chyba tak. Zapewne zmęczenie okazało się silniejsze ode mnie, gdyż nagle podniosłem wzrok i wpatrzyłem się w sięgające do sufitu witrażowe okno. Nade mną zaś stał treser.

— Wstań, Elliotcie — powiedział — nie każ czekać Perfekcjonistce.

Oczywiście, że nie każę jej czekać. I tak ruszyłem labiryntem, w którym spędzałem moje ostatnie chwile „życia przed Lisa”.

* * *

Zatrzymaliśmy się. Biały korytarz, para bogato rzeźbionych dwuskrzydłowych drzwi. Cisza. W porządku. Jestem bardzo zrównoważony i nie grozi mi załamanie nerwowe.

Treser strzelił palcami.

— Wejść do środka, Elliotcie — powiedział — klęknij i czekaj w milczeniu.

Drzwi zamknęły się za mną. Treser zniknął, a mną zawładnęła gwałtowna — jak nigdy dotąd — panika.

Patrzyłem na duży pokój pomalowany na kolor niebieski, który w miejscach oświetlonych zmieniał się w fioletowy. W pomieszczeniu nie było żadnych elektrycznych lamp, jedynie promienie słońca przenikały cienkie błękitno — fioletowe zwieszony zasłony na oszklonych drzwiach.

Metry intensywnie cynobrowego dywanu, a na ścianach olbrzymie dzieła Renoira i Seurata zmieszane z pięknymi krajobrazami haitańskimi, na których mieszkańcy Haiti prezentowali się na tle błękitnego nieba i zielonych wzgórz — w pracy, w zabawie, w tańcu.

Dostrzegłem długie, szczupłe afrykańskie maski oraz maski indiańskie polakierowane na jaskrawą zieleń i czerwień. Wdzięczne, węzowate, drewniane i kamienne afrykańskie rzeźby wystawały z ziemi doniczek z palmami i paprotkami. A po mojej lewej stronie, z podłówką przy ścianie, stało wielkie mosiężne łóżko z baldachimem.

Łóżko skojarzyło mi się z gigantyczną złotą klatką. Wyposażone było w pręty, udekorowane ślimacznicą i obwieszony białą bawełnianą koronką — aż do samego baldachimu — toteż wydawało się unosić w przezroczystej chmurze. Stosy ozdobionych koronką poduszek leżały na zmierzwionej bawełnianej pościeli. Znalazłem się zatem w alkierzu — miejscu, które uwielbia wielu romantycznych mężczyzn, lecz nie wypada im się do tego przyznawać, więc pozostawiają je swoim kobietom.

Zobaczyłem się w myślach w innej sytuacji. Wkładam czarny smoking i z bukietem kwiatów w dłoni (zwyczajnych stokrotek) podchodzę do łóżka. Pochyłam się i całuję śpiącą na poduszkach dziewczynę.

Takie myśli budziło we mnie tego rodzaju łożo. Jednak w tym stojącym przede mną nie było żadnej „dziewczyny”. Klęczałem tu zupełnie sam.

Miałem zatem czas cieszyć się pięknem i mocą przemawiającą z tego pokoju, jego wyjątkowością i atmosferą czegoś zakazanego, jeszcze bardziej zakazanego niż reszta Klubu. Zielone gałęzie za kwiecistą mgiełką okiennych zasłon poruszały się lekko i wdzięcznie — prawie tańczyły.

Nagle poczułem się zupełnie dezorientowany i krew uderzyła mi do głowy. Jakby otworzyły się pode mną drzwi zapadkowe, a ja nagle wpadłem do jakiejś sekretnej komnaty. Po — mieszczanie niespodziewanie i bez żadnego powodu przygnębiło mnie. Cała ta masa srebrnych przedmiotów przed okrągłym lustrem na toaletce, wszystkie te pudełeczka, buteleczki z perfumami, szczotki. Przy krześle leżał kozak z czarnej satyny na bardzo wysokiej szpilce. No i te metry śnieżnobiałej koronki.

Usiadłem na piętach i rozglądałem się wokół. Denerwowało mnie gorąco buchające od mojej twarzy i reszty mojego ciała. Byłem kiedyś w dusznym kobiecym wiktoriańskim buduarze w domu Martina, sypialnia Lisy jednakże była nieco inna: znacznie bardziej naturalna, nawet nieco szalona w swej wymowie. Tamta przypominała raczej scenografię sceniczną, tutaj znalazłem się w „prawdziwym” miejscu.

Zauważyłem sporo książek. Całą przeciwległą ścianę wypełniały pełne półki, a stojące na nich dzieła nie były w stanie idealnym, więc na pewno ktoś je wszystkie przeczytał. Popularne wydania mieszały się z książkami w twardej oprawie, a także kasetami wideo.

Zagapiłem się przed siebie: na biały skórzany pleciony sznur wiszący z sufitu wraz z parą skórzanych kajdanek, na leżący czarny długi but z satyny.

I wtedy otworzyły się gdzieś niewidoczne dla mnie drzwi — cicho, z ledwie słyszalnym odgłosem, od którego zjeżyły mi się włoski na karku.

Lisa wyszła prawdopodobnie z wanny, gdyż czułem zapach perfumowanego płynu do kąpieli, jednego z tych przenikliwych słodkich i bardzo miłych kwiatowych aromatów, a także inny zapach zmieszany z tym — czystą i ciepłą woń kobiecego ciała.

Niemal bezgłośnie przeszła pokój i znalazła się przede mną. Miała na nogach pantofle z białego atlasu, o równie wysokim obcasie jak czarny kozak upuszczony obok krzesła. Poza tym ubrana była jedynie w krótką, wykończoną wszechobecną koronką halkę sięgającą do połowy uda. Halka również niestety była bawełniana.

Niestety, gdyż ciało okryte nylonem nie wywołuje u mnie żadnych emocji, jednak czysta bawełna doprowadza mnie wręcz do szaleństwa.

Piersi Lisy były nagie pod halką, włosy zwisały jej swobodnie na ramionach. Skojarzyłyby mi się z Matką Boską, gdyby nie dobrze widoczny ciemny trójkąt między jej nogami.

Znów zawładnęła mną emanująca z tej kobiety siła. Samo piękno nie wyjaśniało tego efektu — nawet w tym zwariowanym buduarze — chociaż bez wątpienia Lisa była piękna.

Nie powinienem był siadać na pośladek bez jej pozwolenia. Wiedziałem też, że patrząc wprost na nią, łamię reguły gry, a jednak nie potrafiłem odwrócić wzroku.

Nie podnosząc wyżej głowy, przesunąłem spojrzeniem w górę — na twarz mojej pani: twarz małą i nieco kanciastą, o wielkich brązowych, prawie zamyślonych oczach. Patrzyliśmy na siebie bez słowa, choć czułem, że moc Lisy jeszcze bardziej rośnie.

Usta miała nieopisanie ponętne. Pociągnęła je szminką bez połysku, dzięki czemu intensywna czerwień wyglądała naturalnie. Wpijałem wzrok w delikatną pochyłość jej ramion, które z jakiegoś tajemniczego względu podniecały mnie równie mocno jak pełne piersi mojej nowej pani.

W tej chwili jednak zachwyciłem się sumą tych wszystkich wspaniałych fizycznych szczegółów. Albo raczej unosiłem się w mgiełce wydzielanego przez Lisę niewidocznego ciepła. Niemal płonęła w tej skąpej halce i na kruchych satynowych pantoflach. Oczywiście nie widać było ognia, lecz czułem, że niemal bucha z jej ciała. Miała w sobie coś prawie nieludzkiego. Przywodziła na myśl przestarzałe słowo „chuć”.

Rozmyślnie spuściłem wzrok i ruszyłem ku niej na czworakach, zatrzymując się, gdy dotarłem do jej stóp. Tak, emanowała z niej siła i gorąco. Przycisnąłem wargi do jej nagich palców, do podbicia stopy nad paskiem atlasu i ponownie moje usta zadrżały pod dziwnym, zaskakującym mrowieniem.

— Wstań — poleciła cicho. — Złóż ręce za plecami i tak je trzymaj.

Podniosłem się najwolniej jak potrafiłem, a kiedy się wyprostowałem, wiedziałem, że twarz mam czerwoną. Mój rumieniec zapewne nie pasował do rytuału. Nieco nad nią górowałem i choć nie patrzyłem wprost na nią, kątem oka widziałem jej ciało — zarys piersi i ciemnoróżowych sutków pod białą halką.

Podniosła rękę, a ja o mało się przed nią nie cofnąłem. Wsunęła mi palce we włosy, przyłożyła dłonie do mojej głowy i przez chwilę ją masowała, przyprawiając mnie o dreszcze. Później przesunęła palcami po mojej twarzy, jak robią osoby niewidome, w końcu musnęła moje uchylone wargi i przesunęła opuszkami palców po zębach.

Dotyk jej rozpalonych palców świadczył o wewnętrznej gorączce, podobnie jak jej niski głos, który skojarzył mi się z kocim mručeniem.

— Należysz do mnie — powiedziała niezwykłym szeptem.

— Tak, pani — odparłem. Patrzyłem bezradnie, jak jej palce opuszczają się na moją pierś, szczypiąc sutki i lekko je ciągnąc. Bezwiednie napiąłem mięśnie, a członek zaczął mi sztywnieć.

— Mój — oświadczyła.

Miałem ogromną ochotę jej odpowiedzieć, a jednak nie odezwałem się, otworzyłem jedynie usta i po chwili je zamknąłem. Bez słowa gapilem się na jej piersi. Jej słodki, czysty, ciepły zapach znowu do mnie dotarł i po prostu mnie zalał.

Pomyślałem, że dłużej nie zniósę tego napięcia. Musiałem ją mieć. Ta kobieta próbowała na mnie jakąś zupełnie nową broń. Nie mogłem jej pozwolić, by mnie zadrczyła w tej wyciszonej sypialni. Nie dam się jej!

— Cofnij się i stań tam, na środku pokoju — rozkazała niskim jednostajnym głosem, napierając na mnie, nadal naciskając i ciągnąc moje sutki. Nagle uszczypnęła je tak mocno, że aż zacisnąłem zęby. — Och, widzę, że jesteśmy wrażliwi, co? — spytała i nasze oczy znowu się spotkały; jej jawnie płonęły. Rozsunęła wargi, błyskając białymi zębami.

Prawie ją błagałem, prawie powiedziałem „proszę”. Serce łomotało mi w piersi, jak po długim biegu. Byłem o krok od ucieczki, lecz tylko powoli cofałem się przed nią, choć nie wiedziałem, przed czym dokładnie. Chciałem jakoś zniweczyć jej władzę. Niestety, nie miałem na to najmniejszej nawet możliwości.

Lisa uniosła się przede mną na palcach. Widziałem, że trzyma coś nad moją głową. Podniosłem oczy i zobaczyłem parę kajdanek z białej skóry ze sprzączkami i połączonych białym plecionym sznurem.

Zapominając o tych zabawkach, popełniłem straszliwy błąd. Ale czy to właściwie miało jakieś znaczenie?

— Podnieś ręce — poleciła. — Nie, nie za wysoko, mój piękny duży mężczyzno. Tylko nad głowę, tak żebym mogła do nich dosięgnąć. Świetnie.

Dygotałem niemal głośno. Mała symfonia odgłosów sugerujących stres. Chyba potrząsałem też głową.

Lisa najpierw uwięziła mój lewy przegub, zapinając go bardzo ściśle, potem to samo zrobiła z prawym. Następnie skrzyżowała mi nadgarstki i skrepowała. A gdy stałem tak bezradnie, jakby trzymało mnie sześciu silnych facetów, podeszła do przeciwległej ściany i nacisnęła guzik, co spowodowało, że skórzany sznur nade mną się naprężył, pociągając moje ręce w kajdankach w górę, wysoko nad głowę.

— Bardzo wytrzymałe urządzenie — odezwała się moja pani, znów podchodząc do mnie krokiem modelki na wysokich obcasach. — Chciałbyś spróbować się wyrwać? — Krótka halka ślizgała się po jej udach, włosy łonowe przebijały się przez białą bawełnę. — Potrząsnąłem głową. Wiedziałem, że Lisa znowu będzie mnie dotykała. Ledwo mogłem znieść napięcie. — Jesteś małym zuchwalcem, Elliotcie — oświadczyła, prawie muskając mnie piersiami. Położyła dłonie płasko na mojej klatce piersiowej. — Gdy się do mnie zwracasz, dodawaj „tak, pani” albo „nie, pani”.

— Tak, pani — odparłem.

Pot zalewał moje ciało. Przesunęła palcami przez mój brzuch, prawy palec wskazujący wcisnęła mi w pepek. Nie potrafiłem stać spokojnie. Szybko opuściła rękę i dotknęła mojego penisa.

Cofnąłem się biodrami jak najdalej od niej. Lisa lewą ręką opasała mój kark, przysunęła się do mojego boku i palcami prawej dłoni zaczęła bardzo mocno szczypać luźną skórę mojej moszny, niemal wbijając się w nią paznokciami. Usiłowałem się nie krzywić.

— Pocałuj mnie, Elliotcie — rozkazała.

Odwrociłem głowę ku jej. Musnęła mi usta swoimi, rozsuwając moje wargi, a wtedy po raz kolejny poczułem prawdziwy elektryczny wstrząs. Wpiłem się w jej usta i całowałem ją tak gwałtownie, jakbym chciał połknąć. I jakbym to ja był jej panem. Pragnąłem jej tak bardzo, że nie umiałem się od niej oderwać. Czułem, że samą mocą tego pragnienia mógłbym ją unieść i... pozbawić osobowości. Przyłgnęła do mnie całym ciałem i pomyślałem, że udało mi się ją pokonać, że z nią wygrałem i jest moja. Nasze pocałunki były mokre, słodkie i namiętne. Lisa jeszcze mocniej szczypała palcami moją mosznę, ból zmieszał się z rozkoszą. Stała na palcach, przywierając do mnie całym ciężarem, lewą ręką obejmując moją szyję, a ja całowałem ją, penetrując jej usta językiem i próbując się zerwać ze skórzanych kajdanków.

Gdy się odsunęła, zamknąłem oczy.

— Boże — szepnąłem.

Przytknęła usta do mojej pachy i zaczęła ssać, a później tak mocno pociągnęła mnie za włoski, że aż się skrzywiłem. Jęczałem głośno. Chwyciła moje jądra w prawą rękę i zaczęła je masować — łagodnie, delikatnie — równocześnie ssąc moją pachę. Z rozkoszy o mało nie oszalałem. Cała moja skóra drżała boleśnie. Lisa wgryzła się lekko w ciało i lizała je.

Mięśnie miałem napięte, zęby zaciśnięte. Puściła moje jądra, zacisnęła palce na moim członku tuż przy mosznie i gładziła go, przesuując palcami ku czubkowi.

— Nie mogę... Nie mogę... — syknąłem przez zaciśnięte zęby. Odsuwałem się, walcząc z nadciągającym orgazmem, a wtedy Lisa opuściła prawą rękę, lewą przyciągając moją głowę i znowu mnie całując, wsuwając język głęboko w moje usta.

— To gorsze niż chłosta, nie sądzisz? — mruzczała między pocałunkami. — Tortura przyjemnością. — Tym razem się od niej oderwałem, a gdy się uwolniłem, zacząłem ją całować po całej twarzy, ssać jej policzki i powieki. Obróciłem się ku niej i przycisnąłem do jej cienkiej halki członkiem. Dotyk jej łona przez bawełnę był cudowny. — Nie, nie uda ci się! — Cofnęła się z niskim, groźnym śmiechem i klepnęła mój sterczący penis rozłożoną płasko prawą dłonią. — Nigdy tego nie zrobisz, chyba że ci pozwolę. — Raz za razem uderzała mnie lekko ręką po członku.

— Boże, przestań — szepnąłem. Penis podnosił się i sztywniał coraz mocniej z każdym klapssem.

— Mam cię zakneblować?

— Tak, zaknebluj. Ale tylko swoimi piersiami lub językiem! — jęknąłem. Trząsałem się cały i mimowolnie szarpałem na skórzanych kajdankach, choć przecież nie wierzyłem, że zdołam się zerwać.

Wybuchnęła niskim, wibrującym śmiechem.

— Niedobry chłopiec — powiedziała, po czym wróciła do tych kpiących, karzących klapsów. Przesunęła lekko paznokciem przez żołądź i naciągnęła napletek. „Tak — chciałem jej odpowiedzieć — jestem niedobrym, zepsutym chłopcem”, lecz zrezygnowałem. Zatopiłem czoło w zgięciu łokcia i umyślnie odwróciłem się od Lisy. Ona jednak chwyciła moją twarz w obie dłonie i przyciągnęła. — Pragniesz mnie, prawda?

— Mógłbym się z tobą pieprzyć do utraty tchu — szepnąłem, a następnie zrobiłem szybki wypad i znowu wpiłem się w jej usta, i wessałem, zanim zdążyła odskoczyć. Znowu do niej

przyłgnałem. Wyrwała się i cofnęła, znowu uderzając mnie po genitaliach rozczapierzoną dłonią.

Odeszła kilka kroków, stając cicho po dywanie. Stała dwa metry ode mnie i patrzyła na mnie bez słowa, jedną ręką opierając się o toaletkę. Włosy rozsypały jej się wokół twarzy, częściowo przykrywając piersi. Wyglądała na pobudzoną i kruchą, na policzkach wykwitł jej głęboki rumieniec, zaczerwienioną miała również skórę na piersiach i na szyi. Nie mogłem złapać oddechu. Jeśli kiedykolwiek wcześniej miałem taki potężny wzwód, nie pamiętam tego. Jeżeli ktoś kiedyś tak bardzo mnie podniecił, wymazałem to z pamięci.

Chyba jej wtedy nienawidziłem. A jednak kątem oka pożerałem ją, jej różowe uda, stopy wygięte łukowato w białych aksamitnych pantofelkach na szpilce, obrzmiałe piersi pod bawełnianą koronką. Widziałem nawet, jak wytarła usta grzbietem dłoni.

Podniosła coś z toaletki. Na pierwszy rzut oka przedmiot wyglądał jak para rogów obciążonych skórą w kolorze ludzkiego ciała. Otworzyłem szerzej oczy, by przyjrzeć się dokładniej. Rekwizyt miał kształt dwóch penisów połączonych przy podstawie pojedynczą moszną i wydawał się tak naturalny, że gdy Lisa — niczym dziecko duszące gumową zabawkę — ścisnęła miękką ciężką moszną, oba penisy poruszyły się, jakby z własnej woli.

Podeszła do mnie z tym przedmiotem, trzymając go w obu rękach jak eksponat na sprzedaż. Był fenomenalnie wykończony, oba członki wydawały się natłuszczone i błyszczące, każdy miał starannie wyprofilowany koniuszek. Z tego, co wiedziałem, w dużym worku mosznowym znajdował się jakiś płyn, który po naciśnięciu odpowiedniego miejsca wydostawał się przez małe otwory w obu członkach.

— Pieprzyła cię kiedyś kobieta, Elliotcie? — szepnęła Lisa, odrzucając włosy przez ramię na plecy. Twarz miała wilgotną, oczy rozszerzone i nieco zamglone.

Wydałem jakiś słaby odgłos protestu, nad którym nie potrafiłem zapanować.

— Nie rób mi tego... — poprosiłem.

Zaśmiała się nisko, ciepło. Wróciła po mały wyścielany taboret, który stał obok kredensu, przyniosła go i postawiła mi za plecami.

Obróciłem się, by zobaczyć, co robi, i patrzyłem na osobliwą zabawkę niczym na groźny nóż.

— Nie ponaglaj mnie — odparła okrutnie, mrużąc oczy. Podniosła dłoń i uderzyła mnie w twarz. Odwróciłem się lekko, przeczekując ból spowodowany policzkiem. — Wiesz, lepiej się pochyl — szepnęła.

— Nie będę się przed tobą kulił, ślicznotko — odparowałem. Znowu mnie spoliczkowała, tym razem zdumiewająco mocno.

— Zatem najpierw cię wychłosczę, naprawdę tego chcesz? Nie odpowiedziałem jej, lecz nie mogłem zapanować nad głośnym sapaniem i nad drżeniem.

Później poczułem jej wargi na swoim policzku, w tym samym miejscu, w które mnie uderzyła. Jej palce gładziły mnie po szyi i całe moje ciało zeszywniało od rozkoszy. Miękki, jedwabisty pocałunek. Byłem o krok od wybuchu. I od popadnięcia w szaleństwo.

— Kochasz mnie, Elliotcie? — Odniosłem wrażenie, że coś we mnie pękło. Już nie panowałem nad emocjami. W oczach stanęły mi łzy. — Otwórz oczy i popatrz na mnie — poleciła.

Podeszła bliżej do stołka, dzieliły ją ode mnie zaledwie centymetry. W lewym ręku trzymała podwójnego fallusa, prawą uniosła brzeg koronki halki.

Widziałem jej ciemne kręcone włosy łonowe, krótkie loczki przy różowej skórze i delikatne, wrażliwe wargi sromowe, prawie całkowicie skromnie skryte we włosach. Opuściła sztuczne członki i wsunęła w siebie jeden koniec. Jej ciało wygięło się wdzięcznie na przyjęcie prącia. Drugi koniec sterczał jej z pochwy, więc wyglądała jak kobieta z penisem w stanie erekcji.

Widok był oszalamiający: subtelna istota z błyszczącym fallusem wychodzącym idealnie z jej łonowych włosów. Jej twarz wydawała się teraz jeszcze łagodniejsza, usta nabrały intensywnego różowoczerwonego odcienia. Zapatrzony na nią, niemal nie zauważyłem, że podniosła ręce i zacisnęła dłonie wysoko na moich ramionach; jej kciuki wbiły mi się w pachy, twarz przybliżyła się do mojej.

— Odwróć się — poleciła.

Wydałem cichy odgłos, który świadczył równocześnie o gniewie i bezradności. Nie mogłem się ruszyć. A jednak zrobiłem dokładnie to, co kazała.

Zaczęła mi wciskać sztuczny członek w odbyt. Zesztywniałem, odsunąłem się.

— Stój spokojnie, mały — szepnęła. — Niech to nie będzie gwałt.

Odpnęliśmy się i fallus zaczął się wsuwać. W chwilę później odnalazłem przyjemność w tej penetracji, w otwieraniu się na to cudowne doznanie, na ten wspaniały gwałt.

Z wielką dozą błogiej delikatności Lisa wsunęła mi sztuczny penis aż po rękojęść i zaczęła nim kołysać. Odczuwałem rozkosz, drżały mi ręce i nogi. Boże, gdyby mnie naprawdę zgwałciła, gdyby była okrutna, agresywna. Ale nie, ona mnie nie gwałciła, raczej pieprzyła mnie, a może po prostu kochała się ze mną jak mężczyzna. Poruszała się wraz z tym przedmiotem, jakby stanowił część jej ciała, jakby wyrastał spod jej gorącego nagiego brzucha i z jej gorących szczupłych ud.

Rozstawiłem nogi. Ogarnęło mnie obezwładniające wrażenie doskonałej pełni, idealnego zaspokojenia. I to cudowne, powolne, łagodne tarcie. Nienawidziłem jej! A jednocześnie kochałem za to, co robiła. Poruszałem się lekko i nie potrafiłem przestać.

Otoczyła mnie ramionami, przycisnęła piersi do moich pleców. Gdy jej palce ponownie znalazły moje sutki, mocno je ścisnęła.

— Brzydzę się tobą — oświadczyłem szeptem — ty mała suko.

— Jasne, że tak, Elliotcie — odszepnęła.

Wiedziała, co robi, wiedziała, do czego doprowadza. Zaczynałem dochodzić, wierząc się i przesuując. Bluzgałem pod nosem wszystkie znane mi przekleństwa. Lisa poruszała się coraz szybciej, naciskając na mnie coraz mocniej, wchodząc we mnie głębiej, uderzając mnie wąskimi biodrami. Jej palce ciągnęły moje sutki, jej wargi wpijały się i ssaly mój kark.

Kochaliśmy się i kochaliśmy, aż zacząłem wydawać ciche, regularne dźwięki. Pomyślałem, że Lisa nie dojdzie w taki sposób, wbrew mnie, że nie dojdzie, jeśli ja nie dojdę, gdy nagle zaczęła się poruszać jeszcze szybciej, o mało nie pozbawiając mnie równowagi, po czym zesztywniała i zakończyła typowo kobiecym okrzykiem obwieszczającym orgazm. Gorąco jej piersi uderzało we mnie, jej włosy opadły na moje ramiona, jej ręce trzymały mnie kurczowo, jakby się bała, że jeśli mnie puści, spadnie.

Stałem sparalizowany od pożądania i wściekłości. Pozbawiła mnie siebie, podczas gdy sama w jakimś sensie tkwiła we mnie. W chwilę później rozgrzany sztuczny członek wysunął się z mojego odbytu, a miękkie, ciepłe ciało Lisy odsunęło się od mojego.

Nadal jednak pozostała bardzo blisko mnie. Zauważyłem nagle, że podniosła ręce do kajdanków, odpięła je i uwolniła moje nadgarstki. Ręce opadły mi na boki.

Zerknąłem przez ramię. Odsunęła się już ode mnie. Odwróciłem się i zobaczyłem, że stoi u stóp łóżka. Nie miała już w rękach sztucznego fallusa. Ubrana była nadal jedynie w halkę ledwie przykrywającą jej seks. Twarz miała zaróżowioną, jej oczy lśniły intensywnie na tle całej tej bieli. Włosy zmierzwiły jej się w artystyczny nieład.

Miałem ochotę zedrzyć z niej tę krótką halkę, lewą ręką szarpnąć ją za włosy w tył...

Odwróciła się do mnie, zsunęła jedno ramiączko halki na ramię, po czym rozdzieliła bawełniane zasłonki i weszła na łóżko. Widziałem jej nagie pośladki i małe różowe wargi sromowe. Obróciła się do mnie, podciągnęła kolana na bok prawie skromnie, skryła twarz we włosach i poleciła:

— Chodź tutaj.

Znalazłem się na niej, zanim zdążyłem choćby pomyśleć nad jej poleceniem.

Zagarnąłem ją prawą ręką i przesunąłem na stos poduszek. Natychmiast w nią wszedłem, nadziewając ją i posuwając, tak jak ona przed chwilą mnie.

Krwistoczerwony rumieniec zalał jej twarz i szyję, jej oblicze przybrało wyraz udawanej tragedii i bólu. Rozrzuciła ramiona i podskoczyła na zmierzwionej koronce jak szmaciana lalka.

Była tak napięta, mokra i gorąca, że aż mnie zdumiała. Zaciskała mięśnie, więc czułem się niemal jak z dziewicą, co przyprawiało mnie o szaleńczą rozkosz. Rozdarłem jej halkę, zerwałem przez głowę i rzuciłem za łóżko. W jednym szalonym momencie pomyślałem, że Lisa znowu ma nade mną przewagę, że znowu mnie więzi w swojej napiętej wąskiej pochwie. Jej nagi brzuch i piersi przykleiły się do mojego ciała i byłem jej więźniem, jej niewolnikiem. Postanowiłem, że nie dojdę, póki ona nie dojdzie. Nie osiągnę orgazmu, nie wyładuję się, póki nie zobaczę jej drżącej i bezradnej, więc powstrzymałem się, podniosłem jej pośladki lewą ręką, po czym wszedłem w nią głębiej i przycisnąłem jej ciało całym swoim ciężarem. Znalazłem jej usta i zacząłem całować, przygważdżając jej twarz swoją. Pokonana, uwięziona i całowana, nie wytrzymała i eksplodowała szaleńczym orgazmem. Krwistoczerwony rumieniec jeszcze bardziej pociemniał, serce Lisy chyba na moment przestało bić, po czym się rozszalało, a ona zaczęła krzyczeć i jęczeć — głośno i gwałtownie niczym zwierzę. Ja jednak nadal ją posuwałem, osiągając wreszcie własny orgazm, pieprząc ją mocniej, niż pieprzyłem kiedykolwiek kogokolwiek — mężczyznę czy kobietę, dziwkę czy geja, panią czy pana... w wyobraźni czy w życiu.

Rozdział 13

Skóra i perfumy

Staralem się nie zasnąć, lecz nie wytrzymałem. Co jakiś czas zasypiałem i się budziłem. Odczuwałem dziwny niepokój, gdy spoglądałem wprost na subtelny profil śpiącej Lisy na tle falujących zasłon. Śliczna kobieta, o twarzy i ciele pozbawionym najmniejszej skazy. Dziwne, ale we śnie wydawała mi się równie groźna jak wcześniej na jawie.

Jak mogła po czymś takim spać? Jak mogła być tak pewna, że nie zerwę się na równe nogi, nie chwycę jej za włosy i nie będę jej ciągał po całym pokoju? Ogarnęło mnie prawie nieprzeparłe pragnienie — chciałem zacząć znów ją całować i pieprzyć, a jednocześnie miałem ochotę uciekać w cholerę z tego pokoju. Przytuliłem się do mojej pani, poddając się nieuchronnemu zmęczeniu i bardzo delikatnie pieściłem jej piersi i mokry seks, mimo to jednak zacząłem zasypiać, dosłownie tracić przytomność, niczym po ciosie w głowę.

* * *

Kiedy się obudziłem, w pokoju panowały ciemności, a Lisa mówiła moje imię. Poczułem zbliżający się atak paniki. Jeśli ta kobieta znowu mnie teraz odeśle, po prostu, do diabła, zwariuję.

Palila się tylko jedna lampka, daleko od nas, na toaletce, rzucając żółte światło na twarde, kanciaste rysy rzeźb i masek; światło odbijało się też od mosiężnych elementów łóżka. Leżałem płasko na brzuchu na gładkim bawełnianym prześcieradle, pościel i poduszki zniknęły, a zasłony zostały związane na końcach. Na lewym przegubie poczułem znajomy dotyk skóry kajdanków. Lisa uwięziła mi już lewy nadgarstek i teraz — pochyliwszy się nade mną, opierając się o mnie kolanami — zapinała prawy.

„Będzie mnie chłostała”, pomyślałem. Nie skończyła ze mną. Poczułem szybki napływ podniecenia. Sam ją przecież o to prosiłem, gdy mówiłem różne rzeczy podczas naszego aktu miłosnego. Zresztą, i tak by to zrobiła, nawet gdybym jej nie poprosił. Myślałem, że pieprzeniem ją przed czymś powstrzymam?

Bąłem się. I denerwowałem.

Szarpnąłem rzemienie, sprawdzając ich siłę i zrozumiałem, że nie zdołam się uwolnić. W chwilę później moja lewa stopa została przykuta do słupka łóżka. Potem prawa. Czyli że czekały mnie gorsze przeżycia niż wszystkie, które zdarzyły się tu wcześniej. Chłosta była karą najwygodniejszą i najbardziej typową. Skąd zatem ta panika we mnie? Ponieważ miałem do czynienia z Lisa? Ponieważ przed nią nikt nigdy nie dręczył mnie tak straszliwie? Ale była taka piękna! Przychodziły mi do głowy tylko fragmenty marnych historycznych filmów o chrześcijanach i Rzymianach, filmów, w których niewolnik mówił do swojego pana dekadenceckiego patrycjusza: „Wychłostaj mnie, tylko mnie nie odsyłaj”.

Wiłem się, ciągnąc rzemienie, aż mój członek ocierał się o prześcieradło, jednak ciężka mosiężna rama nawet się nie ruszyła.

Lisa zaś przyglądała mi się, stojąc na prawo ode mnie.

Stała plecami do lampy. W cieniu jej skóra wydawała się niemal żarzyć, jakby wewnętrzne gorąco w alchemiczny sposób przetwarzało się w światło.

Przypomniałem sobie ją leżącą pode mną, twardą i miękką równocześnie, a później znowu pomyślałem, że będzie mnie chłostała, i ogarnęło mnie podniecenie. Nagle chciałem coś do niej powiedzieć, jakoś przełamać napięcie. Nie miałem jednak śmiałości. Zresztą, nie

wiedziałem właściwie, co pragnę jej powiedzieć. Lisa trzymała w tej chwili w ręku czarny skórzany rzemień i nie wyglądała zbyt zachęcająco. Dlaczego w ogóle miałoby ją obchodzić, czy się do niej odezwę? No i co jej chciałem powiedzieć?!

Była teraz ubrana cała na czarno, w strój typowy dla trenerów, z wyjątkiem białej koronkowej bluzki. Prezentowała się pikantnie i elegancko w obcisłej skórzanej kamizelce, spódniczce, która opinała jej biodra i sznurowanych aż do kolan kozaczkach na wysokiej szpilce. Gdybym zobaczył ją siedzącą w tej kreacji w ogródku jakiejś kawiarni, natychmiast by mi stanął.

Teraz działał się zresztą podobnie, do potężnej erekcji wystarczył sam jej widok i dotyk bawełnianego prześcieradła.

Lisa podeszła do mnie z rzemieniem przy prawym boku.

Teraz zapłacę za wszystko — nie tylko za dowcipne uwagi, lecz także za naszą wspólną noc. Należało mi się, prawda? Na tę myśl niemal skuliłem się ze strachu. W sumie, nigdy nie czułem się dobrze po chłóście. Niezależnie od tego, jak wielką masz na nią ochotę i jak ogromnie ją uwielbiasz, chłosta sprawia najnormalniejszy w świecie ból. A Lisa na pewno wie, jak odpowiednio bić; była tu przecież szefową.

Zbliżyła się jeszcze bardziej. Pochyliła się, falbanki jej bluzki poślaskotały moje ramię, po czym pocałowała mnie w policzek. Perfumy i jedwabiste włosy. Przesunąłem się na prześcieradle, zastanawiając się szaleńczo, dlaczego do seksualnej satysfakcji nie wystarczają mi już — jak dzieciakowi ze szkoły — same pocałunki.

— Jesteś małym mądralą, prawda? — spytała niskim, prawie czułym głosem. — Jesteś naprawdę mocny w gębie. I nie chcesz podlegać ani mnie, ani nawet sobie samemu.

Prawie jej odpowiedziałem: „Tak, taki jestem, masz rację, właśnie taki. Będę całował twoje stopy, jeśli mnie puścisz”. Lecz znowu nic nie powiedziałem.

Po raz kolejny mnie pocałowała, a ponieważ zrobiła to tym razem z niezwykłą delikatnością, znów zjeżyły mi się wszystkie włoski na ciele. Ach, smak jej ust. I powiew jej perfum.

— Teraz nauczymy się kilku rzeczy — powiedziała. — Na przykład tego, jak niewolnik odzywa się i odpowiada w Klubie.

— Uczę się naprawdę szybko — oświadczyłem. Odwróciłem od niej głowę. Co, do cholery, próbowałem zrobić? I tak źle się zachowywałem. Jednak... nie mogłem znieść tego wszystkiego, jej widoku, jej obcisłej kamizelki i bluzki z dekoltem.

— Mam nadzieję, że tak. — Roześmiała się cicho. — Jeśli nie, zamierzam wytłuc z ciebie nieposłuszeństwo. — Dotknęła wargami mojej szyi. — No i jak? Już cały podniecony? Podniecasz się sam na łóżku, podnieca cię biczowanie... Jak sądzisz, co ci zrobię? Zgadnij. — Nie odważyłem się cokolwiek odrzec. — Teraz, gdy cię karzę — podjęła, nadal cierpliwie i łagodnie, odgarniając włosy z mojego czoła — będziesz mi odpowiadał właściwie i ulegle, ilekroć się do ciebie zwrócę. I zapanujesz nad swoimi gwałtownymi objawami dumy, obojętnie, jak bardzo będę cię prowokować, rozumiesz?

— Tak, pani — odparłem. Odwróciłem się ku niej, wyciągnąłem maksymalnie do przodu i udało mi się ją pocałować, zanim zdążyła się usunąć. Wróciła, popatrzyła łagodnie, klękła obok mnie i mnie pocałowała. Któryś z kolei pałacy pocałunek wywołał u mnie setny już chyba dreszcz i jeszcze bardziej wzmógł podniecenie.

— Liso — szepnąłem, zupełnie nie wiedząc po co. Pozostała przy mnie bardzo blisko, patrząc na mnie. Nagle zrozumiałem, dlaczego ludzie, którzy w mojej wyobraźni biczowali mnie lub zniewalali, zawsze nosili maski, zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Nie było ważne, kim, do diabła, byli naprawdę — byli dobrzy, póki mówili właściwe rzeczy. Moja aktualna pani natomiast nie nosiła maski. Nie skrywała jej fantazja. — Okrutnie się ciebie boję — szepnąłem. Usłyszałem we własnym głosie zdumienie. Przemawiałem tak cicho, że nie wie — działałem, czy Lisa w ogóle rozumie moje słowa. — To znaczy... to bardzo trudne, to...

Dostrzegłem w jej twarzy jakąś subtelną zmianę, jakiś inną minę. Boże, jakaż była piękna! Odniosłem wrażenie, że jej twarz się dla mnie otwiera, że zaczyna uosabiać wnętrze Lisy, a nie te emocje, które demonstrowała zewnętrznemu światu.

— To dobrze — oznajmiła. Ułożyła wargi do pocałunku, ale zrezygnowała z niego i powoli się cofnęła. — Jesteś gotów na chłostę? — Nieznacznie westchnąłem i kiwnąłem głową. — Musisz odpowiadać konkretniej.

— Tak, pani.

Potrząsnęła głową. Bacznie mnie obserwowała. Oblizalem sobie usta, patrząc na jej wargi. Zmarszczyła lekko brwi, opuściła długie, ciemne rzęsy. Przez moment patrzyła w dół, po czym zerknęła ponownie na mnie. — Podoba mi się twój ton, gdy mówisz do mnie po imieniu — powiedziała w zamyśleniu. Może się nad czymś zastanawiała? — Zmieńmy twoją odpowiedź na „tak, Liso”.

— Tak, Liso. — Drżałem. W podobny sposób zawsze się zwracałem do Martina. „Tak, Martinie”. „Nie, Martinie”.

— Dobry chłopiec — oceniła.

Zniknęła za łóżkiem i zamachnęła się rzemieniem tak mocno jak treserzy. Szybko odkryłem, że potrafi uderzać skutecznie i każde smagnięcie miało znaczenie.

Przez jakiś czas mnie biczowała. Ból rósł powoli, cudownie, wraz z kolejnymi ciosami, dokładnie tak samo jak rozkosz, gdy kilka godzin temu Lisa traktowała mnie sztucznym fallusem. Osobliwie się uspokajałem, a później zacząłem się z wolna ożywiać, czuć, że przyjemność przewyższa ból. Opadły wszystkie wewnętrzne bariery, które mimowolnie skonstruowałem przeciwko mojej pani, na wypadek gdyby zaatakowała mnie brutalnie, szybko, hałaśliwie.

Wtedy zaczęło się bicie na serio. Napiąłem mięśnie, zrywając się z prześcieradła. Nie umiałem już trwać nieruchomo.

Usiłowałem nad sobą zapanować, tak jak zawsze, bo przecież w gruncie rzeczy nie chciałem, by przestała. Niestety już mi nie wychodziło. Krew się we mnie gotowała i nie potrafiłem znieść tego oślepiającego żądlenia rzemienia, który odnajdywał wszystkie wrażliwe miejsca, o których wcześniej w ogóle nie wiedziałem. Podniecenie rosło, nawet gdy walczyłem, rzemień drażnił się ze mną, trafiając w poprzednie ślady. W końcu nadeszła ta bezcenna chwila — chwila, która nie zawsze przychodzi — kiedy wiedziałem, że straciłem kontrolę nad zdarzeniami i czułem wszystko... wszystko równocześnie.

— Wiesz, że do mnie należysz — oświadczyła.

— Tak, Liso — odpowiedziałem naturalnie, spontanicznie.

— I jesteś tutaj, by mnie zadowalać.

— Tak, Liso.

— Koniec z impertynencją.

— Tak, Liso.

— I nie powtórzą się bezczelne teksty, które słyszałam z twoich ust po południu.

— Tak, Liso.

W końcu jęczałem otwarcie, musiałem się do tego przyznać. Miałem zaciśnięte zęby, nawet gdy odpowiadałem mojej pani. Myślałem znowu o jej seksie, o jej rozłożonych nogach i jej gorącej, wąskiej szczelince, w której utonąłem. Chciałem patrzeć na nagą Lisę, chciałem do niej przemawiać, lecz nie mogłem znaleźć odpowiednich słów. Ośmielałem się udzielać jedynie właściwych odpowiedzi, słuchając uważnie każdego pytania zadawanego wśród deszczu smagnień. Byłem przygotowany na wszystkie pytania.

W końcu przerwała biczowanie.

Moja skóra niemal skwierczała, ślady po uderzeniach parowały, kiedy Lisa odpinała kajdanki swoimi niezdolnymi, delikatnym i szybkimi małymi palcami. W końcu kazała mi wstać.

Zerwałem się z łóżka jak pijany i padłem przed nią na kolana, wyczerpany jak po przebiegnięciu wielu kilometrów. Mięśnie bolały mnie od zaciskania i rozwierania przez całą chłostę. Bardzo pragnąłem wziąć Lisę w ramiona, lecz zamiast tego przycisnąłem głowę do podłogi. Uczucie dla mojej pani osłabiało mnie i zatrzuwało.

Pochyliłem się i pocałowałem gładką skórę jej kozaczków. Otoczyłem dłonią jej lewą kostkę i otarłem się o nią twarzą. Nic na świecie już mnie nie obchodziło, nic poza tą kobietą, naprawdę. Łączyło się z nią tak wiele rozmaitych emocji: posiadałem ją, bałem się jej, byłem przez nią chłostany, a teraz lgnąłem do niej.

— Nie — powiedziała i cofnąłem rękę, nadal całując jej stopy. Ból i pożądanie napływały falami. — Niezła chłosta, prawda? — spytała.

— Tak, Liso — skinąłem głową i wbrew sobie cicho się zaśmiałem. Gdyby tylko wiedziała... — Bardzo dobra chłosta. — Gdyby tylko wiedziała, że mam ochotę ją pożreć. Że pragnę... Czego pragnąłem?

— Było ci kiedyś lepiej? — spytała. Dotknęła rzemieniem mojego policzka, dzięki czemu podniosłem na nią wzrok. — Przez chwilę nie widziałem jej wyraźnie. Jakby rozmazywała się na brzegach. Potem jej twarz osobliwie zapłonęła przede mną. Była nieco spocona od wysiłku, umalowane usta błyszczały lekko, oczy wydawała się przepełniać niewinność i nieokreślona ciekawość. Właściwie mina Lisy przywiodła mi na myśli Martina, jego nieustanne zadziwienie, ciągle sondowanie i odkrywanie. — Zadałam ci pytanie. Było ci kiedyś lepiej? — powtórzyła uprzejmie, choć tonem nieco zniecierpliwionym. — Chciałabym wiedzieć.

— Bywało dłużej i hałaśliwiej — mruknąłem. Zdawałem sobie sprawę, że uśmiecham się do niej prawie ironicznie. — I mocniej... Lecz nigdy nie było lepiej, Liso — odparłem.

Schyliła się i mnie pocałowała. Pomyślałem, że teraz na pewno wybuchnę, nie potrafiłem już bowiem nad sobą panować. Wilgotny dotyk jej ust... Jej pocałunki były inne od wszystkich, jakich doświadczyłem kiedykolwiek w całym swoim życiu.

Zacząłem wstawać. Pragnąłem chwycić ją w ramiona, przy — cisnąć jej ciało do swojego. Jednak szybko się oddaliła, pozostawiając mnie samego. Drżały mi kolana, po rękach i nogach przelatywały gorące ciarki, wargi miałem osobliwie zdrętwiałe.

— Mogłabym obdrzeć cię żywcem — oznajmiła. — Ale chciałam cię tylko lekko rozgrzać. Zrobisz dla mnie dziś wieczorem kilka rzeczy.

Spojrzałem na nią i w tej samej chwili przestraszyłem się, że każe mi spuścić oczy.

— Czy ty...? — spytałem szeptem. — Czy mogłabyś...? Czy twój niewolnik mógłby mieć do ciebie małą prośbę?

Przypatrywała mi się przez chwilę niemal lodowato.,

— Mów.

— Pozwól mi się pocałować, Liso, tylko raz.

Gapiała się na mnie. Później jednak pochyliliła się, udzielając mi zgody. Wyciągnąłem rękę, objąłem ją delikatnie i moim ciałem zawładnęło jej ciepło, to połączenie brutalności i liryki. Byłem tylko zwierzęciem, które jej pragnęło, niczym innym.

— Puść mnie, EUiotcie — poleciła ostro tonem dezaprobaty, choć jej palce jeszcze mnie trzymały. Później opuściła je, jakby ten rozkaz wydała samej sobie.

Spuściłem głowę.

— Czas na prawdziwą lekcję posłuszeństwa i manier — stwierdziła, lecz głosem niepewnym, niemal zakłopotanym. Jakże miły był to dla mnie dźwięk! — Wyprostuj się!

— Tak, Liso.

— Ręce za plecy. Spleć palce na wysokości talii. Posłuchałem i znowu ogarnęły mnie dawne lęki. „Zdarzy się coś okropnego — myślałem. — Może powinienem uciec”. Odniosłem wrażenie, że słyszę, jak rozdzwania się cichy, przejmujący alarm. „Ale przecież należysz do niej — powiedziałem sobie. — Nie myśl o niczym innym. Naprawdę do niej

należysz”. Jakieś strzępy wspomnień przelatywały mi przez głowę, coś o nas, masochistach, pragnących ostatecznej udręki, niemożliwego do zniesienia bólu, a równocześnie tęskniłem za bliskością Lisy, umierałem dla niej, gdy mnie karała. To była nie tylko kara, ale także skupienie i pożądanie. A może jeszcze coś innego.

Moja pani obeszła mnie, robiąc małe kółko, a ja miałem nerwy jak postronki. Byłem czujny. Wyglądała wspaniale w tych wysokich butach, łydki miała pięknie wyprężone pod gładką skórą, mała zamszowa spódniczka cudownie opinała zgrabne pośladki i biodra.

Uszczypnęła mnie lekko w twarz.

— Ładnie się rumienisz — zauważyła bardzo szczerze. — I pasują ci te ślady po biczowaniu. Nie zniekształcają twojego ciała. Teraz prezentujesz się tak, jak powinienes.

Czułem niewyraźną falującą emocję, którą Francuzi nazywają *frisson*, co oznacza mniej więcej „dreszcz”. Spojrzałem jej w oczy. Jednak nie odważyłem się ponownie poprosić o pozwolenie na pocałunek. Z pewnością by mi odmówiła.

— Opuść wzrok, niebieskooki — poleciła, choć w jej tonie nie było przygany. — Nie zaknebluję cię, masz zbyt ponętne usta. Wystarczy wszakże jeden wyskok dawnego Elliotta, którego poznałam, a zostaniesz związany i ukarany, rozumiesz? No i będę się na ciebie gniewać. Rozumiesz mnie?

— Tak, pani! — Rzuciłem jej kolejne spojrzenie. Czułem w sobie słodycz z domieszką goryczy.

Roześmiała się w ten sam sposób co wcześniej, nisko i przyjemnie, po czym znów mnie pocałowała w policzek, a ja znowu na nią popatrzyłem z cieniem czegoś znacznie subtelniejszego niż uśmiech. Jakbym z nią flirtował w jakiś przebiegły sposób. „Pocałuj mnie znów, proszę”, błagałem w myślach. Nie zrobiła tego.

— Teraz pójdziesz przede mną — oświadczyła. — Przede mną i nieznacznie po prawej. Pamiętaj, rzucisz jedną głupio-mądrą uwagę, a dalej będziesz szedł zakneblowany i na czworakach! Rozumiesz?

— Tak, pani.

Rozdział 14

Pasaż sportowy

Cholernie byłem zdenerwowany po wyjściu z jej bezpiecznej sypialni. Znowu znalazłem się w Klubie. Migoczące lampy sztormowe i hałas spędzających wieczór w ogrodzie tłumów przyprawiły mnie o atak głębokiego, niemal pierwotnego strachu.

Nagle otoczyło nas jeszcze więcej gości niż pierwszego dnia. Trzymałem wzrok spuszczonego i czułem się bardzo dziwnie, idąc w ten sposób, powoli i z rozmysłem, obserwowany przez tyle ciekawych oczu.

Szedłem ścieżką, Lisa co jakiś czas szturchała mnie łokciem, sugerując skręt, z później jeszcze dodatkowo wyciągała rękę.

Minęliśmy zastawione stoły i baseny, po czym wąską ścieżką opuściliśmy główny ogród i ruszyliśmy ku niskiemu budynkowi. Jego ściany porastała winorośl, oszklony dach zaś jarzył się w świetle niczym wielka żarówka. Z budynku dotarły do mnie stłumione odgłosy — krzyki i śmiechy.

— To jest pasaż, Elliotcie — wyjaśniła moja pani. — Wiesz, co to znaczy?

— Nie, Liso — odparłem zdumiewająco opanowanym głosem. „Ale brzmi strasznie”, dodałem w myślach. Już się spociłem. Ślady po rzemieniu swędziały.

— Jesteś sportowcem, prawda? — spytała. Popędziła mnie do szybszego kroku ścieżką, a młody treser z dość długimi rudymi włosami i raczej przyjemnym uśmiechem otworzył przed nami drzwi dziwnego gmachu. Panujący w środku hałas prawie mnie ogłuszył.

— Dobry wieczór, Liso — zagaił rudy. — Pełno ich dziś wieczorem. Chętnie obejrzą także tego tu.

Kiedy weszliśmy, światło wydało mi się bardziej przyćmione, może z powodu gęstego tłumu i dymu. W powietrzu unosił się zapach tytoniu zmieszany z intensywnym słodowym aromatem piwa.

Kobiet było tu bardzo niewiele, o ile dobrze widziałem, chociaż pomieszczenie okazało się ogromne. Wyglądało jak zadaszony ogród z długim barem biegnącym wzdłuż wszystkich ścian. Obok nas przepychali się trenerzy prowadzący nagich niewolników płci męskiej, z których jedni byli związani, drudzy — tak jak ja — chodzili swobodnie, a jeszcze inni wydawali się zmęczeni, spoceni i brudni.

Wokół nas ludzie przemawiali tuzinem różnych języków. Co rusz ktoś omiatał mnie tęsknym spojrzeniem i słyszałem wyraźnie słowa francuskie i niemieckie, a także strzępy arabskiego i greki. Goście naturalnie wyglądali na bogatych, nosili kosztowne stroje sportowe i inne „atrybuty” wielkich pieniędzy i władzy.

Najbardziej jednak przeraziły mnie wrzaski dochodzące gdzieś z przodu — znajome, niskie dźwięki, charakterystyczne dla mężczyzn kibicujących rywalizującym zawodnikom. Czasem słychać było rechot, innym razem przekleństwa. Miałem ochotę stąd prysnąć.

Lisa przepchnęła się przez mur kibiców i zobaczyłem przed sobą obsadzoną drzewami alejkę czystego, miękkiego jasnego piasku, która mniej więcej sto metrów dalej ponownie zniknęła wśród tłumu. W pewnej odległości po obu stronach dostrzegłem duże fontanny, sporo ustawionych tu i ówdzie parkowych ławek oraz nagie niewolnice (wszystkie niezmiernie ładne, ciche i zapracowane), które grabiły piasek, opróżniały stojące popielniczki lub zbierały puste szklanki i puszki po piwie.

Aleja stanowiła najwyraźniej ruchliwy deptak, zabudowany z obu stron świeżo pobielonymi budowlami, połączonymi sznurami światełek. Między budynkami zauważyłem

ogrodzone obszary oraz grupki mężczyzn opartych o drewniane sztachety; zasłaniali mi widok tego, co działo się w środku. Goście wchodzili i wychodzili z budynków, setkami spacerowali po jasnym piasku. W koszulkach rozpiętych aż do pasa, z drinkami w rękę, zaglądali co jakiś czas w otwarte wejścia.

Odruchowo cofnąłem się o krok, jakby udając, że muszę ustąpić miejsca dwóm mężczyznom w kąpielówkach, lecz natychmiast palce Lisy wbiły się w moje ramię. Otworzyłem usta z nie do końca przemyślanym tłumaczeniem w stylu „nie jestem na to przygotowany”, jednak nic nie powiedziałem.

Tłum wokół nas zgęstniał. Stale muskały moje ciało czyjeś nogawki, buty czy kurtki i bałem się, że za chwilę dostanę ataku klaustrofobii. Lisa trzymała mnie mocno za ramię i popychała ku pierwszej z długich białych kabin.

W środku było ciemnowo i przez chwilę nie wiedziałem, gdzie jestem. Lustrzane ściany i sufit, połyskująca drewniana podłoga i cienkie białe linie dekoracyjnych neonów zdobiących sufit. I scena! Zrozumiałem w końcu, że mam przed sobą typową dla wesołych miasteczek grę. Płacisz za kilka czarnych gumowych obręczy i rzucasz je, próbując powiesić na kołku. Tyle że tutaj — zamiast kołków — celem były pochylone głowy męskich niewolników, którzy klęczeli na ruchomej taśmie szybko przesuwającej się przez scenę.

Gości wyraźnie bawiła ta prostacka, rubaszna rozrywka i chętnie zarzucali obręcze na szyje niewolników, zanim ci zniknęli im z pola widzenia. Poza prostotą w tej igraszce było coś przerażającego: uległość klęczących ofiar i fakt, że ich natarte olejkami ciała stawały się zwykłymi przejeżdżającymi przed tłumem przedmiotami.

Gapilem się przez moment na małą scenę, na pochylone głowy i obręcze zwisające ze zgiętych szyj. Nie chciałem tu zostać. Nie mogłbym. Musiał istnieć sposób powiedzenia o tym Lisie. Zanim sobie to dobrze przemyślałem, cofnąłem się, aż się znalazłem za moją panią, a wtedy pocałowałem ją w czubek głowy.

— Wychodź — poleciała. — I nie marnuj swoich próśb. Gdybym chciała cię tam zostawić, to bym cię zostawiła. Widocznie nie chciałam.

Pchnęła mnie do drzwi.

Światła alei migotały, przez chwilę atakując moje oczy przez zaciśnięte powieki, potem ruszyłem naprzód, stale popychany ku kolejnej kabinie, tym razem po prawej stronie.

Pomieszczenie było większe, lecz wyposażone w podobne połyskujące cuda techniki, a także w barek i mosiężną balustradę wzdłuż ściany, w odległości około dziewięciu metrów. Tym razem goście nie rzucali obręczami, lecz plastikowymi piłkami (wielkości tenisowych) w jaskrawych kolorach do ruchomych tarcz grubo pomalowanych odblaskowymi barwami i umieszczonych na poślądkach męskich ofiar, które — z rękoma związanymi nad głową — próbowały rozpaczliwie odskakiwać, co było trudne, ponieważ stały tyłem. Gdy piłki trafiły w tarczę, przylepiały się do niej, a niewolnicy wykrecali się szaleńczo, usiłując je strząsnąć. Zabawa była rozkosznie upokarzająca i nikomu nie sprawiała najdrobniejszego nawet bólu. Nie musiałem widzieć twarzy niewolników, by wiedzieć, że kręcąc się i obracając, przede wszystkim się popisują. Prezentowali wszystkie swoje mięśnie.

Czułem, że pot spływa mi po twarzy. Lekko potrząsnąłem głową. Niemożliwe, po prostu niemożliwe! Nie zgadzam się. Kątem oka dostrzegłem spojrzenie Lisy i przybrałem obojętny wyraz twarzy.

W następnych dwóch kabinach odbywały się podobne gry, tyle że niewolnicy musieli biegać po krętych szlakach, uciekając przed piłkami i obręczami, w piątej zaś zwisali głową w dół na karuzelach, więc sami nie musieli się skręcać i obracać.

Zastanowiłem się, czy goście wieszali ich, gdy już się zmęczyli innymi rozrywkami. Umieszczali ich wtedy na karuzeli, gdzie wisieli bezradnie? Idealni cierpiętnicy. Zadałem sobie pytanie, czy jest to regularna służba w Klubie czy też kara — tak jak wysyłanie pod schody.

Wszelkie wspomnienia związane z normalnym światem, w którym takie rzeczy się nie zdarzały, wydawały mi się — w najlepszym wypadku — nierzeczywiste. Wkroczyliśmy w krainę malarstwa Hieronima Boscha — w świat trupich sreber i czerwieni, skąd wyjść mogłem tylko z moją panią, która mnie tu wprowadziła.

Ale czy chciałem wyjść? Oczywiście, że nie chciałem. Może powiem raczej, że w tej chwili nie chciałem stąd wychodzić. W żadnej z moich seksualnych fantazji nigdy nie wymyśliłem takich miejsc. Byłem śmiertelnie przestraszony, a jednocześnie — w duszy — oczarowany. Przypomniała mi się *Purpurowa krowa*, stary wierszyk Gellotta Burgessa: „Wolę oglądać, niż brać udział”.

W odrętwieniu ruszyłem przez oślepiające światła. Emocje zalewały mi zmysły. Nawet hałas wydawał się mnie przenikać, słodkawy dym nieznacznie mnie oszalał, a ręce, które co jakiś czas mnie dotykały lub badały, wyzwały we mnie mieszaninę strachu i pożądania, której nie potrafiłem ukryć.

Nagie niewolnice pojawiały się i znikaly niczym migoczące różowe płomienie w ruchliwym tłumie mężczyzn. Dziewczyny oferowały koktajle, szampan, białe wino.

— Czyż nie jesteśmy geniuszami egzotycznego seksu? — szepnęła nagle Lisa. Fakt, że się odezwała, zadziwił mnie, jeszcze bardziej jednak zaskoczyła mnie jej mina. Najwyraźniej reagowała na tłum z takim samym oszołomieniem jak ja — jakbyśmy godzinami kręcili się po wiejskim jarmarku.

— Tak, myślę, że tak — odparłem. Mój głos brzmiał równie osobliwie jak jej. Byłem podniecony.

— Podoba ci się tutaj? — spytała bez śladu ironii. Miałem wrażenie, że zapomniała, kim dla siebie jesteśmy.

— Tak, podoba mi się — odrzekłem. Czerpałem potężną, tajną satysfakcję z niewinności na jej twarzy i w głosie. Przypatrzyła mi się, a ja do niej mrugnąłem. Mógłbym prawie przysiąc, że się zarumieniła, gdy odwracała wzrok.

Przyszło mi do głowy, że może by tak chwycić ją za rękę, otoczyć ramieniem i zacząć szaleńczo całować jak Rudolf Valentino w *Szejku*. Po prostu... w środku całego tego „egzotycznego seksu” byłby to zgrzyt, przynajmniej dla mnie. Oczywiście nie miałem na coś takiego odwagi.

Pomyślałem, że umrę, jeśli mnie stąd zabierze. Jeżeli jednak chciałem tu zostać, musiałem wziąć udział w jednej z tych kuszących zabaw, którą Lisa dla mnie wybierze, prawda?

Kiedy ponownie ruszyliśmy, obserwowałem ją kątem oka — jej sterczące piersi pod elegancką warstwą koronki i kamizelką, która nadawała jej ciału kształt małej klepsydry. Niebo i piekło.

Ponieważ skierowała mnie na jedną z niewielkich polan, zrozumiałem, że zamierza mi pokazać wszystkie rozrywki, zanim wybierze tę, która zrobi na mnie największe wrażenie.

Gdy jednak zobaczyłem, w co grają na polanie, zupełnie nie umiałem ukryć swoich uczuć.

Odbywał się tu wyścig, który obserwowali mężczyźni siedzący wszędzie wokół ze stopami na barierkach, jakby oglądali rodeo. Kibicowali nagim niewolnikom, ścigającym się na czworakach po torach.

Jednak niewolnicy nie biegli ot tak, po prostu, na dystans. Aportowali też w zębach czarne gumowe piłki, które członkowie Klubu rzucali zza barierki na tory. Nikt nie rzucał drugiej piłki, póki niewolnik nie odniósł mu pierwszej. Wszyscy widzowie poganiali niewolników skórzanymi rzemieniami.

Najwyraźniej należało przynieść pięć piłek, by ukończyć wyścig, ponieważ zwycięzca podniósł obie ręce natychmiast po położeniu piątej piłki w stóp swojego pana. Niewolnik miał twarz czerwoną, ociekał potem, lecz był oklaskiwany, poklepywany i pieszczony. Szybko zabrano go za polanę, owinięto białym ręcznikiem, natomiast pozostałych uczestników —

mimo iż sapali i drżeli — pogoniono z powrotem na start. Mieli wziąć udział w następnym wyścigu.

Zrozumiałem tę karę. Biegasz, aż wygrasz.

Mogłem sobie tylko wyobrażać, jak bardzo zwycięzcy chępli się pokonaniem innych. A wszyscy oni naprawdę ze sobą walczyli. Klęczeli w idealnej pozycji startowej, rozpaczliwie gotowi ponownie wyruszyć i popatrywali po sobie, zaciskając szczęki.

Znów się wycofałem, starając się zachowywać swobodnie. Dawałem Lisie do zrozumienia, że powinniśmy pójść dalej, na następną polanę lub do następnej kabiny. Sugerowałem, że wiele zostało nam do zobaczenia. A tak naprawdę miałem ochotę wrócić do domu i poczytać „New York Timesa”. Panujący wokół hałas przyprawiał mnie o ból głowy.

— Naprawdę jest ci trudno, prawda? — spytała, wpatrując się we mnie brązowymi oczyma. Od tego spojrzenia tajało we mnie wszystko, oczywiście z wyjątkiem tego, co nigdy się nie topi. Przemknęło mi przez myśl mnóstwo paskudnych słów, które mógłbym jej powiedzieć, lecz zmilczałem. Czułem się od niej słodko zależny.

I wyzywająco pocałowałem ją w policzek. Zrobiła krok w tył, strzeliła palcami, po czym krótkim gestem kazała mi podążyć za sobą.

— Nie rób tego więcej — rzuciła. Wyglądała na mocno podnieconą. Twarz miała zaróżwioną.

Zaprowadziła mnie w zatłoczoną alejkę. Szła, nie oglądając się za siebie. Powiedziałem sobie, że nie chcę już patrzeć na polany położone po obu stronach, jednak nie mogłem się powstrzymać. Wszędzie odbywały się wyścigi. Różne dystanse, różne wariacje. Niemniej jednak przyjemnie mi się oglądało jej piękny szczupły tyłeczek poruszający się pod spódniczką, długie niemal do pośladków faliste włosy, delikatne ciało z tyłu nagich kolan.

Zbliżyliśmy się do gęstego tłumu stojącego przed niską, oświetloną sceną; tu aleja rozchodziła się w dwie odnogi — lewą i prawą. Przed nami, na scenie znajdowało się ośmiu czy dziesięciu niewolników, nagich poza białym ręcznikiem, który każdy miał przewieszony przez ramię.

Rozczochrane włosy, lśniące mięśnie i uśmiechy... zdumiewająco prowokujące uśmiechy; niewolnicy jawnie szydzili z tłumu, machając rękoma i zachęcając gości do wejścia na scenę.

Wkrótce widziałem, co się dzieje. Treserzy sprzedawali niewolników jako uczestników wyścigów lub gier, a niewolnicy zabiegali o względy kupujących i rywalizowali między sobą. Patrzyłem, jak dwóch niewolników sprzedano w wyniku krótkiej nieformalnej licytacji trzech oferentów. Natychmiast wprowadzono po schodach kolejną dwójkę nagich mężczyzn, którzy od razu zaczęli podobnie kokietować tłum i pokazywać żartobliwe drwiące gesty. Członkowie Klubu pohukiwali, wydawali okrzyki i sporadyczne groźby w typie: „Zetrę ci ten uśmiezek z twarzy” lub „Myślisz, że zechcesz dla mnie biegać?”, które wzmagaly towarzyskie napięcie.

Lisa otoczyła mnie ramieniem i przyciągnęła do siebie blisko. Pod wpływem dotyku jej cudownych palców odniosłem wrażenie, że za chwilę oszaleję. Udało mi się kilkakrotnie zerknąć na jej piersi pod rozpiętą bluzką. Prawie widziałem sutki.

— Który jest najatrakcyjniejszy i najbardziej zmysłowy? — spytała, przechylając głowę, jakbyśmy uczestniczyli w wystawie psów rasowych. Rosło we mnie uczucie całkowitej przynależności do niej. — Zastanów się nad odpowiedzią i odpowiedz mi uczciwie — poleciła. — Dzięki temu dowiem się czegoś o tobie.

— Nie wiem — odparłem dość cierpkim szeptem. Myśl, że Lisa mogłaby kupić jednego z tych prymitywów i zacząć zwracać na niego uwagę, rozwścieczyła mnie.

— Więc skup się na tym, co każę ci zrobić — oświadczyła zimno. Podniosła rękę i odgarnęła mi włosy z czoła, ale jej oblicze pozostało kamienne, a mina groźna. — Wybierz tego, którego uważasz za naprawdę najprzystojniejszego, tego, którego chciałbyś pieprzyć, gdybym ci pozwoliła. I nie okłamuj mnie. Nawet nie bierz tego pod uwagę. — Czułem się nieco nieszczęśliwy. I byłem zazdrosny. Mimo to popatrzyłem na mężczyzn. Miałem

mieszane uczucia. Zmysły przejęły nade mną władzę i było to dla mnie całkowicie nowe doznanie. Wszyscy ci niewolnicy byli bardzo młodzi, dobrze zbudowani i z równą dumą prezentowali swoje pręgi i smugi po rzemieniach, różowe rumieńce na pośladkach, genitalia i mięśnie kończyn. — Ten blondyn na końcu jest świetny — rzuciła.

— Nie. — Potrząsnąłem głowę, dając jej do zrozumienia, że o jej kandydacie nawet nie warto dyskutować. — Nie ma na scenie żadnego, który mógłby się równać z facetem za zagrodą, z tym ciemnym. — Młodzieniec wyraźnie rzucał się w oczy, nawet w miejscu pełnym tak szczególnych mężczyzn. Brunet był młodym faunem o gładkiej piersi, a jednak bardzo męskim. Skojarzył mi się z leśnym elfem, brakowało mu tylko spiczastych uszu. Miał ładnie przycięte, falujące włosy, dłuższe z tyłu i krótkie baczki. Jego szyja i ramiona wydały mi się szczególnie pięknie ukształtowane i dość potężne. Jego penis niemal w stanie erekcji był chyba równie długi jak butelka piwa. Niewolnik wyglądał nieco demonicznie, szczególnie gdy patrzył wprost na mnie, wydymając lekko wargi i ściągając błyszczące, ciemne brwi w figlarnym marsie.

— Jego byś wybrał, gdybyś mógł wybierać? — spytała, oceniając młodzieńca, który właśnie wyszedł z zagrody i stanął na scenie. Ręce trzymał na karku i wpatrywał się w nas, a jego członek twardniał.

Wyobraziłem sobie, jak pieprzę młokosa na jej oczach i... poczułem się rozdarty. U Martina zawsze było mi trudno, gdy musiałem pieprzyć kogoś w obecności innych osób. Już wolałem zamiast tego publicznego stosunku być wychłostany czy upokarzany na tuzin sposobów. A jednak teraz myśl o młodzieńcu i Lisie nie była mi aż tak obca. Demoniczny brunet rozgrzewał moją krew.

Moja pani dała treserowi jakiś znak, subtelną ofertę, jakie widywałem na aukcjach dzieł sztuki. Treser od razu pomachał do niewolnika, który przeszedł scenę i zszedł do nas po schodach, przeciskając się przez tłum.

Przy bliższym oglądzie młodzieniec okazał się naprawdę obezwładniający. Jego oliwkową skórę przyciemniła opalenizna, całe ciało miał sprężyste. Gdy podszedł, spuścił wzrok z idealną kurtuazją i — trzymając ręce nadal na karku — klęknął na kolano i pocałował but Lisę z nieco zaskakującym wdziękiem. Nawet kark miał powabny. Szybko zmierzył mnie spojrzeniem z góry na dół. Popatrzyłem na moją panią, na wpół pragnąc bruneta, na wpół go nienawidząc, lecz nie potrafiłem odgadnąć, co Lisa naprawdę o nim myśli.

Kiedy niewolnik się podnosił, zdjęła mu ręcznik z ramienia i rzuciła treserowi. Potem gestem poleciła nam pójść za sobą.

Ruszyliśmy prosto ku wyjątkowo hałaśliwej polanie, wielkiemu otwartemu ringowi, gdzie stały trzy rzędy mężczyzn na odkrytej półkolistej trybunie.

Lisa przepchnęła się do przodu, kiwając na nas obu. Gdy znaleźliśmy się przy barierce, tłum ponownie zamknął się wokół nas.

Dwóch wyraźnie nowych, seksualnie pobudzonych niewolników właśnie wchodziło na ring na czworakach. Widzowie zaczęli odliczać rytmicznie: „raz, dwa, trzy, cztery, pięć...” Niewolnicy stanęli naprzeciwko siebie, gotowi do walki, popatrując na siebie przez potargane włosy. Ich ciała błyszczały dzięki grubej warstwie olejku. Jeden był ciemnoskóry, brązowowłosy, drugi miał włosy w kolorze srebrzystego blondu, długa grzywa przesłaniała mu twarz.

Na czym miała polegać ta gra? Na pokonaniu drugiego faceta, znokautowaniu go lub zgwałceniu?

Murzyn skoczył nagle z sykiem na blondyna, próbując go dosiąść. Tak, chyba chodziło o gwałt. Tłuste od olejku ciało blondyna z łatwością się wywinęło, po czym niewolnik obrócił się i skoczył na ciemniejszego, lecz z tego samego powodu nie zdołał go chwycić. Rozpoczęły się prawdziwe zapasy, z tłustych rąk wyślizgiwały się tłuste nogi. Skandujący tłum doprowadził już odliczanie do setki, a wtedy walka nabrała tempa. W końcu Murzyn

dosiadł blondyna od tyłu i zacisnął mu ramię na szyi. Tyle że był od niego niższy i nie był w stanie go zniewolić. Blondyn odwrócił się pod nim i uwolnił, gdy odliczanie doszło do stu dwudziestu.

Nie było zwycięzcy. Tłum wygwizdał obu.

Lisa zwróciła się do mnie:

— Czy muszę ci mówić, co masz zrobić? — spytała, po czym dała znak treserowi. Oliwkowy faun posłał mi uśmiezek, ja natomiast obrzuciłem moją panią piorunującym spojrzeniem.

— Dość, cholera, staroświecka zabawa, jeśli chcesz znać moje zdanie — odparłem. Czuję się okropnie.

— Nikt cię nie pytał o zdanie — odcięła się. — A tak przy okazji, wybrałeś sobie mistrza za przeciwnika. Lepiej się postaraj.

Tłum hałasował, gdy treser zabrał nas na bok, na smarowanie. Zły mały faun przypatrywał mi się z uwagą, oceniając mnie z wydętymi wargami w ten sam denerwujący sposób. Był gotowy do walki. Słyszałem, że widzowie stawiają zakłady, widziałem, jak się kłócą i dyskutują na zatłoczonej trybunie.

Mój gniew zastąpiła inna, dziksza emocja. Wiedziałem, że muszę dopaść swojego przeciwnika. Pieprzyć go, drania! Również byłem gotów.

Lisa nazwała go czempionem. Prawdopodobnie brał udział w tych szczególnych zapasach setki razy. Chrzaniony gladiator! A ja byłem nowicjuszem. No i dobrze. Rosło moje ożywienie i wściekłość. Sport był średnio brutalny i fakt ten wręcz mnie elektryzował. Czuję się, jakbym otwierał kolejne drzwi, które zawsze były dla mnie zamknięte.

— Pamiętaj — powiedział treser, pchając mnie na ring. — Nie wolno wstawać z czworaków i nie wolno bić. I nie marnuj czasu na obronę. Dopadnij go. Zaczynaj. — Przepchnął mnie pod barierką.

Tłum zaczął głośno odliczać.

Widziałem, że mój rywal podchodzi, groźnie patrząc na mnie spod ciemnych brwi. Krople olejku błyszczały mu na rękach i policzkach. Był bardziej krępy ode mnie i mocniej umięśniony, co w tej grze raczej przeszkadzało. Widzowie doliczyli już do trzydziestu, trzydziestu jeden...

Niespodziewanie blondyn mnie zaatakował i odniosłem wrażenie, że zamierza przeskoczyć mi nad głowę. Zrobiłem ostry unik w prawo i przeciwnik wylądował niezdarnie na ziemi. Musiałem go teraz przygwoździć, toteż bez wahania wskoczyłem na niego, zanim zdążył się podnieść i sytuacja odwróciła się na moją korzyść. Teraz ja byłem górą, otoczyłem jego szyję lewym ramieniem i pomagając sobie prawym, trzymałem go w klamrze. Wściekle próbował się uwolnić, wyslizgując się spode mnie, brykając w furii, tłustymi palcami bezskutecznie usiłując uchwycić moje dłonie. Z jego ust wydobywało się coś na kształt warkotu.

Nie zdołał mi się jednak wyrwać. To była brzydka walka, w jakiej nigdy wcześniej nie brałem udziału, parkowy gwałt, jakich się nigdy nie dopuszczałem, jakich nawet sobie nigdy nie wyobrażałem. A jednak musiałem to zrobić sukinsynowi, w przeciwnym razie bowiem on zrobiłby to mnie. I czuję się bosko. Pochyliłem go i chwyciłem jego ciało jak w kleszcze. Udało mi się. W żadnym razie nie był w stanie mnie zrzucić. Powoli słabł. Jego palce ślizgały się po moich ramionach i dłoniach. Tłum ryczał. Mój przeciwnik dostał to, na co sobie zasłużył. Potrząsał dziko głową i usiłował mi się wyrwać, ale byłem zbyt silny, zbyt ciężki, zbyt wściekły i za bardzo zdeterminowany. Wszedłem w niego łatwo. Posiadłem go, trzymając go mocno za szyję. Nie miał żadnych szans.

Widownia odliczała: „sto dziesięć... sto jedenaście...”, wrzeszcząc i bijąc brawo. Mój kochanek starał się uwolnić, wywołując swymi ruchami tarcie, które sprawiało mi rozkoszną przyjemność. Doszedłem i eksplodowałem w niego, przesuwając jego głowę po ziemi.

* * *

Po prysznicu pozwolono mi na kilkuminutowy odpoczynek. Usiadłem na małym miękkim trawniku, złożyłem łokcie na kolanach i zatopiłem twarz w dłoniach. Właściwie nie byłem wyczerpany, nie byłem nawet zmęczony.

Rozmyślałem. Dlaczego wybrała dla mnie tę szczególną dyscyplinę? Pojedynek nie upokorzył mnie, wręcz przeciwnie, zwycięstwo okazało się niezwykle przyjemne. Unikalna lekcja. Gwałt bez winy. Może każdy powinien tego doświadczyć choć raz w życiu, choć raz otrzymać możliwość wykorzystania drugiej osoby, nie czyniąc jej w zasadzie żadnej prawdziwej moralnej czy fizycznej szkody?

Mógłbym się uzależnić od tej zabawy. Tyle że już wcześniej uzależniłem się od Lisy. Dręczyło mnie pytanie, dlaczego moja pani skłoniła mnie do tej rywalizacji. Podstępny pomysł: dać mi okazję ujarznienia drugiego mężczyzny. Czy wywyższała mnie, by za chwilę znowu straszliwie poniżyć?

Gdy w końcu rozejrzałem się wokół siebie, dostrzegłem ją. Opierała się o jedno z drzewek figowych i przypatrywała mi się z uwagą, przekrzywiwszy głowę i zaczepiwszy kciuki o boczne kieszenie zamszowej spódniczki. Miała niezwykle dziwną minę, oczy szeroko otwarte, dolną wargę ponętnie wydętą, w twarzy coś dziewczęcego i miękkiego.

Zawładnęło mną osobliwe pragnienie odbycia z nią rozmowy, wyjaśnienia jej czegoś. To samo pragnienie ogarnęło mnie już przedtem, w jej sypialni i — tak jak wtedy — znów pojawiła się udreka: czy ja ją w ogóle, do diabła, obchodzę? Może wcale nie chciała mnie poznać. Pragnęła mnie tylko wykorzystać i z tego powodu tu byłem.

A jednak przypatrywaliśmy się sobie przez długość basenu, zapominając o hałasie dochodzącym z ringu, gdzie rozgrywał się podobny do mojego pojedynek, i znów się jej wystraszyłem, znów przestraszyłem się czekających mnie godzin, czekających mnie zdarzeń.

Kiedy na mnie kiwnęła, poczułem w lędźwiach gwałtowne, niemal słyszalne drzenie. Doświadczyłem prawdziwego przecucia, że chwilowo nie czeka mnie więcej męskich figli.

Podniosłem się i podszedłem do niej. Mój niepokój rósł.

— Jesteś niezłym zapaśnikiem — oświadczyła spokojnie. — Potrafisz wiele rzeczy, których nie umie większość nowych niewolników. Chyba jednak nadszedł czas na kolejną chłostę, nie sądzisz? — Gapilem się na jej buty, opięte na kostkach. „Proszę, wróćmy do pokoju”, modliłem się. Może coś wymyślę, jeśli znowu zostaniemy sami. Wiedziałem, jak brzmi prawidłowa odpowiedź, jednak właściwe słowa nie chciały mi przejść przez gardło. — Jasnawłosi niewolnicy ujawniają na twarzach wszystkie swoje emocje — stwierdziła, gładząc mi zgiętym palcem policzek. — Chłostał cię ktoś kiedyś pod prawdziwym pręgierzem? — spytała. — W obliczu miłego, dużego, zachwyconego tłumu? — Czyli to mnie czekało. — A więc?

— Nie, pani — odparłem sucho z małym zimnym uśmiechem. Nigdy nie byłem chłostany na oczach tłumu. I Boże, nie chciałem tego, nie wobec tego tłumu, nie w tym miejscu! Musiałem wymyślić coś, jakiś sposób przekonania jej, lecz nie błaganie. Tak czy owak, ponownie nie wydałem z siebie żadnego dźwięku.

Za Lisa pojawił się treser. Owłosiona dłoń. *De rigueur** rzemień.

— Weź go pod pręgierz — poleciła Lisa. — Niech idzie z rękoma opuszczonymi po bokach. Podoba mi się, jak się wtedy prezentuje, bardziej niż w innych pozach. Skujcie go w pełni na chłostę. Do roboty.

* *De rigueur* (fr.) — obowiązkowy, wymagany.

Chyba przestał mi bić puls. Lodowato uprzytomniłem sobie, że jeśli nie wyrażę zgody, jeśli odmówię, ten sukinsyn zawoła pomocników i prawdopodobnie zaciągną mnie pod pręgierz siłą.

No cóż, to się nie zdarzy.

— Liso... — szepnąłem, jedynie lekko potrząsając głową.

Podniosła dłoń i znowu poczułem jej perfumy. Przypomniałem sobie zdarzenia z sypialni, pościel, jej nagie ciało pod moim... Jej ręka podniosła się wyżej i objęła moją szyję.

— Ciii. Idź, Elliotcie — poleciała, masując palcami mięśnie mojego karku. — Potrafisz znieść tę karę. Przyjmij ją dla mnie.

— Bezlitosna — szepnąłem, zaciskając zęby i odwracając się od niej.

— Tak, dokładnie — przyznała.

Rozdział 15

Pręgiarz

Po raz pierwszy wyglądał teraz na nieco przestraszonego. Wreszcie z jego twarzy zniknęła dowcipna minka. Opuścił go również gniew, który widziałam u niego przed meczem zapaśniczym. Tak, naprawdę udało mi się pokonać Elliotta. Wyraźnie nie podobał mu się pomysł skucia i wychłostania na oczach widzów. Wreszcie poruszyłam w nim odpowiedni czuły nerw.

Ależ by się ze mnie śmiał, gdyby wiedział, jak bardzo się bałam, że go rozczaruję, jak cholernie panikowałam, że najnormalniej w świecie okażą się niewarta jego pieniędzy.

Mam na myśli wszystkie te bzdury o niewolnikach „istniejących” wyłącznie dla przypodobania się swoim panom i paniom. A przecież to tylko bzdury. Musimy dać każdemu przybyłemu na wyspę wszystko, czego pragnął, i doskonale o tym wiedzieliśmy. System zależał całkowicie od powszechnej satysfakcji. Co się, do diabła, ze mną stało, że już nie potrafiłam po prostu dręczyć niewolnika i dawać mu tego, co chciał tu otrzymać?

Teraz jednak, tą chłostą, coś w końcu osiągnęliśmy. No i dobrze.

Kazałam treserowi prowadzić Elliotta przede mną, ponieważ nie chciałam widzieć jego twarzy — nawet na minutę czy dwie. Musiałam się od niego wyzwolić. Musiałam znowu zacząć się kontrolować.

Kiedy szkolisz niewolników, uczysz się zauważać wszelkie, nawet najdrobniejsze zmiany w wyrazie twarzy albo szybkości oddechu, każdy objaw strapienia, które kolosalnie się zmieniają od kary do kary, od motywu do motywu. W sytuacji idealnej też się angażujesz. Zapalasz się. Jednak uczysz się doskonale nad sobą panować. A czasem pożądanie jest tak silne i tak nieprzerwane, że człowiek nie jest świadom jego mocy, póki nie zacznie kończyć związku.

Jednak tutaj działo się jeszcze coś innego. Nie mogłam patrzeć na Elliotta, a strasznie mnie do niego ciągnęło. Wypełniał mnie wręcz fizyczny ból, jeśli nie spoglądałam na niego przez kilka minut, gdy nie dotykałam jego skóry, jego włosów. Chciałam sprowokować go znowu do buntu, do tej jego absolutnie zadziwiającej beczelności. Był taki energiczny i doskonale wiedział, czego chce.

Nie mogłam znieść, że nie umiem go całkowicie zdobyć, a przecież miał wszelkie prawo oczekiwać po mnie, że absolutnie go zniewolę.

Szłam kilka metrów za nimi, trochę zaskoczona, że tak niepewnie rozgląda się na boki. Treser raz czy dwa szarpnął go za rękę, ale bez skutku. Patrząc na postawę Elliotta i na sztywność jego ramion, uświadomiłam sobie, że jest napięty jak struna.

Jakimś racjonalnym fragmentem siebie, jakąś „profesjonalną” cząstką umysłu stale usiłowałam zrozumieć, co się naprawdę dzieje ze mną i z nim, dlaczego przestają panować nad sytuacją.

W porządku. Jest tysiąc razy przystojniejszy niż na zdjęciach z teczki. Wszystkie szczegóły wyglądają lepiej. Włosy ma gęstsze, wręcz bujne, więc łagodzą kształt jego głowy. Kiedy się nie uśmiecha, na jego twarzy pojawia się na chwilę wyraz okrucieństwa, jakaś twardość, którą wcale się nie szczyci, przeciwnie, próbuje ją ukryć. Nie lubi być uważany za mocnego faceta. Niemal się wstydzi swej męskości. No i dobrze. Dzięki temu bywa miły.

A te jego niebieskie oczy, tak, nieprawdopodobne i nieskończenie piękne w promieniach słońca, świetle pochodni, świetle żarówek... czy to w uśmiechu, czy w powadze, czy w zadumie... I ciało ma idealne. Nie powiem nic więcej.

Hmm... jeszcze długie palce, wąskie dłonie, zadbane paznokcie (jakich niemal się nie spotyka u niewolników), sposób bycia, głęboki modulowany głos i uległość, z jaką wykonuje prawie każde moje polecenie. Wszystkie te detale składają się na idealnego pana Macho, emanującego niepoprawną elegancją, faceta o kwadratowej szczęce, który na słynnej reklamie Marlboro przy ogniu, w leśniczówce, zaciągał się papierosem, jakby powoli ładował akumulatory... Przemknęło mi przez myśl, że taki facet powinien lubić zarówno Mozarta, jak i Billie Holiday; pewnie nieźle zna się też na francuskich winach.

Tak, przemyślałam sobie swoje emocje. I przyznaję się, że nigdy wcześniej nie postrzegałam w taki sposób żadnego niewolnika. Elliott był jak facet z marzeń, tyle że ja nigdy o nikim takim nie marzyłam. „Przeczytał też wszystkie wielkie dzieła literatury rosyjskiej”.

Ale co z resztą, z tym drwiącym spojrzeniem w oku, z jego dziwnym, intymnym uśmiechem, co z tonem, którym mówi, że się mnie boi, no i z tymi przekłętymi bezczelnymi odzywkami — jakich nikt nigdy nie rzucał pod moim adresem — i tą szczególną energią, która się wyzwala, ilekroć się dotykamy?

Przez całą szkołę średnią ani razu się nie zakochałam, nigdy nie wierzyłam, że istnieją faceci „całujący” lepiej niż inni. Ale, niech mnie diabli, jak Elliott całuje! Wydaje mi się, że całuje tak, jak całują się ze sobą mężczyźni — szorstko, ale i bardzo słodko. Całuje też namiętnie, w sposób, w jaki wymieniają pocałunki osoby równe sobie, całkowicie sobie równe i w podnieceniu, i w spełnieniu. Mogłabym z kimś takim wpelznąć na tylne siedzenie chevroleta i całować się przez godzinę. Tylko że faceci nie całują się ze sobą na tylnych siedzeniach samochodów, prawda?

Co się ze mną, do diabła, dzieje?

Dotarliśmy pod potrójny pręgierz. Świetnie. Elliott wyglądał na naprawdę spiętego.

Powódź białego światła zalewała trzy okrągłe betonowe sceny. Na każdej stał niewolnik z pętlą na szyi, przytulony do pręgierza, sięgającego mu do podbródka. Obok rząd skutych niewolników czekał na swoją kolej; tylko dwóch z nich miało przewiązane oczy, a jeden był zakneblowany.

Tłum był rozbawiony jak zwykle o godzinie dwudziestej pierwszej. Ludzie zdążyli już wypić po pięć czy sześć drinków i czuli się tu znacznie swobodniejsi niż na przykład w swoim mieście. Nikt nie musiał ich odwozić do domów, bo znajdowali się właśnie w domu. Goście przy stołach na wysokich tarasach czekali na chłostę — czystą i prostą rozrywkę. Nie interesowały ich gry i wyścigi. Celowali w najbardziej podstawowe przyjemności. I nie obchodziło ich, że biczowanie to w pięćdziesięciu procentach widowisko i hałas.

Ponad setka członków Klubu z drinkami w rękach kręciła się też przed samymi scenami.

Treser, obcesowy, szorstki młody człowiek, którego nie znałam, zaprowadził Elliotta na bok, ale mój niewolnik odwrócił głowę i patrzył na chłostanych, więc treser za karę trzasnął go rzemieniem.

Przysunęłam się nieco bliżej. Niemal chciałam sama zakuć Elliotta, wiedziałam jednak, że treserzy robią to lepiej i szybciej. Mają po prostu więcej praktyki. Zatrzymałam się więc w takiej odległości, aby nie przeszkadzać.

Elliott przyglądał mi się przez sekundę. Mały mięsień zadrgał mu w policzku, po czym męczyzna mocno się zaczerwienił.

Treser obwiązał mu gruby biały skórzany rzemień wokół piersi, potem związał mu przeguby za plecami. Mój niewolnik wyraźnie się denerwował. Spojrzał po tłumie i widziałam, że oczy mu się zamglily.

Wyciągnęłam rękę, dotknęłam go i przez chwilę zaciskałam dłoń, czekając, aż zauważy mój gest. Potem wsunęłam mu palce we włosy. Patrzył bez przerwy na pręgierz, ignorując mnie, a jego usta wykrzywiły się nieco, dodając mu srogości.

Kiedy treser nałożył mu biały skórzany kołnierz na szyję, sądziłam, że Elliott zacznie z nim walczyć. Na szczęście nad sobą zapanował.

— Uspokój się — powiedziałam. Kołnierz był śliczny, obsyty miękkim futerkiem i wdzięcznie unosił Elliottowi podbródek, wiedziałam jednak, że człowiek czuje się w nim pięćdziesiąt razy bardziej bezradny, toteż nie zdziwiło mnie, że Elliott mocno zacisnął zęby. — Przechodziłeś wcześniej przez to wszystko — zauważyłam, gładząc go po plecach. Właściwie ta chłosta wcale mi się nie podobała. Widziałam też, że Elliotta dodatkowo drażni fakt, że w kołnierzu nie może opuścić głowy i popatrzeć na mnie, nie mógł już nawet bardziej się odwrócić. — Zwiąż mu oczy — poleciłam.

Z pewnością tego się nie spodziewał i po prostu się przeraził. Treser szarpnął mu lekko głowę, gdy go obwiązywał. Elliott zeszytywniał. Dostrzegłam grube podkładki pod białą skórą opaski, które przyciska się do powiek. Treser zacisnął przepaskę mocno. I jak to zawsze bywa w takich sytuacjach, dolna część twarzy Elliotta wyglądała wspaniale; jego wargi poruszały się nerwowo, rozciągały, zaciskały, opadały.

Mój niewolnik drżał straszliwie, przełykał ślinę, przestępował z nogi na nogę.

Wspięłam się na palce i pocałowałam go w policzek. Zrobił krok w bok. Z każdą sekundą zachowywał się gorzej. Jego dłonie wydawały się puchnąć pod kajdankami, przeguby wykręcały się, wargi rozsuwały w gorzkim uśmiechu. Prawdziwy kłębek nerwów. Było mu trudno i nie potrafił tego ukryć, więc reagował na mnie gniewem.

Znowu go cmoknęłam i ponownie przeżyłam szok. Stałam na palcach i pocałowałam go w usta. Zaczął się cofać, wściekły i sfrustrowany, nie zdążył jednak, nie mógł zdążyć uciec wystarczająco szybko i znów doświadczyłam tej energii, tej wibracji od dotyku jego ust.

Zatrzymał się i po raz kolejny obrócił. Zupełnie przestał się kontrolować. Potrząsnął gwałtownie głową, jakby przepaska doprowadzała go do szału. Na jego oczach przypominała biały bandaż. Przez nią i przez te blond włosy wydawał się chłopięcy i wrażliwy, bardzo mocno zraniony i opatrzony.

— Liso! — szepnął, ledwie otwierając wargi. — Zdejmij mi opaskę. I kołnierz. Resztę zniosę. — Zaczął szarpać kajdany, od wysiłku jego twarz spłynęła szkarłatem. Treser szarpnął go ostro i kopnął w nogę.

— Ciii. — Znowu pocałowałam Elliotta, tuląc się do niego.

— Miałeś już wcześniej związane oczy. Potrafisz to wytrzymać.

— Nie tym razem. Nie tutaj — odparł tym samym szeptem.

— Liso, zdejmij ją. To zbyt wiele.

Potem znieruchomiał, jakby dla uspokojenia liczył do dziesięciu. Pot kapał mu z czoła.

— Zabieram cię na początek kolejki — oświadczyłam. — Zostaniesz wychłostany jako następny. Nie będą cię bić mocniej niż ja w sypialni.

— Tyle że zobaczy mnie dwustu ludzi — mruknął przez zaciśnięte zęby — a ja nie będę ich mógł widzieć.

— Zaknebluję cię, jeśli się nie zamkniesz. Podziałało. Elliott nie chciał zostać zakneblowany. Milczał, lecz coraz bardziej się załamywał. Otoczyłam go ramieniem i tym razem się nie odsunął. Miał dość. Odwrócił się do mnie, a gdy stałam na palcach, pocałował moje włosy.

Tak strasznie go pożądałam, że prawie nie mogłam znieść napięcia. Dałam ręką znak treserowi, aby wszedł na scenę i przygotował Elliotta do chłosty. Równocześnie starałam się ukryć twarz przed tłumem. Nie chciałam robić tego wszystkiego, ale przecież po to Elliott tu przypląnął, cholera jasna, przecież tego naprawdę pragnął i nie odważyłabym się mu tego odmówić. Do diabła, nie wiedziałam, co będzie dalej!

Nagle zaczęłam się brzydzić całym przedsięwzięciem, jego podstępnością, równocześnie jednak czułam podniecenie, smak zakazanego owocu, czystą żądzę. Doświadczałam jej,

pomagając bezradnemu Elliottowi... Ach, te wszystkie emocje... I on je czuł, czuł je wszystkie, byłam tego pewna. Tyle że on był o krok od wybuchu.

Tak, tak, Elliotcie, trafiło ci się pierwszorzędne przeżycie klubowe. A o nie tu chodzi!

— Chcesz mnie przecież zadowolić — szepnęłam mu do ucha. Oto, jak pani powinna mówić do swojego niewolnika. Dostanę za to Nagrodę Akademii. — Powiedz mi. Chcę to usłyszeć.

Tyle że w tym momencie wrócił po Elliotta treser. Nadeszła pora. Dwóch innych nowych niewolników przywiązywano właśnie do pręgierzy. Elliott miał stanąć po prawej stronie.

Pozostawiłam go treserowi i poszłam na najwyższe piętro trybuny, by popatrzeć.

Stamtąd widziałam dużą część pasażu, alejki, fontanny, kabiny i tłumy przemierzające przejścia lub rozchodzące się za podniesioną betonową sceną, na której stały pręgierze.

Elliotta pociągnięto za metalowy pierścień z przodu białego kołnierza. Następnie ten pierścień przymocowano do pręgierza. Szybko przywiązano rzemieniami kostki mojego niewolnika. Teraz mógł jedynie stać prosto, z rękoma przyciśniętymi mocno do pleców, i przyjmować ciosy. Elliott prezentował się niemal szlachetnie. Jak Errol Flynn w *Kapitanie Bloodzie*, kiedy schwytał go wróg: idealny bohater sobotnich seansów popołudniowych w łańcuchach. Tyle że Elliott wyglądał w dodatku jak symbol pożądania i seksu.

Mistrzowie chłosty natychmiast próbnie zamachnęli się rzemieniami.

Pozostali dwaj niewolnicy przyjęli te odgłosy spokojnie, jako miłe preludium do dramatu, lecz mój niewolnik się spinał, drżał i mimowolnie usiłował się wyrwać.

Mniej więcej tuzin gości zbliżyło się do niego, nieomylnie wyczuwając ponadprzeciętny spektakl. Zaczęli z niego szydzić. Zastanowiłam się jednak, ilu z nich choćby podejrzewa, że Elliott jest naprawdę zdruzgotany.

Hałas i rytm poruszających się rzemieni hipnotyzowały. Im dłużej trwała chłosta, tym gorzej znosił ją Elliott. Odnosiłam wrażenie, że nawet jeśli uderzenia go podniecały, równocześnie coś w nim niszczyły. Nie potrafił się poddać przyjemności.

Po zakończonej chłości kazałam go przyprowadzić przed trybuny; nadal w kajdanach i przepasce na oczach.

Był tak rozgrzany, jakby właśnie wyszedł z łaźni parowej, włosy miał wilgotne, pierś mu falowała, oddychał płytkimi sapnięciami. Odwróciłam go ku sobie i nie wyczułam w nim już ani odrobiny oporu.

Wydawał mi się równie ponętny jak zawsze, choć tym razem milczał, oblizując usta. Jedynie rumieńce i drgające mięśnie twarzy ujawniały jego marne samopoczucie.

Popędzałam go ostrożnie, przepychając się przez ludzkie masy. Nadal drżał jak oszalały, ponieważ nie zdjęłam mu przepaski i nic nie widział. Dotknięty, za każdym razem podskakiwał. Mimo to przestał mnie błagać o odsłonięcie oczu. W ogóle nie wydawał żadnych dźwięków. Poprowadziłam go spokojnie ku przednim piętrům pasażu i zabrałam z ogrodu, w ciszę.

Rozdział 16

Odgradzona

Elliott nie był ani trochę spokojniejszy, kiedy dotarliśmy do mojego pokoju, nie powiedział jednak nawet słowa. Świeciły się tylko najniższe lampy, pościel zmieniono, kołdrę i poduszki starannie przygotowano na noc.

Zaprowadziłam mojego niewolnika na środek pokoju, gdzie kazałam mu stać nieruchomo. Odsunęłam się i patrzyłam na niego, obserwując go w milczeniu. Płakał pod przepaską. W typowo męski sposób próbował powstrzymać szloch, więc wydawał tylko ciche, łagodne dźwięki, dzięki którym — co ciekawe — sprawiał wrażenie silniejszego. Członek ciągle miał w stanie wspaniałej erekcji.

Wyszłam przez dwuskrzydłowe drzwi, zastanawiając się, co teraz myśli, i zerkając przez ramię na jego profil. Wyglądał naprawdę wspaniale, stojąc w kajdanach na tle nowoczesnego wyposażenia pokoju. Dzięki białej przepasce jego ciało wydawało się bardziej różowe, a włosy gęstsze.

Usiadłam cicho przy biurku. Moją głowę wypełniał ból, który właściwie nie był bólem, lecz wielkim, strasznym hałasem. Moje ciało tęskniło za Elliottem, a jednak czułam się sparaliżowana i odrętwiała. Z trudem wyciągnęłam rękę, wzięłam jego teczkę, otworzyłam ją i wpatrzyłam się w jego duże, połyskujące czarno — białe zdjęcie, na którym był w golfie i ciemnych okularach; uśmiechał się do kamery. Zamknęłam teczkę i odłożyłam.

Położyłam łokieć na końcu biurka, zacisnęłam zęby na kłykciach i gryzłam tak długo, aż zdałam sobie sprawę z tego, co robię, i przestałam. Potem wstałam i zdjęłam ubranie — szybko i niecierpliwie, niemal zrywając z siebie kolejne części stroju i rzucając je na podłogę.

Naga wróciłam do sypialni. Stałam przed nim i znowu patrzyłam na jego twarz, przesuwałam po niej palcami, podnosiłam ją nad biały kołnierz i przechylałam, by lepiej jej się przyjrzeć w tym świetle. Przejechałam kciukami po jego dolnej wardze i pogładziłam jego policzki.

Miał jedwabistą skórę, taką, jaką mają jedynie mężczyźni — nie miękką jak skóra kobiety, a jednak jedwabistą. Opanowała mnie nagła myśl, że go posiadam, że mogę z nim zrobić wszystko, tyle że... to uczucie nie wydało mi się wcale przyjemne! Nie tak miało być, nie tak... Czułam się od Elliotta jakoś odgradzona, chociaż wiedziałam, że zabraniał mi się do siebie zbliżyć. Wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie! Mogłam go chłostać bez końca, mogłam kazać mu pełzać. Wiedziałałam, że wykona moje polecenia. Tyle że te rozkazy nagle straciły dla mnie sens!

Elliott nadal wydawał się wstrząśnięty, niemal szalony. Mój dotyk pogarszał jego emocje. Sięgnęłam za jego plecy i rozwiązałam sznur, który pętał mu ramiona i ręce. Po czym, zanim zdąży się sam uwolnić, rozpięłam również kołnierz, zdjęłam go i odrzuciłam.

Gdy rzemienie opadły na podłogę, Elliott wyraźnie się odprężył. Napięty pozostał tylko jego penis.

Po chwili mój niewolnik podniósł dłonie. Sądziłam, że zechce sobie rozetrzeć przeguby, on wszakże sięgnął do przepaski. Przez moment jego palce poruszały się przed nią, nie dotykając jej, po czym Elliott niespodziewanie wyciągnął ręce ku mnie.

Podsłoczyłam. Złapał mnie za ramiona, otoczył je wszystkimi palcami i przyciągnął mnie do siebie. Wtedy zrozumiał, że jestem naga, i zaczął dotykać moich boków i piersi, wydając ciche odgłosy zaskoczenia. Zanim zdołałam go powstrzymać, przyciągnął mnie do siebie i przycisnął do piersi. Jego członek uderzał głucho o moje łono, a mój niewolnik całował mnie

w ten typowy dla siebie szokujący sposób, aż nieoczekiwanie uświadomiłam sobie, że podniósł mnie z ziemi.

Sięgnęłam ku przepasce i zdjęłam ją, patrząc w jego oczy, które naraz stały się jakby niezmierną częścią jego ciała, spektaklem światła i niebieskiego koloru, czymś zupełnie nie pasującym do reszty jego ciała, dwoma żywymi odbiciami ciał niebieskich. „Zwariuję”, pomyślałam. Z moją głową naprawdę było coś nie w porządku.

Nic więcej jednak nie widziałam. Elliott znów mnie całował, opadliśmy na kolana, mój niewolnik pociągnął mnie w dół. Ze straszliwego podniecenia zaczęło mi się zdawać, że tracę świadomość, światła gasły wokół mnie, ściany się rozpuszczały. Elliott rozłożył mnie na dywanie i wszedł we mnie szybkim, mocnym posuwistym ruchem. Nie mogłam go zatrzymać i nie mogłam się wycofać. Od razu szczytowałam.

Jęknęłam mu w usta i przestałam oddychać. Leżałam ze — sztywniała, rozkosz wybuchała falami, fala za falą, aż prawie wrzasnęłam, pewna, że jeśli ten stosunek potrwa jeszcze chwilę, naprawdę umrę. Elliott poruszał całą mną, poruszał moim jestestwem... niemal widziałam, jak jego żołądź rozprasza pustkę panującą w mojej głowie. W środku byłam mokra, niewiarygodnie mokra i coraz bardziej, wręcz niemożliwie otwierałam się dla niego. Doznanie rosło i rosło, aż Elliott także osiągnął orgazm. Krzyknął, lecz jeszcze przez chwilę ruszał się we mnie, pchając i naciskając, aż zaczęłam wrzeszczeć: „Nie”, „Nie”, „Nie” i „Boże”, i „Cholera”, i „Kurwa”, i „Nie”, i „Przestań”, i „Dość”. W końcu się poddałam, jakby coś we mnie rozbił, roztrzaskał na kawałki, niezdolna byłam wydać głos czy zrobić ruch.

Po długiej chwili dźgnęłam go lekko w ramię i w pierś. Uwielbiałam leżeć przygnieciona jego ciałem, czuć jego głowę na swoim ramieniu i wciągać ciepły słoneczny zapach jego włosów. Dźgnęłam go lekko, zadowolona z faktu, że nie jestem w stanie go ruszyć. A potem ległam nieruchomo.

Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam prawie bezkształtne migotanie światła. A później — stopniowo — łóżko, lampy, moje maski przy ścianach, prawdziwe twarze mnie samej.

I jego.

Siedział wyprostowany obok mnie, z kolanem zgiętym przy moim udzie.

Tylko siedział. Włosy zmierzwił, twarz ciągle wilgotna i rumiana, usta zaciśnięte. Oczy otworzył szeroko, zdawały się wielkie i rozmarzone, jakby wypełnione wewnętrznymi obrazami. Patrzył na mnie. Miałam wrażenie, że zbudziłam się na brzegu strumienia, w miejscu zawsze do tej pory odludnym i nagle zobaczyłam tam tego nadzwyczajnego osobnika płci męskiej, to piękne stworzenie, które siedziało obok mnie i przyglądało mi się zdziwionym wzrokiem istoty, która nigdy wcześniej nie widziała kobiety.

Nie wyglądał już na oszalonego, niebezpiecznego czy nieposłusznego. Wciąż jednak uważałam go za tak samo nieprzewidywalnego.

Usiadłam bardzo powoli, potem wstałam. Obserwował mnie, lecz się nawet nie poruszył.

Podeszłam do toaletki i zdjęłam z krzesła peniar. Nakładając go, myślałam o niesamowitym dotyku bawełny i koronki, które miały mnie przypuszczalnie chronić przed Elliottem. Nacisnęłam guzik wzywający tresera i wyraz twarzy mojego niewolnika natychmiast się zmienił.

Dostrzegłam jawne migotanie strachu, później jawną desperację. Bez słowa wpatrzył się we mnie, a w oczach gromadziły mu się łzy. Poczulałam dławienie w gardle. Pomyślałam, że wszystko się kończy. Co to niby miało znaczyć? Po co wypowiadam w myślach zdania, których znaczenia sama nie rozumiem? Elliott czekał niecierpliwie, na lewo ode mnie. Prawdo — podobnie jakież myśli tłukły mu się po głowie, ale nie potrafił podjąć koniecznej decyzji.

Daniel wszedł prawie natychmiast. Daniel, który dba o mój pokój.

Patrzył w szoku na niewolnika, który siedział swobodnie, bez kajdanek, w jakiejś skandalicznie zrelaksowanej pozycji i zupełnie się nami nie przejmował.

Elliott z wolna się podniósł. Ciągłe na mnie patrzył, ciągle chyba nad czymś rozmyślał, ledwie przyjmując do wiadomości fakt, że znajdujemy się wszyscy w mojej sypialni.

Daniel odetchnął z ulgą, choć minę nadal miał niepewną.

— Okej — odezwałam się w końcu. — Zabierz go na noc. Kąpiel, pełny masaż, lecznicze naświetlania. — Przerwałam, drapiąc się po potylicy. Plan dla niego. Procedura. Muszę się go pozbyć, w przeciwnym razie oszaleję. I muszę dać mu to, po co tu przypląnął. — Co do jutra... Rano lekcje z innymi kandydatami. O ósmej ćwiczenia z Dianą, o dziewiątej nauka serwowania posiłków i drinków u Emmetta. Zadzwoń do Scotta i spytam, czy może go zabrać na pokaz w swojej klasie o dziesiątej. — „Nie, nie, tylko nie Scott — huczało mi w głowie. — Elliott od razu się w nim zakocha”. Musiałam jednak coś z nim zrobić, musiałam wyrzucić na jakiś czas z mojego życia... Więc należy się trzymać Scotta. Niech Scott zaprezentuje Elliotta na swoich zajęciach, niech zdejmie ze mnie urok, niech coś zrobi... Scott na pewno nie zawiedzie mojego niewolnika.

— Po dwunastej odpoczynek, później całe popołudnie niech obsługuje stoliki albo stoi za barem. Goście mogą na niego patrzeć, lecz nie wolno im go dotykać. — „Co jeszcze?”, rozmyślałam rozpaczliwie. Ale nic nie mogłam wymyślić. Cały czas dręczyło mnie przekonanie, że Elliott zakocha się w Scotcie.

— Za każdy przejaw niesubordynacji — chłosta. Niech jednak nikt, absolutnie nikt, nawet Scott nie może go tknąć, rozumiesz... — Tonąłam. — Między szesnastą a osiemnastą ma wypoczywać, punktualnie o osiemnastej przyprowadzisz go z powrotem tutaj.

— Tak, pani — odparł Daniel. Zażenowany. Zmartwiony.

— Co się z tobą dzieje, do cholery?! — krzyknęłam. — Czy wszyscy tu poszaleli?!

— Przepraszam! — odburknął. Wziął Elliotta za ramię.

— Zabieraj go stąd! — poleciłam.

Mój niewolnik patrzył na mnie. „Trzeba to przerwać”, myślałam. Ogarnęło mnie straszliwe, przerażające uczucie, że go zawiodłam, że po raz pierwszy w całym moim „sekretnym życiu” nie dostarczyłam komuś tego, czego pragnął. Boleśnie zakłuło mnie w skroniach, jakby ktoś traktował mnie prądem. Odwróciłam się do obu mężczyzn plecami.

Rozdział 17

Obsesja: dwadzieścia cztery godziny

Siedziałam nieruchomo i gapiłam się na jego bagaże jak na żywe istoty. Dwie duże, zakurzone walizy z grubego płótna z kluczykami w zamkach oraz zakazana mała aktówka. Na moment zawładnął mną impuls, by schować to wszystko do szafy albo wsunąć pod koronkową kapę łóżka.

Było południe. Śniadanie na tacy stało zimne, nietknięte. A ja ciągle siedziałam na poduszkach, w koszuli nocnej i piłam drugi dzbanek kawy. Ubiegłej nocy nie spałam więcej niż cztery godziny. Próbowałam się przespać między dziesiątą a jedenastą rano, kiedy Elliott powinien przebywać na zajęciach z wysokim, mrocznym, przystojnym Scottem, ponieważ nie mogłam znieść myśli o ich wzajemnych kontaktach. Jednak zazdrość nie pomaga w zaśnięciu. Wręcz przeciwnie — sprawia, że leżysz z otwartymi oczyma i gapisz się w jeden punkt.

A jednak teraz nie czułam się źle. Zaczęłam chyba powoli rozumieć, co się ze mną dzieje.

Właściwie nie czułam się tak świetnie od lat. Nie potrafiłam sobie przypomnieć od kiedy... A może potrafiłam? Uderzyła mnie konstatacja, że język angielski nie ma dość słów na opisanie podniecenia. Potrzebowaliśmy co najmniej dwudziestu słów na ukazanie niuansów odczuć związanych z seksem oraz tej specyficznej ekscytacji, emocjonalnego „ogarnięcia”, stopniowego popadania w obsesję oraz wybuchowej mieszanki zachwyty i poczucia winy. Tak, obsesja wydawała się terminem najwłaściwszym.

A teraz gapiłam się na walizki, które niełatwo było zdobyć.

Nie wystarczyło powiedzieć: „Mówi Lisa. Chcę zobaczyć cały osobisty dobytek Elliotta Slatera. Przynieście jego rzeczy do mojego pokoju”. Do tej pory nie wnosiliśmy do części mieszkalnej ubrań niewolników ani należących do nich przedmiotów. Po prostu nie posyłało się po ich walizki, które kryły absolutnie poufne, absolutnie prywatne rzeczy osoby, jaką niewolnik stanie się w dniu wyjazdu.

Ale, ale... kto ustanowił wszystkie te reguły? Sami się domyślcie.

Tak czy owak zdobyłam walizki Elliotta, wykorzystując mieszaninę kłamstw i logiki. Ostatecznie, mogę mieć swoje powody i nie muszę się nikomu z niczego tłumaczyć. Zresztą walizy zostały już wcześniej rozpakowane, prawda? Wszystkie ubrania wyjęto i powieszono w szafie w plastikowych workach z kuleczkami naftalinowymi, zgadza się? Więc co to za sekret? Mam bardzo osobiste i pilne powody prosić o wszystkie osobiste przedmioty pana Elliotta Slatera. Podpiszę wymagane papiery wraz ze spisem jego dokumentów i gotówki. „Spakujcie walizki i przynieście je do mnie”.

Znowu poczułam napływającą falę pożądania, kolejną, jedną z wielu, podobną do upalnego wiatru. Ogromnie, wręcz boleśnie pragnęłam Elliotta. Otoczyłam się ramionami w pasie, zgięłam się w pół, napięłam mięśnie i czekałam, aż fala żądy minie. I przypominałam sobie — całkiem nagle — podobne pożądanie, te same dręczące fale seksualnego głodu. Było to na początku szkoły średniej, a pożądanie wydawało mi się wtedy czysto fizyczne i niemożliwe do zaspokojenia. Nie istniała żadna obietnica spełnienia, żadna obietnica miłości. Głowę wypełniły mi teraz paskudne wspomnienia — czułam się wtedy taka dziwna i nosiłam w sobie sekret, który czynił mnie wyrzutkiem.

Tym niemniej obecnie było mi przyjemnie, gdyż wraz z tym wspomnieniem wróciła młodość. Wspaniale było się czuć tak młodą, tak zwariowaną. Wspaniale, a równocześnie strasznie! Tak naprawdę byłam przerażona. Szczególnie że tym razem ten wybuch gorąca, to

fizyczne opanowanie mojego ciała i umysłu łączyło się z drugą osobą, z mężczyzną nazwiskiem Elliott Slater.

Wiedziałam też, że jeśli będę się na tym fakcie za bardzo skupiać, jeśli będę o tym naprawdę myśleć, mogę popaść w jakąś złą emocję, na przykład w rozpacz...

Wstałam z łóżka, przesłam cicho przez pokój i podeszłam do walizek. Były brudne, skórzane narożniki miały podrapane, miejscami pozdzierane. Obie walizki były okropnie ciężkie. Przekreśliłam kluczyk w tej z lewej i odpięłam paski.

Zawartość okazała się niezwykła i obca. Od każdej starannie złożonej części garderoby biła słaba woń męskich perfum. Ładna marynarka z brązowego aksamitu ze skórzanymi łatami na łokciach. Tweedowa marynarka marki „Norfolk”. Dwa wspaniałe trzyczęściowe garnitury od Braci Brooks. Błękitne dżinsowe koszule, sztywne od krochmalu, wyprasowane i włożone do plastikowego worka. Golfy z demobilu, dwie mocno zużyte kurtki khaki; w ich kieszeniach znalazłam stare, pomięte bilety lotnicze i odcinki biletów parkingowych. Oksfordy od Churcha, mokasyny od Bally’ego, drogie spodnie dżinsowe. Pan Slater latał pierwszą klasą.

Usiadłam po turecku na dywanie. Przesuwałam palcami po aksamitnej marynarce, wdychałam perfumy w tweedzie. Wodę kolońską w golfach. Wiele szarości, brązów, srebrzystości. Żadnych intensywniejszych kolorów oprócz błękitnego dżinsu. I wszystko w stanie idealnym, z wyjątkiem często używanych kurtek safari. Małe plastikowe pudełko z fantastycznym rolexem. Powinien być raczej w aktówce. Notes z adresami w jednej kieszeni i prosty niebieski kołnotatnik wsunięty w bieliznę... Kołnotatnik, który był... tak, pamiętnikiem. Nie, niedokładnie, ale zapiski wyglądały na dość intymne. Nie umknęło mojej uwadze, że Elliott pisał bardzo starannie. Czarnym atramentem. Nie długopisem, lecz piórem. Piórem napełnionym czarnym atramentem.

Cofnęłam rękę, jakbym dotknęła czegoś gorącego. Na widok jego odręcznego pisma poczułam osobliwy niepokój. Wzięłam aktówkę. Przekreśliłam kluczyk.

Wydany przed rokiem paszport, ładne zdjęcie. Uśmiechnięty pan Slater. Hmm... a niby dlaczego nie? Był w Iranie, Libanie, Maroku, przejechał połowę Europy, odwiedził Egipt, RPA, Salwador, Nikaragwę i Brazylię — wszystko to w przeciągu dwunastu miesięcy.

Dziesięć kart kredytowych, które wygasną, zanim stąd wyjedzie; wyjątkiem była złota karta American Express. I pięć tysięcy dolarów, pięć tysięcy w gotówce! Przeliczyłam dwukrotnie.

Kalifornijskie prawo jazdy; znów ta przystojna twarz z niepohamowanym uśmiechem. Patrzyłam na laminowany kartonik. Był cholernie blisko najpiękniejszego prawa jazdy, jakie widziałam w życiu! Książeczka czekowa w skórzanej obwolucie. Adres na wzgórzach Berkeley, w północnej części miasteczka uniwersyteckiego. Jakies pięć przecznic od domu, w którym dorastałam i w którym nadal mieszkał mój ojciec.

Znałam te ulice na wzgórzach. Nie stały tam żadne studenckie mieszkania, lecz nowoczesne budynki z bejcowanej sekwoi lub stare domy o kamiennych ścianach, spiczastych dachach i oknach w kształcie rombów. Tu i ówdzie można było dostrzec rezydencję, która wyglądała jak olbrzymia skała odstająca od klifu. A wszystko na wpół skryte w gęstym lesie, który pochłaniał kręte chodniki i krzywe ulice. Więc tam mieszkał Elliott.

Podciągnęłam kolana i nerwowo przeczesalam palcami włosy. Czułam się winna. Zupełnie nieoczekiwanie wystraszyłam się, że Elliott stanie nagle w drzwiach i powie: „Zostaw te rzeczy. Moje ciało należy do ciebie, ale nie mój dobytek”. Chociaż nie widziałam tu żadnych osobistych przedmiotów oprócz pamiętników. Po co jednak woził ze sobą egzemplarze własnych książek? Hmm... Może dzięki nim wychodząc stąd, przypomni sobie, kim był dwa lata wcześniej? A może zawsze je ze sobą woził.

Położyłam drugą walizkę, przekreśliłam kluczyk, odpięłam paski.

Modna męska galanteria. Elegancki czarny smoking w plastikowym worku, pięć koszul do fraka. Kowbojki Primo, prawdopodobnie z wężowej skóry, pewnie wykonane na zamówienie. Płaszcz przeciwdeszczowy od Burberry'ego, kaszmirowe swetry, miękkie kraciaste szaliki, wszystkie bardzo angielskie, wykończone futrem skórzane rękawiczki. I sportowa marynarka z prawdziwej wielbłądziej wełny, niezwykle miła w dotyku.

A teraz prawdziwe ciekawostki. Dwa podarte, zmiętoszone rachunki za usługi w warsztacie samochodowym wciśnięte między kartki przewodnika po kurortach narciarskich świata. Odkryłam, że pan Slater jeździ albo jeździł piętnastoletnim porsche'em. Czyli staroświeckim porszakiem w kształcie odwróconej wanny, jakiego jego właściciele za nic nie zamieniliby na inny pojazd. Poza tym dostrzegłam dwa pogryzione przez psa tomy doverskiego broszurowego wydania arabskich podróży sir Richarda Burтона z wieloma prywatnymi notatkami Elliotta na wewnętrznej stronie okładki i tak, w końcu, świeżutki egzemplarz jego własnego dzieła: *Bejrut: Dwadzieścia cztery godziny* nadal zaplombowany przez wydawcę w plastiku z nalepką na przedzie obwieszającą, że książka zdobyła jakąś nagrodę. Boże, gdyby plastik nie bronił do niej dostępu...

Obejrzałam tylną okładkę. Znowu niepowtarzalny Elliott; z rozwianym włosom, w golfie i kurtce safari, poważny, smutny... Panie i panowie, ten oto człowiek widział katastrofy, a dla tych zdjęć ryzykował życie... Nieunikniony melancholijny uśmiech, mądrość w spojrzeniu. Znowu poczułam ten sam niepokój... jakby w progę stanęła moja licealna miłość.

Hmm... posunęłam się już tak daleko, więc co mi tam plastik? Nie chciałam oczywiście uszkodzić książki. Czując się jak złodziejka, rozdarłam obwolutę, po czym wstałam i wróciłam z nią do kawy i do łóżka.

Bejrut — miasto od lat rozdarte wojną domową. Album wyglądał na „mocną rzecz”. Należał do najszczerzego rodzaju fotoreporterki, w której widzowi nie oszczędza się żadnego widoku, a równocześnie kompozycja każdego zdjęcia — zestawienie elementu starożytnego i nowoczesnego, śmierci i technologii, chaosu i rozważgi — jest tak piękna, że oglądając jedno po drugim, odczuwasz nieprawdopodobną przyjemność, jaką może dać jedynie sztuka.

Elliott miał bez wątpienia niezawodne oko. Doskonale potrafił pokazać zarówno wyraz twarzy, jak i całą postać w ruchu. Światłocienia używał jako barwy. Fotografie były niezwykle wyraźne, prawdopodobnie wywoływał je sam, we własnej ciemni. Odkryłam, że lubi zdjęcia czarno — białe. Chociaż kolorowe też były świetne, wspaniale ukazywały brud i krew, a fotografowane obiekty przypominały nowoczesne rzeźby, których tematem jest wojna.

Zaczęłam czytać komentarz — napisał go również Elliott — i okazało się, że mam do czynienia z czymś znacznie poważniejszym niż tylko zbiorem podpisów pod fotkami. Małymi, lecz wyraźnymi literkami spisano niemal równoległą historię, w której element osobisty został podporządkowany sile tego, czego fotograf był świadkiem i co zarejestrował.

Odłożyłam książkę. Więcej kawy! Czyli że Elliott był dobrym fotografem i w dodatku umiał nieźle pisać.

Co jednak myślał o sobie? Dlaczego przyplął na naszą wyspę i dał się uwięzić na pełne dwa lata? Co go skłoniło do takiej decyzji?

I czemuż ja przeszukuję jego rzeczy? Dlaczego to sobie robię?

Wypiłam wielki łyk kawy, wstałam z łóżka i zaczęłam chodzić po pokoju.

Zamiast przyjemnego podekscytowania ogarnął mnie teraz niewygodny niepokój. Przypomniałam sobie ze dwa razy, że mogę po niego posłać, kiedy zechcę, jednak nie byłoby to dobre czy właściwe — ani dla niego, ani dla mnie samej. Tyle że... ledwie mogłam wytrzymać.

Podeszłam do szafki przy łóżku i podniosłam słuchawkę telefonu.

— Daj mi Scotta, jeśli jest wolny. Poczekam — powiedziałam.

Dwunasta czterdzieści pięć. Scott zapewne pił teraz swoją jedyną codzienną poobiednią szkocką.

— Liso, miałem do ciebie dzwonić.

— Po co?

— Aby ci podziękować za ten dzisiejszy mały prezencik. Cieszyła mnie każda minuta tego spotkania. Chociaż nie spodziewałem się, że dostanę go w swoje łapy tak szybko. Co w ciebie wstąpiło, że tak prędko mi go oddałaś? Powiedz, że cię rozczarował, a nie uwierzę. Dobrze się czujesz?

— Scott, jak mam ci odpowiedzieć na tyle pytań jednocześnie? Zresztą pozwól, że najpierw ja cię o coś spytam. Jak poszło?

— No cóż, pokazałem go na zajęciach dla trenerów, akurat omawialiśmy interpretację odpowiedzi niewolnika i znajdowanie jego słabych punktów. Elliott zaczął wariować. Myślałem, że dostanie prawdziwego szału, gdy klasa zaczęła go dotykać, jednak jakoś nad sobą zapanował. W skali od jeden do dziesięć, dałbym mu mocne piętnaście, cha, cha, cha. Dlaczego podesłałaś mi go tak szybko?

— Nauczyłeś go czegoś nowego?

— Hmm... Na przykład, że można znieść więcej, niż się człowiekowi wydaje. Wiesz, badanie ze strony trenerów z równoczesnym przysłuchiwaniem się dyskusji i byciem okazem. Był rozkosznie nieprzygotowany na to wszystko.

— A czy ty dowiedziałeś się czegoś o nim, czegoś szczególnego?

— Tak. Ze facet nie żyje w krainie fantazji, lecz stąpa twardo po ziemi. — Milczałam przez chwilę. — Wiesz, o czym mówię — ciągnął Scott. — Jest zbyt dobrze wykształcony, by sobie wyobrazać, że „zasługuje” na takie traktowanie, że „urodził się, by zostać niewolnikiem” albo że zagubił się w jakimś świecie „szlachetniejszym i bardziej etycznym” niż nasza rzeczywistość... jak twierdzą czasem ci śliczni niewolnicy z romansów. A Elliott doskonale wie, gdzie się znalazł i na co się naraził. Należy do typu niewolników, których w swoim mniemaniu łamiesz, lecz nigdy nie opanujesz ich do końca... Powiedz, dlaczego mi go oddałaś? Może porozmawiasz ze mną poważnie.

— Aha. Dobrze, dobrze — powiedziałam. — Wszystko świetnie.

I odłożyłam słuchawkę.

Zagapiłam się na rozgrzebane walizki. I na leżący na łóżku egzemplarz albumu *Bejrut: Dwadzieścia cztery godziny*. „Facet nie żyje w krainie fantazji, lecz stąpa twardo po ziemi”. Ty to powiedziałaś, Scott.

Wróciłam do walizek i wzięłam zniszczone, brudne dwutomowe wydanie broszurowe książki Burtona, *Osobista opowieść o pielgrzymce do Medyny i Mekki*. Przeczytałam ją wiele lat temu w college’u w Berkeley. Burton wędrowiec. Przebierał się za Araba, by wejść do zakazanej dla „niewiernych” Mekki. Burton — pionier erotyki. Opętany seksualnymi praktykami tamtego ludu, tak dramatycznie odmiennymi od praktyk angielskiej klasy, z której Burton pochodził. Co chodziło po głowie Elliottowi? Nie chciałam czytać jego notatek. Byłoby to jak czytanie pamiętników.

Widziałam jednak, że te tomy go zafascynowały. Wiele fragmentów podkreślił, zakreślił, oznaczył podwójnie: na czerwono i na czarno, strony przedtytułowe zaś pokrył licznymi znakami. Ostrożnie odłożyłam oba woluminy oraz *Bejrut: Dwadzieścia cztery godziny*.

Musiałam po niego posłać. A jednak coś mnie powstrzymywało. Starłam się utrzymać pożądanie w szachu.

Znowu spacerowałam przez chwilę po pokoju, próbując poczuć coś innego niż tylko żądzę i małe spazmy zazdrości wyzwolonej przez rewelacje Scotta... próbując poczuć coś nieco lżejszego od tej obsesji.

Jeszcze raz: po co człowiek, który umiał stworzyć tak wspaniałe dzieło jak *Bejrut: Dwadzieścia cztery godziny*, przybywał jako niewolnik do Klubu? Czy pragnął uciec przed brzydotą miejsc podobnych ogarniętemu wojną Bejrutowi?

Niewolnicy przyplływają do nas oczywiście z tysiąca różnych powodów. Na początku istnienia Klubu były to głównie osoby z marginesu, ludzie niedouczeni, pseudoartyści, obdarzone wielką fantazją istoty, których nadmiaru energii i potrzeby seksualnej egzotyki w żaden sposób nie zaspokajała praca. Sadomasochizm był dla nich równoznaczny ze światem kultury, zupełnie odmiennym od ich nudnej pracy i kojarzył się z krainą muzyki czy teatru, z profesjami artystycznymi.

Teraz przybywali ludzie — ogólnie rzecz biorąc — lepiej wykształceni i mimo ukończenia dwudziestu pięciu lat zwykle cieszący się wolnością przedłużonego okresu dojrzewania. Byli gotowi oraz chętni sprawdzić i zbadać w Klubie swoje pragnienia. Traktowali pobyt na wyspie jak dwuletnie studia na Sorbonie, freudowską psychoanalizę, mieszkanie w Kalifornii czy życie w buddyjskim klasztorze.

Jednak zazwyczaj były to osoby zagubione, które jeszcze nie wiedzą, kim chcą być i co pragną osiągnąć. Elliott Slater natomiast wydawał się człowiekiem zdecydowanym i spełnionym.

Dlaczego tu przyplłynął? Skusiły go sadomasochistyczne rozkosze, nasze gry i zabawy, od których powoli się uzależnił, tracąc kontrolę nad światem zewnętrznym wraz ze wszystkim, co go w nim czekało, z książkami, które mógłby napisać, ze zdjęciami, które mógłby zrobić, ze zleceniami, które mógłby przyjąć w jakimś dowolnym kraju na ziemi?

Starcie między naszym małym wszechświatem i surową rzeczywistością Bejrutu drażniło mnie. Ale i wyzwalalo dreszcze.

W dodatku książka nie była surowa, wręcz przeciwnie, stanowiła dzieło sztuki. Nasz Klub również był dziełem sztuki. Uderzyła mnie myśl, że powody, dla których Elliott przybył do nas, nie miały nic wspólnego z ucieczką czy też rezygnacją z tego, kim był. Powody mogły się raczej wiązać z pielgrzymką Burtona, obsesjami i poszukiwaniami tego podróżnika...

Jeśli wylądujesz w Bejrucie w samym środku wojny, gdzie możesz zginąć od kulki lub bomby podłożonej przez terrorystę, masz pewnie ochotę uciec w takie miejsce jak tutaj, w którym na pewno nikt cię nie zrani — przeciwnie, nakarmią cię, będą się tobą opiekować i cię pieścić... a jednak przydarzy ci się wiele nieprzyjemności, surowych upokorzeń i wielokrotnie narazisz się na ocenę ze strony innych, co większość ludzi znosi prawdopodobnie z trudem.

Jak Martin napisał w aktach? „Niewolnik twierdzi, że chce zbadać to, czego boi się najbardziej”?

Tak, jakoś tak. Dla Elliotta przybycie tutaj równało się chyba jakiejś seksualnej odysei. W Edenie umyślnie ściągał na siebie przemoc i zanurzał się w świat własnych lęków, wiedząc, że wszystkie zagrożenia są tu pozorowane, że na naszej wyspie nikt go nie zrani.

Nagle przyszła mi do głowy niesamowita myśl — że Elliott tylko „przebrał się” za niewolnika, tak jak Burton przebrał się za Araba, gdy postanowił zwiedzić zakazane miasto. Przebraniem Elliotta była nagość. A ja odkryłam jego prawdziwą tożsamość w posiadanych przez niego przedmiotach i ubraniach.

Myśl wydawała się naprawdę niesamowita, gdyż — z tego, co widziałam — Elliott był niewolnikiem doskonałym. Idealnie pasował do nas wszystkich i do Klubu. To ja szalałam i ja miałam wątpliwości. Ech, na pewno wymyśliłam sobie to jego „przebranie”! Powinnam zostawić go w spokoju!

Nalałam sobie świeży kubek kawy i podjęłam powolną przechadzkę po pokoju.

Dlaczego nie wydawaliśmy mu się nieprzyzwoici w porównaniu z cierpieniem mieszkańców Bejrutu? Dlaczego nasz seksualny raj Elliott nie uważał za najgorszy z

możliwych wynalazków dekadencji? Jak mógłby nas potraktować poważnie, skoro miał tak dobre oko i robił tak świetne zdjęcia?

Odstawiłam kubek z kawą i przyłożyłam dłonie do skroni. Miałam wrażenie, że myśli ranią mi głowę.

Znów przyszło mi do głowy, tak jak na wakacjach w Kalifornii i w samolocie podczas lotu tutaj, że przydarza mi się coś złego, że coś złego dzieje się ze mną, że nabieram pędu, którego nie rozumiem i nad którym nie chcę stracić kontroli.

„Klub: Dwadzieścia cztery godziny”. Czy Elliott zamyślał kolejny album? Aby opowiedzieć o Klubie nie wystarczyłyby jednak zdjęcia.

Chyba pierwszy raz od lat, które upłynęły od założenia Klubu, nienawidziłam tego miejsca, przynajmniej przez chwilę. Nienawidziłam Klubu. Poczułam irracjonalne pragnienie rozepchnięcia otaczających mnie ścian, rozerwania sufitu i wyjścia stąd. „Sytuacja dojrzewała już wcześniej”, jak powiedział Richard.

Zadzwoił telefon. Przez długą chwilę patrzyłam bez ruchu w ścianę, myśląc, że ktoś powinien podnieść słuchawkę. W końcu zrozumiałam, że tym kimś jestem ja.

Ogarnął mnie niespodziewany strach, że rozmowa będzie dotyczyła Elliotta, że dowiem się, iż Elliott „zbnikował”.

Bardzo niechętnie odebrałam telefon.

Głos Richarda:

— Liso, zapomniałaś o naszym spotkaniu?

— O jakim?

— Ze szwajcarskim trenerem kucyków, Liso. Wiesz, naszym przyjaciela ze stajnią eleganckich ludzi?

— O cholera.

— Liso, ten człowiek ma naprawdę coś ciekawego do zaoferowania, coś naprawdę cudnego, więc gdybyś mogła...

— Sam się tym zajmij, Richardzie — warknęłam i zaczęłam odkładać słuchawkę.

— Liso, rozmawiałem z panem Crossem. Wyjaśniłem mu, że nie czujesz się zbyt dobrze i potrzebujesz odpoczynku. Pan Cross nalega jednak na twoją obecność, twierdzi, że musi mieć twoją aprobatę. Powinnaś obejrzeć tych niewolników, ocenić całość...

— Richardzie, powiedz panu Crossowi, że mam pięćdziesiąt stopni gorączki. Sam się zabaw z kucykami. Ja uważam pomysł za świetny.

Odłożyłam słuchawkę, wyłączyłam dzwonek i pociągnęłam za kabel. Potem klęknęłam, wsunęłam rękę pod łóżko i wyjęłam wtyczkę ze ściany.

Wróciłam do walizek. Wzięłam srebrzysty golf, który już wcześniej rozwinęłam i przycisnęłam sobie do twarzy, wdychając intensywną wodę kolońską. Zdjęłam peniuar i koszulę nocną, po czym wciągnęłam golf przez głowę. Poczułam się, jakbym miała na sobie skórę Elliotta. Zapach jego wody kolońskiej owionął moje ramiona i piersi.

Rozdział 18

Lisa w moich myślach

Po kilku wizytach w Niebiańskiej Łażni i kontaktach z chórem małych kąpielowych aniołków wiedziałem, że nikt nie powie mi zbyt wiele o Lisie i nie dowiem się, jaka naprawdę jest.

Wyciągnąłem jedynie od pana masażysty Żelazne Paluchy informację o pięknej niewolnicy imieniem Diana, która popłakiwała, gdyż szefowa — Perfekcjonistka nie posłała po nią od całych dwóch dni.

— Ale skąd pochodzi szefowa, z jakiego typu żartów się śmieje? Musisz wiedzieć o niej coś prywatnego, opowiedz mi. — Przypomniałem sobie należące do Lisy przedmioty: między innymi rzeźby i książki. — Te obrazy, maski, skąd je ma?

— Elliotcie, takie dane są jak tajne akta — odparł, miętosząc moje ciało niczym glinę. — Wyrzuć z myśli tę kobietę. Lisa nie zaprzyjaźnia się z niewolnikami płci męskiej. Pomyśl raczej o wszystkich tych pięknych paniach i panach, dla których cię tutaj szkoli.

— Chcesz powiedzieć, że Lisa nie lubi mężczyzn, że ona i ta niewolnica Diana...

— Człowieku, raniś się bez potrzeby. Szefowa nikogo nie lubi. Po prostu lepiej niż inni umie manipulować ludźmi, rozumiesz?

Wszyscy też zgodnie potwierdzali, że właśnie Lisa jest prawdziwą założycielką Klubu.

Brała również udział w tworzeniu prawie wszystkich gier i zabaw. Pasaż sportowy wymyśliła całkowicie sama. I stale przygotowywała coś nowego.

Ciągle myślałem o tym, jak wyglądała ubiegłego wieczoru, gdy stanęła w środku pasażu i spytała dziwnym, ironicznym tonem: „Czyż nie jesteśmy geniuszami egzotycznego seksu?” Zgoda, była swego rodzaju geniuszem. Jednak miałem co do niej podejrzenia. Jaki miała obecnie stosunek do swoich dokonań? Czy była choć w jednej dziesiątej tak nimi zafascynowana jak ja? Uważałem, że nie. Żałowałem, że w odpowiednim momencie nie chwyciłem jej i nie pocałowałem w stylu Rudolfa Valentino w *Szejku*.

Czułem, że to kompletne wariactwo. Chodzi mi o to, że marzyłem o niej, że wyobrażałem sobie, iż potrafi kochać, czuć, że może jakoś na nią podziałałem. Hmm... jak w tej cholernej piosence... prawie się zakochałem.

Co, do diabła, Martin kiedyś powiedział? Że sadomasochizm jest być może poszukiwaniem czegoś innego. „Może szukasz osoby, nie układu. Kiedy zaś trafisz do Klubu, Elliotcie, znajdziesz się w swego rodzaju układzie”.

I bez Martina wiedziałem, że powinienem się pchać głębiej w tę pułapkę.

Należało posłuchać porad pana Żelazne Paluchy. Mam tu pragnąć układu, nie Lisy. Mam udowodnić, że Martin się co do mnie pomylił.

A jednak przez cały dzień nie potrafiłem przestać na nią czekać. Czekałem na nią na zajęciach Scotta. Nie przyszła i poczułem częściową ulgę, że nie uczestniczyła w koszmarze, który przeżywałem, i w torturach. Z drugiej strony byłem rozczarowany, że się nie pojawiła.

Ujrzałem ją w tłumie później, kiedy mieszałem drinki, roznosiłem je i rozstawiałem, próbując równocześnie rozkoszować się uszczyplnięciami, komplementami i uśmiechami gości.

Przypomniały mi się wtedy końcowe, dezorientujące chwile z ubiegłej nocy, gdy Lisa stała naga w rozpiętym peniuarze, cała wilgotna, słodka i różowa, a tamten treser gapił się na nią, jąkał się i popatrywał na boki, jakby wokół się paliło. Niech ją szlag. Chciałem ją porwać i

tylko trzymać w ramionach. Chciałem ją poprosić, aby mi pozwoliła zostać w jej pokoju i tylko z nią porozmawiać, tylko tyle...

Żałowałem, że nie mogę pomówić z Martinem. Że nie mogę go spytać, co mam zrobić z Lisa. Nagły wypadek! Pomocy! Coś strasznego działo się z moją głową, którą wypełniała myśl, że chciałem Lisę w sobie rozkochać, naprawdę ją w sobie rozkochać. Ach, ta moja duma przed odrzuceniem, duma, jaką wszyscy znamy...

Czasem też nachodziła mnie inna myśl. Schrzanić wszystko, wzbudzić w niej odrazę i uciec od niej w karę, trafić pod schody!

Tyle że... było już na coś takiego za późno.

Podczas zajęć dla trenerów, kiedy o mało nie wyrwałem się z rąk badających mnie mężczyzn i kobiet, przeraziła mnie myśl o karze, gdyż wysłanie na dół oznaczało rozdzielenie z Lisa. A w pewnej chwili doświadczyłem szoku, ponieważ Scott, ten mroczny, koci trener, szepnął mi w ucho: „Myślisz o niej, Elliotcie? Śnisz o niej? Co Lisa robi, Elliotcie, jeśli napiszę zły raport w twojej sprawie?”

Martinie, mam kłopoty. A najgorsze, że jest już za późno, za późno.

Rozdział 19

Wystrojeni

Minęła godzina osiemnasta i na całej wyspie nigdzie nie zadźwięczał kurant. Słyszałem jedynie głuchy stukot we własnej piersi. Treser zerknął na zegarek, po czym kazał mi wejść i poczekać tuż przy drzwiach.

Niczego nie pragnąłem bardziej, niż delektować się widokiem Lisy, a obecną chwilę chciałem przeciągnąć w nieskończoność, wsłuchując się i wpatrując we własne myśli.

Mam taką teorię, że po okresie rozstania z kimś w pierwszym przelotnym spojrzeniu odkrywasz, co naprawdę o tej osobie myślisz. Dowiadujesz się wtedy często o sprawach, o których wcześniej nie miałeś pojęcia.

Może gdy teraz spojrzę na Lisę, moje szaleństwo minie. Może uznam ją za kobietę mniej niebezpieczną lub mniej ładną. Może zacznę więcej myśleć o innych mieszkańcach wyspy. Albo — kto wie — może skupię swoje myśli na Scotcie.

Drzwi zamknęły się za mną. Treser zniknął. Pokój wyglądał ciepło w łagodnym elektrycznym świetle, niebo za koronkowymi zasłonami połyskiwało stalowo. Miejsce wyglądało jak ze snu. Lub jak komora ludzkiego serca.

Usłyszałem jakiś dźwięk — tak dyskretny, że nie miałem pewności, czy przypadkiem nie zwiodły mnie własne zmysły. Odwróciłem głowę w stronę otwartych drzwi do salonu.

Rzeczywiście stała w nich Lisa. I bez wątpienia byłem w niej zakochany. Wystarczyło mi jedno przelotne spojrzenie. Przemknęło mi też przez głowę, że moja pani czuje to samo do mnie, lecz walczy z tym uczuciem.

Miała na sobie garnitur, dobrze dopasowane i trzyczęściowe męskie ubranie, tyle że uszyte z ciemnoliliowego aksamitu, tak intensywnego, iż w fałdach wydawał się popielatoszary. Spod marynarki wystawała biała koszula, przewiązana przy kołnierzu blad różowym jedwabnym fularem. Włosy Lisa zaczesła w górę i skręciła w jeden pukiel, który skryła pod fedorą w tym samym przydymionym odcieniu lila z ciemnografitową jedwabną obwódka. Skojarzyła mi się z bohaterką filmów gangsterskich z lat czterdziestych, szczególnie ze względu na kształt kapelusza i fakt, że cwaniacko przekrzywiony nachodził jej na jedno oko, toteż pod rondem widać było głównie jej wydatne kości policzkowe i wydęte usta, pociągnięte połyskującą czerwoną pomadką.

Pożądanie, które poczułem dla niej, wydało mi się tak totalne, że ledwie mogłem ustać w miejscu. Chciałem natychmiast ułożyć głowę na jej łonie i opuścić usta ku jej kobiecym słodkościom. Tak, byłem w niej zakochany, kochałem ją. I miłość splotła się z żądzą.

Widziałem teraz jej oczy, bardzo wyraźnie, czułem emanującą z niej siłę, lecz zapatrzyłem się na jej włosy — uniesione znad nagiej szyi, znad nagiego ucha. W garniturze wydawała mi się taka delikatna i tak straszliwie krucha.

— Chodź bliżej — poleciła. — I powoli się odwróć. Chcę na ciebie popatrzeć. Nie spiesz się.

Spodnie ładnie na niej leżały, pewnie były na nią szyte, a jej piersi wypychały ukryte guziki kamizelki.

Posłusznie podszedłem. Zastanowiłem się, czy zna szczegóły mojego pokazu na zajęciach dla trenerów, tej osobliwej małej przygody, którą dziś przeżyłem.

Czułem, że Lisa rwie się do mnie. I wyczuwałem ją wszystkimi zmysłami. Jakby zmieniała powietrze wokół siebie. Wdychałem jej perfumy, jeszcze zanim na dobre zaatakowały mój

nos, a emanująca z niej siła zawładnęła mną, gdy kątem oka dostrzegłem kanciasty zarys jej twarzy.

Rozmyślnie przechyliłem głowę na bok i zerknąłem na moją panią, niemal wsysając na sekundę jej obraz, po czym popatrzyłem obojętnie przed siebie. Kątem oka widziałem lśniące małe zgrabne palce widoczne w sandałkach na wysokim obcasie pod nogawkami spodni, spodni na tyle obcisłych w kroku, że między nogami Lisa z pewnością czuła dotyk szwu.

Widziałem, jak jej ręka się porusza i pomyślałem, że nie zdołam tego znieść. Ta kobieta natychmiast musi mnie dotknąć! Ja muszę jej dotknąć. Rudolf Valentino, szejk, zamierza ją porwać i zabrać do swojego namiotu na pustyni.

Jednak żadne z nas się nie ruszyło.

— Chodź za mną — poleciła nagle moja pani, strzelając leniwie palcami. Przez moment mignęło światło na jej paznokciach, po czym Lisa się obróciła i wyszła przez dwuskrzydłowe drzwi.

Za nimi mieścił się salon, który widziałem w przelocie ubiegłej nocy. Obserwowałem, jak Lisa lekko porusza szczupłymi biodrami. Zapragnąłem dotknąć jej obnażonego karku. Wyglądała jak mały manekin ubrany w garnitur: ni to mężczyzna, ni to dziecko, nadprzyrodzone stworzenie, jeszcze nie kobieta, choć już osóbką równie mała, miła i miękka.

Wielkie biurko, masywna afrykańska rzeźba w jednym kącie i naprawdę wspaniały haitański obraz w sześciu scenach ukazujących francuski okres kolonialny, dzieło, któremu chętnie przyjrę się później, kiedy Lisa przestanie mnie już „oślepiac” — za każdym z tysięcy razy, gdy znajdę się w tych pokojach i będę całował nagie podbicie stopy mojej pani, jej nagie łydki i nagie łono, które należałoby uwolnić z tych wąskich opiętych spodni i pozwolić mu odetchnąć przy moich ustach. W tym pomieszczeniu nie było niczego naprawdę kobiecego... to znaczy prócz Lisy spowitej w ciemnoniliowy aksamit, od — wracającej się do mnie tyłem, a potem zupełnie umyślnie spoglądającej w lewo.

Zerknąłem w tym samym kierunku i początkowo nie pojąłem tego, co widzę.

— To moje walizki — bąknąłem w końcu.

Martin twierdził, że moje ubrania zostaną gdzieś zamknięte. Że chodziło o zachowanie jak najściślejszego bezpieczeństwa, jeśli bowiem nie posiadasz ubrania i dokumentów, prawdopodobnie nie zdołasz uciec z Klubu. Zgodnie ze słowami Martina nasze bagaże miały być przechowywane gdzieś poza wyspą, składowane w jakimś specjalnym miejscu. Pamiętam, że wyobraziłem sobie wtedy bankowe skarbcce.

A jednak tu stały moje walizki, w dodatku obie zostały otwarte. Dostrzegłem też na stosie ubrań mój paszport i portfel. Niemal zażenował mnie widok tych osobistych przedmiotów uosabiających inny świat.

— Chcę zobaczyć, jak wyglądasz w ubraniu — powiedziała Lisa. Spojrzałem na nią, próbując coś z tego zrozumieć. I nagle przeleciała mi przez głowę zadziwiająca myśl: że stając przed nią w ubraniu, poczuję się upokorzony. Było to jednak perwersyjne, bosko perwersyjne. Wydało mi się, że moja pani drży, choć wcale tego nie widziałem. — Chcę zobaczyć cię w tym — dodała. Pochyliła się nad walizką i wyjęła z niej szarą bluzę z golfowym kołnierzem. — Lubisz szarości, prawda? Nie nosisz zdecydowanych barw. Gdybyś należał do mnie w zewnętrznym świecie, gdybyś był naprawdę i całkowicie moim niewolnikiem, wybierałabym dla ciebie zdecydowane kolory. Teraz jednak załóż dla mnie swoje rzeczy.

Biorąc z jej rąk bluzę, czułem się strasznie nieswojo. Włożyłem bluzę przez głowę tak niezdarnie, jakbym się nigdy wcześniej nie ubierał. Dotyk materiału na skórze niewiarygodnie mnie ożywił, a dolna połowa mojego ciała wydała mi się teraz niedorzecznie bardziej naga. Członek wyglądał tu wręcz nielegalnie. Czułem się niczym centaur na pornograficznym szkicu.

Jednak Lisa natychmiast wręczyła mi parę brązowych spodni. Założyłem je. Szorstki materiał drapał moje pośladki, nieprzyjemnie oblepiał mi jądra i penis. Nie sądziłem, że zdołam zasunąć zamek błyskawiczny. Położyłem dłoń na genitaliach, usiłując ułożyć wygodnie członek w stanie erekcji. Posłałem wpatrzonej we mnie kobiecie niepewny uśmiech.

— Zasuń — poleciła. — I uspokój się.

— Tak, pani — odparłem. — Po prostu się zastanawiam, czy Adam i Ewa właśnie tak czuli się w raju, gdy po raz pierwszy się ubrali.

Wziąłem od niej pasek i lekko zakreśliło mi się w głowie na myśl, że tym razem ja trzymam w rękach twardą skórę. Wsunąłem pasek w szlufki. Nie powinienem w ten sposób rozmawiać z Lisa. Jednak ubranie wszystko zmieniało. Sytuacja wydawała mi się teraz nawet bardziej szalona niż w pasażu sportowym, nawet bardziej niż przy tym przeklętym pręgierzu.

— Znowu się rumienisz — zauważyła. — Gdy się rumienisz, pięknie wyglądają twoje jasne włosy, naprawdę cudownie.

Popatrzyłem na nią z udawaną skromnością, po prostu nie mogłem się powstrzymać.

Lisa podała mi parę skarpet i brązowe mokasyny od Bally'ego, za którymi nie przepadałem. Musiałem przestać się na nią gapić i je włożyć.

Doświadczałem naprawdę niesamowitych emocji, choćby z powodu dzielącej nas różnicy wzrostu, lecz także dzięki dotykowi skóry butów, gładkości podeszwy. Czulem się, jakbym grał w sztuce, jakby to nie było naturalne — cała ta odzież — jakby ubranie stanowiło jedynie inną formę zniewolenia, inną odmianę kajdan i skórzanej uprząży.

Moja pani wyciągnęła marynarkę z brązowej wełny.

— Nie, nie tę... — Potrząsnąłem głową. — Zawahała się. Nagle wyglądała na zagubioną. — Chodzi mi o to, że ta była zbyt droga... marynarka... Nie pasuje do tych spodni i butów. Nie łączyłbym ich ze sobą.

— Którą zatem?

— Daj mi tę tweedową. Marki „Norfolk”. O ile... wiesz, o ile nie masz nic przeciwko temu.

— Ależ nie — odparła. Przepraszającym tonem! Powiesiła brązową marynarkę na wieszaku i wyjęła tweedową. Uwielbiam marynarki z paskiem. Właściwie chciałem poprosić o którąś z moich brudnych starych kurtek safari, pomyślałem jednak, że Lisa się na żadną nie zgodzi.

— Szczęśliwy? — spytała znów ostrym, nieznacznie sarkastycznym tonem.

— Nie będę, póki się nie uczeszę. Ilekroć nałożę marynarkę, odczuwam przymus uczesania włosów. — Pośladki płonęły mi pod spodniami, a sterczący penis nieprzyjemnie się ocierał o materiał. Zacząłem się obawiać, że zaraz eksploduję. Byłem dosłownie o krok. Lisa sięgnęła do tylnej kieszeni spodni — tak jak to robią mężczyźni — i wyjęła czarny plastikowy grzebień. Wyginała się przy tym z kocim wdziękiem i na widok jej cudownych krągłości musiałem przestąpić z nogi na nogę, aby nie wybuchnąć. — Dzięki.

— Tam jest lustro — powiedziała, wskazując mi małe wąskie zwierciadło między dwoma parami drzwi, prowadzących do korytarza.

Popatrzyłem na swoje odbicie — Elliott Slater czeszący włosy i wyglądający jak dwa miliony lat temu w San Francisco, gdy jako wolny człowiek wybierał się na nocny seans do kina.

Kiedy skończyłem, wróciłem do Lisy i oddałem jej grzebień. Na moment nasze palce się dotknęły, a ja się na nią zapatrzyłem. Moja pani cofnęła się, niemal odskoczyła. Jednak gdy uświadomiła sobie swoją reakcję, zeszywniała. Uważała najwyraźniej, że musi ponownie przejąć dowodzenie i nie zamierzała się przyznać do chwili strachu.

— O co chodzi? — spytałem.

— Ciii. Przejdź się w tę i z powrotem, żebyś ci się mogła przyjrzeć — poleciła.

Odszedłem od niej bardzo powoli. Materiał przesuwiał się po moim ciele, tarł je, rozgrzewał i uciskał. I znowu wróciłem do Lisy, zbliżając się do niej coraz bardziej, aż nagle podniosła rękę i powiedziała:

— Stój!

— Chcę cię pocałować — odparłem szeptem, jakby pokój był pełen ludzi.

— Zamknij się — odburknęła i powtórnie zrobiła dwa niespokojne kroki w tył.

— Boisz się mnie tylko dlatego, że się ubrałem? — zapytałem.

— Twój głos się zmienił. Mówisz dużo i zachowujesz się inaczej! — warknęła.

— Czego oczekiwałaś?

— Musisz bardziej nad sobą panować — wyjaśniła, podnosząc palec i groźnie nim kiwając. — Masz się dobrze zachowywać, ubrany czy goły. Zrobisz jeden impertynencki ruch, a wduszę któryś z dziesięciu przycisków w tym pokoju i na całą noc trafisz do pasażu sportowego, gdzie będziesz brał udział w wyścigach.

— Tak, pani! — odparłem, znów nie mogąc się powstrzymać przed ironicznym uśmiechem. Wzruszyłem ramionami, po czym ponownie spuściłem oczy, usiłując pokazać Lisie, że pragnę jej się przypodobać. Zresztą, gdyby rzeczywiście wcisnęła guzik, no cóż...

Odwróciła się do mnie plecami niczym młody, niedoświadczony matador w starciu ze swym pierwszym bykiem.

Obeszła mnie, a kiedy tym razem na mnie spojrzała, sztywno podniosłem prawą rękę do ust i dmuchnąłem ku niej wymaginowany pocałunek. Stała bez ruchu i tylko patrzyła.

— Coś zrobiłam — oświadczyła niespodziewanie. Położyła lewą dłoń na biodrze i zerknęła na mnie nerwowo. — Znalazłam tę książkę w twojej walizce i wyjęłam ją z plastiku, bo chciałam przejrzeć.

— To świetnie — odparłem. Pomyślałem, że nie będę próbował zrozumieć jej czynu. Nie wierzyłem, że album mógł ją naprawdę zainteresować. — Chętnie ci ją podaruję, jeśli chcesz.

Nie odpowiedziała. Przez moment tylko mi się przyglądała. Na jej twarzy zagrały emocje. Podeszła do stołu i wzięła książkę.

Patrząc na okładkę — Elliotta fotografa, Elliotta korespondenta — przeżyłem lekki szok, choć nie tak wielki, jak mógłbym się spodziewać. W drugiej ręce Lisa trzymała pióro wieczne.

— Podpiszesz? — spytała.

Wziąłem od niej pióro i książkę, próbując bardzo dyskretnie dotknąć jej dłoni, a gdy mi się nie udało, odszedłem ku tapczanowi i usiadłem. Nie potrafię podpisywać książek na stojąco.

Odniosłem nagle wrażenie, że całkowicie się przełączyłem na jakiegoś automatycznego pilota. Niemal nie wiedziałem, jaka dedykacja się pojawi na kartce. Pióro poruszało się samo.

Dla Lisy.

Sądzę, że jestem w tobie zakochany.

Elliott

Zagapiłem się na napis, po czym oddałem Lisie książkę. Miałem odczucie, że właśnie zrobiłem coś naprawdę głupiego, czego będę żałował aż do dziewięćdziesiątki.

Kobieta otworzyła książkę, a kiedy przeczytała dedykację, wyglądała na oszołomioną. I piękną, bez dwóch zdań, pięknie oszołomioną!

Ciągle siedziałem na tapczanie. Położyłem lewe ramię na podglówku i starałem się prezentować bardzo swobodnie, choć mój członek szalał w spodniach, wyraźnie usiłując się z nich wyrwać.

W mojej głowie natomiast szalały emocje — obłąkane pożądanie, miłość do Lisy i niesamowita radość, że wybranka mojego serca czyta mój napis, że się rumieni i boi.

Zdawało mi się, że nawet gdyby w pokoju zaczęła nagle grać orkiestra dęta, nie usłyszałbym jej. Słyszałem jedynie pulsowanie we własnej głowie.

Lisa zamknęła książkę. Oczy miała zamglone, jak ludzie w transie. Przez sekundę jej nie poznawałem. Była to jedna z tych „absurdalnych” chwil, gdy znane nam osoby wyglądają nie tylko jak obcy, ale też jak przedstawiciele obcego gatunku. Dostrzegałem u Lisy rozmaite osobliwe szczegóły i nie wiedziałem, z kim lub czym mam właściwie do czynienia.

Pragnąłem otrząsnąć się z tego wrażenia i otrząsnąłem się natychmiast, gdy z przerażeniem odkryłem, że Lisa chyba zaraz się rozpłaczę. Chciałem wstać i przytulić ją do piersi, powiedzieć coś, zrobić... niestety, jakoś nie mogłem się ruszyć. Zresztą czar szybko prysnął. Lisa na powrót „stała się” kobietą, która wyglądała niesamowicie delikatnie w męskich spodniach i marynarce. Wiedziała o mnie rzeczy, których nie wiedział o mnie nikt inny, żadna inna kobieta. Uprzytomniłem sobie, że się przed nią otworzyłem, i pomyślałem, że może właśnie ja — siedzący na tapczanie z wymuszoną miną luzaka — za moment się rozpłaczę.

Czułem, że zrozumieć, naprawdę zrozumieć, co się ze mną dzieje — jeśli tylko się postaram. Tyle że wtedy na pewno się rozpłaczę.

Lisa powoli oblizwała wargi, raz i drugi. Zamyślona, chyba niewiele widziała wokół siebie. Później przyciskając do ciała książkę, spytała:

— Dlaczego tak się przestraszyłeś? Wiesz, ubiegłej nocy w pasażu, gdy kazałam ci zawiązać oczy?

Szokujące, naprawdę wstrząsające pytanie. Poczułem się, jakby oblano mnie wiadrem zimnej wody, a po chwili w dodatku zrobiłem się jakiś taki bezwładny. Lecz nie to pytanie mnie sparaliżowało. A w każdym razie nie tylko ono. Po prostu czułem się osobliwie nagi w tym cholernym stroju. Niczym niebezpieczny gwałcieciel.

— Nie podobało mi się — wydukałem śmiesznym, monotonnym głosem. A przecież nie gawędziliśmy sobie w restauracji przy obiedzie, na litość boską. Chociaż byliśmy ubrani jak na lunch w „Ma Maison”. Jak to będzie, zdjąć wreszcie to przeklęte ubranie? — Chciałem widzieć, co się stanie — dodałem. Wzruszyłem ramionami. — Zachowałem się nietypowo?

„A kiedy ja, do diabła, chciałem się zachowywać typowo?”, spytałem się w myślach.

— Po prostu czeka się na swoją kolej — odparła, lecz głosem osobliwie odległym, choć nie apatycznym. Jak gdyby mówiła przez sen. Jej oczy były naprawdę okrągłe. Większość pięknych kobiet ma oczy w kształcie migdałów, jej wszakże były okrągłe. Wydęta warga dodawała jej dzikiego, niemal barbarzyńskiego wyglądu, mimo iż Lisa była przecież smukła, nieco koścista i bardzo elegancka. — Przepaska... pomaga znieść oczekiwanie. Skryty pod nią możesz się całkowicie poddać — wyjaśniła.

— Jestem cały twój — wypaliłem. — Stało się.

„Ty mi to zrobiłaś, a ja ci na to pozwoliłem — dodałem w myślach. — I sądzę, że cię kocham”.

Zrobiła krok w tył, zatrzymała się. Przyciskała książkę do piersi jeszcze mocniej — jakby trzymała dziecko. Nagle podeszła do biurka i podniosła słuchawkę.

Zacząłem wstawać. To było czyste szaleństwo! Nie może mnie tak odesłać. Roztrzaskam ten pieprzony telefon! Jednak nim zdążyłem podejść, powiedziała do słuchawki coś, czego za bardzo nie rozumiałem.

— Bądź gotów do startu za pięć minut. Powiedz im, że reszta bagażu czeka na zabranie. — Odłożyła słuchawkę, popatrzyła na mnie i poruszyła ustami, lecz nic nie powiedziała. Zastanawiała się moment, po czym się odezwała: — Włóż portfel i paszport do kieszeni. I wyjmij z walizek wszystko, co chcesz mieć przy sobie.

— Żartujesz — odparowałem. Czułem się jednak cudownie i miałem wrażenie, że ktoś mi mówi: „Teraz polecimy na księżyc”.

Drzwi się otworzyły i weszło dwóch młodych służących w strojach białych, choć nie ze skóry. Zaczęli pakować walizki i torby Lisy.

Założyłem na przegub zegarek, wsunąłem portfel do kieszeni spodni, a paszport do kieszeni marynarki. Zobaczyłem swoje pamiętniki na dnie walizki i zerkając na Lisę, wziąłem je. Potrzebowałem mojej torby na ramię, płóciennego worka, który przywiozłem tu ze sobą. Znalazłem go, wyjąłem, włożyłem pamiętniki i zarzuciłem sobie worek na ramię.

— Co się dzieje? — spytałem.

— Pospiesz się — odparła.

Dwóch służących niosło nasze walizki.

Lisa ruszyła za nimi. Ciągle trzymała w lewej ręce książkę.

Pewnym krokiem kroczyła korytarzem. Dogoniłem ją.

— Dokąd lecimy? — spytałem. — Nie rozumiem.

— Bądź cicho — szepnęła — póki się nie wydostaniemy.

Przebiegła trawnik po prawej stronie i kwietniki. Wyprostowana, szła żwawo, niemal butnie. Służący załadowywali bagaże do małego elektrycznego pojazdu stojącego na ścieżce. Obaj zajęli przednie siedzenia. Lisa wsiadła na tylne i gestem kazała mi usiąść obok siebie.

— Powiesz mi wreszcie, co robimy? — zapytałem, wsiadając do auta. Nogą dotykałem jej nogi. Gdy pojazd ruszył zbyt szybko i Lisa wpadła na mnie, kładąc mi rękę na udzie, uświadomiłem sobie, że jest znacznie ode mnie mniejsza. Nie wiedziałem, co myśli, gdyż nie widziałem jej twarzy pod rondem kapelusza. — Liso, odpowiedz mi wreszcie! Co się dzieje?

— No dobrze, posłuchaj mnie... — zaczęła, ale przerwała. Rumieniła się i wydało mi się, że przyciska do piersi książkę niemal z gniewem. Samochód jechał teraz ponad trzydzieści kilometrów na godzinę, objeżdżając zatłoczone ogrody rozkoszy i basen. — Nie musisz lecieć, jeśli nie chcesz — oznajmiła mi w końcu. Głos miała niepewny. — To ciężki obowiązek, wchodzić i wychodzić, raz się rozbierać, raz ubierać. Zrozumiem, jeżeli powiesz, że nie jesteś na to przygotowany. Więc tylko powiedz, a wrócimy do mojego pokoju i zrzucisz ubranie.

Wcisnę guzik, przywołałam tresera, który natychmiast cię zabierze do Scotta, Deeny czy kogoś innego. Mogę zadzwonić nawet przy wyjściu. Chcesz Scotta, to go dostaniesz. Scott jest najlepszy i chciałby cię mieć u siebie. Zrobiłeś na nim wrażenie. Wskazałby ciebie na samym początku, lecz to ja wybierałam pierwsza. Jeżeli jednak masz ochotę, leć ze mną. Za półtorej godziny znajdziemy się w Nowym Orleanie. Żadna tajemnica. Po prostu robimy to, na co mam ochotę. Kiedy postanowię wracać, wrócimy.

— Hmm... Krewetki po kreolsku i kawa z cykorią — powiedziałem szeptem. Lot na Księżyc i dalej, na Wenus i na Marsa.

— Mądrała — mruknęła. — A może *etoufféé** langusta i piwo Dixie?

Roześmiałem się. Nic nie mogłem na to poradzić. Im bardziej Lisa poważniała, tym głośniejsze się śmiałem.

— No dalej, podejmij cholerną decyzję — naciskała. Pojazd zatrzymał się przy bramie obok oświetlonej szklanej kabiny. Znaleźliśmy się między dwoma rzędami elektronicznych skanerów. Dalej znajdowało się wysokie ogrodzenie.

— Nie mam za bardzo czasu na zastanowienie i podjęcie tak trudnej decyzji — oświadczyłem, nadal wesoło rechocząc.

— Możesz wrócić na piechotę — odcięła się. Naprawdę drżała. Oczy lśniły jej pod rondem kapelusza. — Nikt nie u — zna, że próbowałeś uciec czy ukradłeś ubranie. Zadzwonię z tej kabiny.

— Zwariowałaś? Oczywiście, że lecę z tobą — powiedziałem i zacząłem ją całować.

— Jedź — poleciła Lisa kierowcy, dżgając mnie mocno w pierś.

* *Etoufféé* (fr.) — duszona.

* * *

Samolot okazał się ogromnym turboodrzutowcem. Gdy podjeżdżaliśmy, słyszałem ryk jego silników. Lisa wyskoczyła z auta, jeszcze zanim się zatrzymało, i popędziła po metalowych schodkach w górę. Musiałem biec, by ją dogonić, myśląc, że porusza się chyba szybciej niż wszystkie kobiety, jakie kiedykolwiek widziałem. Służący z walizkami kroczyli za nami.

Wnętrze było wyłożone brązowym i złotym pluszem. Wyglądało luksusowo i wyposażono je w co najmniej osiem wygodnych foteli klubowych ustawionych w półokrąg w saloniku. Była tu też sypialnia, z której prowadziły drzwi na tyły, do naturalnej wielkości sali bilardowej z telewizorem.

Dwaj starsi mężczyźni, obaj ubrani w stosowne brzydkie ciemne garnitury, rozmawiali ze sobą po hiszpańsku ściszonymi głosami. W rękach trzymali drinki. Na nasz widok zaczęli się podnosić, lecz Lisa dała im znak, aby nie wstawali.

Zanim zdołałem coś powiedzieć lub zrobić, moja pani zajęła pojedyncze siedzenie między mężczyznami a oknem. Nie pozostawiła mi wyboru — miałem usiąść naprzeciwko o ponad cały paskudny metr od niej.

Z głośnika dał się słyszeć skrzypiący głos:

— Przygotować się do startu. Telefon do Lisy na linii numer jeden.

Widziałem obok Lisy mrugające bezgłośnie, lecz oślepiająco światelko i mały interkom, który uruchomiła.

— Startuj, jesteśmy gotowi — poleciła. — Niech pan zapnie pasy, panie Slater. — Odwróciła się do szyby z grubego, ciemnego szkła.

Przez jęk silników znowu przebił się głos z głośnika.

— Mówią, że to pilne, Liso. Możesz odebrać rozmowę na pierwszej linii?

— Mogę podać drinka, proszę pana? — spytał steward, nachylając się nad moim uchem.

Dwaj obywatele Ameryki Łacińskiej (tego byłem pewien) pochyłili się bardziej ku sobie i zaczęli rozmawiać tak głośno, że zagłuszyli wszystkie inne dźwięki.

— Tak — odparłem szybko, obrzucając wściekłym spojrzeniem dwóch krzykaczy i siedzącą obok nich Lisę. — Poproszę szkocką, jeśli macie markową. Na dwa palce z odrobiną lodu.

— Zadzwoń do nich później — rzuciła Lisa w interkom. — Leć. — Odwróciła głowę do okna i zsunęła kapelusz na oczy.

Rozdział 20

Na wolności

Do czasu aż wylądowaliśmy, byłem gotów kogoś zamordować. Czułem się też nieco pijany. Lisa nie zmieniła miejsca pod oknem obok dwóch argentyńskich (jak sądzę) nudziarzy, a ja prawie rozdarłem filc na stole bilardowym, grając w osiem kul sam, podczas gdy steward, który ze swoim przyjemnym wyglądem nadawał się na obiekt gwałtu, stale napelniał moją szklanę*.

Film *Lalka*, surrealistyczna francuska groteska, którą kiedyś uwielbiałem, z niezującym już polskim aktorem, którego kochałem jeszcze bardziej, przesuwała się na olbrzymim ekranie, ignorowana przez wszystkich.

Ale skoro tylko postawiliśmy stopę na nowoorleańskim lotnisku (naturalnie padało, w Nowym Orleanie zawsze pada), dwaj Argentyńczycy zniknęli, a my wsunęliśmy się sami (wreszcie!) na tylne siedzenie nedorzecznie długiej srebrnej limuzyny.

Lisa usiadła na samym środku szarego aksamitnego siedzenia i zapatrzyła się w pusty ekran stojącego przed nią małego telewizora. Kolana ścisnęła razem i tuliła w ramionach moją książkę niczym pluszowego misia. Objąłem ją i strąciłem jej kapelusz.

— Przestań, za dwadzieścia minut będziemy w hotelu — zgaśniła mnie. Wyglądała strasznie i pięknie, trochę jak uczestnik pogrzebu.

— Nie chcę przestać — odparłem i zacząłem ją całować, otwierać jej usta językiem, przesuwać dłońmi po jej ciele, które wyczuwałem przez aksamit, przez grube szwy spodni i ciężkie rękawy marynarki, a potem włożyłem rękę pod marynarkę i szarpałem guziki kamizelki.

Odwróciła się w moją stronę, przycisnęła do mnie piersią, a wtedy ogarnęło mnie znów to zgubne napięcie i to unicestwiająco gorąco. Podnosiłem się, wciągałem ją na siebie, aż w końcu legliśmy na długim siedzeniu. Szarpałem jej ubranie, a może tylko ciągnąłem je i spychałem, starając się niczego nie uszkodzić, lecz porozpinać i dotknąć jej ciała. Odkrywałem, jak trudno zdjąć z kobiety męski strój albo naprawdę „poczuć” kobiece ciało przez męską koszulę.

— Przestań — powtórzyła. Oderwała swoje usta od moich i odwróciła się na bok. Zamknęła oczy i oddychała jak po długim biegu. Starąłem się nieco unieść, aby nie przygniatać jej swoim ciężarem, i całowałem jej kości policzkowe, włosy, oczy.

— Pocałuj mnie. Odwróć się i mnie pocałuj — poprosiłem, po czym siłą odwróciłem jej głowę i znowu przebiegł mnie dreszcz. Niewiarygodne, ale moje podniecenie nadal rosło.

Usiadłem prosto, nieco przesunąłem Lisę, która cofnęła się w narożnik. Jej włosy wysypały się z koka.

— Zobacz, co narobiłeś — mruknęła pod nosem, lecz bez cienia złości.

— Cholera, zabawiamy się jak pieprzeni licealiści — zauważyłem.

Wyjrzałem przez okno na wyżynny, zmęczony krajobraz Luizjany, na winorośle oplatające druty telefoniczne, na walące się motele tonące w wysokiej trawie, na zardzewiałe budki z fast foodem. Każdy symbol nowoczesnej Ameryki prezentował się tu jak misjonarska placówka, jak rupiecie pozostałe po próbie kolonizacji, która nieustannie się nie udawała.

Na szczęście wjeżdżaliśmy już do miasta — do miasta, które kocham. Lisa wyjęła szczotkę z torby podróżnej. Gdy czesała się gwałtownymi posuwistymi ruchami, jej twarz się

* *Lalka, La Poupee* — film Jacquesa Baratiera (1962 r.) ze Zbigniewem Cybulskim w roli głównej.

zarumieniła, reszta szpilek wypadła z koka. Strasznie mi się podobał widok jej włosów opadających niczym otulający ją cień.

Chwyciłem ją i znów zacząłem całować. Tym razem się cofnęła, pociągając mnie za sobą, i przez kilka minut dosłownie szaleliśmy. Całowałem ją i całowałem, niemal wysysałem z niej wszystkie soki i pożerałem całą.

Lisa całowała lepiej niż jakakolwiek kobieta, którą znałem. Nie miałem pojęcia, w czym tkwiła różnica. Lisa całowała się, jakby dopiero co odkryła pocałunki, jakby spadła z innej planety, gdzie nie istniały, a kiedy zamknęła oczy i pozwoliła mi się całować po szyi, ponownie musiałem przerwać i odsunąć się do niej.

— Jeszcze trochę i rozerwę cię na kawałki — stęknąłem, zaciskając zęby. — Naprawdę mam ochotę porozrywać cię na kawałki i dostać się do środka.

— Tak, tak — szepnęła, równocześnie usiłując zapiąć koszulę i kamizelkę.

Posuwaliśmy się Tulane Avenue w ten cichy, nierealny sposób, w jaki jeżdżą limuzyny zamknięte przed zewnętrznym światem. A przy Jeff Davis skręciliśmy w lewo, zmierając najprawdopodobniej do Dzielnicy Francuskiej, i znowu przyciągnąłem Lisę, i znowu skradłem jej co najmniej tuzin kolejnych rozkosznych pocałunków. Gdy tym razem się ode mnie oderwała, znajdowaliśmy się już w wąskich, klaustrofobicznie małych uliczkach zabudowanych szeregowymi domami. Zdążyliśmy do serca starego miasta.

Rozdział 21

Przez próg

Kiedy weszliśmy do hotelowego holu, Lisa wyglądała ślicznie z włosami luźno rozpuszczonymi na plecy, przekrzywionym kapeluszem i rozpiętym kołnierzykiem koszuli, mimo to drżała tak bardzo, że ledwie mogła utrzymać pióro.

Pospiesznie nabazgrała „Lisa Kelly”, litery wyszły chwiejne jak spod ręki staruszki, a kiedy spieraliśmy się, które z nas ma zapłacić swoją American Express, była podniecona i osobiście zacięta, toteż odnosiłem wrażenie, że jeszcze nie do końca wierzy, gdzie jesteśmy. Wygrałem sprzeczkę i recepcja przyjęła moją kartę.

Hotel wybrany przez moją panią był doskonały: odnowiona hiszpańska kamienica mniej więcej dwa kwartały za Jackson Square. Otrzymaliśmy zamieszkanie niegdyś przez czarną służbę apartament w przybudówce na tyłach. Przeszliśmy kolorowe kocie łby — nierówne, jak na wszystkich starych nowo — orleańskich dziedzińcach — oraz ogród porośnięty zaroślami gigantycznych, wilgotnych, lśniących zielonych drzew bananowych, a także różowymi oleandrami i jaśminami pnącymi się po ceglanych ścianach wśród nielicznych elektrycznych lamp, które tu i tam błyszcząły niczym latarnie.

Nimfę zdobiącą fontannę porastał zielony mech, wodę dusiły irysy, lecz całość strasznie mi się podobała. Z któregoś po — bliskiego domu dotarły do nas z szafy grającej żywe dźwięki piosenki *Beat It* Michaela Jacksona, które bardziej niż cokolwiek innego uświadomiły mi, że wróciłem do „prawdziwego życia”, tego, które porzuciłem, odpływając z Kalifornii do Edenu. Docierał do mnie też swojski restauracyjny hałas i zapach kawy.

Gdy dotarliśmy do przybudówki, Lisa trzęsła się jeszcze mocniej. Przed drzwiami przytrzymałem ją na chwilę, zrosił nas lekki kapuśniaczek, ogłuszyła symfonia kropel uderzających w dach, a także w liście bananowców i innych roślin. Chyba nigdy nie widziałem piękniejszych dzieci od dwojga małych Mulałów, którzy wnieśli do apartamentu nasze walizki i torby.

Nie miałem pojęcia, jakiej płci były te dzieci, i nadal tego nie wiem. Nosiły szorty khaki i białe podkoszulki z krótkim rękawem, miały jedwabistą, połyskującą skórę oraz ciemne płynne oczy hinduskich księżniczek z indyjskich obrazów. Wsuwały się prawie sennie do dużego pobielonego pokoju, wnosząc po dwie torby z ułożonej przed wejściem sterty.

Bagaż Lisy pasował do podróży prywatnymi samolotami — wszystkie torby i walizki były z identycznej karmelowej skóry, zdobionej złotymi inicjałami. Moja pani miała tych toreb tyle, co ludzie zwiedzający całą Europę w roku 1888.

Dałem dzieciom pięć dolarów, a one odpowiedziały coś głosami, które można usłyszeć jedynie w tym mieście, prawdziwie miękkimi, francuskimi, lirycznymi, niemal narkotycznymi, po czym odeszły ciężkim krokiem starców, rzucając mi przez ramię uśmiechy.

Lisa niepewnie zaglądała do pokoju jak do jaskini pełnej nietoperzy.

— Chcesz, abym cię przeniósł przez próg? — spytałem.

Spojrzała zaskoczona. I coś przemknęło przez jej twarz, jakiś dziwny objaw dzikości, którego nie potrafiłem zinterpretować. Znów poczułem żądzę. Nie czekałem na odpowiedź. Złapałem moją panią i wniosłem do środka.

Pięknie się rumieniła i zaczęła się śmiać. Próbowwała ukryć radość niczym ktoś, komu zakazano szczęścia i nie powinien go doświadczać.

— Śmieję się, śmieję — poprosiłem, stawiając ją na podłodze. Wyszczrzyłem do Lisy zęby i mrugnąłem do niej: tak jak do tych wszystkich kobiet siedzących wokół ogrodowego wybiegu w Edenie. Tyle że teraz moje zachowanie płynęło wprost z serca.

Później stanąłem i patrzyłem, jak Lisa rozgląda się po pomieszczeniu.

Nawet w tych dawnych kwaterych służby sufity sięgały czterech metrów. Ogromne mahoniowe łóżko z baldachimem uszytym ze ślubnego białego jedwabiu, przyozdobione było cherubinkami, stulistnymi różami i oszpecone starymi plamami, które wyglądały jak od deszczu. W niewielu domach, w których żyłem i pracowałem, stało takie łóżko.

Mój wzrok przyciągnęło też lustro, wznoszące się znad marmurowego obramowania kominka aż do sufitu, oraz kilka bujanych foteli z drewna orzechowego — miały wysokie oparcia i stały na krawędziach podniszczonego perskiego dywanu. Całości sypialni dopełniały duże, szerokie, nierówne deski cyprysowe, podłoga barwna jak kocie łby na zewnątrz i na całej jednej ścianie przeszklone drzwi, które przypomniały mi pokój Lisy w Klubie.

Łazienka i mała kuchnia nieco zakłócały czar apartamentu. Te same białe kafle, chromowana armatura, kuchenka mikrofalowa, elektryczny ekspres do kawy, typowy dla najbardziej luksusowych moteli.

Zamknąłem drzwi.

Dzięki włączonej klimatyzacji nie było gorąco, a w powietrzu unosił się subtelny zapach deszczu, więc wyłączyłem urządzenie, po czym wyszedłem na zewnątrz i pozamykałem wszystkie duże zielone okiennice na szklanych drzwiach, aby potencjalni ciekawscy gapie nie mogli zajrzeć do środka. Wróciłem do sypialni i otworzyłem wszystkie szklane drzwi, które — rych się nie otwiera, odkąd istnieje klimatyzacja, zabezpieczyłem od środka okiennice i rozsunąłem listewki. Pokój natychmiast zrobił się cieplejszy, bardziej zaparowany, przytulny. Deszcz uderzał głośno o okiennice. Frontowe drzwi zamknąłem na klucz.

Lisa nadal stała tyłem do lampy i patrzyła na mnie bez ruchu.

Była zroszona potem i potargana. Pomadka nieco jej się rozmasała, koszuli nie zapięła aż do dekoltu kamizelki. Nie miała na nogach butów i wyglądała bardzo krucho.

Podszedłem do niej, objąłem jeden ze słupków łóżka i też przypatrywałem się jej bez słowa. Moje pożądanie rosło, podwajało się i potrajało, aż znów osiągnęło temperaturę stopionej lawy.

Tak więc znaleźliśmy się na wolności, gdzie nie było trenerów, treserów ani żadnych guzików, dzięki którym Lisa mogłaby wezwać pomoc, gdzie byliśmy tylko we dwoje w zamkniętym pokoju. Wiedziałem, że moja pani też zdaje sobie sprawę z tych faktów.

Ale czego chciała? I czego ja chciałem? Zerwać z niej ubranie? Gwałcić ją? Odegrać jakąś krótką dramatyczną scenkę zemsty za to, co mi zrobiła na wyspie? Mówi się, że naprawdę seksualnie pobudzony mężczyzna nie „myśli”. Cóż, ja myślałem, myślałem o każdym momencie spędzonym dotąd z Lisa, o sportowym pasażu, o rozkazach, ucisku przepaski na oczach, rzemieniach i jej nagich piersiach, o ich gorącu i frazie, którą wypowiedziałem w limuzynie — że chciałbym ją rozerwać na kawałki i dostać się do jej wnętrza. Tyle że gdy to mówiłem, wcale nie miałem na myśli gwałtu. Czy ją teraz zawiodę?

Chciałem coś powiedzieć, lecz nie znalazłem odpowiednich słów. Czuję znowu to zdumiewające pragnienie, które przeżyłem już w sypialni Lisy w Klubie. Chyba chciałem ją zniewolić, ale nie okrutnie, nie szorstko, nie gwałtownie, nie siłą, lecz w inny sposób, bardziej istotny, bardziej znaczący i bardziej osobisty.

Zrobiła lekki niezdecydowany ruch ku łóżku. Po raz nie wiem który poczułem bijące od niej ciepło, zobaczyłem, jak gorączka tańczy jej pod skórą. Gdy na mnie patrzyła, jej źrenice również osobliwie tańczyły.

Zbliżyłem się do niej i objąłem jej głowę obiema dłońmi. Pocałowałem moją panią, znowu językiem otwierając jej usta, powolnym, wilgotnym pocałunkiem, który może trwać i trwać,

aż pod wtuloną we mnie kobietą ugięły się nogi i zaczęła głośno jęczeć. Wiedziałem, że będzie nam tu idealnie.

Zdjąłem jej marynarkę, rozpiąłem kamizelkę i zabrałem się do zdejmowania męskiej koszuli. Lisa odpinała pasek, a wtedy włosy opadły jej na nagie piersi i jakiś jej ruch, pochylenie głowy, ręce rozluźniające ściskający ją pas, rozpinające spodnie... coś głęboko do mnie przemówiło. Opuściłem jej spodnie aż do kostek i dosłownie wyjąłem ją z nogawek, po czym zgmiotłem palcami jej nagie pośladki.

Padłem na kolana przed nią, zagłębiając głowę, a później twarz w jej płci, liżąc ją i całując.

— Nie mogę, nie mogę tego znieść — szepnęła. Chwyciła moją głowę, przyciskając mnie do siebie, a później mnie odepchnęła. — Przestań, jest zbyt zmysłowo, zbyt intensywnie. Po prostu wejdź we mnie — dodała. — Tak jest zbyt, zbyt... — W sekundę zrzuciłem własną odzież, wziąłem Lisę na ręce i posadziłem ją na samym krańcu łóżka, a wtedy rozsunałem jej nogi i patrzyłem na jej nagi seks, na to, jak się poruszał, oddychał, na połyskujące włosy łonowe, na różowe wargi sromowe, na sekret... I drżałem. — Chcę cię we mnie — powiedziała. Podniosłem wzrok na jej twarz, która przez sekundę wydała mi się za bardzo delikatna na ludzką, dokładnie tak jak jej seks wydawał mi się zbyt dziki, zbyt zwierzęcy, zbyt sekretnie odmienny od reszty istoty Lisy. Padliśmy razem na łóżko i zaczęliśmy się tarzać, całować i ocierać nagimi ciałami.

Zagłębiłem usta w jej pochwie, szeroko rozsunawszy jej nogi, i tym razem Lisa się nie opierała.

Choć nie pozostała również spokojna. Zaczęła się pode mną rzucać. Liżałem ją, całowałem, wsuwałem głęboko język, zroszony jej czystym, słonym aromatem węgla drzewnego. A gdy liżałem jej jedwabiste włosy, zupełnie się rozszalała. Chwyciła mnie i kazała mi natychmiast w siebie wejść, lecz ja nie mogłem się oderwać od jej łona, więc całowałem ją mocniej, mocniej ją smakowałem, mocniej się w nią wgryzałem.

Szybko zmieniłem pozycję na klasyczne „sześć na dziewięć”. Lisa natychmiast wzięła w usta mój członek i po chwili ssła go i liżała. Robiła to doskonale, ssąc silnie i z pasją jak mężczyzna... i jakby to uwielbiała. Pracowała coraz silniej, jej dłoń obejmowała mojego penisa tuż przy jądrach, jej usta były cudownie mokre i twarde, a ja zanurzałem się w jej pochwie, zagłębiając się w nią całym językiem. Twarz miałem naprawdę mokrą od jej płynów, nasyconą nią, podczas gdy jej palce szczypały ślady rzemienia na moich pośladkach, gładziły je i drapały. Wycofałem się, by dać jej znak, że dochodzę, lecz Lisa chwyciła mój członek jeszcze mocniej i wsunęła sobie głębiej w gardło, a gdy wróciłem do niej, odkryłem, że jej mała rozkoszna cipka kurczy się, biodra wysuwają ku mnie, wargi sromowe drżą pod moimi ustami, a całe ciało Lisy płonie. Kontynuowaliśmy, słyszałem jej jęki i zdławione krzyki. Jej orgazm skojarzył mi się z szeregiem następujących po sobie eksplozji. Wytrysnąłem, zanim nad sobą zapanowałem.

Leżałem na plecach i myślałem, że nigdy nie kochałem się w tej pozycji z żadną kobietą. Pamiętam przynajmniej pięciuset sześćdziesięciu ośmiu facetów, chyba tyłu... lecz żadnej kobiety. A przecież — co sobie uświadomiłem właśnie teraz — zawsze chciałem to zrobić. Poza tym głównie myślałem o tym, że ją kocham, naprawdę kocham!

Drugi nasz stosunek był znacznie spokojniejszy. I nie zaczęliśmy się kochać od razu.

Zdaje mi się, że spałem może z pół godziny, nie wiem, jak długo, pod kołdrą, z włączoną przyćmioną lampą. Deszcz padał nieco wolniej, lecz stale słychać było tę samą symfonię kropel uderzających w setki powierzchni i odgłos wody płynącej w rurach ściekowych i rynnach.

W końcu wstałem i wyłączyłem lampę. Przytuliliśmy się do siebie, czułem się w pełni rozbudzony. Krople deszczu wyglądały jak maleńkie srebrne światła przylegające do listewek zielonych drewnianych okiennic. Słyszałem też mieszaninę wszystkich innych ostrych dźwięków typowych dla Dzielnicy Francuskiej: przytłumione odgłosy dochodzące z klubów

na Bourbon Street, oddalonej od nas zaledwie o przecznicę, głośny ryk aut przemykających wąskimi uliczkami, szafę grającą wyrzucającą z siebie starsze, chrypliwe rytmy–and–bluesy, które skądś pamiętałem. Zapach Nowego Orleanu. Zapach ziemi i kwiatów.

Za trzecim razem kochaliśmy się bardzo czule. I ciągle się całowaliśmy. Całowaliśmy sobie pachy, sutki i brzuchy. A potem wnętrza ud i zagłębienia pod kolanami.

Wszedłem w nią, gdy leżała na brzuchu, a ona uniosła tułów i szarpnęła głowę mocno w tył. Kiedy w niej szczytowałem, krzyczała jak nigdy dotąd: „O Boże! O Boże! O Boże!”

Skończyliśmy i wiedziałem, że teraz będę zasypiał przez milion lat, więc uniosłem się na łokciu i patrzyłem z góry na nią, wtuloną w moje ramiona.

— Kocham cię — powiedziałem.

Jej oczy pozostały zamknięte, choć na moment zmarszczyła brwi, a później wyciągnęła do mnie ręce i pociągnęła mnie w dół, ku sobie.

— Elliott — mruknęła ze strachem, prawdziwym strachem, a potem już tylko leżała pod mną, trzymając mnie kurczowo.

Chwilę później przyszła mi do głowy myśl, by powiedzieć Lisie, że nigdy nikomu nie wyznawałem miłości. Milczałem jednak, gdyż takie oświadczenie wydało mi się zbyt aroganckie. Pomyślałem: „Co w tym takiego szczególnego?” I przemknęło mi przez głowę, że Lisa uzna mnie za świra. Zresztą... Byłem senny i dobrze mi się obok niej leżało, więc po co się odzywać. Poza tym nie odwzajemniła wyznania, ale czy musiała? A może je odwzajemniła. Jakoś tak po swojemu. Tak, chyba tak powinienem ją odbierać.

Była teraz delikatna jak płatek kwiatu i równie słodka, a jej perfumy i wydzielane przez jej ciało soki mieszały się w obezwładniającym aromacie, który nadpływał do mnie falami, przynosząc mi rozkosz.

ELLIOTT

Obudziłem się zupełnie nieoczekiwanie dwie godziny później. Nie chciałem dłużej spać, nawet jeśli byłem zmęczony.

Wstałem, otworzyłem swoje walizki i zacząłem wyjmować ubrania. Oczy przyzwyczyły się do mroku, a dzięki światłu wpadającemu przez listewki okiennic widziałem ile trzeba. W tym momencie jednak uświadomiłem sobie, że nie wiem, jak długo tu zostaniemy. Obecnie nie mogłem nawet myśleć o powrocie do Klubu. Tak jak powiedziała Lisa, wchodzenie i wychodzenie to „ciężki obowiązek”.

Moja pani się podniosła, usiadła i otoczywszy rękoma kolana, przyglądała mi się.

Nałożyłem białą bluzę z golfowym kołnierzem, spodnie khaki i jedyną czystą kurtkę safari, jaką miałem w walizce. Było to moje ulubione okrycie, wojskowa kurtka khaki zakupiona w sklepie z artykułami z demobilu i niezbyt mocno pognieciona. Kochałem ją. Starłem się nie przypominać sobie jednak niektórych miejsc świata, które w niej odwiedziłem, na przykład Salwadoru. O takich nie powinienem myśleć. Ale o Kairze mogłem, i o Haiti, no i oczywiście o Bejrucie, Teheranie, Stambule... Mogłem snuć również tuziny innych dziwnych wspomnień.

Lisa wstała z łóżka. Poczułem ulgę, widząc, że również zaczęła się rozpakowywać. Zero skórzanych spódniczek czy kozaków. W szafie na wieszakach powiesiła cudowne małe aksamitne kostiumy, skąpe suknie, a podłogę szafy zastawiła tuzinami sandałów, przeważnie na wysokim obcasie.

Następnie włożyła krótką granatową jedwabną sukienkę w grochy, która miękko i pięknie przylgnęła do jej zagłębień i krągłości. Długie mankiety wydłużyły optycznie jej dłonie. Rękawy były pełne i lekko plisowane w ramionach. Wokół talii Lisa przewiązała pasek z materiału, dzięki czemu brzeg sukienki uniósł się ładnie nad kolana, a piersi zmienił w dwa ciemne punkty pod jedwabiem. Dzięki Bogu nie nałożyła rajstop, lecz tylko parę granatowych butów ze skóry na obcasach o wyglądzie sopli.

— Nie, nie rób tego — powiedziałem. — Po tym mieście należy spacerować. Idźmy gdzieś po kolacji. Możemy pójść wszędzie. Włóż na spacer płaskie buty.

Zgodziła się. Nałożyła sandały w naturalnym kolorze skóry na niewysokim koturnie. Rozczesała włosy, na czubek głowy wcisnęła okulary przeciwsłoneczne, by kosmyki nie spadały jej na twarz, przełożyła wszystkie osobiste przedmioty z czarnej skórzanej torby do brązowej skórzanej torebki i byliśmy gotowi.

— Dokąd idziemy? — zapytała.

Pytanie mnie zaskoczyło. Więc Lisa nie powie mi, dokąd mamy iść?

— Hmm... do „Manale” przy ulicy Napoleona — odparłem. — Jest dwudziesta pierwsza, więc może będziemy musieli poczekać na stolik. Jeśli tak, zjemy najpierw przy barze porcję ostryg.

Lekko skinęła głową na znak aprobaty i posłała mi piękny, bardzo niepewny uśmiech.

— Nie zatrzymałaś pewnie limuzyny? — spytałem, ruszając do telefonu. — Zadzwonię po taksówkę.

Rozdział 22

Pierwsza warstwa

W taksówce nie odzywaliśmy się do siebie. Nie miałem pojęcia, o czym z nią rozmawiać. Czułem się podekscytowany samym jej towarzystwem i przyjemnością ponownego pobytu w Nowym Orleanie, jazdą w górę alei Świętego Karola, pod dębowymi drzewami, ku ulicy Napoleona, i rozmyślałem o wszystkich rzeczach, które mogliśmy tu zrobić, jeśli Lisa zdecyduje, że spędzimy w tym mieście trochę czasu. Jeśli pozwoli nam zostać! O mało jej nie spytałem, czy często wyjeżdża z niewolnikami, ale nie chciałem jeszcze znać prawdy. Jeszcze, a może nigdy...

Przed laty, gdy odkryłem „Manale”, nikt nie musiał tam czekać na stolik, teraz jednak o lokaliku wie cały świat. W barze ostrygowym panował taki tłok i hałas, że ledwie się słyszeliśmy, mimo to zamówiliśmy dwa tuziny surowych ostryg i dwa piwa.

— Jak po raz pierwszy trafiłeś do Nowego Orleanu? — zapytała Lisa, pijąc piwo równie szybko jak ja i pochłaniając ostrygę za ostrygą. Mówiła naturalnym głosem i poczułem się jak zwyczajny mężczyzna na randce ze zwyczajną kobietą. — Ja odkryłam to miasto podczas mojego pierwszego urlopu w trakcie pracy w Klubie — dodała. — Zakochałam się w nim i później ilekroć opuszczałam Klub, zawsze przyjeżdżałam tutaj.

— Ja przyjechałem jako dzieciak z rodzicami — odparłem. — Przede wszystkim na Mardi Gras*. — Piwo i ostrygi były zbyt dobrym jedzeniem dla zwykłych ludzi. — Rodzice zabierali mnie ze szkoły i co roku spędzaliśmy tu tydzień.

Opowiedziałem jej o małym pałacowym hoteliku przy alei Świętego Karola, w którym się zatrzymywaliśmy (Lisa знаła ten hotel i przyznała, że też uważa go za świetny), a potem robiliśmy sobie święto, zjadając się ostrygami i ketmiami w kraju Cajunów*.

— Tak, też tak chcę — wtrąciła. — Wejść do krainy Cajunów. O mało tu nie utknęłam szereg razy. Ale naprawdę kocham to miasto...

— Tak, wiem, o czym mówisz — przerwałem i pocałowałem ją w policzek. — Często robię fotoreportaż z Nowego Orleanu. Tylko po to, by tu przyjechać — dodałem. Pocałunek ją zaskoczył. Moje pocałunki stale ją zaskakiwały. — Płacami za nie marnie — ciągnąłem. — Zwykle więcej tu wydaję, niż zarabiam. Jednak nie potrafię sobie odmówić. W ciągu ostatnich pięciu lat napisałem o Nowym Orleanie dziesięć artykułów.

— Więc się cieszysz... że jesteśmy... tu, gdzie jesteśmy?

— Żartujesz? — Znów próbowałem ją pocałować, lecz się odwróciła, choć nadal mnie widziała. Wypiła duży łyk piwa.

Zwierzyła mi się, że spędziła kiedyś zupełnie sama sześć tygodni w apartamencie w Garden District niedaleko alei Waszyngtona. Nic nie robiła, tylko czytała, a popołudniami spacerowała. Tak, spacer po tym mieście dawał niepowtarzalne przeżycia. Miałem rację, gdy jej o tym mówiłem.

Łagodniała, jej zachowanie się zmieniało. Coraz częściej się uśmiechała. Policzki miała lekko zarumienione.

* Mardi Gras (fr. dosłownie: „tłusty wtorek”) — ostatki, ostatni wtorek przed Popielcem, czyli ostatni dzień karnawału, szczególnie entuzjastycznie świętowany w Nowym Orleanie.

* Cajun (fr.) — potomek osadników francuskich z Kanady, zamieszkujący południowo-zachodni rejon Luizjany.

Myślę, że w Klubie zawsze czuła się obserwowana, prawdopodobnie jeszcze bardziej niż niewolnicy. Teraz się zapomniała, pograżyła w swojej opowieści, konsumpcji ostryg i piwa, tak jak przewidziałem. Wszystkimi zmysłami cieszyła się każdym kawałkiem, każdą kroplą.

Do dwudziestej drugiej byłem w doskonałym nastroju, jaki zyskuje się tylko wyłącznie dzięki sączoneму piwu.

Tkwiliśmy w zatłoczonej, oślepiąco oświetlonej restauracji, w której wszyscy mówili naraz i bardzo głośno. Lisa smarowała chleb masłem i opowiadała szybko i lekko o swojej wielkiej wycieczce, o wiejskim domu na plantacji, do którego weszła sama, oraz o wynajęciu samochodu i samotnej jeździe do parafii Świętego Jacka; nie wiedziała, czy zdoła to zrobić.

Chciała tylko obejrzeć stary, zrujnowany dom, a ponieważ nie miała z kim jechać, więc pojechała sama. Mówiła o poczuciu bezsilności, które zawsze jej towarzyszyło, nawet w Kalifornii, gdzie dorastała... po prostu nie potrafiła zrobić niczego bez obecności innych. No a w Nowym Orleanie, w tym jednym jedynym mieście jakoś tego problemu nie miała. Tu wreszcie nauczyła się samodzielności.

Zastanowiłem się, czy przypadkiem hałas panujący w restauracji nie pomaga nam obojgu. Lisa była ożywiona, jej szyja i ręce prezentowały się nadzwyczaj wdzięcznie, sukienka zaś w blasku świateł wspaniale się mieniła w jednych miejscach, inne natomiast kryły się w cieniu.

Później przyniesiono nam krewetki z rusztu, które okazały się absolutnie fantastyczne i Lisa natychmiast się do nich zabrała.

Nie sądzę, żebym potrafił pokochać kobietę, która nie lubi krewetek z rusztu. Przede wszystkim wbrew nazwie dania wcale nie przyrządza się na ruszcie — stos krewetek wraz z głowami zwyczajnie piecze się w piekarniku razem z marynatą w głębokim półmisku. Kelner przynosi je na stół i gość palcami odrywa głowy, obiera krewetki i zjada. Ta potrawa przekształca każdego w smakosza, nawet w łakomczucha i barbarzyńcę. Do krewetek pasuje białe lub czerwone wino, szczególnie że potrawa jest bardzo ostra, ale najlepiej smakuje z piwem. W tej kwestii Lisa zgodziła się ze mną, więc wypiliśmy jeszcze po trzy małe heinekeny. Zanurzaliśmy pieczywo francuskie w marynacie i jedliśmy tak długo, aż wszystkie krewetki zniknęły z półmiska. Miałem ochotę na kolejną porcję.

— Jestem naprawdę głodny — jęknąłem. — Od dnia uwięzienia nie dostałem niczego poza pomyjami. Widziałem, co jadają członkowie Klubu. Dlaczego niewolników nakarmicie odpadkami?

Głośno się roześmiała.

— Aby wasz umysł pozostał skupiony na seksie — odparła. — Seks ma być waszą jedyną przyjemnością. Nie chcemy, abyście oczekiwali na obiad, skoro macie się kochać z nowym członkiem Klubu w Bungalowie Numer Jeden. I nie nazywaj Edenu więzieniem. To przecież miało być niebo.

— Albo piekło — odparłem ze śmiechem. — Zawsze się zastanawiałem, jak my, wysłani do nieba masochiści wyjaśnimy aniołom, że od subtelnych spotkań z nimi wolimy raczej dręczenie ze strony parki diabłów... wiesz, chodzi mi o to, że niebo bez diabłów jest dla nas właściwie piekłem.

Ta teoria naprawdę ją rozbawiła. Kolejna świetna rzecz po seksie i jedzeniu to doprowadzenie kobiety do śmiechu.

Zamówiłem kolejny talerz krewetek. Jedliśmy oboje. Do tej pory w restauracji się przeredziło. Do zamknięcia „Manale” zostało niewiele czasu. Opowiadałem o fotografowaniu Nowego Orleanu, o szczegółach techniki i właściwych sposobach uwieczniania na zdjęciach takiego miasta, potem Lisa spytała mnie, jak zostałem fotoreporterem, skoro miałem doktorat z filologii angielskiej, i co anglistyka ma wspólnego z fotografią.

— Nic — odrzekłem. — Po prostu uczyłem się tak długo, jak mogłem, zdobywałem wykształcenie dżentelmena, przeczytałem po trzy razy wszystkie największe dzieła literackie. A zdjęcia zawsze lubiłem robić i byłem w tym dobry.

Przed wyjściem zamówiliśmy po filiżance kawy, po czym znaleźliśmy się przed lokalem i ruszyliśmy aleją Napoleona do Świętego Karola. Była niemal idealna nowoorleańska noc, niezbyt gorąca, bezwietrzna; powietrze prawie zapraszało do oddychania.

Powtórzyłem, że nie ma lepszego miasta na spacer. Kiedy próbujesz chodzić po Port au Prince, wpadasz w błoto, chodniki są tam beznadziejne, dzieciaki cię dręczą, musisz zapłacić jednemu z nich, by pozostałe dały ci spokój. W Kairze masz piasek we włosach i w oczach. W Nowym Jorku jest zwykle zbyt gorąco lub zbyt zimno, a poza możesz stać się ofiarą napadu. W Rzymie na każdym skrzyżowaniu o mało nie wpadasz pod koła. San Francisco jest zbyt pagórkowate do chodzenia — wszędzie poza Market Street. Płaska część Berkeley jest zbyt brzydka, Londyn za zimny, a Paryż zawsze uważałem (wbrew opinii wszystkich) za miejsce niegościnne, szare, betonowe i przeludnione. Ale Nowy Orlean, o tak. Chodniki są tu ciepłe, powietrze wręcz jedwabiste, wszędzie wokół duże, sensne drzewa o gałęziach zwisających z tak idealnej wysokości, że można pod nimi przechodzić i człowiek czuje się niemal oczekiwany przez nie.

W dodatku na alei Świętego Karola stoją same piękne domy.

— A co z Wenecją? — spytała Lisa. — Czym można przebić spacer po Wenecji? — Objęła mnie ramieniem i przytuliła się do mnie. Obróciłem się i ją pocałowałem ją, a ona mi szepnęła, że być może za kilka dni polecimy do Wenecji, nie warto jednak myśleć o tym teraz, gdy jesteśmy w Nowym Orleanie.

— Mówisz poważnie? — zapytałem. — Możemy tu zostać tak długo? — Znów ją pocałowałem i również objąłem.

— Wrócimy, kiedy powiem, że wracamy, chyba że ty wolisz podjąć tę decyzję.

Przycisnąłem dłoń do jej policzków i pocałowałem ją po raz kolejny. Uważałem, że taki gest wystarczy za odpowiedź, i podnieciła mnie sama myśl o tym, kim jesteśmy i skąd przybyliśmy. Nie chciałem być w żadnym miejscu na ziemi, jeśli miało przy mnie nie być Lisy. Jeśli jednak mogłem wybierać, najbardziej pragnąłem być z nią tutaj.

Ciągle szliśmy, Lisa mnie ciągnęła, prawą rękę położyła mi na piersi, nieznacznie oparła się o mnie całym ciałem. Byliśmy już na alei Świętego Karola, właśnie minął nas tramwaj z rozświetlonym ciągiem pustych okien. Wypukły dach tramwaju był mokry i przypomniałem sobie, że padało. W centrum prawdopodobnie nadal padało. No i co z tego? Deszcz stanowił integralną część tego miasta i nie przeszkadzał w spacerach.

— No dobrze, więc zacząłeś fotografować ludzi, twarze w San Francisco — stwierdziła — ale jak zacząłeś współpracować z „Time-Life’em”?

Odparłem, że nie było to takie trudne, jak sobie wyobrażała, że jeśli masz dobre oko, możesz się nauczyć fotografii bardzo szybko, a ja miałem dodatkowy atut, ponieważ nie potrzebowałem pieniędzy. Przez dwa lata zajmowałem się sprawami lokalnymi, pstrykałem koncerty rockowe, nawet niektóre gwiazdy filmowe i pisarzy dla „People”, naprawdę nudne zajęcie, lecz uczyłem się rzemiosła, zaznajamiałem z markami aparatów i mnóstwo czasu spędzałem na wywoływaniu własnych zdjęć w ciemni. Gdy się pracuje dla dużych czasopism, nie wywołuje się samemu zdjęć, lecz wysyła film. Oglądają, wybierają niektóre fotki, resztę możesz sprzedać komuś innemu. Taki układ mniej mnie interesował.

Jeszcze zanim dotarliśmy do Louisiana Avenue, skłoniłem Lisę do podjęcia jej opowieści, i zaczęła mi mówić rzeczy dziwne i dość niepokojące. Twierdziła, że właściwie nie miała życia poza Klubem, że wcześniej cztery lata studiowała w Berkeley. Czas ten spędziła jak we śnie, gdyż głównie — po kryjomu — pracowała w San Francisco w klubie Martina dla sadomasochistów.

Uniwersytet traktowała podobnie jak ja. Oboje szukaliśmy tam przede wszystkim odosobnionych miejsc do czytania książek.

Rozśmieszył mnie i zakłopotał fakt, że Lisa знаła Dom w San Francisco, gdzie poznałem w praktyce sadomasochizm, i że dobrze znała Martina. Nie tylko go znała, lecz z nim pracowała i przyjaźniła się. Widziała pokoje w Domu i przez chwilę o nich rozmawialiśmy, ale ciągle zadawałem jej pytania osobiste: gdzie mieszkała w Berkeley i jak jej rodzina tam trafiła. O Martinie Lisa mówiła z szacunkiem.

— Nie byłem dobra w normalnym życiu — bąknęła. — A jako dziecko byłem naprawdę beznadziejna.

— Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś coś takiego powiedział. — Śmiałem się, ściskając ją i całując.

— Nie mogłam zrozumieć, czym ma być dzieciństwo. Już jako bardzo mała dziewczynka miałam mroczne, niesamowite seksualne odczucia. Chciałam być dotykana i wymyślałam rozmaite fantazje. Prawdę mówiąc, uważałam, że dzieciństwo to jakieś głupie bzdury.

— Nawet w Berkeley z całym jego liberalizmem, wolnością słowa i przesadnym intelektualizowaniem wszystkiego?

— Nie postrzegałam tak uniwersytetu — odparła. — Dopiero w Domu Martina poczułam się intelektualnie wolna. — Szła obok mnie, swobodnie i z gracją stawiając kroki. Było nam dobrze i wesoło, gdy schodziliśmy aleją pod koronkowymi cieniami liści oświetlonych ulicznymi lampami, obok dużych białych frontowych ganków, małych żelaznych ogrodzeń, ogrodowych furtek.

Ojciec Lisy był irlandzkim katolikiem starego typu. Ukończył szkołę w St. Louis i nauczał w jezuickim college'u w San Francisco. Jej matka z kolei należała do kobiet staroświeckich, toteż zajmowała się domem do czasu, aż cała czwórka jej dzieci dorośnie, a później zaczęła pracować w bibliotece publicznej w centrum. Przeprowadzili się na wzgórze Berkeley, kiedy Lisa była małą dziewczynką, ponieważ lubili gorąco panujące przy wschodniej zatoce, wzgórze zaś uważali za piękne. Chociaż nienawidzili pozostałej części Berkeley.

Znałem jej ulicę, a nawet jej dom: duży rozpadający się brązowy budynek kryty gontem na Mariposa Avenue; gdy przejeżdżałem, wielokrotnie widywałem światła w bibliotece umieszczonej w garażu.

Właśnie w niej ojciec Lisy zawsze czytał dzieła Teilharda de Chardin, Maritaina, G.K. Chestertona i wszystkich innych filozofów katolickich. Wolał czytać, niż rozmawiać z ludźmi, a o jego nieuprzejmości i chłodzie krążyły w rodzinie legendy. Jeśli chodzi o seks, wyznawał — jak Lisa to ujęła — zasady świętego Augustyna i świętego Pawła. Za ideał uważał niewinność. Nie mógł jej jednak praktykować — musiałby zostać księdzem. Gdy obedrze się seks z całego piękna, pozostaje sprośność. Jego zdaniem homoseksualiści powinni zachowywać wstrzemięźliwość, a ich pocałunki nazywał śmiertelnym grzechem.

Matka Lisy nigdy nie sprzeciwiała się mężowi. Działała we wszystkich możliwych organizacjach kościelnych, zajmowała się kwestą, gotowała wielkie obiady co niedziela, niezależnie od tego, czy dzieci były w domu. Młodsza siostra Lisy o mało nie została dziewczyną miesiąca w „Playboyu” i to była rodzinna tragedia. Ojciec Lisy oświadczył, że jeśli któraś z jego córek podda się aborcji lub w jakimś czasopiśmie pojawi się jej nagie zdjęcie, nigdy się już do niej nie odezwie.

Ojciec nie miał pojęcia o Klubie. Myślał, że Lisa pracuje w prywatnym uzdrowisku dla bogaczy gdzieś na Karaibach, gdzie leczono liczne choroby. Oboje śmialiśmy się z tego. Ojciec chciał, aby Lisa zrezygnowała z pracy i wróciła do domu. Jej starsza siostra poślubiła nudnego milionera, szychę handlu nieruchomości. Jej rodzeństwo chodziło do katolickich szkół — z wyjątkiem Lisy, która postawiła ultimatum: albo pójdzie na Uniwersytetu Kalifornijski, albo w ogóle nie skończy college'u. Ojciec wyszydzał książki, które czytała, i

teksty, które pisała. Sadomasochizm poznała jako szesnastolatka — dzięki studentowi z Berkeley. Pierwszy orgazm miała w wieku ośmiu lat i uważała się za dziwoląga.

— Przypominaliśmy katolików z dziewiętnastowiecznej Francji — zauważyła. — Byliśmy „wewnętrznymi imigrantami”. Jeśli myślisz o pobożnych katolikach jako o ludziach prostych i głupich, wiesz, chłopach stojących z tyłu w ogromnych miejskich katedrach, odmawiających różańce przed posągami, w takim razie zupełnie nie znasz mojego taty. Wszystko, co mówi, ma w sobie budzący grozę intelektualny ciężar, wrodzony purytanizm, tęsknotę za śmiercią. — Ale był też wspaniałym człowiekiem, kochał sztukę i starał się uczyć córki rozumienia malarstwa i muzyki. Mieli w salonie fortepian, a na ścianach oryginalne obrazy, szkice Picassa i Chagalla. Wiele lat temu ojciec Lisy kupił obrazy Mirandiego i Mira. Jeździli każdego lata do Europy, odkąd młodsza siostra Lisy skończyła sześć lat. Przez rok mieszkali w Rzymie. Ojciec tak dobrze znał łacinę, że pisał w tym języku pamiętniki. Gdyby dowiedział się o Klubie lub sekretnym życiu Lisy, wiadomość ta by go zabiła. Lisa nawet nie chciała brać pod uwagę, że mógłby się dowiedzieć. — Jedną rzecz mogę powiedzieć w jego obronie. Może to zrozumiesz, jeśli ktoś w ogóle jest to w stanie zrozumieć. Mój ojciec jest człowiekiem natchnionym, naprawdę natchnionym. Nie spotkałam zbyt wiele osób, które żyją zgodnie ze swoimi przekonaniem. Najzabawniejsze jest, że mam to po nim, że również żyję zgodnie z własnymi przekonaniem, według tego, w co całkowicie wierzę. Klub stanowi czystą ekspresję moich przekonań. Mam swoją... hmm... filozofię seksu. Czasami żałuję, że nie mogę jej z ojcem omówić. Niektóre ciotki i siostry ojca są zakonnice. Mamy w rodzinie trapistkę i karmelitankę, obie mieszkają w klasztorach. Chciałabym ojcu powiedzieć, że w pewnym sensie również jestem zakonnicą, ponieważ przepelnia mnie swego rodzaju wiara. Na pewno pojmujesz, o czym mówię. Ktoś może się śmiać, lecz sądzę, że gdy Hamlet powiedział Ofelii: „Idź do klasztoru”, w gruncie rzeczy miał na myśli burdel, nie klasztor.

Kiwnąłem głową, choć nieco mnie zaskoczyła.

Jednak równocześnie jej historia mnie przestraszyła i musiałem natychmiast Lisę mocno przytulić. Wyglądała ślicznie, taka ożywiona i skupiona, poruszała mnie też naturalność i uczciwość, które były z jej twarzy. Podobały mi się szczegóły, które mi opisywała, jej Pierwsza Komunia, słuchanie oper wraz z ojcem w ich bibliotece, a także potajemne wyjazdy do Martina, do San Francisco, bo tylko tam czuła, że naprawdę żyje.

Moglibyśmy tak gawędzić bez końca. Lisa w pośpiechu wzmiankowała przynajmniej szesnaście faktów, o których chciałbym usłyszeć coś więcej. Potrzebowaliśmy roku, by się poznać. Dopiero przebijaliśmy się przez pierwszą warstwę.

Teraz przyszła kolej na opowieść o moim ojcu, który był ateistą i wyznawał totalną wolność seksualną. Byłem jeszcze nastolatkiem, kiedy zabrał mnie do Las Vegas na inicjację, a moją matkę doprowadzał do szału, gdyż ciągał ją ze sobą na plażę nudystów, i ostatecznie wystąpiła o rozwód, powodując małą katastrofę rodzinną, z której żadne z nas do dziś się nie otrząsnęło. Matka uczyła gry na pianinie w Los Angeles i pracowała jako akompaniatorka nauczyciela śpiewu. Co miesiąc walczyła z ojcem o marne pięćset dolarów należnych jej alimentów, ponieważ mało zarabiała. A mój ojciec był bogaty. Nam, swoim dzieciom, dawał sporo pieniędzy, więc również jesteśmy majętni. Natomiast moja matka nie miała nic.

Wściekałem się, opowiadając o nim Lisie, i musiałem przerwać. Dałem matce czek na sto tysięcy, zanim odpłynąłem do Klubu. Kupiłem jej też dom w Kalifornii. Matka przyjaźniła się z homoseksualistami — mężczyznami, których nie mogłem znieść. Z typkami przywodzącymi na myśl fryzjerów. Była nadal całkiem ładną kobietą o eterycznej urodzie, lecz nie wierzyła w siebie.

Ojciec znienawidził matkę za jej odejście i chciał ją ukarać. Nie zwrócił jej niczego, co zostawiła w domu. Był znanym w północnej Kalifornii ekologiem i działał w ruchu ochrony przyrody. Kiedyś przywiązał się do pnia jednej ze skazanych na wycięcie sekwoi. Posiadał restaurację w Sausalito, kilka hoteli w Mendocino i miasteczku Elk, wiele akrów ziemi w

hrabstwie Marin. Przez całe życie walczył o rozbrojenie atomowe, posiadał chyba największe na świecie zbiory pornograficzne, A jednak sadomasochizm uważał za chorobę.

Znów zaczęliśmy się śmiać.

W jego mniemaniu była to wstrętna, wypaczona, dziecinna i niszcząca dewiacja, więc wygłaszał mowy o powiązaniu Erosa z Tanatosem, o prześladowającym jakoby masochistów pragnieniu śmierci, a kiedy wspomniałem mu o Klubie — choć powiedziałem, że znajduje się na Środkowym Wschodzie (Lisa długo się z tego śmiała) — odgrażał się, że zamknie mnie w szpitalu psychiatrycznym w Napie. Na szczęście nie zdążył.

Tuż przed moim rejsem do Klubu ojciec ożenił się z dwudziestojednolatka; była kompletną idiotką.

— Po co mu w ogóle mówiłeś o Klubie?! — Lisa nie mogła się powstrzymać od śmiechu. — Zdradziłeś mi szczegóły? Opowiedziałeś, co robiłeś?

— A dlaczego nie? To przecież on stał pod drzwiami pokoju hotelowego w Las Vegas, gdy traciłem dziewictwo z dziwką. Jeśli chcesz wiedzieć, mówię mu wszystko.

Nadal się śmiała.

— Zastanawiam się, jacy bylibyśmy... ty i ja — oświadczyła w końcu poważniejszym tonem — gdyby nasi ojcowie opuścili nas w dzieciństwie.

* * *

Dotarliśmy do alei Waszyngtona, przecięliśmy Pyrthania Street, by sprawdzić, czy bar w Commander's Palace jest otwarty. Był otwarty, toteż wypiliśmy jeszcze po piwie, stale rozmawiając o naszych rodzicach i o tym, co mówili nam o seksie i o dziesiątkach innych rzeczy, które z erotyką nie miały nic wspólnego. Mieliśmy tych samych nauczycieli w Berkeley, przeczytaliśmy te same książki, widzieliśmy te same filmy.

Lisa nie miała pojęcia, co mogłaby robić, gdyby nie pracowała w Klubie. Kwestia ta nieco ją zaniepokoiła. Może zostałaby pisarką, choć było to tylko marzenie. Szczególnie że nigdy nie stworzyła niczego poza scenariuszami do sadomasochistycznych zabaw.

Rozbawiła mnie, mówiąc o swoich ulubionych dziełach literackich. Musiałem ją lubić i kochać za te książki. Z jednej strony lubiła opowieści o mocnych facetach w typie Hemingwayowskiego *Słońce też wschodzi*, *Przekłety Brooklyn* Huberta Selby'ego czy *Nocne miasto* Johna Rechy'ego. Z drugiej strony jednakże uwielbiała *Serce to samotny myśliwy* Carson McCullers i *Tramwaj zwany pożądaniem* Tennessee Williamsa.

— Innymi słowy — podsumowałem — powieści i dramaty o seksualnych banitach, ludziach zagubionych...

Skinęła głową, dodała wszakże, że chodziło jej o coś więcej — o moc i styl. Gdy czuła się źle, brała do ręki *Przekłety Brooklyn* i czytała szeptem historię TraLaLi albo rozdział „Królowa nie żyje”. Niektóre ustępy utworu знаła niemal na pamięć. Nazywała je poezją ciemności i po prostu je kochała.

— Powiem ci — ciągnęła — dlaczego czułam się jak dziwoląg przez większą część mojego życia, i nie chodzi o orgazm, którego doświadczyłam jako ośmiolatka, ani o fakt, że ukradkiem i pełna wstydu podsłuchiwałam opowieści innych dzieci o spuszczanym im laniu. Nawet nie dlatego, że wyprawiałam się do San Francisco, by dać się biczować w oświetlonym świecami pokoju. Po prostu nikt nigdy nie był mnie w stanie przekonać, że w seksie cokolwiek jest niewłaściwe, o ile wszystkie zainteresowane osoby się na to zgadzają. Nie trafiają do mnie żadne argumenty zaprzeczające tej kwestii. Dosłownie nic mnie nie brzydzi. Wszystko wydaje mi się czyste i piękne, szczególnie gdy daje głębokie doznania, toteż kiedy ludzie twierdzą, że coś ich mierzi czy obraża, naprawdę nie rozumiem, o co im chodzi. Nie wiem i już!

Byłem nią oczarowany. W światłach baru wyglądała egzotycznie, gdyż część twarzy miała osobiście zacienioną. Mówiła głosem cichym i naturalnym, słuchało mi się jej tak lekko, jakbym pił źródlaną wodę.

Powiedziała, że zanim opuścimy Nowy Orlean, musimy pójść obejrzyć występy transseksualistów w spelunkach na Bourbon Street, naprawdę fajnych facetów, przyjmujących zastrzyki hormonalne, dzięki którym staną się kobietami. Uwielbiała takie pokazy.

— Chyba żartujesz — odparłem. — Nie zamierzam uczestniczyć w takim cyrku.

— O czym ty mówisz? — spytała. Widziałem, że się wścieka. — Ci ludzie ukazują swoją seksualną inność i odgrywają własne fantazje. Zgadzą się pozostać dziwolągami.

— Moim zdaniem tylko się popisują przed turystami. Jak daleko potrafisz odejść od elegancji Klubu?

— Bez różnicy — odparła. — Elegancja jest tylko formą kontroli. Lubię te spelunki. Czuję się tam czasem jak mężczyzna udający kobietę. No i lubię ich oglądać. — Jej sposób zachowania zmienił się, gdy to powiedziała, i znowu zaczęła trochę drzeć, więc oświadczyłem:

— Dobrze, oczywiście, skoro chcesz to obejrzyć. Jestem zmieszany — dodałem po chwili. Chyba zaczynałem już nieco bełkotać. W barze wypłem kolejne dwa heinekeny. — To ty piszesz scenariusz. Nie możesz mi jednak wprost powiedzieć, dokąd idziemy?

— Właśnie to zrobiłam, a ty powiedziałeś, że żartuję. Poza tym nie mam ochoty niczego ci narzucać i nie piszę żadnego scenariusza!

— Wyjdźmy stąd — zaproponowałem.

Wyszliśmy, lecz przez dwadzieścia minut staliśmy przy bramie cmentarza Lafayette po drugiej stronie ulicy i spieraliśmy się, czy powinniśmy wspiać się na mur, przeskoczyć go i pokręcić się między grobami. Bardzo mi się podobają grobowce z greckimi frontonami, kolumnkami, uszkodzonymi drzwiami i zaniedbanym wnętrzem. Miałem ochotę wspiać się na bramę frontową i zeskoczyć. Tu jednak mógłby nas zobaczyć policjant i aresztować.

W końcu zdecydowaliśmy, że — zamiast tego — lepiej pochodzimy po Garden District.

Kręciliśmy się zatem po uliczkach — od alei Świętego Karola do Magazine Street. Tu i tam przyglądaliśmy się jakiemuś szczególnemu przedwojennemu budynkowi, białym kolumnom połyskującym w świetle księżyca, ogrodzeniom z kutego żelaza, starym dębom o pniach tak grubych, że nie mógłbym ich objąć.

Nie ma chyba na całym świecie dzielnicy podobnej do tej, takich ulic z gigantycznymi sennymi domami, tymi relikdami przeszłości, wymuskanymi i prezentującymi się pogodnie w nieskazitelnych ogrodach. Gdzieś tam słyszałem brzęczenie automatycznego spryskiwacza i dostrzegałem wśród gęstej, liściastej ciemności słabe migotanie rozpylonej cieczy. Nawet chodniki są tu piękne: długie odcinki ułożonych w jodełkę cegieł i sinej płyty chodnikowej, miejscami nieco wybrzuszone przez korzenie olbrzymich drzew.

Lisa miała tu swoje ulubione domy, domy, na które przychodziła popatrzeć, gdy mieszkała w nowoorleańskim apartamencie i nic nie robiła, tylko czytała i spacerowała. Poszliśmy je teraz zobaczyć. Dwa z tych domów miały na furtkach napis „Na sprzedaż”, a jeden z tych dwóch wyjątkowo nas oczarował — wysoki, wąski, klasycystyczny w stylu, z drzwiami po lewej stronie i parą oszklonych drzwi wychodzących na przedni ganek. Dom otynkowano na intensywny różowy kolor z białym szlaczkiem, ale teraz farba łuszczyła się lekko — wszędzie z wyjątkiem miejsc porośniętych winoroślą. Dom zdobiły korynckie kolumny, długie frontowe schody i sznur starych drzewek magnolii posadzonych wzdłuż ogrodu. Z boku, za ceglana ścianą ciągnął się ogród.

Długo staliśmy oparci o bramę. Całowaliśmy się. Milczeliśmy do momentu, aż oznajmiłem, że powinniśmy kupić ten dom. Żylibyśmy w nim szczęśliwie, od czasu do czasu podróżując po całym świecie, lecz zawsze do niego wracając. Dom był spory, więc można by

w nim organizować dzikie przyjęcia, zapraszać gości, urządzić ciemnię i serwować przy stole obiad dla wszystkich członków obu naszych kalifornijskich rodzin.

— I kiedy się znudzimy Nowym Orleanem — mówiłem — polecimy na kilka tygodni do Nowego Jorku albo do Klubu. — Popatrzyła na mnie zniewalająco w półmroku, posłała mi uśmiech i otoczyła ramionami moją szyję. — Pamiętaj, że to jest nasz dom — dodałem. — Oczywiście nie możemy w nim zamieszkać jeszcze przez dwa lata, czyli do końca mojego kontraktu w Klubie. Jednak już teraz możemy wpłacić zaliczkę.

— Nie przypominasz nikogo z ludzi, jakich kiedykolwiek znałam — zauważyła.

Znowu ruszyliśmy. Co kilka kroków opieraliśmy się o drzewo i całowaliśmy bez pośpiechu w delikatny, rozmarzony, pijacki sposób. Beznadziejnie rozczochrałem jej włosy i zlizalem już całą szminkę z ust. Nagle, zanim Lisa zdążyła mnie zatrzymać, włożyłem jej rękę pod sukienkę i przesunąłem palcami po bawełnianych majtkach, mokrych i gorących. Zapagnąłem się z nią kochać tam, gdzie staliśmy.

Ostatecznie zdołaliśmy przejść Jackson Avenue i zawędrowaliśmy do hotelu Pontchartrain, gdzie nadal czynny był bar. Zamówiliśmy drinki, a kiedy wyszliśmy, otoczenie wydało nam się brzydkie i obskurne, więc wzięliśmy taksówkę i wróciliśmy do centrum. Byłem rozgorączkowany, cała noc wydawała mi się niezwykle doniosła, a ilekroć przemykała mi przez głowę ta myśl, brałem Lisę w ramiona i znów ją całowałem.

* * *

Te straszne speluny na Bourbon Street były już zamknięte. I dzięki Bogu.

* * *

Zrobiła się trzecia rano i weszliśmy do jakiegoś przyjemnego lokaliku, oświetlonego kilkoma lampami gazowymi i zastawionego kwadratowymi, drewnianymi stołami. Tu doszło do naszej pierwszej kłótni. Czulem, że jestem pijany, i powinienem być siedzieć cicho. Rozmawialiśmy o filmie Louisa Malle'a zatytułowanym *Ślicznotka*, opowieści o starej nowoorleańskiej dzielnicy domów publicznych, Storyville. Nienawidziłem tego filmu, Lisa zaś uważała go za arcydzieło. Grali w nim Brooke Shields jako małaletnia prostytutka, Susan Sarandon jako jej matka i Keith Carradine jako fotograf Belloc. Określiłem film mianem szmiry.

— Nie nazywaj mnie idiotką, tylko dlatego, że podoba mi się film, którego nie rozumiesz — wybuchnęła Lisa, a ja dukałem, że wcale nie uważam jej za idiotkę. Przypomniała mi, że stwierdziłem, iż każdy, kto lubi kicz, jest idiotą. Czyżbym rzeczywiście kiedyś tak powiedział?

Zamówiłem szkocką z wodą i wydało mi się, że wygłaszam wspaniały wykład. W moim mniemaniu był to film wydumany i nie zawierał w sobie dość treści, lecz Lisa mi przerwała, twierdząc, że dzieło Malle'a opowiada o seksualnych wygnańcach, czyli o prostytutkach, o ich życiu, miłości i codziennych przeżyciach.

Powiedziała, że *Ślicznotka* to dzieło o kwiatach kwitnących w szczelinach i o chęci życia, której nikt nie może człowiekowi pozbawić. Zacząłem rozumieć, że odbierała film bardzo emocjonalnie. Wiedziała, co czuł fotograf Belloc zakochany w kilkunastoletniej prostytutce (czyli postać grana przez Keitha Carradine'a w postaci granej przez Brooke Shields) i na końcu, opuszczony przez wszystkich. Opisała mi też najlepszą jej zdaniem scenę: gdy dziwka grana przez Susan Sarandon opiekuje się dzieckiem w kuchni domu publicznego.

Tłumaczyła, że nie można się człowiekowi kazać zamknąć i umrzeć tylko dlatego, że ma on inne zainteresowania seksualne, tylko dlatego, że jest seksualnym banitą. W tym momencie zaczęła mówić o Edenie, do którego przyjeżdżają osoby „inne”, lecz muszą być

bogate, by trafić do Klubu i móc urzeczywistniać swoje fantazje. Tworząc Eden, pragnęła, aby choć niektórzy ludzie mogli przyjeżdżać na wyspę i czuć się szczęśliwi.

Niewolnicy nie musieli być majętni, lecz — bez wątpienia — piękni, a jeśli nie byli dość atrakcyjni, mogli się najać jako trenerzy lub treserzy. Wystarczyło snuć fantazje i wierzyć w idee, na których opierał się Klub. Dodała, że w Edenie działo się znacznie więcej, niż sądzili ci, którzy widzieli tylko bogatych, wesołych letników siedzących przy stolikach lub kąpiących się w basenie. Ponieważ wielu członków w prywatności swoich pokoiów przyznawało się do swojego masochizmu — pragnęli dominacji niewolników i kar z ich ręki. Dlatego też niewolników szkolono, jak — na żądanie pana czy pani — zagrać rolę „dominanta”. Najważniejsza była wolność i swoboda. Gdy Lisa mówiła, jej oczy pociemniały, twarz spoważniała. Przemawiała szybko, niemal trajkotała, ale zaczęła krzyczeć, kiedy powiedziałem:

— Dobrze, cholera, bo to właśnie robię w Klubie, odkrywam moje fantazje i czuję się doskonale. Co jednak Klub ma wspólnego z dziwkami ze *Ślicznotki*. One tam odgrywały nie swoje fantazje, ale cudze.

— Ale to było ich życie. Film ukazywał ich codzienność, a one stale miały nadzieję i marzyły. Fotograf Belloc uważał je za istoty wolne i dlatego go do nich ciągnęło.

— Jeśli tak sądził, był głupcem. Postać grana przez Susan Sarandon chciała normalnie wyjść za mąż i wyrwać się z burdelu, a *Ślicznotka* była tylko dzieckiem...

— Nie mów mi, że jestem głupia. Dlaczego, do cholery, faceci dyskutujący z kobietami ciągle wyzywają je od głupich?

— Nie powiedziałem, że ty jesteś głupia, lecz fotograf Belloc.

Niespodziewanie pochylił się ku mnie barman i oświadczył mi, że powinniśmy już iść. Wprawdzie bar działał całą dobę, jednak zwykle między czwartą i piątą sprząтали. Może przeszli — byśmy za róg, do Michaela?

U Michaela było paskudnie. Brzydka podłoga, zero obrazów czy lamp gazowych. Zwyczajna prostokątna sala zastawiona drewnianymi stolikami. No i nie mieli tam johnny'ego walkera z czarną etykietką. Lisa właściwie nie krzyczała, po prostu powiedziała głośno:

— Mylisz się!

U Michaela zdarzyło się coś interesującego. Ludzie, którzy wchodzili, wyglądali na dopiero co obudzonych. Chyba nie hulali przez całą noc, tak jak my. Ale jacy ludzie wstają o piątej rano i w kompletnych ciemnościach idą do obskurnego baru na drinka? Dwóch nieprawdopodobnie wysokich transwestytów w damskich perukach i z mocnym makijażem gawędziło ze szczupłym młodzieńcem, który prawdopodobnie wypalił w dotychczasowym życiu tyle papierosów i wypił tyle alkoholu, że wyglądał jak stulatek. Twarz wymizerowana, policzki zapadnięte, oczy straszliwie nabiegłe krwią. Żałowałem, że nie mam przy sobie aparatu. Jeśli polecimy do Wenecji, na pewno kupię.

Każdy wchodzący znał wszystkich pozostałych. Nikomu jednak nie przeszkadzaliśmy.

— Co miałaś na myśli, mówiąc, że nie piszesz żadnego scenariusza?! — warknąłem nagle. — Kiedy zamierzasz mi powiedzieć, co dalej robimy? Chcesz mi wmówić, że każdy może sobie odlecieć z Klubu, a potem wrócić? Wiem, że niewolnik to tylko niewolnik, ale możecie sobie tak ich gdzieś zabierać, a potem odstawiać? Jak wyglądają reguły? Może sobie stąd prysnę... Co ty na to? Mam tu wszystkie swoje bagaże...

— Chcesz to zrobić? — Potarła grzbiety dłoni. Wyglądała przepięknie, trochę jak Włoszka: niesamowicie zmierzwiłone ciemne włosy, wielkie, większe niż kiedykolwiek oczy, mowa zaledwie troszeczkę bełkotliwa.

— Nie, nie chcę.

— Więc dlaczego to powiedziałaś?

Znów byliśmy na zewnątrz. Deszcz ustał, a ja nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy zaczął padać. Weszliśmy do „Café Du Monde” nad rzeką, naprzeciwko Jackson Square, i usiedliśmy w jaskrawym białym świetle. Z Rue Decateur dobiegały do nas hałaśliwe odgłosy dostawczych ciężarówek.

*Café au lait** była wyborna — gorąca, słodka, wprost doskonała. Zjadłem też mnóstwo gorących, małych, posypanych cukrem *beignetów** i opowiedziałem Lisie chyba wszystko, co wiedziałem o aparatach fotograficznych, uwiecznianiu ludzkich twarzy i skłanianiu ludzi do współpracy.

— Wiesz, mógłbym tu zostać na zawsze — dodałem. — Nowy Orlean nie jest może idealny, lecz jest prawdziwy. A Kalifornia jest taka sztuczna. Uważałaś kiedykolwiek, że Kalifornia jest prawdziwa?

— Nie — odparła.

Miałem ochotę napić się jeszcze szkockiej albo wypić parę puszek piwa. Wstałem, usiadłem po drugiej stronie stołu, obok Lisy, przysunąłem krzesło, po czym objąłem ją i pocałowałem. W następnej chwili podniosłem ją wraz z krzesłem i wyniosłem na ulicę. Znaleźliśmy się na narożniku i uświadomiliśmy sobie, że żadne z nas nie wie, gdzie znajduje się nasz hotel.

Kiedy dotarliśmy do pokoju, odkryliśmy, że dzwoni telefon. Lisa odebrała i natychmiast się wściekła.

— Obdzwoniłaś wszystkie pieprzone hotele w cholernym Nowym Orleanie, żeby mnie znaleźć? — darła się w słuchawkę. — I dzwoniś do mnie o przeklętej szóstej rano! — Chodziła boso po pokoju w telefonem w rękach. — Co zamierzacie zrobić, aresztować mnie?! — Rzuciła słuchawkę na widełki, potem zdarła z drzwi pokoju spisane i przypięte tam przez recepcjonistę wiadomości telefoniczne i wszystkie zniszczyła.

— To oni, prawda? — spytałem ją. Podniosła dłonie, potarła sobie skronie i jęknęła. Obawiałem się, że się rozplacze. — O co się tak denerwują? — zapytałem.

Oparła się o moje ramię i zaczęła śpiewać bardzo cicho *I Can 't Give You Anything But Love Baby*. Przez długi czas tuliliśmy się do siebie i w miejscu kiwaliśmy w takt piosenki.

Zaczęło świtać, a ja wygłosiłem mowę.

Ogród był mokry bujny i pachnący. Otworzyliśmy wszystkie okna naszego małego domku, Lisa usiadła na wysokim łóżku z baldachimem w swojej halce z białej bawełny. Czułem silny, niezwykle zapach kwiatów. W Kalifornii kwiaty nigdy nie pachną tak jak w Luizjanie. Odurzały mnie różowe oleandry, jaśminy i opadające płatki dzikich róż. Nazywałem Lisę „ślicznotką”, mówiłem jej, że ją kocham, i omawiałem w długich, zawitych punktach, czym dla mnie jest miłość i w czym to uczucie różni się od wszystkich, które mi się przytrafiły do tej pory. Wspomniałem o Klubie i dodałem, że Lisa wie o mnie i o moich tajnych pragnieniach tyle, ile nigdy nie wiedziała o mnie żadna kobieta. Powtarzałem w kółko, że ją kocham. I kochałem ją.

Kochałem ją taką, jaka była, tę szczupłą, ciemnowłosą, ciemnooką, uczuciową osobkę, która z taką pasją wierzyła w to, co robi, i nie stanowiła dla mnie tajemnicy... nie tak jak inne kobiety. Wiedziałem o niej mnóstwo, nawet rzeczy, o których mi nie powiedziała. Jak każdy człowiek, miała swoje najgłębsze sekrety, do których nikt nie miał dostępu, lecz ja się do nich dobrałem. Może i dobrze, że podobała jej się *Ślicznotka* Malle'a, gdyż zapewne wrażliwości na sztukę zawdzięczała cechującą ją swego rodzaju niewinność i przekorę.

Była strasznie wytrącona z równowagi. Ale nic mi nie mogło przeszkodzić. Równie dobrze mogła tkwić za szkłem. Byłem zbyt pijany, by jej odpuścić.

Zdjęła mi ubranie, po czym położyliśmy się na łóżku. Telefon znów się rozdzwonił. Wyciągnąłem rękę (o mało przy tym nie wypadłem z łóżka) i wyciągnąłem wtyczkę

* *Café au lait* (fr.) — kawa z mlekiem.

* *Beignet* (fr.) — mały, kwadratowy pączek.

telefoniczną ze ściany. Pieściliśmy się znów i powiedziałem Lisie, że może mnie zranić, naprawdę zranić, że się na to zgadzam, wręcz tego oczekuję. Że warto tak kogoś kochać.
— Jestem naprawdę pijany — wyjaśniłem. — I tak niczego nie będę pamiętał.

Rozdział 23

Szpiedzy i objawienia

A jednak zapamiętałem. Każde słowo.

O dziesiątej wyszedłem na śniadanie — sam, gdyż nie mogłem skłonić Lisy do wstania, w hotelu nie było restauracji, ja zaś byłem okropnie głodny.

Pocałowała mnie. Powiedziałem jej, że kawa parzy się w ekspresie przy łóżku, że idę do „Court of Two Sisters”. Jeśli się rozbudzi, może tam do mnie przyjść, w przeciwnym razie zjem coś i wrócę.

Poszedłem najpierw do kiosku po gazety i czasopisma, później do sklepu fotograficznego po aparat. Kupiłem Canon AE1 — prosty, solidny i nieszczególnie drogi, taki, który przed powrotem na wyspę bez żalu mógłbym podarować jakiemuś dziecku. Nie sposób wejść do Klubu z aparatem, w przeciwnym razie miałbym ich w walizce kilka.

Zanim dotarłem do restauracji „Court of Two Sisters” na Royal Street, wypstrykałem pełną rolkę filmu i czułem błęgiego, psychodelicznego kaca. Nie bolała mnie głowa, tylko byłem osobiście zamroczony, szczęśliwy i wszystko wokół wyglądało dla mnie wspaniale.

Miałem ochotę się znowu upić, lecz tego nie zrobiłem. Chwile z Lisa były zbyt nadzwyczajne. Dzisiejszy dzień również chciałem z nią spędzić, o ile podczas mojej nieobecności nie zaczęła się pakować...

Powiedziałem kelnerowi, że być może dołączy do mnie kobieta, więc ma jej wskazać mój stolik, jeśli wejdzie. Później pożarłem dwa jajka sadzone na grzance z szynką, dwa dodatkowe plastry pieczonej słodkiej szynki, wypilem trzy małe butelki piwa Miller, których kac nieodwołalnie i wyraźnie zażądał i które przyniosły mi ulgę. W końcu rozsiadłem się z dzbankiem kawy i przeglądałem najnowsze pisma: „Esquire’a”, „Playboya”, „Vanity Fair”, „Time’a” i „Newsweeka”.

Świat trwał naturalnie w tym samym bałaganie co przed moim wyjazdem, wszak nie minął jeszcze nawet tydzień, więc niewiele zdążyło się zmienić.

Pojawiły się co najmniej dwa nowe filmy, które chciałbym zobaczyć i żałowałem, że nie mogę się na nie wybrać. „Time” wykorzystał trzy zrobione przeze mnie zdjęcia w artykule na temat pisarzy gejowskich z San Francisco. Okej. Szwadrony śmierci nadal działały w Salwadorze, nie skończyła się wojna w Nikaragui, nasi komandosi ciągle przebywali w Bejrucie i tak dalej...

Odsunąłem czasopisma i tylko popijałem kawę. W otwartym ogrodzie lokalu „Court of Two Sisters” panował względny spokój i starałem się pomyśleć racjonalnie o ubiegłej nocy i wszystkim, co się zdarzyło. Nie mogłem. Potrafiłem jedynie czuć czysto irracjonalną miłość i szczęście. Trwałem w doskonałym samopoczuciu. Przyszło mi do głowy, że powinienem podnieść słuchawkę, wykręcić numer mojego ojca w Sonomie i powiedzieć: „Domyśl się, tato, co się stało. Znalazłem dziewczynę moich snów. Na pewno nie zgadniesz gdzie!” Ojciec nigdy się nie dowie, jakie to zabawne, jaki to doskonały dowcip.

Otrząsnąłem się i wróciłem do rzeczywistości.

Hmm... co nasz wyjazd znaczył dla Lisy? Czy po powrocie do Klubu wciśnie guzik na toaletce i powie do Daniela, który zjawi się natychmiast: „Zabierz go. Ja z nim skończyłam. Daj go któremuś z pozostałych trenerów”. Albo: „Poślę po niego za kilka tygodni”. Na pewno mogłaby to zrobić, gdyby chciała, i może tak właśnie postępowała z każdym niewolnikiem, którego zabierała na wycieczkę.

Może wypożyczała nas niczym książki z biblioteki, które zwraca się po przeczytaniu.

Nie, nie wolno myśleć, że Lisa może tak postąpić. I po co myśleć o tym teraz, gdy byliśmy tutaj i Lisa była moja? Przypomniałem sobie jej pytanie: „Po co myśleć o Wenecji, skoro jesteś w Nowym Orleanie?” A jednak nie mogłem się opędzić od tych wątpliwości i przypomniałem sobie ostatnie chwile przed zaśnięciem, gdy powiedziałem jej, że może mnie zranić. Poczulem wtedy ożywienie, radość oczekiwania... I byłem w świetnym nastroju.

Chciałem wrócić do Lisy.

Coś jeszcze mi jednakże przeszkadzało — mianowicie rozmowa telefoniczna, którą odbyła, i ton, jakim spytała: „Co zamierzacie zrobić, aresztować mnie?!” Byłem stuprocentowo pewien, że takich właśnie słów użyła. I cóż one niby miały znaczyć? Powtarzałem sobie, że była po prostu pijana i rozgniewana. A jednak... Cóż znaczyły te słowa?!

Istniała inna możliwość, niesamowita możliwość, że zabierając mnie z Klubu, Lisa postąpiła wbrew regułom i teraz tamci nas szukali.

Ale może wysuwałem zbyt daleko idące wnioski. Taka możliwość była zbyt naciągana, zbyt czysta i cudownie romantyczna. Ponieważ, jeśli Lisa tak postąpiła, hmm... nie. Absurd. Przecież była szefową. „To ciężki obowiązek, wchodzić i wychodzić... Zrozumiem, jeżeli powiesz, że nie jesteś na to przygotowany”. I dlaczego miałyby nagle stracić głowę? Ona, seksuolog–praktyk, niemal naukowiec w tej dziedzinie. Przecież Klub stanowił całe jej życie...

Nie, Lisa, tak jak każdy dobry naukowiec, miała też w sobie coś z poety, a jednak przede wszystkim była specjalistką od seksu i doskonale się znała na swojej pracy. Tylko pewnie zapomniała uprzedzić, że wyjeżdża, zapomniała o swoich obowiązkach administracyjnych. „Z tego powodu zadzwonili do niej o szóstej rano?!”

Ten ciąg wypływających z siebie myśli straszliwie mnie osłabił. Nalałem kolejny kubek kawy, dałem kelnerowi pięciodolarowy banknot i poprosiłem o paczkę papierosów marki Parliament. Zadumałem się nad ubiegłą nocą, gdy przechodziliśmy Garden District. Obejmowałem Lisę i nie było żadnego Klubu, tylko my dwoje.

Kelner wrócił z parlamentami, gdy coś mnie zaskoczyło. Na samym końcu dziedzińca, tuż przy bramie prowadzącej na Bourbon Street, stał ktoś, kogo skądś znałem, i mi się przyglądał. Patrzył wprost na mnie i nie odwrócił wzroku ani na sekundę, mimo iż na niego spoglądałem. Bardzo szybko zauważyłem, że mężczyzna ma na sobie białe skórzane spodnie i wysokie białe skórzane buty. W gruncie rzeczy nosił się jak treserzy z Klubu. Prawdę mówiąc, nie mógł być nikim innym. Zresztą znałem go. Zapamiętałem go. Był tym przystojnym młodym blondasem z morską opalenizną, który powitał mnie w San Francisco i powiedział: „Do zobaczenia, Elliotcie” pierwszego dnia na pokładzie jachtu.

Teraz wszakże nie uśmiechał się tak jak wtedy. Patrzył po prostu na mnie, opierając się o ścianę, i było coś niemal groźnego w jego spokoju, badawczym wzroku i obecności w tym szczególnym miejscu.

Czułem dreszcz przebiegający mi po plecach, a później powoli gotującą się we mnie wściekłość. Tak trzymać. Istniały dwie możliwości, prawda? Był to zwykły nadzór zabranego z Klubu niewolnika. Albo... Lisa rzeczywiście zrobiła coś niezgodnego z zasadami Edenu. „I przylecieli nas szukać?!”

Czułem, że mrużę oczy. Moja podejrzliwość rosła. „Co zamierzacie zrobić, aresztować mnie?!” Zgniotłem papierosa w popielniczkę, powoli się podniosłem i ruszyłem ku blondynowi. Widziałem, że mina mu rzednie. Cofnął się jeszcze bardziej do ściany, po czym przybrał obojętny wyraz twarzy. W końcu odwrócił się i odszedł.

Kiedy wyszedłem na ulicę, oczywiście nigdzie go nie dostrzegłem. Stałem w miejscu dobre kilka minut. Potem wróciłem do restauracji i wszedłem do męskiej toalety, tuż przy wejściu. Nie było go. Po prostu zniknął.

Spojrzałem na dziedziniec.

Szła Lisa. Kelner skierował ją do mojego stolika. Stała przy krześle, nieco zaniepokojona, wyraźnie na mnie czekając.

Wyglądała wystarczająco ślicznie, abym o wszystkim zapomniał. Miała na sobie białą bawełnianą sukienkę, rozkloszowaną w kształcie litery „A”, z wysokim zdobionym falbanką kołnierzem i trójkątnymi rękawami; na nogach białe sandaalki. Całości stroju dopełniał biały słomkowy kapelusz, którego długie wstążki Lisa przewięzała sobie pod szyją. Na mój widok jej twarz cudownie się rozjaśniła i Lisa wyglądała nagle jak młoda dziewczyna.

Wyszła mi naprzeciw, po czym — nie bacząc na innych gości lokalu — objęła mnie i pocałowała.

Jej włosy były nadal lekko wilgotne od prysznic i pachniały perfumami. W białej sukience wydawała się uosobieniem świeżości i interesującej niewinności. Z przyjemnością przez chwilę tylko ją tuliłem, świadom, że nie ukrywam zbyt dobrze miliona myśli, które krążyły mi po głowie.

Otaczała mnie ramieniem, kiedy wracaliśmy do stolika.

— Więc co nowego w świecie? — spytała, odsuwając na bok czasopisma i zerkając na aparat fotograficzny.

— Wiem, że nie mogę ich już zwrócić — odparłem. — Zatem wręczę je komuś na ulicy albo jakiemuś ciekawemu studentowi na lotnisku po drodze.

Odpowiedziała uśmiechem. Zamówiła u kelnera grejpfruta i kawę.

— Co się stało? — zapytała nagle. — Wyglądasz na wyraźnie zdenerwowanego.

— Nic się nie stało. Zdenerwował mnie tylko ten facet, którego za mną wysłałaś. Treser. Zaskoczył mnie. Pewnie sądziłem, że nie ujawnią swojej obecności i nie będą się tak nachalnie gapić. — Mówiąc to, uważnie ją obserwowałem.

— Jaki facet? — Popatrywała na boki. Jej oczy zwięziły się dokładnie tak jak moje niecałe pięć minut temu. — Jeśli to żart, nie bawi mnie. O czym ty mówisz?!

— Jeden z klubowych treserów. Stał tam. Odszedł, gdy ku niemu ruszyłem, aby spytać, co tu robi. Wtedy ty się zjawiłaś.

— Skąd wiesz, że to treser? — spytała, znizując głos do szeptu. Twarz jej się nieznacznie zaczerwieniła. Widziałem rosnące zdenerwowanie.

— Strój z białej skóry, pełen zestaw. Poza tym go rozpoznałem.

— Jasne, na pewno.

— Liso, był ubrany jak treserzy — upierałem się. — Jaki facet chodzi po Nowym Orleanie w białych skórzanych botkach i spodniach? No chyba że włoży do nich śmieszna kowbojską koszulę z cekinami. Wierz mi, zapamiętałem go z jachtu. To na pewno był ten sam mężczyzna. — Kelner przyniósł dwie połówki grejpfruta w dwóch srebrnych miseczkach wypełnionych lodem. Lisa przez moment gapiła się na nie bez słowa. Później spojrzała na mnie. — Stał nieruchomo, przyglądając mi się. Chciał, abym wiedział, że na mnie patrzy. Ale oczywiście...

— Przekłęte dranie — szepnęła. Wstała i przywołała kelnera. — Gdzie jest telefon? — Wyszedłem za nią do pomieszczenia obok. Lisa wrzuciła kilka ćwierćdolarówek w szczelinę automatu. — Wracaj do stołu — poleciła, zerkając na mnie spode łba. Nie ruszyłem się. — Proszę — dodała łagodniej. — Zajmie mi to minutkę.

Wycofałem się na słońce, nie spuszczać z niej oka. Rozmawiała z kimś, otaczając dłonią dolną część słuchawki. Docierał do mnie jej podniesiony, poirytowany głos. Po chwili zamilkła. Wreszcie odłożyła słuchawkę i ruszyła do mnie biegiem. Torebka o mało nie spadła jej z ramienia.

— Zapłać rachunek, dobrze? — poprosiła. — Musimy zmienić hotel. — Już maszerowała przez dziedziniec, nie czekając na mnie.

Dopałem ją, złapałem za przegub i bardzo delikatnie przyciągnąłem ku sobie.

— Dlaczego zmieniamy hotel? — spytałem. Byłem osobliwie zamroczony, lecz nie z powodu kaca. Pocałowałem Lisę w policzek i w czoło. Czulem, że powoli i niechętnie się odpręży i uspokaja.

— Ponieważ nie chcę ich pieprzonego nadzoru! — odparła i cofnęła się, usiłując się uwolnić z mojego uścisku. Najwidoczniej była jeszcze bardziej zdenerwowana, niż sądziłem. Wręcz promieniował od niej gniew.

— Jaka to różnica? — rzuciłem cicho. Otoczyłem ją ramieniem, ścisnąłem palcami jej rękę i pchnąłem Lisę do stolika. — Chodź, zjedz ze mną śniadanie. Nie mam ochoty uciekać przed tymi ludźmi. Hmm... co oni zamierzają nam zrobić? Jak sądzisz? — Studiowałem ją z uwagą. — Zastanów się. Nie chcę opuszczać naszej przybudówki. To nasz pokój, nasze miejsce.

Popatrzyła na mnie i odniosłem nagle wrażenie, że cała historia dzieje się według scenariusza z mojego snu. Jednak sen był tak skomplikowany, że jeszcze nie zacząłem go rozumieć. Znów pocałowałem Lisę, niejasno świadom, że coraz więcej gości siada przy stolikach na dziedzińcu i niektórzy nam się przyglądają. Zadałem sobie pytanie, czy sprawia im przyjemność widok młodej kobiety, tak świeżej i zachwycającej, całowanej przez mężczyznę, który nie widzi poza nią świata.

Lisa usiadła, pochyliła głowę i oparła ją na łokciach. Zapaliłem papierosa i przypatrywałem jej się przez minutę, a później przesunąłem wzrokiem po dziedzińcu, sprawdzając, czy nie wrócił treser lub inny, wyznaczony szpieg. Nie zauważyłem nikogo podejrzanego.

— Czy to jest zwyczajne postępowanie... podczas takich wyjazdów? — odezwałem się w końcu. — Chodzą za mną i sprawdzają, czy nie uciekam? — Prawie fatalistycznie czulem, że znam odpowiedź. Że nowych niewolników nigdzie się nie zabiera. Może wolno wyjechać tym, którzy spędzą na wyspie wiele miesięcy i poznają już wszystkie reguły związane z zachowaniem. Lisa zabrała mnie z Edenu wcześniej, to wszystko.

Jednak gdy moja pani podniosła twarz, miała osobliwie ironiczną minę. Jej opuszczone powieki unosiły się ospale, aż oczy pod nimi okazały się niemal czarne.

— Nie jest zwyczajne — odrzekła głosem tak cichym, że ledwie ją słyszałem.

— Więc dlaczego to robisz?

— Ponieważ ja również postąpiłam niezwyczajnie. Właściwie... nikt przede mną nigdy tego nie zrobił.

Siedziałem w milczeniu, ważąc jej słowa. Serce biło mi coraz szybciej. Powoli, choć nerwowo zaciągnąłem się papierosem.

— Hmm...

— Nikt nigdy nie zabrał żadnego niewolnika z Klubu — dodała.

Nie odezwałem się.

Siedziała cicho, przesuwając niespiesznie dłońmi po przedramionach, jakby było jej zimno.

Nie patrzyła wprost na mnie. Zatopiona w myślach, nie patrzyła na nic konkretnego.

— Jeśli chcesz wiedzieć, nie sądzę, żeby ktoś inny mógł choćby rozważać taki pomysł — oznajmiła. Jej ton był cierpki, usta wykrzywione w rozgoryczony uśmiech. — Przypuszczam, że jako jedyna potrafię coś takiego zorganizować. — Skoncentrowała na mnie spojrzenie, coraz szerzej otwierając oczy. — Zamówić samolot, kazać ludziom załadować twoje rzeczy, wsiąść z tobą do samolotu.

Strząsnąłem popiół z papierosa.

— Nie wiedzieli, że zniknąłeś, aż do trzeciej nad ranem. Miałeś być u mnie, a gdy weszli, nie znaleźli cię. Nigdzie cię nie znaleźli. Wiedzieli, że odleciałam samolotem w męskim towarzystwie. Zastanowili się, kim był ten mężczyzna. Wiedzieli, że posłałam po twój bagaż. Myśleli kilka godzin, lecz w końcu wszystko pojęli. Wtedy zaczęli obdzwaniać

nowoorleańskie hotele. No i namierzili nas przed szóstą. Nie jestem pewna, czy pamiętasz moją rozmowę...

— Pamiętam — odparłem. Pamiętałem też wszystkie inne wczorajsze zdarzenia, także moje liczne wyznania miłości.

Przyjrzałem się Lisie. Najwyraźniej stąpała po cienkim lodzie. Jednak nie dygotała, zauważyłbym. Gapiła się jedynie na grejpfruta z niejakim przerażeniem. Tak samo jednakże patrzyła na stół i na winorośle wijące się wokół filarów z kutego żelaza, które podtrzymywały sufit ganku nad nami.

— Dlaczego to zrobiłaś? — spytałem.

Nie odpowiedziała. Spięła się i patrzyła gdzieś na prawo ode mnie. Nie wykonała najdrobniejszego nawet ruchu, nie wydała żadnego dźwięku, lecz sekundę później jej oczy powilgotniały i się zamglily.

— Chciałam — odparła. Dolna warga zaczęła jej się trząść. Lisa wzięła ze stołu serwetkę, złożyła ją i przytknęła do nosa. Płakała. — Po prostu chciałam — powtórzyła.

Czułem się jak po ciosie w żołądek. Nie mogłem znieść jej smutku i płaczu. Widok był straszny. A poza tym wszystko działo się tak cholernie prędko. W jednej chwili jej rysy stwardniały, w następnej łzy pociekły po policzkach, wargi zadrżały, twarz się zmarszczyła.

— Chodź — poprosiłem. — Wróćmy do hotelu, gdzie będziemy sami. — Dałem znak kelnerowi, że pragnę zapłacić.

— Nie, nie. Czekaj minutkę — powiedziała. Zdecydowanym ruchem wytarła nos i położyła sobie serwetkę na podolku. Czekałem. Wiedziałem, że powinienem jej dotknąć, otoczyć ramieniem lub przytulić, a jednak nic nie zrobiłem, ponieważ tkwiliśmy w tym przeklętym publicznym miejscu. Czułem się naprawdę głupio. — Musisz zrozumieć parę kwestii — dodała.

— Nie mam ochoty — odburknąłem. — Nic mnie nie obchodzi.

Nie była to jednak całkowita prawda. Nie chciałem po prostu, by Lisa dalej płakała. Wyglądała teraz na załamana. Milczała. Wydawała się zraniona, straszliwie zraniona.

Pragnąłem wziąć ją w ramiona. Prawdopodobnie wszyscy ludzie, którzy na nas patrzyli, zadawali sobie pytanie: „Co ten drań zrobił, że dziewczyna płacze?”

Lisa wydmuchała nos i ponownie go wytarła. Potem przez chwilę siedziała nieruchomo. Chyba było jej ciężko. W końcu się odezwała:

— Ty nie będziesz miał żadnych kłopotów. Wiedzą, że ten wyjazd to moja sprawka. Ja cię namówiłam, a ty sądziłeś, że wizyta w Nowym Orleanie jest częścią gry. Tak im powiedziałam przez telefon. I na pewno im to powtórzę podczas następnej rozmowy. Są dość, kurczę, natrętni. Pewnie dzwonią w tej chwili do hotelu. Najważniejsze, że wiedzą, iż cię wywiozłam, oszukałam w jakimś sensie... Byłeś ofiarą mojego pomysłu. W gruncie rzeczy cię porwałam.

Nie mogłem się powstrzymać przed uśmiechem.

— A czego teraz od ciebie chcą? Co masz zrobić? — spytałem. — Jakie będą konsekwencje naszej wycieczki?

— No cóż, naturalnie chcą, żebym cię bezzwłocznie odwiozła. Złamałam reguły i naruszyłam warunki twojego kontraktu. — Łzy znowu trysnęły z jej oczu, jednak nad sobą zapanowała. Przez chwilę patrzyła w bok, uspokajając się. — Chodzi mi o to, że zrobiłam coś straszego, rozumiesz. — Zerknęła na mnie, a następnie znowu zagapiła się w dal, może z lęku, że rzucę pod jej adresem jakieś przerażające oskarżenie. Nie miałem takiego zamiaru. Szczerze mówiąc, sama myśl wydała mi się śmieszna. — Każą mi wrócić do pracy — podjęła. — Wyplłynęło kilka poważnych problemów. Dwa dni temu wyrzuciliśmy z wyspy pewną nastolatkę, podejrzewając, że omamiła trenera, który ją przysłał. Dziewucha skontaktowała się ze starszą siostrą, która wyszła za mąż za jakiegoś faceta z CBS. Prawdopodobnie obie panie zaaranżowały całą rzecz. Teraz CBS chce nagrać z nami wywiad.

Nigdy nie udzielaliśmy prawdziwych, oficjalnych wywiadów. Poza tym wszyscy są po prostu na mnie wkurzeni za to, co zrobiłam... — Przerwała i miałem wrażenie, że dopiero teraz pojęła, iż nie powinna mi tego wszystkiego mówić. Spojrzała mi w oczy, po czym znów odwróciła wzrok. — Nie wiem, co się ze mną dzieje! — szepnęła. — Jak mogłam cię zabrać z wyspy?!

Pochyliłem się nad stołem i chwyciłem w ręce obie jej dłonie. Choć się trochę opierała, ścisnąłem je, podniosłem do ust i pocałowałem jej palce.

— Dlaczego to zrobiłaś? — powtórzyłem pytanie. — Dlaczego tego chciałaś, jak wspomniałaś...?

— Nie wiem! — odparła, potrząsając głową. Znowu zaczynała płakać.

— Liso, na pewno wiesz — naciskałem. — Odpowiedz mi, proszę. Czemu to zrobiłaś? Co to znaczy?

— Nie wiem — upierała się. Płakała, więc nie mogła mi odpowiedzieć. — Nie wiem! — wybuchnęła sekundę później. Kompletnie się załamała.

Położyłem na stole dwie dwudziestodolarówki i zabrałem Lisę z „Court of Two Sisters”.

Rozdział 24

Dosłowne kontra symboliczne

Po powrocie zauważyliśmy przypięte na drzwiach informacje na temat wiadomości telefonicznych.

Lisa nieco się uspokoiła i tym razem nie wyprosiła mnie z pokoju, gdy dzwoniła.

Była jednakże smutna, nawet nieszczęśliwa i choć wyglądała całkiem ładnie, patrząc na nią, marnie się czułem.

Właściwie kompletnie się rozkleiłem.

Przez kilka minut rozmawiała z Richardem, Panem Kandydatów, któremu wyraźnie nie chciała podać dokładnego czasu naszego zjawienia się w Klubie.

— Nie, nie wysyłaj jeszcze samolotu! — powtórzyła co najmniej dwukrotnie.

Upierała się też w każdej odpowiedzi na pytanie współpracownika, że nic złego się nie dzieje, że jestem obok niej i mieszam się dobrze. Powiedziała, że zadzwoni znowu wieczorem i powie, jak długo zostaniemy w Nowym Orleanie.

— Tak, naprawdę — mówiła. — Zadzwonię. Zostanę w tym samym hotelu. Będziesz wiedział, co robię. Proszę cię tylko o trochę czasu.

Znów pociekły jej łzy, lecz Richard zapewne o tym nie wiedział. Przełknęła ślinę i podjęła rozmowę mocnym, zimnym głosem. Teraz omawiali sprawę odesłania nastolatki i kwestię wywiadu dla CBS. Poczuliśmy, że Lisa wołałaby, abym wyszedł, więc wyszedłem.

Usłyszałem jeszcze, jak powiedziała:

— Teraz nie mogę ci udzielić takiej odpowiedzi. Proszę mnie w sumie o stworzenie swego rodzaju filozofii na użytek publiczny, o napisanie publicznego oświadczenia! To mi zajmie nieco czasu. Muszę sobie wszystko przemyśleć.

Zrobiłem kilka zdjęć dziedzińca i małej przybudówki, w której mieszkaliśmy.

Kiedy Lisa wyszła na dziedziniec, opuściłem aparat i natychmiast zaproponowałem:

— Wybierzmy się na prawdziwe zwiedzanie dzielnicy. Mam na myśli zagładanie do wszystkich muzeów, oglądanie starych domów, szalone zakupy w sklepach. — Była zaskoczona. Miała zagubiony, chłodny wyraz twarzy, lecz teraz nieco się ożywiła. Zaciskała założone na piersi ramiona i obserwowała mnie z taką uwagą, że nie wiedziałem, czy w ogóle rozumie, co mówię. — A później — ciągnąłem — wybierzmy się w rejs parostatkiem. O czternastej trzydzieści. Wiem, że to nudne, ale, do diabła, tu płynie Missisipi! Zresztą, możemy zabrać na pokład jakieś trunki. Mam też pomysł na spędzenie dzisiejszego wieczoru.

— Co takiego?

— Dancing. Pójdziemy na zwyczajny, konwencjonalny, staroświecki dancing. Przywiozłaś takie piękne sukienki. A ja nigdy w życiu nie byłem na potańcówce z kobietą. Zajdziemy do „River Queen Lounge” na szczycie Marriotta i będziemy tańczyć, aż zespół przestanie grać. Tylko tańczyć i tańczyć.

Gapiała się na mnie jak na wariata. Wytrzymałem jej spojrzenie.

— Mówisz poważnie? — spytała w końcu.

— Oczywiście, że tak. Pocałuj mnie.

— Brzmi wspaniale — oceniła.

— No to się uśmiechnij — poprosiłem. — I przybierz ładną pozę, to zrobię ci zdjęcie.

Ku mojemu absolutnemu zdumieniu pozwoliła mi się sfotografować. Stała w drzwiach z ręką na futrynie i pięknie się uśmiechnęła. Wyglądała wprost cudnie w białej sukience i z kapeluszem przewieszonym za wstążki na ramieniu.

* * *

Zaczęliśmy od muzeum w Cabildo, a później obejrzelśmy wszystkie odremontowane stare domy, które otwarto dla zwiedzających: Gallier House, Herman Grima House, Madame John's Legacy i Casa Hove. Wstąpiliśmy niemal do wszystkich napotkanych po drodze antykwariatów i galerii.

Otoczyłem Lisę ramieniem, co ją uspokoiło i rozweseliło. Jej rysy się rozpuściły, oblicze wygładziło się jak u młodej dziewczyny. Pomyślałem, że do białej sukienki pasowałaby wstążka we włosach.

Przyszło mi do głowy, że nawet jeśli nie będę kochał Lisy wiecznie, nawet jeśli miłość do niej zakończy się jakąś paskudną, durną katastrofą, jednego mogłem być pewien: później już nigdy nie spojrzę na żadną kobietę w białej sukience.

Do trzynastej, gdy jedliśmy lunch w „Desire Oyster Bar”, znów gawędziliśmy swobodnie — tak jak ubiegłej nocy. Nie pamiętaliśmy ani o obecności tresera w „Court of Two Sisters”, ani o rozmowach Lisy z Edenem.

Moja pani opowiedziała mi historię utworzenia i budowy Klubu. Zaczęło się od dwóch sponsorów, którym koszty zwróciły się już pod koniec pierwszego roku. Później Eden szybko się rozwijał, ponieważ gwałtownie rosła liczba członków. Prędko doczekał się „następców”, między innymi klubów w dużym budynku w Holandii oraz w Kalifornii i Kopenhadze.

Lisa stale otrzymywała oferty od konkurencji, oczywiście z wyższą pensją, ale i tak zarabiała mnóstwo (obecnie pół miliona rocznie), a nie wydawała nawet centa, chyba że podczas urlopu. Jej oszczędności rosły.

Ja z kolei opowiedziałem o moich sportowych obsesjach, o tym, jak prawie roztrzaskałem samolot nad Teksasem, i o dwóch zimach, w trakcie których zjeżdżałem na nartach z najniebezpieczniejszych gór świata.

Nienawidziłem tego aspektu swojej osobowości, zawsze go nienawidziłem i brzydziłem się ludźmi, których poznawałem podczas tych wypraw, ponieważ czułem się przy nich jak aktor grający jakąś rolę. O wiele łatwiej było fotografować facetów skaczących z meksykańskich klifów do oceanu, niż skakać samemu. W fotografii widziałem drogę wyjścia i może dlatego się nią zająłem.

Niestety mój plan spalił na panewce.

Przyjmowałem od „Time–Live’a” każde zadanie związane z wojną. Wykonywałem też zlecenia dla dwóch kalifornijskich dzienników. Książka o Bejrucie zajęła mi dziewięć miesięcy pracy dniem i nocą (Quz po wykonaniu zdjęć). W Bejrucie zresztą nie naraziłem się na żadne niebezpieczeństwo, choć znalazłem się o krok od śmierci później, w Nikaragui i Salwadorze. W Salwadorze naprawdę zajrzałem jej w oczy. Po tym zdarzeniu zwolniłem tempo i zacząłem się nad sobą zastanawiać.

Nieco mnie zdziwiło, że podczas naszej rozmowy okazało się, że Lisa wie, co się działo w tych miejscach świata. Nie tylko słyszała o konfliktach czy zamieszkach, ale znała też na przykład historię libańskich nieporozumień na tle religijnym i interwencjach państw sąsiadujących. Chcę powiedzieć, że Klub czy nie Klub, Lisa czytała więcej niż większość ludzi, gdyż tak dokładnych informacji nie sposób znaleźć w pierwszej lepszej gazecie.

Była godzina czternasta i musieliśmy się pośpieszyć, jeśli chcieliśmy zdążyć na rejs statkiem parowym po rzece. Dzień na taką podróż nie mógł być wspanialszy: błękitne niebo, śliczne obłoki, jakich nie widziałem nigdzie poza Luizjaną i z których od czasu do czasu siąpiła subtelna letnia mżawka. No i niewielu pasażerów, jako że był środek tygodnia.

Razem oparliśmy się o poręcz balustrady górnego pokładu i patrzyliśmy na miasto, aż przepłynęliśmy kilka kilometrów i widok zmienił się na przemysłowy i dość monotony.

Wówczas rozsiedliśmy się na leżakach, zamówiliśmy drinki i poddaliśmy ruchowi parostatku i rzeczemu wietrzykowi.

Przyznałem się Lisie — trochę ze wstydem — że naprawdę kocham rejsy parowcem, choć mogą się wydawać komercyjne i nudne. Uwielbiałem płynąć Missisipi i żadna inna rzeka nie wzbudzała we mnie takiego szacunku, oprócz Nilu.

Lisa odwiedziła Egipt dwa lata temu w okresie Bożego Narodzenia. Był to jeden z dwóch okresów, gdy nie mogła znieść obecności rodziny, więc wyjechała sama do Afryki. Zatrzymała się w luxorskim Winter Pałace na dwa tygodnie. Wiedziała, co miałem na myśli, mówiąc o tych dwóch rzekach, ponieważ ilekroć przepływała Missisipi, myślała: „Jestem na Nilu”.

Zresztą zawsze, gdy przekraczała jakąś rzekę, czuła się szczególnie podekscytowana — czy to było Arno, Tamiza czy Ty — ber; jakby dotykała historii.

— Chcę, abyś mi opowiedział — wtrąciła niespodziewanie — jak o mało nie zginąłeś w Salwadorze. Co się tam stało, że nagle się nad sobą zastanowiłeś?

Przybrała tę samą uczuciową i niemal niewinną minkę, którą dostrzegłem u niej podczas naszej ubiegłonocnej rozmowy. Dziś jednak popijaliśmy drinki znacznie wolniej. Słuchając Lisy, myślałem, że zupełnie nie pasuje do mojego wyobrażenia kobiety. Najwyraźniej dotąd niewiele wiedziałem o kobietach. Nie chcę powiedzieć, że wydawała mi się jakoś bezpłciowa czy pozbawiona kokieterii. Była jednak zmienna jak kameleon, co wydawało mi się niesamowicie uwodzicielskie.

— Nie zdarzyło się nic takiego, o czym można przeczytać w gazetach — odparłem. — W ogóle nic takiego. Zupełnie nic.

— Nie miałem ochoty opisywać tej historii minuta po minucie, nie chciałem budować napięcia aż do punktu kulminacyjnego, nie chciałem przeżywać ponownie każdej sekundy. — Byłem wraz z drugim reporterem w stolicy kraju, San Salwador, i zna — leżliśmy się poza domem po godzinie policyjnej. Zatrzymali nas, o mało nie zastrzelili. I tyle. — Ogarnęło mnie znowu to samo paskudne, absolutnie potworne uczucie, które towarzyszyło mi jeszcze przez sześć tygodni po opuszczeniu Salwadoru, poczucie daremności wszystkiego, chwilowa rozpacz, która może zawładnąć człowiekiem w każdym momencie życia i której po prostu przez większość czasu do siebie nie dopuszczamy. — Nie wiem, co sobie myśleliśmy... Że gdzie jesteśmy? W jakiejś kawiarence na Telegraph Avenue w Berkeley? Dwóch białych liberałów z klasy średniej dyskutuje o marksizmie, rządzie... Chodzi mi o to, że czuliśmy się bezpieczni i wydawało nam się, że nikt nas nie skrzywdzi w tym obcym kraju, bo to nie jest nasza wojna. A tu nagle, w drodze powrotnej do hotelu, w ciemnościach zatrzymuje nas dwóch facetów... Nawet nie wiem, kim byli: gwardia narodowa, zbiry ze szwadronów śmierci, nie wiem. Szliśmy z pewnym Salwadorczykiem, z którym wcześniej przegadaliśmy pół nocy. Nasz towarzysz cholernie się przeraził, my zaś pokazaliśmy identyfikatory i różne inne papiery, mimo to tamci nas nie puścili. Umundurowany chłopaczek z karabinem M-16 cofnął się o krok, wycelował w nas i tylko się na nas gapił. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że dzieciakowi marzy się wystrzelanie całej naszej trójki.

Nie miałem ochoty ponownie przeżywać napięcia, które czułem w tamtym straszliwym momencie, świadomości prawdziwego niebezpieczeństwa, absolutnej bezradności i smutnej niewiedzy: co robić, czy się ruszać, co mówić, czy trwać nieruchomo, skoro najdrobniejsza zmiana wyrazu twarzy może grozić śmiercią.

A później do bezradności dołączyła wściekłość, czysta wściekłość.

— No więc, tak czy owak... — ciągnąłem. Wyjąłem papierosa i ubiłem go lekko na kolanie. — Młokos zaczął się kłócić ze swoim towarzyszem, nie przestając w nas celować. Wtedy coś się zdarzyło, chyba nadjechała ciężarówka. Obaj do nas podeszli, zapatrzyli się na nas, a my się nie ruszaliśmy i nie odzywaliśmy. Byliśmy jak zmrożeni. — Zapaliłem papierosa. — Staliśmy tak dobrą chwilę i wiedzieliśmy, co tamci sobie myślą. Byliśmy

pewni, że się dogadali i postanowili nas pozabijać. Do dziś nie wiem, dlaczego tego nie zrobili. Zabrali naszego przyjaciela Salwadorczyka, wsiedli z nim do ciężarówki, my zaś sterczeliliśmy nieruchomo i nic dla niego nie zrobiliśmy. A przecież, do ciężkiej cholery, pół nocy przesiedzieliśmy w domu jego matki, głędząc o polityce. I teraz mu nie pomogliśmy.

Lisa głośno oddychała.

— Chryste — szepnęła. — Zabili go?

— Tak, zabili. Chociaż dowiedzieliśmy się o tym dopiero po powrocie do Kalifornii. — Wymamrotała coś pod nosem: może modlitwę, może przekleństwo, nie wiem. — Dokładnie tak — dodałem. — A my, rozumiesz, nawet z nimi nie dyskutowaliśmy — jęknąłem. Dlatego od pewnego momentu nie chciałem już o tym opowiadać, absolutnie nikomu i nigdy.

— Chyba nie sądzisz, że powinienesz z nimi dyskutować — zauważyła Lisa.

Potrząsnąłem głową.

— Nie mam pojęcia, powinienem czy nie powinienem. Ale wiesz, gdybym też miał M-16, byłoby inaczej. — Zaciągnąłem się papierosem. Dym rozproszył się w rzecznej bryzie, a papieros z jakiegoś powodu wydał mi się pozbawiony smaku. — Natychmiast zwałem z pieprzonego Salwadoru.

Pokiwała głową.

— I wtedy zacząłeś nad sobą rozmyślać.

— Tak, przez mniej więcej tydzień w kółko opowiadałem wszystkim tę historię. Ciągłe się nad nią zastanawiałem i zadawałem sobie pytania w stylu: „Co by było, gdyby...” Wyobrażałem sobie, że ten facet z M-16 jednak nas zastrzelił i jesteśmy tylko kolejną dwójką zabitych amerykańskich reporterów. Poświęcają nam notkę w „New York Timesie” albo innej gazecie i koniec. Stale mnie ta przekłeta historyjka prześladowała.

Miałem we łbie pieprzoną kasetę wideo, która ciągle się cofała i odtwarzała. Nie mogłem się pozbyć tych myśli.

— To naturalne — stwierdziła Lisa.

— Stało się dla mnie jasne, naprawdę jasne, że wcześniej wiecznie się pakowałem w niebezpieczeństwo. Przemierzałem te kraje, jakbym zwiedzał Disneyland, sam się pchałem w największy bałagan, brałem najgorsze przydziały, a w sumie... nie miałem bladego pojęcia, co robię. W pewnym sensie wykorzystywałem tych ludzi, wykorzystywałem ich wojny, wykorzystywałem wszystkie zdarzenia...

— Co przez to rozumiesz? W jakim sensie ich wykorzystywałeś?

— Kochanie, nie miałem o tym wszystkim pojęcia. Zachowywałem się jak uczestnik politycznej dyskusji. Jak liberał z Berkeley. Albo jak widz w cyrku z kilkoma arenami.

— Nie obchodzili cię?... Ci ludzie z *Bejrut: Dwadzieścia cztery godziny*?

— Och, no obchodzili — odparowałem. — Bardzo na mnie wpłynęli. To znaczy... W końcu nie byłem jakimś głupim amatorem, który tylko pstryka fotki, a podmiot zdjęcia nic dla niego nie znaczy. Trudno jest na fotografii uwiecznić ból czy śmierć, gdyż na fotografii wszystko wygląda chłodniej i bardziej abstrakcyjnie. Trudno coś uchwycić aparatem czy kamerą wideo. Trzeba więc fotkom dać nieco własnej duszy. Jednak tak naprawdę zachowywałem dystans. I nie miałem zamiaru pakować się w żadne tarapaty! Jeździłem z miejsca na miejsce i tyle. Tak jak zjeżdżałem na nartach. W głębi serca zapewne bawiła mnie wojna, przemoc, ludzkie cierpienie, o które mogłem się ocierać. Taka jest prawda! — Gapiła się na mnie przez długi moment. Potem powoli pokiwała głową. — Widzisz, rozumiesz — zauważyłem. — Wyobraź sobie, że stoisz przy torze w Laguna Seca i myślisz: „Hmm, jeśli zdarzy się wypadek samochodowy, mam nadzieję, że zdarzy się blisko i sobie go obejrzę”.

— Tak — odparła. — Wiem.

— Cóż, nawet to mi nie wystarczyło — ciągnąłem. — O mało się nie przyłączyłem do walczących. Nie dlatego, że wszystko przemyślałem i przyszło mi do głowy, że mógłbym coś

zmienić na świecie, lecz dlatego, że zyskałbym idealną przepustkę, dzięki której robiłbym rzeczy, które bez tego pozostawały dla mnie niedozwolone.

— Zabijać ludzi.

— Tak, być może — odrzekłem. — Takie myśli przemykały mi przez głowę. Pojmowałem wojnę jako sport. Nieważne przyczyny, racje, to znaczy... Wiesz, po jednej stronie powinni brać w niej udział tak zwani dobrzy faceci, jednak w gruncie rzeczy nie o nich chodziło. Można było walczyć o sprawę Izra — elczyków albo Salwadorczyków, bez różnicy. — Wzruszyłem ramionami. — Wybieraj do woli. — Lisa znowu pokiwała głową, w ten sam powolny sposób. Może dumiała nad tym, co mówiłem. — No i nagle po tyłu przeżyciach ktoś musi mi nagle wycelować M-16 w twarz, żebym zrozumiał, co naprawdę znaczy śmierć. Pojechałem do domu i myślałem: jestem jednostką nastawioną do świata dość realistycznie i dosłowność interesuje mnie do takiego stopnia, że mogę stanowić dla kogoś zagrożenie. — Zaintrygowało ją moje ostatnie stwierdzenie. — Cóż, w każdym razie miałem nad czym myśleć. Dlaczego poszukiwałem autentycznej, dosłownej śmierci, prawdziwej wojny, takiegoż cierpienia i głodu, a później traktowałem je w sposób symboliczny czy przenośny, tak jak ludzie traktują oglądany film?

— Ale przecież praca reportera, tworzenie opowieści o...

— Ech — zamachałem ręką. — Jestem początkujący. Jest przecież wielu innych.

— I do jakich doszedłeś wniosków?

— Że mam skłonności do destrukcji. Że jestem człowiekiem przeklętym. — Wypiłem łyk drinka. — I że byłem cholernym głupcem — dodałem. — Do takich właśnie wniosków doszedłem.

— Co powiesz o ludziach, którzy walczą w tych wojnach? Nie mam na myśli najemników czy żołnierzy do wynajęcia, lecz osoby, które po prostu wierzą w sens wojny. Czy są cholernymi głupcami? — spytała bardzo uprzejmie. Wydawała się szczerze zaintrygowana.

— Nie wiem. W pewnym sensie dla mojego reportażu nie ma znaczenia, czy są głupcami, czy też nimi nie są. Dla mnie było raczej ważne, że moja śmierć niczego dla nich nie zmieni. Byłaby niepotrzebna, zupełnie osobista. Koszt sportu, że tak powiem.

Lisa skinęła powoli głową, po czym przesunęła spojrzenie obok mnie, nad pokładem, ku odległemu brzegom rzeki, a raczej niskiemu, oliwkowoburemu bagnisku, które opadało do brązowawej wody, płynącej pod panoramą pędzących chmur.

— Stało się to po przygotowaniu albumu *Bejrut: Dwadzieścia cztery godziny*? — spytała.

— Tak. I nie ukończyłem *Dwudziestu czterech godzin w Salwadorze*.

Gdy Lisa odwróciła się do mnie ponownie, była poważna jak nigdy przedtem, skoncentrowana i całkowicie pochłonięta naszą rozmową.

— Jednak po tym, co widziałeś — podjęła. — Po prawdziwych cierpieniach, prawdziwej przemocy... jeśli one cokolwiek dla ciebie znaczyły... Jak po tym wszystkim mogłeś znieść scenariusze u Martina? — Zawahała się. — Jak mogłeś znieść rytuały Klubu? To znaczy... W jaki sposób odkryłeś w sobie potrzebę takiego życia?

— Żartujesz sobie ze mnie? — spytałem. Wziąłem kolejny łyk szkockiej. — Ty mnie o to pytasz?

Moje pytanie wyraźnie ją zmieszało.

— Widziałeś przecież ludzi naprawdę torturowanych — ciągnęła, starannie dobierając słowa. — Ludzi, którzy, jak wspominałeś, tkwili zanurzeni w świecie autentycznej przemocy. Jak można po takich doświadczeniach usprawiedliwić nasze „zabawy”? Dlaczego nie wydaliśmy ci się nieprzyzwoici, dekadency, dlaczego nie stanowimy żywej obrazy twoich doświadczeń? Na twoich oczach zbiry zabrały do ciężarówki faceta i...

— Zrozumiałem, o co pytasz — przerwałem jej. — Niemniej jednak mnie zdumiałaś. — Kolejny łyk pomógł mi w ułożeniu właściwej odpowiedzi. Powinienem wyłożyć jej swoje

racje powoli czy wprost? — Uważamy ludzi walczących w prawdziwych wojnach za lepszych od nas? — spytałem w końcu.

— Nie wiem, co masz na myśli.

— Uważasz osoby, które biorą udział w przemocy dosłownej... czy to biernie, czy czynnie... za lepszych od nas, którzy robimy to samo w sposób symboliczny?

— Nie, ale, Boże, istnieją ludzie, którzy nie są w stanie uniknąć cierpienia...

— Wiem, wiem, tacy, którzy wpakowali się w coś równie okropnego i niszczącego jak ludzie dwa tysiące lat temu, gdy walczyło się przy użyciu mieczy i włóczni. Albo pięć tysięcy lat wcześniej, kiedy wrogowie stawali przeciwko sobie z kamieniami i kijami. Powiedz mi, dlaczego w świetle czegoś tak pierwotnego, tak brzydkiego i okropnego „zajęcia” w Klubie miałyby wyglądać nieprzyzwoicie? — Pojęła mój punkt widzenia, wiedziałem o tym, mimo to nadal nie przyznawała mi racji. — Wydaje mi się, że to jest po prostu inny sposób — kontynuowałem. — Byłem tam i zapewniam cię, że to tylko inny sposób. Nie widzę niczego nieprzyzwoitego w sytuacji, w której dwie osoby w sypialni próbują za pomocą sadomasochistycznego seksu znaleźć symboliczne ujście dla swojej seksualnej agresji. Nieprzyzwoici są raczej ci, którzy dosłownie gwałcą, dosłownie zabijają, dosłownie ostrzeliwują wsie, wysadzają w powietrze autobusy pełne niewinnych ludzi, niszczą w sposób dosłowny i niemiłosierny.

Obserwując jej twarz, niemal widziałem przetaczające się jej przez głowę myśli.

Włosy opadły mojej pani na ramiona i na białą sukienkę. Przypomniał mi się jej żarcik o klasztorze, gdyż włosy skojarzyły mi się z woalką zakonnicy.

— Znasz różnicę między symbolicznym i dosłownym — ciągnąłem. — Wiesz też, że w Klubie odbywa się wyłącznie gra, nic innego. I wiesz, że gra ta wypływa z głębi naszych wnętrz, z mieszaniny elementów fizycznych i duchowych, opierających się miarodajnej analizie. — Lisa kiwnęła głową. — No cóż, jeśli się nie mylę, ludzki pęd do wojowania płynie z tego samego źródła. Jeśli się zagłębisz w samo sedno bieżącej polityki, odzierając każdy mały czy wielki kryzys z otoczki w stylu „kto zrobił co komu pierwszy”, otrzymasz tę samą tajemnicę, tę samą pilną potrzebę, tę samą złożoność, która leży u podstaw seksualnej agresji. Wojny mają tyle samo wspólnego z seksualnym pragnieniem dominacji i (albo) uległości co rytuały, które odgrywamy w Klubie. Z tego, co wiem, chodzi o seksualną agresję... — Znów mi nie odpowiedziała. Byłem jednak przekonany, że słucha mnie z wielką uwagą. — Nie, Klub nie jest nieprzyzwoity w porównaniu z tym, co widziałem — podsumowałem. — I sądziłem, że ty lepiej niż ktokolwiek inny to rozumiesz.

Zapatrzyła się na rzekę.

— Właśnie w to wierzę — przyznała w końcu. — Nie miałam jednak pewności, czy człowiek, który był w Bejrucie i Salwadorze, zgodzi się ze mną.

— Być może ktoś, komu wojna wyrządziła prawdziwą krzywdę, kogo tłamsiła całe lata, może taki ktoś nie dostrzeże sensu w naszych rytuałach. Tacy ludzie żyją innym życiem, niż ty czy ja sobie wyobrażamy. Nie uważam jednak, że przydarzyło im się coś wspaniałego, ani na początku, ani na końcu. Jeśli kontakt z przemocą czyni z nich świętych, to wspaniale. Jak często wszakże okropności wojny uświęcają? Nie sądzę, by ktokolwiek na tej planecie naprawdę wierzył, że wojna nobilituje albo że ma jakąkolwiek wartość.

— A czy Klub nobilituje?

— Nie wiem. Chociaż dla stanu moich finansów na pewno ma jakąś wartość.

Jej oczy chyba zamigotały po tym małym żarcie, lecz twarz nie ujawniła żadnych emocji. Wszystkie uczucia pozostały głęboko w jej wnętrzu.

— Więc pojechałeś na naszą wyspę sprawdzić swoją teorię w sposób symboliczny — oceniła.

— Oczywiście. Zbadać własne pragnienia, rozpracować potrzeby, nie ginąc przy tym i nikogo nie zabijając. Na pewno mnie rozumiesz. Musisz mnie rozumieć. W przeciwnym razie... w jaki sposób stworzyłabyś ten niezwykły raj na wyspie?

— Już ci mówiłam. Wierzę, że Klub jest potrzebny, tyle że... moje życie nigdy nie wyglądało inaczej — wyjaśniła. — W dużym stopniu sama sobie wykreowałam swoje życie. Czasami myślę, że zrobiłam wszystko w imię przekory.

— Co innego mówiłaś poprzedniej nocy. Pamiętasz, co powiedziałaś? Że nic w seksie nie jest dla ciebie niewłaściwe, o ile wszystkie zainteresowane osoby się na to zgadzają. Użyłaś nawet słowa „niewinny”. Równie dobrze jak ja wiesz, że jeśli uwalniamy nasze gwałtowane emocje w czterech ścianach sypialni, gdzie nikt nikogo nie rani, nie straszy i nie zmusza... wtedy mimo wszystko może jesteśmy w stanie ocalić świat.

— Ocalić świat! To zbyt wygórowane żądanie — oświadczyła.

— No dobrze, to chociaż ocalmy nasze własne dusze. Choć twierdzę, że nie ma innego sposobu uratowania świata oprócz tworzenia aren, na których można symbolicznie „rozpracować” popędy pojmowane w przeszłości dosłownie. Seks nie zniknie, ot, tak, ani nie znikną związane z nim destrukcyjne popędy. Więc gdyby miejsce takie jak Klub znajdowało się na każdym rogu ulicy, gdyby istniał milion bezpiecznych przybytków, w których ludzie mogliby urzeczywistniać swoje fantazje, nieważne, jak prymitywne czy odrażające dla innych, kto wie, jak wyglądałby wtedy nasz świat? Może dla wszystkich wulgarną, nieprzyzwoitą i sprośną stałaby się wówczas właśnie prawdziwa przemoc?

— Tak, taki był rzeczywiście zamysł, idea. — Lisa zmarszczyła brwi, przez moment wyglądała na zagubioną i osobliwie poruszoną. Miałem ochotę ją pocałować.

— Który nadal można wprowadzić w życie — rozmarzyłem się. — Niektórzy twierdzą, że sadomasochizm wypływa z doświadczeń dzieciństwa, z bitew o dominację i uległość, które toczyliśmy jako dzieci i które jesteśmy zmuszeni stale odgrywać. Nie uważam, by wytłumaczenie było takie proste. Nigdy tak nie uważałem. Jedną z kwestii, która mnie zawsze fascynowała w związku z fantazjami sadomasochistycznymi... na długo zanim w ogóle marzyłem o ich urzeczywistnieniu... był fakt, że w owych fantazjach pojawiają się akcesoria, których żadne z nas nigdy nie widziało w dzieciństwie. — Wziąłem łyk, niemal dopijając szkocką. — Wiesz — podjąłem — narzędzia tortur, pejcze, uprząże, łańcuchy. A także rękawiczki i gorsety. Groził ci ktoś w dzieciństwie łamaniem kołem? Zakładał ci wtedy kajdanki? Mnie nigdy nikt nawet nie bił. Akcesoria nie wywodzą się z dzieciństwa, lecz z naszej historycznej przeszłości. Z naszej przeszłości rasowej. Albo gatunkowej. Mają krwawy rodowód, który obejmuje przemoc od czasów najdawniejszych. Są wśród nich uwodzicielskie, a jednocześnie przerażające symbolami okrucieństw, stosowanych rutynowo w osiemnastym wieku.

Lisa kiwnęła głową. Wydało mi się, że coś sobie nagle przypominała. Lekko dotknęła się ręką w talii i gładziła palcami materiał sukienki.

— Gdy pierwszy raz — odezwała się — nałożyłam jeden z tych czarnych skórzanych gorsetów, no wiesz...

— Tak...

— ...pomyślałam wtedy o czasach, gdy wszystkie kobiety nosiły gorsety, wiesz, każdego dnia...

— Oczywiście, że tak. Kiedy stosowano je na co dzień. Wszystkie nasze akcesoria to szczątki przeszłości. A gdzie są one stosowane, że tak powiem, na porządku dziennym? Wcale nie za dnia, lecz w nocy, w naszych snach. W naszych powieściach erotycznych. W naszych domach publicznych. Nie, nie, rytuały sadomasochistyczne zawsze łączą się z czymś znacznie bardziej ulotnym niż bijatyki z dzieciństwa. Wykorzystujemy w nich nasze najbardziej pierwotne pragnienia osiągnięcia zażyłości poprzez gwałt, wykorzystujemy nasze najgłębsze chęci zadawania bólu i odczuwania cierpienia, posiadania innych...

— Tak, posiadania...

— A gdybyśmy wszyscy umieli raz na zawsze ograniczyć użycie narzędzi tortur, pejców i uprząży do scenariuszy sadomasochistycznych, gdybyśmy potrafili ograniczyć gwałt i przemoc... we wszystkich ich formach... do tych scenariuszy, wtedy może moglibyśmy uratować świat.

Lisa przez długi czas patrzyła na mnie bez słowa. Raz tylko kiwnęła głową, jakby na koniec, jakby nic, co powiedziałem, nie wstrząsnęło nią i jej nie zaskoczyło.

— Może inaczej patrz na tę sprawę mężczyźni — dodałem. — Zadzwoń którejś nocy na posterunek policji w San Francisco i spytaj, kto dokonuje najwięcej włamań i napaści. To my, osobnicy z testosteronem we krwi. — Moja pani zareagowała uprzejmym uśmiechem, ale sekundę później ponownie spoważniała. — Klub to fala przyszłości, dziecinko — powiedziałem. — Powinnaś być z niego bardziej dumna. Nikt nie może nas pozbawić naszej seksualności ani nam jej zakazać. Trzeba sobie swoją seksualność przemyśleć, a później nad nią panować i dawać jej upust w sposób cywilizowany.

Lisa wydała krótki, przejmujący okrzyk, potem zacisnęła wargi, lekko zmrużyła oczy, w końcu jej twarz znowu się rozjaśniła.

Skończyłem drinka i milczałem, obserwując pędzące po niebie obłoki.

W całym ciele czułem wibrację statku parowego, warkotu jego silnika, a nawet wspaniałe milczące falowanie rzeki. Wiatr się wzmógł, choć tylko nieznacznie.

— Naprawdę nie jesteś dumna ze swojego dokonania, prawda? — spytałem. — Mimo tego, co powiedziałaś ubiegłej nocy... Zgadza się?

Wydawała się ponura i zmartwiona, a jednak nieopisanie śliczna, gdy tak siedziała obok mnie, z brzegiem sukienki podciągniętej nad nagie kolana. Studiowałem przez chwilę długie, szczupłe, pięknie ukształtowane łydki, a następnie jej nieruchomą twarz.

Wiedziałem, że jest zamyślona i ożywiona, i pragnąłem, aby ze mną o tym porozmawiała, aby mi się zwierzyła ze swoich myśli.

— Ależ ty jesteś wspaniała — szepnąłem. — Kocham cię. Tak jak ci mówiłem ubiegłej nocy.

Nie odpowiedziała. Wpatrywała się w niebieskie niebo nad brzegiem. Odniosłem wrażenie, że własne myśli złapały ją w sieć.

Hmm... no i co dalej?

Odwróciła się do mnie.

— A zatem — stwierdziła — zawsze byłeś całkowicie świadom, czego pragniesz od Klubu. Zawsze miał dla ciebie wartość terapeutyczną.

— Terapeutyczną, psiakrew — przyznałem. — Jestem tylko człowiekiem, który składa się z ciała i krwi. Mocno się wsłuchuję w swoje ciało, może nieco uważniej niż większość ludzi. — Bardzo lekko dotknąłem palcami jej policzka. — Przez większą część mojego życia miałem wrażenie, że fizycznie jakoś się różnię od przeciętnych ludzi.

— Tak jak ja — powiedziała.

— Ho, ho, ho, ale jesteśmy gorący. — Mówiłem jak najpoważniej, wcale nie żartowałem.

— Tak — stwierdziła. — Czasem mi się wydawało, że eksploduję, jeśli moje pożądanie nie znajdzie ujścia. Że moje ciało już we wczesnym dzieciństwie zrobiło ze mnie przestępczynię.

— No właśnie. A dlaczego musimy być przestępcami? — Wstałem, odgarnąłem jej włosy z twarzy i delikatnie musnąłem wargami jej policzek. — Powiedzmy po prostu, że po tym przeżyciu w Salwadorze — oznajmiłem — kurczowo się chwyciłem przemocy symbolicznej. Wymiar terapeutyczny? Kto wie. Opętały mnie okrutne thrillery i programy telewizyjne, na które kiedyś nawet bym nie spojrział, w myślach natomiast stale rozgrywałem własne okrutne fantazje. Więc kiedy po raz chyba trzydziesty usłyszałem od kogoś o Domu Martina, zrobiłem

coś, o co nigdy bym siebie nie podejrzewał — poprosiłem rozmówcę: „Opowiedz mi o nim. Gdzie się znajduje? Jak zdobyć numer telefonu jego właściciela?”

— Gdy po raz pierwszy słyszysz o przybytkach takich jak Dom, nie wierzysz, że naprawdę istnieją — zauważyła Lisa. — Ani że bywa w nich tyle osób.

— Zgadza się. Jednak w gruncie rzeczy pobyt w Domu właściwie nie stanowił dla mnie terapii. To jest najlepsza część. W jednej z naszych pierwszych krótkich rozmów Martin powiedział mi, że nigdy nie stara się zanalizować niczych sadomasochistycznych pragnień. Zupełnie go nie obchodzi, dlaczego jedna osoba snuje fantazje z pejcami i łańcuchami, a drugiej przez całe życie nic podobnego nie przyjdzie do głowy. „Popracujemy nad tobą takim, jaki jesteś teraz”, oznajmił. Sądzę, że z czasem zacząłem odkrywać w sobie poszczególne warstwy! Wkraczałem pod nie, coraz głębiej, z coraz większym przerażeniem. Bo to było przerażające, a jednocześnie diabelnie rozkoszne. W Domu doświadczyłem najcudowniejszych i najbardziej interesujących przeżyć, jakie do tej pory miałem.

— Jest to swego rodzaju odyseja — przyznała Lisa. Otoczyła ręką mój kark. W porównaniu z chłodnym rzeczonym wietrzykiem jej palce były niesamowicie ciepłe.

— Tak, w pewnym sensie — zgodziłem się. — A kiedy usłyszałem o Klubie, rety, w ogóle nie mogłem uwierzyć, że ktoś miał odwagę zorganizować coś takiego na tak wielką skalę. Olśniło mnie. I dostałem obsesji na punkcie Edenu. Wiedziałem, że muszę się tam dostać, obojętnie, co będę musiał w tym celu zrobić. — Pocałowałem ją, przysuwając na mo — ment oczy. Otoczyłem ją ramieniem, przyciągnąłem do siebie i znowu pocałowałem. — Bądź z niego dumna — szepnąłem.

— Z czego?

— Z Klubu, mała, z Klubu. Miej dość odwagi, by odczuwać dumę — wyjaśniłem.

Popatrzyła niepewnie. Była zaskoczona, trochę zraniona i chyba rozrzewniły ją moje pocałunki.

— Nie mogę teraz myśleć o Klubie — odburknęła. — Nie mogę się nad nim zastanawiać.

Czułem, że się podnieca, widziałem, że wydyma ponętnie wargi.

— Rozumiem. Lecz bądź z niego dumna — powtórzyłem, całując ją nieco mocniej, w gryzając się w jej usta.

— Nie mówmy o tym więcej — poprosiła, przysuwając się do mnie, obejmując dłonią moją talię.

Rozgrzewaliśmy się coraz bardziej, pewnie buchało od nas gorąco, które mogłoby spalić każdego przypadkowego gościa przemierzającego pokład.

— Jak długo jeszcze musimy zostać na tej łajbie? — szepnąłem Lisie do ucha.

— Nie wiem — odparła. Jej oczy pozostały zamknięte, kiedy całowała mój policzek.

— Chcę być z tobą sam — szeptałem. — Chcę być sam z tobą w hotelu.

— Jeszcze mnie pocałuj — poleciła.

— Tak, pani.

Rozdział 25

Dama w moim życiu

W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się po wino i trochę smakołyków — kawior, krakersy, jabłka, bitą śmietanę, wędzone ostrygi. Kupiłem cynamon, masło, chleb, dużo francuskiego jogurtu, butelkę zimnego szampana marki „Dom Perignon” (najlepszego, jaki mieli; za pięćdziesiąt dolarów) i komplet kieliszków.

Kiedy dotarliśmy do pokoju, zamówiłem wiaderko z lodem, znów wyłączyłem klimatyzację i zamknąłem na zasuwę okiennice — identycznie jak pierwszego dnia.

Powoli nadchodził zmierzch, jaskrawy, słodki nowoorleański zmierzch. Niebo było krwistoczerwone, różowy oleander płonął wśród ogrodowej roślinności. Gorąco wisiało w powietrzu, jak to się nigdy nie zdarza na wybrzeżu. Ogarnęło mnie aksamitne ciepło. Pokój wypełniał się mrocznymi cieniami.

Lisa zmieła wszystkie informacje o telefonach i wyrzuciła. Usiadła na łóżku, biała sukienka sięgała jej zaledwie do pól uda, buty leżały już przewrócone w kącie. Wzięła dużą kryształową butelkę i perfumowała sobie ciało. Wmasowała zapach w szyję i w łydki, potem wtarła go między palce u nóg.

Wraz z lodem mały śliczny Mulat przyniósł kolejne karteczki z wiadomościami.

— Wyrzucisz je? — spytała Lisa, nawet na nie nie spojrzawszy.

Otworzyłem szampana i nalałem niemal tyle samo do dwóch kieliszków.

Usiadłem obok Lisy, objąłem ją, sięgając do guzików sukienki na plecach. Tym razem poczułem nie Chanel, lecz Chalandre. Aromat był błogi i obeszładniający. Wziąłem od Lisy butelkę, odstawiłem na stół, a mojej pani wręczyłem szampana.

Perfumy mieszały się ze słonecznym zapachem jej włosów i skóry. Umoczyła wargi w kieliszku.

— Tęsknisz za Klubem? — spytała.

— Nie — odparłem.

— Wiesz, za pagajami, rzemieniami i tym wszystkim... Nie tęsknisz?

— Nie — powtórzyłem, całując ją. — Chyba że zawładnęło tobą przemożne pragnienie stłuczenia mnie na kwaśne jabłko. W takim razie zdam się na twoją łaskę i niełaskę, pani, tak jak uczyniłby każdy dżentelmen. Jednak chodzi mi po głowie coś, co zawsze chciałem zrobić.

— Więc to zrób — powiedziała.

Zdjęła sukienkę. Jej opalona skóra wydawała się bardzo ciemna na tle bieli, a światło wystarczało, abym zobaczył truskawkowy róż jej sutków. Wsunąłem dłoń między jej nogi, obejmując łono i dotykając miękkich włosów łonowych, po czym wstałem i poszedłem do ciemnej małej kuchni.

Wróciłem z masłem i małym pudełkiem mielonego cynamonu.

Rozebrałem się. Lisa odchyliła się w tył. Patrzyłem na sterczące piersi i na długą, delikatną krągłość jej płaskiego brzucha opadającego aż do kępki ciemnych włosów.

Zarumieniła się wstydliwie.

— Co będziesz robił? — spytała, niemal lękliwie patrząc na masło i cynamon.

— Tylko taki drobiazg, który zawsze chciałem zrobić — odparłem, kładąc się obok niej, rozciągając jej ciało, wsuwając dłoń pod jej kark i całując moją panią. Na koniuszki palców prawej ręki nabrałem trochę masła. Było miłe w dotyku, miękkie od gorąca. Wtarłem je w różowe sutki Lisy, pieszcząc je i lekko ciągnąc. Kobieta oddychała głęboko, ciepło buchało od niej równie niewidoczne jak perfumy. Podniosłem do ust pudełeczko z cynamonem.

Wciągnąłem nosem ten cudowny zapach Wschodu, zapach zakazany, najdzikszy afrodyzjak, jaki kiedykolwiek wdychałem oprócz czystego aromatu męskiego lub kobiecego ciała. Roztarłem cynamon na sutkach Lisy.

Położyłem się na niej, przycisnąwszy twardy członek do jej uda, po czym zacząłem ssać i lizać jej piersi.

Gorąco jej podbrzusza niewiarygodnie grzało moje ciało. Lisa jęknęła, podniosła ręce i w spazmie rozkoszy ścisnęła moją głowę. Była dziko podniecona, równocześnie jednak wydawała mi się przerażona. Opierała się.

— Nie, nie, to za dużo — szepnęła. — Nie zniosę tego, nie zniosę. — Przerwałem, odgarnąłem jej włosy z twarzy. Czuję się teraz jak zwierzę, pragnąłem jedynie ją mieć, nic więcej. Przypomniało mi się, co mówiła wcześniej o przepasce na oczy, która wiele ułatwia. Sięgnąłem na dół i podniosłem krótką białą bawełnianą halkę, którą Lisa nosiła pod sukienką. Złożyłem halkę w szeroki pasek, zasłoniłem mojej pani oczy i zawiązałem przepaskę z tyłu. Rozprasowałem supeł, aż się zupełnie spłaszczył, potem położyłem głowę Lisy na poduszce.

Zrobiła długi, leniwy, głęboki wdech. Jej wargi rozchyliły się, wydęły, stały się miękkie, słodkie, rozkoszne. Czuję, że całe jej ciało odpręża się pod moim, jeszcze bardziej rozgrzewa i otwiera się dla mnie. Lisa objęła moją szyję i wysunęła ku mnie biodra.

Powiedziała coś cicho, szepnęła albo zamruczała. Tym razem, gdy lizałem jej pierś, zamykałem na niej usta, ssałem, leciutko przygryzałem zębami sutek i gładziłem ją, jęczała i przyciskała swoje ciało do mojego. Moje podniecenie sięgało zenitu, toteż musiałem się trochę unieść, odsunąć penis od jej uda, od jej wilgotnego gorąca, w przeciwnym razie orgazm przyszedłby zbyt szybko. Lisa wydawała ochryple okrzyki; gdyby usłyszało je dziecko lub zakonnica, pomyśleliby, że moja kochanka cierpi. Uwalniała się w niej jakaś nowa emocja.

Znów wziąłem w palce nieco miękkiego masła i wsunąłem je w jej pochwę, potem roztarłem je na jej łonowych włosach i wargach sromowych. Następnie wcierałem cynamon w jej łechtaczkę. Lisa szeroko rozłożyła nogi i pozwalała mi na wszystko.

— Zrób to, zrób to... — szeptała, tak przynajmniej mi się wydawało.

Byłem straszliwie rozpalony i sądziłem, że dłużej nie wytrzymam. Przynaląłem twarz między jej nogi, otaczając się jej zapachem, jej czystym, cudownym zapachem zmieszonym z aromatem masła i cynamonu.

Zacząłem zlizywać cynamon pod łechtaczką, otwierając ją językiem, przesuwając język w górę, a potem zamykając na niej usta, zamykając usta na jej wargach i w końcu ssąc.

Lisa poruszała się, jakby ze mną walczyła, jakby usiłowała zacisnąć nogi. Była teraz całkowicie moja. Wiła się, unosiła biodra, lecz w gruncie rzeczy nie opierała mi się. Należała do mnie. Zjadłem masło, zjadłem cynamon i dotarłem do oszałamiającego, podniecającego smaku kobiety, do jej płynów i jej gorąca. Lisa niemal łkała z rozkoszy. Szepnęła, że będzie szczytować.

Położyłem się na niej, wsunąłem członek w jej napiętą cipkę i natychmiast w niej eksplodowałem. Orgazm przeżyliśmy w tej samej chwili. Policzki Lisy były szkarłatne, biała bawełniana przepaska połyskiwała w mroku, wargi mojej pani drżały. Coś wypowiedziała — przekleństwo lub fragment modlitwy; do mnie dotarło tylko słowo „Bóg”.

— Wymów moje imię, Liso — poprosiłem.

— Elliott — powiedziała raz i drugi. Jej pochwa więziła mnie, drząc tak samo jak jej usta. Leżałem w niej nieruchomo.

* * *

Po krótkiej chwili wstałem i poszedłem pod prysznic. Przyjemny, dobry strumień ciepłej wody. Mała, biała łazienka natychmiast zaparowała. Namydliłem się powoli, rozmyślając o wszystkim, próbując się otrząsnąć z pomysłowego, otepiałego zamroczenia.

Lisa zaskoczyła mnie, pojawiając się niespodziewanie za szklanymi drzwiami. Rozsunąłem je dla niej.

Weszła. Również wyglądała na senną. Włosy miała rozczochrane i poplątane, więc wciągnąłem ją pod prysznic, mocząc je. Wtarłem mydło w gąbkę i zacząłem myć Lisę, trąc gąbką jej ramiona i piersi, delikatnie, lecz starannie zmywając całe masło, i widziałem, jak Lisa się budzi, ożywia, a równocześnie traci kontrolę.

Teraz ona całowała moje sutki, po czym zaczęła je gładzić dłońmi. Objęła mnie i się do mnie przytuliła. Całowałem ją po szyi, woda spływała po naszych ciałach. Pieściłem jej seks namydloną gąbką, myjąc Lisę powolnymi, szorstkimi posunięciami.

— Chodź — szepnąłem — chodź w moje ramiona. Chcę widzieć, jak dochodzisz. — Nie sądziłem, że tak szybko zechcę się znów zacząć kochać. Nie wiedziałem, że jestem w tak doskonałej kondycji i mogę uprawiać miłość trzy, cztery razy dziennie. Tak było w Klubie i tak było tutaj. Czułem się szczęśliwy. Uwielbiałem mieć Lisę przy sobie, jej nagie, śliskie, drżące ciało, jej ociekające wodą włosy. Wspięła się na palce i jej płeć otworzyła się dla mnie. Lisa wyciągnęła rękę ku moim pośladkom, przez chwilę masowała okolice odbytu, otwierając również mnie dla siebie, po czym bardzo delikatnie wsunęła dwa palce do środka.

Ogarnęła mnie surowa, niewypowiedziana przyjemność. Lisa wsuwała palce coraz głębiej i głębiej, tak jak sztucznego fallusa podczas naszego pierwszego stosunku w Klubie, dotykając właściwych miejsc i naciskając właściwe punkty.

Odrzuciłem gąbkę i wszedłem w Lisę. Szczytowała, gwałtownie dygocząc. Jej otwarte usta dotykały mojego policzka. Szlochała. Posuwałem ją opartą o białe kafle, a jej palce pozostały w moim odbycie. Kolejny jej orgazm zaczął się przed końcem poprzedniego. Piersi miała równie zaczerwienione jak twarz, policzki upstrzone kropelkami wody, włosy ściśle oblepiały jej ramiona i plecy.

— To właśnie miałem na myśli, gdy mówiłem, że cię kocham — wyjaśniłem.

Nie odpowiedziała. Gorąca woda zalewała nas i nasze własne ciepło. Twarz Lisy, jej usta całujące moje, jej głowa na moim ramieniu. „Wystarczy”, pomyślałem. „Na więcej mogę poczekać”.

* * *

Lokal „River Queen Lounge” był przyjemnie zatłoczony, a jednak Lisa okazała się najbardziej zachwycającą kobietą w całej sali.

Miała na sobie małą czarną sukienkę od Saint Laurenta i sandaalki z cieniutkimi paskami. Jej włosy pozostały potargane i w artystycznym nieładzie. Dzięki diamentom jej szyja wyglądała na dłuższą; wydawała mi się nieco egzotyczna i miałem ochotę ją gryźć. Sam też prezentowałem się nieźle w czarnym smokingu. Jednak zapewne nie dlatego wszyscy na nas patrzyli.

Zachowywaliśmy się jak młoda para, zaczęliśmy się migdalić, gdy tylko zamówiliśmy drinki, a tańcząc na parkiecie, lepiliśmy się do siebie, kręcąc się powoli wśród mężczyzn i kobiet w poliestrowych strojach.

„Lounge” był lekko przyćmiony, pełen pastelowych świateł, za oknami błyszczał Nowy Orlean niczym połyskliwy ocean. Przygrywał nam zespół latynoamerykański, snując rytmiczną, zmysłową muzykę, najlepszą muzykę do tańca.

Szampan szumiał nam w głowach. Dwukrotnie zachęcałem zespół do grania studolarowym banknotem, a muzycy odwodzili się rumbą, cza-czą i wieloma innymi gatunkami, do

których nigdy przedtem nie tańczyłem. Biodra Lisy pięknie się kołysały pod czarną sukienką, piersi drżały w jedwabiu, stopy śmigały na wysokich szpilkach.

Co jakiś czas dopadały nas prawdziwe ataki śmiechu.

Po kolejnej cza — czy wróciliśmy do stołu zgięci w pół od śmiechu.

Piliśmy różne lepkie, wstrętne, śmieszne koktajle dla turystów. Drinki z ananasem, małymi papierowymi kapelusikami, kolorowymi słomkami, solą, cukrem, wiśniami albo takie o dziwacznych nazwach, jak Sunrise, Voodoo czy Sazarac, co tylko chcieliśmy. Zamawialiśmy jeden po drugim. Jednak najmilej nam się zrobiło, kiedy siedzieliśmy przy stoliku, a zespół zaczął grać bossa novę. Śpiewak niezłe podrabiał Gilberta, szepcząc uspokajające portugalskie słowa, idealnie pasujące do narkotycznego rytmu, a my oboje aż się popłakaliśmy, dryfując wraz z muzyką, po czym się zerwaliśmy, wzięliśmy po łyku i ruszyliśmy na parkiet.

Około dwudziestej trzeciej zapragnęliśmy mocniejszych wrażeń i opuściliśmy lokal.

Wniosłem Lisę do windy. Chichotała mi w pierś.

Doszliśmy do Rue Decateur, gdzie znaleźliśmy jedną z nowych dyskotek, miejsce, którego nigdy bym nie połączył z Nowym Orleanem. Dyskoteka przypominała tysiąc innych na całym świecie. Duszno, tłumy i roziskrzone kolorowe światła. Parkiet był zatłoczony, ludzie młodzi, muzyka ogłuszająca. Na gigantycznym telebimie migotał Michael Jackson, wrzeszcząc: *Wanna Be Startin' Something*. Bez wahania wcisnęliśmy się na parkiet, skacząc i podrygując, kręcąc się w morzu ciał i pieszcząc się z nową energią. Nikt, absolutnie nikt nie był tutaj ubrany tak jak my. Wszyscy się na nas gapili, a my się po prostu bawiliśmy. Czysta przyjemność.

Zamówiliśmy drinki, lecz powolniejsze dźwięki *Electric Avenue* Eddiego Granta pociągnęły nas znów na parkiet. Ruszyliśmy w tan, nie zważając na otoczenie. Później była grupa Police z *Every Breath You Take* i *King of Pain*, po czym ekran pociemniał i wypełnił się *L.A. Woman* The Doors. To nie był taniec, lecz czysta wściekłość, konwulsje, chłostanie i wirowanie. Unosiłem Lisę znad ziemi, mokre włosy lepiły się mojej pani do policzków.

Nie tańczyłem tak od czasu, gdy jako student chadzałem na koncerty rockowe w San Francisco.

Piliśmy kolejne drinki, migające barwne światła to rozświetlały salę, to ją zaciemniały; tak z przerwami czasem widzi swoje otoczenie pijak, który właśnie się zsuwa z barowego stołka. Staraliśmy się ciągle tańczyć. Wirowaliśmy do Davida Bowiego, Joan Jett, Steviego Smitha, muzyki zespołu Manhattan Transfer i znowu do Michaela Jacksona śpiewającego jedną z tych słodkich, melodyjnych przytulanek. Lepiliśmy się do siebie, gdy śpiewał *Lady in My Life*. „Tak, dama w moim życiu”, pomyślałem.

Zaśpiewałem te słowa Lisie w ucho. Nie interesowała mnie już reszta rodzaju ludzkiego. Miałem wszystko, czego pragnąłem. Obejmowaliśmy się, stanowiąc jedno ciało, jedno ciepłe ciało, satelitę, wyrwanego na zawsze ze swej orbity, wysłanego w wieczną podróż własną niebiańską ścieżką.

— Szkoda mi reszty ludzi — powiedziałem. — Nie wiedzą, czym jest niebo. Nie wiedzą, jak do niego wejść.

* * *

O pierwszej wyszliśmy objęci i podryfowaliśmy wąskimi uliczkami, obok samochodów migających reflektorami na kocich łbach, obok lamp gazowych, starych hiszpańskich galerii i zielonych okiennic.

Byliśmy zmęczeni, wręcz wyczerpani i kiedy dotarliśmy do jednej z tych ulicznych latarni, które miały wyglądać jak stare lampy gazowe (szczerze uwielbiam te latarnie), otoczyłem Lisę ramionami i pocałowałem ją niczym marynarz poderwaną właśnie dziewczynę. To były

ostre, mokre pocałunki, wpychałem jej język do ust, dotykałem przez czarny jedwab jej sutków.

— Nie chcę wracać do hotelu — szepnęła, potargana i śliczna. — Wejdźmy gdzieś indziej. Nigdzie nie dojdę. Jestem zbyt pijana. Zajdźmy do Monteleone.

— Dlaczego nie chcesz wracać? — spytałem. Przypomniało mi się, że miała zatelefonować do Klubu. Wiedziałem, że nie dzwoniła. Nie spuściłem jej z oczu, chyba że szła do toalety.

— Nie chcę słyszeć dzwonka telefonu — wyjaśniła. — Chodźmy gdziekolwiek, na przykład do Monteleone, do jakiegoś pokoju hotelowego. Wiesz, jakbyśmy dopiero co się poznali. — Była bardzo niespokojna. — Proszę — nalegała — proszę, Elliotcie.

— W porządku, kochana — odparłem. Zawróciliśmy i poszliśmy do Monteleone. Dali nam pokój na piętnastym piętrze. Ściany obite perłowoszarą aksamitem, dywan od ściany do ściany, małe podwójne łóżko — jak w milionie starych i staromodnych amerykańskich pokoi hotelowych. Wyłączyłem światła, rozsunąłem zasłony i wyjrzałem na niskie dachy Dzielnicy Francuskiej. Piliśmy szkocką z butelki, którą kupiliśmy po drodze, a potem w ubraniu położyliśmy się na pościeli.

— Jedną rzecz chciałbym wiedzieć — szepnąłem jej w ucho. Przesunąłem palcem po brzeжку jej małżowiny. Lisa leżała obok mnie bezwładna jak torebka ze słodyczami i gorąca.

— Co? — spytała. Prawie zasypiała.

— Gdybyś była we mnie zakochana, gdybyś przywiozła mnie tu, ponieważ się we mnie zakochałaś, tak jak ja w tobie... Więc gdyby powodem była miłość, a nie szaleństwo, chwilowa fascynacja... niezrozumiała krótka fascynacja czy też załamanie nerwowe albo inna fiksacja... powiedziałaś mi? — Nie odezwała się. Leżała nieruchomo, chyba już spała. Jej ciemne rzęsy rzucały cienie na policzki, mała czarna sukienka od Saint Laurenta wyglądała jak wygodna koszula nocna. Lisa oddychała głęboko. Prawą ręką otaczała mnie, zaciskając palce na mojej koszuli, przez sen usiłując przyciągnąć mnie bliżej. — Do licha z tobą, Liso — warknąłem.

Reflektory jadącego ulicą samochodu przesunęły się po wytapetowanym suficie i zsunęły po ścianie.

— Taaak — odparła głosem ze snu. Na pewno nie wiedziała, co mówi.

Rozdział 26

Pożądanie w cieniu dębów

Nazajutrz byliśmy jedynymi osobami, które objeżdżały plantacje w wieczorowych strojach. Mało tego, byliśmy też jedynymi osobami, które w wieczorowych strojach jadły śniadanie w staroświeckiej kafejce.

Prywatna limuzyna zawiozła nas do Destrahan Manor, a potem do San Francisco Plantation i w końcu do plantacji Oak Alley w Saint Jacques.

Tuliliśmy się do siebie na dużym szarym aksamitnym siedzeniu i znów wymienialiśmy opowieści — o dzieciństwie, rozczarowaniach i snach. Czułem się nadnaturalnie, pędząc sto kilometrów na godzinę przez nizinny krajobraz Luizjany, wzdłuż wału przeciwpowodziowego stale skrywającego Missisipi, pod niebem niemal niewidocznym wśród zieleni.

Klimatyzacja pracowała bezgłośnie, a jednak rozkosznie chłodziła, my zaś przesuwaliśmy się w czasie tak nieodwołalnie, jak przemieszczaliśmy się w przestrzeni — przez bujną podzwrotnikową krainę.

W lodówce mieliśmy sporo trunków. Było też zimne piwo, kawior i krakersy. Włączyliśmy mały kolorowy telewizor i oglądaliśmy teleturnieje i mydlane opery.

I potem uprawialiśmy miłość, naprawdę cudowną miłość na kacu, bez przepasek na oczach i innych uduziwnień, po prostu leżąc na szerokim miękkim siedzeniu.

Przy Oak Alley ogarnął mnie wszakże jakiś nastrój — może dlatego, że jest to jedna z najwspanialszych plantacji Luizjany, jaką kiedykolwiek widziałem. A może po prostu nareszcie miałem czas pomyśleć.

Oak Alley miała prawdziwą alejkę obsadzoną dębami aż do frontowych drzwi jednego z tych domów o doskonałych proporcjach, z centralnym korytarzem i schodkami. Kiedy spacerujesz po takim idealnym domu, wszystkie inne wydają ci się chaotyczne. W przypadku Oak Alley chodzi nie tylko o okazałość. Także o kolor światła przenikającego przez gałęzie dębów, o wysoką trawę, w której niemal toniesz, gdy obchodzisz dom, o bydło rasy czarny angus milcząco przeżuujące w oddali trawę i gapiące się na człowieka jak duchy z egzotycznej przeszłości, o piękne rzeczy, okrągłe kolumny, wysokie ganki i ciszę panującą wszędzie, dzięki której doznajesz uczucia, że odszedłeś jeszcze krok dalej od nieziemskiego Nowego Orleanu i trafiłeś do kolejnego czarownego miejsca.

Podczas zwiedzania plantacji milczałem uparcie, ponieważ musiałem sobie przemyśleć własne doznania.

Byłem w Lisie zakochany. Wyznałem jej miłość przynajmniej trzy razy. Lisa miała wszelkie cechy, których zawsze pragnąłem u kobiety, przede wszystkim była zmysłowa, poważna, inteligentna, szczerą i boleśnie uczciwą na swój własny sposób; i może dlatego również teraz milczała. Na dodatek była piękna, niemiłosiernie piękna. Okazała się pierwszą kobietą, którą — czy opowiadała o swoim ojcu, o filmach, które kochała, czy w ogóle nic nie mówiła, czy tańczyła, śmiała się, czy też wyglądała przez okno — uważałem za równie interesującą jak mężczyzn.

Może gdyby Martin tu był, powiedziałby: „Uprowadzałem cię, Elliotcie. Przez cały czas szukałeś właśnie jej”.

Być może, Martinie, być może. Ale jak ty lub ktokolwiek inny mógłby to przewidzieć?!

No dobrze, po prostu cudnie. Lisa wyrwała nas oboje z Klubu w sposób gwałtowny, spontaniczny i romantyczny — dokładnie tak, jak miałem nadzieję pierwszej nocy. Było dla

mnie jasne, że mogły istnieć jedynie trzy powody takiego postępowania, właśnie te, które zasugerowałem wczoraj w Monteleone, gdy próbowałem z nią porozmawiać, lecz ona już spała. Albo odwzajemniała moje uczucie, albo przeżywała złamanie nerwowe, albo po prostu się mną zauroczyła. W końcu przepracowała sześć lat w Klubie, gdzie można urzeczywistnić większość swoich fantazji, prawda?

Wiedziałem, że nie poda mi swoich powodów, obojętnie, jakie były.

Kiedy wyznałem jej miłość, popatrzyła na mnie z czułością i zrozumieniem. Pragnąłem takiej reakcji. A jednak mi nie odpowiedziała. Z niczego się nie zwierzyła. Niczego nie wyjaśniła. Nie potrafiła zanalizować własnych emocji bądź też nie chciała mi o nich powiedzieć.

Okej. Więc co zrobię? Zabawne, ponieważ nawet tak uparty, cichy i zamyślony, byłem naładowany miłością do niej i szaleństwem naszych wcześniejszych rozmów i pocałunków. Nic nie zbladło, nic nie wyglądało gorzej. Tylko... co mam zrobić?

Kiedy opuściliśmy Oak Alley i limuzyna, kołysząc się, wyjechała z drogi dojazdowej na nadrzeczną, wydawało mi się, że powinienem się cieszyć z takiego układu; wielu mężczyzn by się cieszyło. Seks i zabawa bez zobowiązań, niczym nie skrępowany romans. Jednak w naszej sytuacji i w tej kwestii to Lisa zachowywała się jak mężczyzna. Ja zaś, cholera, zachowywałem się jak kobieta i chciałem, aby Lisa mi powiedziała, na czym stoję.

Byłem niemal całkowicie przekonany, że jeśli ją przycisnę, jeśli chwycę ją za ramiona i krzyknę: „Słuchaj, musisz mi powiedzieć. Nie możemy zrobić następnego kroku, jeśli nie powiesz mi, na czym stoimy”... Cóż, sądzę, że istniało pięć — dziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że takim żądaniem wszystko zniszczę. Pół na pół. Mogłaby mi powiedzieć coś tak rozczarowującego i zwyczajnego, że po prostu bym się załamał.

No cóż, wiedza nie była warta utraty Lisy, nie dla mnie. Przynajmniej nie, póki trwała przytulona do mnie, a ja mogłem ją całować, pieprzyć, kochać i rozmawiać z nią. I żywić w myślach cichą nadzieję, że ta kobieta może akurat zmieniać całe moje życie.

Postanowiłem więc, że będę dalej ją kochał i przestanę się dopytywać. Tak zdecydowałem. Czułem się podobnie jak tego pierwszego pijackiego ranka, gdy powiedziałem, że Lisa może mnie zranić. Podobnie. Tyle że obecnie byłem za bardzo podekscytowany i zbyt wiele rzeczy przychodziło mi do głowy, więc nie myślałem już tak sentymentalnie.

Zacząłem planować najbliższe posunięcia. Powinienem zadzwonić do agenta nieruchomości w sprawie kupna domu w Garden District. Musiałem też zatelefonować do ojca i sprawdzić, czy żyje i czy na przykład nie zabił mojej matki. Należało też kupić inny aparat fotograficzny.

Czy to było wszystko?

Nawet nie spytałem jej, dlaczego nie wracamy do hotelu, czego tak naprawdę unikamy i co Klub chce nam zrobić.

Jednak po wyjeździe z Oak Alley Lisa poleciła kierowcy zjechać do krainy zalewisk, czyli do Saint Martinsville, i już wiedziałem, że rozpoczęliśmy ucieczkę.

* * *

Zatrzymaliśmy się przy jednym z tych dużych, typowo amerykańskich przydrożnych sklepów dyskontowych i kupiliśmy kosmetyki, szczoteczki do zębów i najprawdopodobniej najtańsze ubrania, jakie można znaleźć w Stanach.

W motelu w Saint Martinsville nałożyliśmy szorty khaki i białe koszule, po czym poszliśmy — pod rękę jak prawdziwi kochankowie — w wilgotne zielone głąbie spokojnego, nieskończonego Evangeline State Park.

Było to kolejne nawiedzone miejsce — kraina porośnięta wspaniałymi, ogromnymi i pięknymi trzystu — i czterystuletnimi dębami, które uważa się za ósmy cud świata. Trawa ma

tu miękkość aksamitu, niebo prześwituje przez gałęzie jak fragmenty wypolerowanej porcelany, migocze wśród liści i kęp mchu niczym sięgające aż do ziemi włosy starych kobiet. Podobnie jak w Oak Alley, cały świat wydaje się tu mroczny, cichy i zielony.

Nie używaliśmy ani cynamonu, ani masła, gdy — tak jak w limuzynie — kochaliśmy się w małym wytapetowanym motelowym domku. Mieliliśmy zimne piwo (trzymaliśmy je w lodzie w łazienkowej umywalce), krótkie pogniecione firanki poruszały się w wilgotnym strumieniu grzechoczącego klimatyzatora, a my niemal sięgnęliśmy księżycy i gwiazd.

Wolniej, bardziej słodko i bardziej dziko kochaliśmy się całe późne popołudnie. Pocałunki, westchnienia i ciche słowa wypowiedane wśród poobijanych mebli przywodzących na myśl domek dla lalek, a światło wpadające przez brudne, kruche, stare, żółte okiennice i pogniecione firany stawało się coraz bardziej złote, aż zapadł zmrok.

Rozmawialiśmy o typie kobiety, z którą, jak sądziłem, wezmę ślub: prymitywna, bardzo egzotyczna, jak ta, z którą żyłem krótko w Sajgonie. Obsługiwała mnie na czworakach i nigdy nie zadawała żadnych pytań. Kwiaciarka Goethego, Tahitanki Gauguina. Ach, smutek, wrogość, niechęć, rozpacz. Bezsensowne pomysły. Nigdy nie byłem na tyle głupi, by nazwać te rojenia snem.

Lisa nie skomentowała mojego słowotoku. Wyglądała cudownie w szortach khaki, koszuli i sandałach z rzemyków, które kupiliśmy w dyskontowym markecie. Uperfumowała się Chantilly, taniutkimi i słodkimi, nabytymi w tym samym sklepie. Chciałem sfotografować jej twarz w cieniu — wydatne kości policzkowe, wklęsnięcia pod policzkami, ślicznie wydęte czerwone wargi.

W końcu mi odpowiedziała:

— Nigdy właściwie nie myślałam, że wyjdę za męża. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że kogoś pokocham. Nigdy nie sądziłam...

Usiadła nieruchomo, wyglądała na przerażoną, a ja uparcie na nią patrzyłem, powtarzając sobie w myślach: „Nie, do cholery, nie spytam, nie będę się powtarzał”.

Byłem głodny. Miałem ochotę na posiłek Cajunów, prawdziwe jedzenie Cajunów, dzambalaje, krewetki i czerwoną fasolę. I posłuchać ich głupkowatej, ostrej muzyki, nosowego, wysokiego śpiewu, może nawet wyszukać jakiś mały bar, w którym moglibyśmy potańczyć.

— Zamierzam kupić ten dom w Garden District — powiedziałem.

Lisa zbudziła się, jakby ktoś pociągnął za sznurek, usiadła i zapatrzyła się w dal.

— Będzie kosztował z milion dolarów — zauważyła. Oczy miała szkliste i dziwne.

— No i co z tego? — spytałem.

Wzięliśmy razem prysznic i nałożyliśmy kolejne szorty, koszule i sandały ze sklepu dyskontowego. Po chwili byliśmy gotowi do wyjścia.

Wtedy zdarzyło się coś głupiego, no, przynajmniej dziwnego.

W pokoju pojawił się nagle jeden z tych wielkich, brązowych, okropnych, typowych dla Luizjany karaluchów. Lisa podskoczyła na łóżku i zaczęła wrzeszczeć, po prostu wrzeszczeć, owad zaś spokojnie przemierzał pokój, człapiąc po nierównym dywanie z poliestru.

Podobno te insekty to właściwie prusaki, tak mi w każdym razie powiedziano. Jednakże wszyscy znani mi mieszkańcy Luizjany zawsze nazywali je karaluchami i wszyscy — z tego co wiem — mimo iż od urodzenia je widują, krzyczą jak szaleni na ich widok.

Osobiście zupełnie się nie boję karaluchów, toteż gdy Lisa wrzeszczała, będąc o krok od autentycznej hysterii, drąc się:

„Zabij go, Elliotcie, zabij! Zabij go! Zabij!”, z wielką przyjemnością podszedłem do robala, podniosłem go z dywanu i byłem gotów wyrzucić na dwór. Taki pomysł uważałem za znacznie lepszy niż zabijanie stworzenia, szczególnie że po uderzeniu w niego rozlega się obrzydliwy „strzelający” odgłos, zginięcie natomiast jest jeszcze gorsze. Nie lubię zabijać owadów, ale nie mam nic przeciwko podnoszeniu ich i wyrzucaniu.

Tyle że ten czyn podnoszenia karalucha niczym ómy i wynoszenia go sprawił Lisę w katatoniczny stan milczenia. Przez długą chwilę siedziała z rękami na ustach i patrzyła na mnie, nie mogąc uwierzyć w to, co robię. A ja z kolei wpatrywałem się w nią. Niespodziewanie opuściła ręce i — blada, spocona i roztrzęsiona — powiedziała:

— Nieźle, kurde, pieprzony samuraj, pan Wielki Macho podnosi cholernego karalucha gołym łapskiem!

Nie wiem, co dokładnie czuła. Może widok karalucha w moim ręku po prostu nią wstrząsnął, przestraszył ją i zdenerwował. Nie wiem.

Jednakże jej wściekły, pogardliwy i ironiczny ton sprawił, że bezwiednie — prawdopodobnie poirytowany jej wcześniejszym osobliwym wrzaskiem — zaproponowałem:

— Wiesz co, Liso? Chyba wrzucę ci tego karalucha za koszulę.

Wtedy kompletnie oszalała.

Wrzeszcząc w ten sam sposób, co wcześniej, naprawdę wrzeszcząc, popędziła do nędznej, małej łazienki, zatrzasnęła za sobą drzwi i zasunęła zasuwkę. A zza drzwi dotarły do mnie histeryczne obelgi, błagania i najbardziej nieszczęśliwe i spazmatyczne szloch, jakie w życiu słyszałem.

No cóż, wiedziałem, że sytuacja bynajmniej Lisy nie bawi, że moja pani jest wyłącznie przestraszona. A ja zadrwiłem z niej jak kanalia.

Później przez całą godzinę nie mogłem jej namówić, by wyszła. Wyrzuciłem karalucha na zewnątrz, a później zabiłem drania. Był martwy! Już nigdy nie przerazi żadnej wspaniałej panią z pozbawionego karaluchów Berkeley w stanie Kalifornia. Nie zostało go nawet dość na karaluchowy pogrzeb. Insekt nie żył. Przeprosiłem Lisę i zapewniłem ją, że na pewno nie zrobiłbym czegoś takiego, naprawdę, że moje stwierdzenie było okrutne i nikczemne.

A kiedy się wreszcie trochę uspokoiła i zaczęła wierzyć w moje słowa, w moje zapewnienia, że rozumiem, jak okropnie się zachowałem, nie mogłem, po prostu nie mogłem odmówić sobie rzucenia jakiejś krótkiej szyderczej uwagi w stylu: „Oczywiście, że nigdy nie wrzuciłbym ci za koszulę wielkiego, lepkiego, brzydkiego, wielonożnego, wijącego się brązowego karalucha!”

Wiedziałem, że nie powinienem jej tego robić, że postępuję sadystycznie, jednak jej lęk wydawał mi się tak cholernie zabawny i po prostu nie potrafiłem się powstrzymać przed uprzedzeniem jej (choć, ma się rozumieć, żartowałem), że: „Oczywiście, że wcale nie chciałem ci go wrzucić, Liso, chyba nie sądzisz, że zamierzałem popracować nad twoim strachem poprzez jakiś sadomasochistyczny scenariusz, w którym wrzucałbym ci karalucha za koszulę. Nie zemściłbym się w taki sposób tylko za to, że wbrew moim błaganiom zawiązałaś mi oczy przy pręgiem w pasażu sportowym, na pewno nie, moja droga!”

W końcu wszakże poprosiłem ją, by wyszła:

— Liso, opuść wreszcie łazienkę. Przrzekam, że nigdy bym nikomu niczego takiego nie zrobił. Nigdy nie zrobiłem i nigdy nie zrobię! Mówię poważnie. Wierz mi. — Teraz już nie żartowałem. Jednak Lisa ciągle nie otwierała drzwi. — Posłuchaj, kochana. Jesteśmy przecież w Luizjanie. Jak się zachowasz, gdy następnym razem zobaczysz to stworzenie? — Płacz. — A co zrobiłaś poprzednim razem w takiej sytuacji, gdy nie było mnie przy tobie? — Głośniejszy płacz. — Na razie jestem z tobą i będę wyrzucał wszystkie karaluchy, które tu wejdą, dobrze? Lepiej pogódź się ze mną natychmiast, w przeciwnym razie może nie zechcę zabijać dla ciebie insektów. — Straszliwy płacz. — A jeśli jest jakiś w łazience, jeśli właśnie wychodzi spod linoleum albo ze szczeliny w ścianie? — Przeróżliwy, smutny, straszny płacz.

— Nienawidzę cię, Elliotcie — oświadczyła niskim, donośnym, rozemocjonowanym głosem. — Nie rozumiesz tego. Nie wiesz, jak to jest. Nie możesz sobie wyobrazić, co czuję. Przysięgam na Boga, że cię teraz nienawidzę. Autentycznie cię nienawidzę. Tak!

— Liso, przepraszam! Dochodzi dziewiętnasta. Zapada zmrok. Tkwimy zagrzebani na tych pieprzonych zalewiskach. Jestem głodny. Wyjdź! W porządku, Liso, jeśli nie wyjdiesz, pan Wielki Macho roztrzaska zaraz te pieprzone drzwi.

Nie wyszła.

Tak jak obiecałem, roztrzaskałem drzwi.

Co zresztą okazało się dziecinnie proste. Zawiasy były skorodowane i słabe, więc kiedy uderzyłem w drzwi drewnianym krzesłem, zawiasy po prostu się oderwały od futryny. Drzwi leżały przed Lisa wśród fragmentów złuszczonej farby, a moja pani stała z założonymi rękoma na zamkniętym sedesie i bez słowa się na mnie gapiła. Futryna była w strasznym stanie.

— Zobacz, kochana — stwierdziłem, pokazując otwarte dłonie. — Żadnych karaluchów. Przysięgam. — Stałem bez ruchu, uśmiechałem się do niej i cicho ją błagałem. Wykonałem kilka gestów, sugerując, by Lisa zeszła z sedesu i podeszła do mnie, aż w końcu zeskoczyła i z płaczem wpadła w moje ramiona.

— Chcę wyjechać z tego ohydneho motelu — jęknęła, a ja trzymałem ją przy piersi, całowałem i odgarniałem jej włosy z czoła, po czym znów ją przeprosiłem. Łagodnie, gorąco, bezradnie zaczęła na nowo płakać.

W tym nadzwyczajnym, rozkosznym momencie znowu poczułem się jak kanalia.

Kierownik motelu walił w drzwi, a jego żona krzyczała.

Zebrałiśmy rzeczy. Kierowca już czekał przed wejściem. Dałem kierownikowi studolarowy banknot na pokrycie kosztów — tów i oświadczyłem drwiącym, władczym tonem: „Może lepiej niech pan zacznie wynajmować pokoje gwiazdom rocka”. W samochodzie pękaliśmy ze śmiechu.

— Pieprzeni hipisi! — warknął kierownik. Od śmiechu o mało nie dostaliśmy hysterii. Trzydzieści kilometrów za miastem znaleźliśmy świetną przydrożną restaurację z cudownie chłodzącą klimatyzacją i pełnym tutejszym menu. Była tu przyrządzona na sześć różnych sposobów langusta, dzambalaja i zimne piwo, a także szafa grająca z kakofoniczną cajuńską muzyką, której chciałem posłuchać. Napychałem się jak świnia.

* * *

Godzinami jechaliśmy na północ.

Pieszcząc się, czasem rozmawiając. Noc zapadła, a nas nie obchodził cel podróży. Limuzyna kołysała nas jak statek.

Gdy znów poczuliśmy lekki głód (raczej ja niż Lisa; Lisę stale zdumiewało, że jestem tak często głodny), zajechaliśmy do samochodowego kina, dzięki czemu kierowca mógł się przespaciać na tyłach, my zaś zamówiliśmy hot dogi oraz prażoną kukurydzę i oglądaliśmy część drugą *Mad Maxa* z podtytułem *The Road Warrior*, australijski film w reżyserii George'a Millera z Melem Gibsonem w roli głównej. Wbrew ironicznemu, sarkastycznemu, antymęskiemu dowcipom mojej towarzyszkii dzieło uznałem za wspaniałe.

Wypiłem chyba cały sześciopak piwa. Pod koniec drugiego filmu przysypiałem. Lisa uruchomiła samochód.

— Dokąd jedziemy? — spytałem sennie. Ledwie widziałem, co się dzieje.

— Prześpij się — odparła. — Kierujemy się ku nieznanym częściom kraju.

— Części nieznanne — mruknąłem. Strasznie mi się to podobało.

Było mi dobrze. Owiewało mnie chłodne powietrze z otworów klimatyzacyjnych. Przytuliłem się do Lisy, maksymalnie wyciągnąłem nogi. Noc była mirażem.

Rozdział 27

Zachować ciepło

Przebudziwszy się, zauważyłem, że słońce świeci przez przednią szybę, a auto pędzi co najmniej sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Szofer nadal spał na tylnym siedzeniu.

Rzuciłem jedno spojrzenie na otaczającą nas okolicę i wiedziałem, że nie jesteśmy już w Luizjanie. A gdy powtórnie zerknąłem przed siebie, miałem pewność, że widniejące na horyzoncie wieżowce mogą znajdować się tylko w jednym jedynym mieście na świecie. Dojeżdżaliśmy do Dallas w stanie Teksas. Niemal dostrzegąłem unoszące się nad asfaltem gorąco.

Nie patrząc na mnie i nie zdejmując z gazu długiej, gołej, delikatnej, opalonej na brązowo nogi w krótkich szortach khaki, Lisa podniosła zza siedzenia srebrny termos i rzuciła mi go.

— Kawa, niebieskooki — powiedziała.

Wypiłem duży łyk gorącej kawy i wpatrzyłem się w przednie okno, z respektem dla tego niesamowitego teksańskiego nieba wypełnionego ogromnymi, sięgającymi stratosfery iryzującymi chmurami, z których przebijały promienie słońca, zabarwiając jasny falisty teren na odcienie różu, żółci i złota.

— I co dokładnie tu robimy, moja piękna? — Pochyliłem się i pocałowałem jej gładki, miękki, śliczny policzek.

Już wjeżdżaliśmy w płataninę wspaniałych autostrad, z których słyneło Dallas, już przesuwalimy się wśród rzędów gigantycznych budynków ze szkła i stali. Wszędzie wokół widziałem futurystyczne budynki, wszystkie idealnie czyste i solidne, a od setek ich pozbawionych najmniejszej skazy ścian odbijały się sunące obłoki.

Lisa radziła sobie w ruchu ulicznym jak wyścigowy kierowca.

— Słyszałeś kiedyś o lokalu zwanym „Billy Bob’s Texas”? — spytała. — W Forth Worth? Chcesz pójść tam potańczyć dziś wieczorem?

— Do diabła, czytasz w moich myślach, dziewczyno — odparłem. Wziąłem kolejny łyk kawy. — Niestety zostawiłem moje buty z wężowej skóry w Nowym Orleanie.

— Kupię ci nowe buty z wężowej skóry — zadeklarowała się.

— A co ze śniadaniem? — Znów ją pocałowałem. — Taki facet jak ja musi mieć rano płatki, jajka na szynce i naleśniki. Pełen zestaw.

— Rany, Slater, ty myślisz wyłącznie o żarciu.

— Nie bądź zazdrosna, Liso Kelly — odciąłem się. — Przecież ciebie kocham bardziej od jedzenia. Tylko ciebie.

* * *

Zatrzymaliśmy się w dużym, krzykliwym, srebrnym hotelu Hyatt Regency na tyle długo, by zdążyć się pokochać pod prysznicem. Posadziliśmy kierowcę przed kolorowym telewizorem w wynajętym dla faceta pokoju, a sami popędziliśmy na zakupy do Neimana, Sakowitza i eleganckich centrów handlowych, charakteryzujących się szklanymi sufitami, fontannami, drzewkami figowymi, srebrnymi ruchomymi schodami i kompletnym asortymentem — od diamentów po tanie, niezdrowe jedzenie.

Utknąłem w księgarni „B. Dalton”, szukając jakichś dobrych książek, najchętniej ulubionej, starej beletrystyki, którą mógłbym przeczytać Lisie, gdyby mi pozwoliła. A Lisa ciągle wybierała dla mnie niebieskie, lawendowe i liliowe ubrania: golfy, aksamitne kurtki,

koszule do fraka, a nawet garnitury. Kazałem jej kupić udziwnione sandały na wysokim obcasie, zapiąłem jej je sam w sklepie i skłoniłem przynajmniej do przymierzenia każdej ładnej białej sukienki, jaką dostrzegłem.

Późnym popołudniem znaleźliśmy w „Cutter Bill’s” części garderoby, których szukaliśmy: kowbojskie koszule z perłowymi guzikami, ozdobne paski, obcisłe jak druga skóra Wranglery i buty marki Mercedes Rio de Janeiro.

Było już ciemno, gdy stanęliśmy przed „Billy Bob’s Texas”. W środku panował ścisk. Mieliśmy na sobie identyczne aż po kapelusze stroje i przechadzaliśmy się niczym para tubylców; tak w każdym razie sądziliśmy. Kto wie, jak naprawdę wyglądaliśmy? Jak dwoje wariacko w sobie zakochanych ludzi?

Długa chwila minęła, zanim pojałem, że znaleźliśmy się w „pomieszczeniu” wielkości miejskiego kwartału. Były tu sklepy z pamiątkami, stoły bilardowe, restauracje i bary, a nawet zadaszona arena rodeo... oraz tysiące ludzi jedzących, pijących i tłoczących się na parkiecie w tańcu do nieprzerwanej muzyki granej na żywo przez zespół country and western. Rytm były głośne i natychmiast zaczęło mnie ciągnąć do tańca.

W ciągu pierwszej godziny przetańczyliśmy wszystkie numery — szybkie, wolne, pośrednie — popijając piwo wprost z butelki i naśladując ludzi obok nas. W końcu ta poprawność nam się znudziła i zaczęliśmy pisać po parkiecie, otaczając jedno drugie za szyję, wirując w walcu, kołysząc się, snując się policzek przy policzku, lepiąc się przy najwolniejszych kawałkach. Wydawało mi się nagle nienormalne, że kobiety zazwyczaj noszą sukienki, że kochankowie nie wyglądają dokładnie tak samo — jak w tej chwili my. Ledwie mogłem utrzymać ręce z dala od cudownych małych pośladków Lisy w opiętych dżinsach i od jej piersi wydymających się pod obcisłą koszulą. Włosy mojej pani pozostały tą piękną kobiecą grzywą, tą jedwabistą ciemną woalką spływającą na ramiona. Gdy Lisa nasunęła kapelusz na oczy i oparła się o drewnianą poręcz, ze skrzyżowanymi kostkami i kciukami zaczeponymi o kieszenie, miałem ochotę natychmiast i znowu się z nią kochać. Więc pozostał mi tylko taniec.

Arena rodeo prezentowała się autentycznie i całkiem niezłe. Uwielbiałem zapach takich miejsc i dźwięk ciężko stąpających zwierząt. Lisa kilka razy zakrywała twarz, kiedy jeźdźców o mało nie podeptały konie.

Później poszliśmy do części restauracyjnej na duże, soczyste hamburgery z frytkami, a około dwudziestej trzeciej odkryłem, że moja pani potrafi grać w pool bilard.

— Dlaczego mi, do diabła, nie powiedziałeś? — spytałem. Nadszedł czas na poważny hazard.

Do północy Lisa wygrała ode mnie trzy miliardy dolarów! Ze śmiechem wypisałem jej czek.

Bolały mnie stopy, a jednak dalej się kręciłem w przyćmionych żółtych światłach, podrygując do nie końącego się łomotu muzyki i głębokiego, słodkiego, sentymentalnego niskiego głosu Lindy Ronstadt śpiewającej stary przebój *Faithless Love*. Jeszcze jeden taniec.

— Sadosochistyczne buciory — mruknąłem w końcu. — Może schwytasz mnie na lasso i zaciągniesz do auta, żebym nie musiał iść?

— Nie żartuj — oceniła. — Sama wyjdę stąd chyba w skarpetkach. Chodź, kowboju. Czas pofiglować.

* * *

Nieco po ósmej, gdy pływałem w basenie, podśpiewując pod nosem *Faithless Love*, przyszła Lisa ubrana znowu w dżinsy i wysokie buty. Oświadczyła, że pora jechać do Cantonu. Nie chodziło jej oczywiście o chiński Kanton, lecz o miasto w Teksasie.

— Cokolwiek tam jest, nie zamierzam się spieszyć — oświadczyłem, wyłaniając się z wody. — Należy mi się najpierw szybka porcja jajek sadzonych na grzance z szynką i mały miller. Dobrze?

Miałem też ochotę przed wyjazdem poprzecinać jej te wranglery nożyczkami i kochać się z nią.

Osiągnęliśmy kompromis.

(Nie mieliśmy nożyczek).

Canton leży o godzinę na południe od Dallas. Od stu lat w każdy pierwszy poniedziałek miesiąca jest tam organizowany ogromny pchli targ, który przyciąga ludzi z całych Stanów. Przed dziesiątą pędziliśmy już limuzyną na południe; kierowca znów z tyłu, Lisa za kierownicą.

— Szukam pikowanych narzut — wyjaśniła. — Ostatnich autentycznych pikowanych narzut, zszywanych z kawałków w latach trzydziestych i czterdziestych przez kobiety w Kansas, Teksasie i Oklahomie.

Gdy wysiedliśmy z auta, na dworze było trzydzieści sześć stopni Celsjusza.

Niemniej od jedenastej do trzynastej kręciliśmy się po brudnych ścieżkach ciągnącego się w nieskończoność rynku, przechodziliśmy obok tysięcy stolików i straganów pełnych poobijanych mebli, antyków z okresu pionierów, lalek, obrazów, dywanów, śmieci. Narzut było na kilogramy. Wiem, bo sam je targałem na ramieniu w zielonym plastikowym worku.

— Co byś beze mnie zrobiła? — spytałem.

— Och, Elliotcie, naprawdę nie wiem — odparła. — Zatrzymaj się, kochany, i pozwól, że wytrę ci pot z czoła.

Jednak prawda była taka, że do tej pory zdążyłem się już również zakochać w tych klasycznych pikowanych narzutach i nauczyłem się rozpoznawać różne stare wzory: dreźnieńskie kółka, obrączka ślubna, kosz kwiatów, samotna gwiazda i znaczek pocztowy. Strasznie mi się podobały ich kolory, ściegi, dotyk tych narzut, ich czysty bawełniany zapach, a także... subtelne negocjacje sprzedawców z Lisa, która ostatecznie nabyła wszystkie narzuty za taką cenę, jaką sobie uprzednio wymyśliła.

Zjedliśmy hot dogi zakupione w budce, a potem trochę drzemaliśmy pod drzewem w cieniu. Byliśmy straszliwie zakurzeni i lepiliśmy się od potu, więc tylko w milczeniu przypatrywaliśmy się przechodzącym rodzinom: mężczyznom o wydatnych torsach pod koszulkami z krótkim rękawem, kobietom w szortach i bezrękawnikach oraz małym dzieciom.

— Podoba ci się tutaj? — spytała.

— Bardzo — odrzekłem. — Tu jest jak w innym kraju. Nikt nigdy nie zdoła nas w nim znaleźć.

— Tak. Bonnie i Clyde — oświadczyła. — Gdyby ci ludzie wiedzieli, kim naprawdę jesteśmy, pozabijaliby nas.

— Nie jestem tego pewien — stwierdziłem. — Gdyby nas zaatakowali, poradziłbym sobie z nimi. — Wstałem, kupiłem jeszcze dwie puszki piwa, wróciłem, usiadłem obok Lisy. — Co zrobisz z tymi wszystkimi kołdrami? — zainteresowałem się.

Popatrzyła na mnie przez chwilę dziwnie, na przykład jakby zobaczyła ducha. Potem odrzekła:

— Spróbuję zachować ciepło.

— To nie jest zbyt miłe stwierdzenie, Bonnie. A co ze starym Clyde'em? Dlaczego facet cię nie rozgrzeje? — Posłała mi jeden ze swoich rzadkich, cudownych uśmiechów. — Trzymaj się mnie, Bonnie — powiedziałem — a przysięgam, że nigdy więcej nie poczujesz zimna.

W drodze powrotnej do Dallas kochaliśmy się na wszystkich tych pikowanych narzutach przykrywających tylne siedzenie limuzyny.

W Hyatt położyliśmy je na łóżku. Pokój wyglądał dzięki nim znacznie wytworniej. Później pływaliśmy, a po kolacji, którą zjedliśmy w pokoju, czytałem głośno Lisie leżącej przy mnie na łóżku.

Przeczytałem kilka opowiadań, które uwielbiałem, zabawny fragment z opowieści o Jamesie Bondzie oraz mój ulubiony ustęp z jakiejś francuskiej klasyki, tego typu teksty. Lisa okazała się wspaniałą słuchaczką. Zawsze pragnąłem mieć dziewczynę, której mógłbym czytać. Zresztą powiedziałem o tym Lisie.

Zrobiła się północ. Ubraliśmy się elegancko, wsiedliśmy do windy i pojechaliśmy do „Top of the Dome”, gdzie tańczyliśmy, póki grał zespół.

— Co powiesz na przejażdżkę? — zaproponowała Lisa. — Obejrzyjmy w świetle księżycy rezydencje Turtle Creek i High — land Park, wiesz...

— Pewnie, o ile dobudzi naszego Ripa van Winkle’a* i każemy mu się zawieźć, żebym mógł cię przytulić na tylnym siedzeniu.

* * *

Miałem wrażenie, że jesteśmy razem od wielu lat. Nie mogłem chyba prowadzić przyjemniejszego życia, dzień po dniu, minuta po minucie. Zostaliśmy w Dallas jeszcze cztery dni.

* * *

Kupiliśmy kurczaka na wynos i zjedliśmy go, oglądając w telewizji mecz koszykówki, potem czytaliśmy na głos opowiadania z „New Yorkera” i rozdziały z książek. Znowu pływaliśmy w basenie.

Nocami chodziliśmy do dużych, lśniących restauracji Dallas, dyskotek i nocnych lokali, a czasami jeździliśmy na długie przejażdżki po ładnej okolicy i oglądaliśmy stare, białe domy na farmach albo stare, zarośnięte cmentarze z grobami amerykańskich konfederatów.

Spacerowaliśmy staroświeckimi uliczkami małych miast o zachodzie słońca, kiedy świerszcze grały wśród drzew, siadaliśmy na ławkach w pobliżu rynku i patrzyliśmy spokojnie, w zadumie, jak na niebie gaśnie kolor i znika światło.

Oglądaliśmy stare filmy w kablówce o drugiej w nocy, tuląc się do siebie pod narzutami, i przez cały czas uprawialiśmy miłość.

W nowoczesnym niczym statek kosmiczny American Hyatt Regency, gdzie całe wyposażenie jest świeżutkie i nic nie jest trwałe, gdzie okna są imitacjami okien, a ściany — imitacjami ścian, seks jest równie prawdziwy jak burza z piorunami: czy to w nieskazitelnym łóżku, czy to pod nieskazitelnym prysznicem, czy to na nieskazitelnej, wyłożonej grubym dywanem podłodze.

Rozmawialiśmy, milczeliśmy, rozmawialiśmy. Mówiliśmy o absolutnie najgorszych rzeczach, jakie nam się zdarzyły, o sprawach związanych ze szkołą i rodzicami, a także o dziełach sztuki, które uważaliśmy za najpiękniejsze: o obrazach, rzeźbach, muzyce.

Stopniowo jednak nasza rozmowa zaczęła odbiegać od kwestii prywatnych. Poruszaliśmy inne tematy. Może Lisa się bała. Może ja nie chciałem już więcej o sobie mówić, póki ona nie powie czegoś naprawdę szczególnego, czegoś, co chciałem usłyszeć. Czy byłem aż tak uparty? Nie wiem. Nadal mnóstwo rozmawialiśmy, lecz na tematy bardziej ogólne.

Stawialiśmy Mozarta przeciwko Bachowi, Tolstoja przeciw Dostojewskiemu, Hemingwaya przeciw Faulknerowi, kłóciliśmy się o to, czy fotografia jest dziedziną sztuki —

* Rip van Winkle — człowiek nie zorientowany w aktualnych stosunkach, popularnie: „gość z księżycy”; od bohatera opowiadania Washingtona Irvinga.

Lisa twierdziła, że tak, ja się z nią spierałem. Gawędziliśmy jak para doskonale się znających osób. Stoczyliśmy prawdziwą słowną bitwę o Diane Arbus i o Wagnera. Oboje uznawaliśmy za geniuszy Carson McCullers, Felliniego, Antonioniego, Tennessee Williamsa i Jeana Renoira.

Towarzyszyło nam wspaniałe, magiczne napięcie. A mnie dodatkowe przecucie, że w każdej chwili coś się może zdarzyć. Coś bardzo ważnego — dobrego lub złego. Które z nas przechyli szalę? Jeśli zaczniemy znów mówić o swoich prywatnych sprawach, trzeba będzie się posunąć o krok dalej, a my nie potrafiliśmy zrobić tego kroku. Jednak każda godzina była nadzwyczaj doskonała, nadzwyczaj cudna, niemal idealna.

Z wyjątkiem momentu, gdy Warriors przegrali z Celtics prawdziwie decydujący mecz w rundzie play-off, a my nie mieliśmy piwa, gdyż służba hotelowa się ociągała... tak, wtedy byłem wkurzony, naprawdę wkurzony. Lisa podniosła wzrok znad gazety i oznajmiła, że nigdy nie usłyszała, żeby mężczyzna tak krzyczał po meczu, ja zaś jej odparłem, że ma do czy — nienia z symboliczną przemocą w całej okazałości i niech się uciszy.

— Trochę zbyt symboliczna, nie sądzisz? — Zamknęła się przede mną w łazience i wzięła najdłuższy prysznic w historii świata. Nie doczekałem zresztą jej wyjścia, bo zasnąłem.

W środku trzeciej nocy obudziłem się i odkryłem, że leżę w łóżku samotnie.

Lisa stała przy oknie. Odsunęła zasłonę i patrzyła na wielkie stalowe wieżowce Dallas, miasta, w którym światła nigdy nie gasną.

Niebo nad nią wydawało się ogromną, intensywnie granatową panoramą maleńkich gwiazd. Na tle okna Lisa również wyglądała na maleńką. Pochyliła głowę i nuciła coś pod nosem. Tak cicho, że nie mogłem być tego pewien. Śpiew był równie nikły jak zapach jej perfum.

Gdy wstałem, obróciła się cicho i ruszyła ku mnie. Spotkaliśmy się pośrodku, objęliśmy się i tkwiliśmy przytuleni.

— Elliott — szepnęła tonem osoby, która zamierza wyznać jakiś straszny sekret, lecz nie powiedziała nic więcej, tylko położyła mi głowę na ramieniu, a ja trzymałem ją w ramionach, gładząc jej włosy.

W łóżku, pod kołdrą drżała i ulegała mi jak na wpół przestraszona dziewczynka.

Kiedy później się obudziłem, siedziała w kącie pokoju i oglądała telewizję z wyłączonym głosem, obróciwszy ku sobie odbiornik; pewnie nie chciała, by raziło mnie światło. Na jej twarzy migotała niebieska poświata. Piła dżin „Bombay” wprost z butelki i paliła moje parlamenty.

Następnego popołudnia kierowca oświadczył nam, że musi wrócić do domu. Odpowiadał mu zarobek, podobały mu się podróże, jedzenie było świetne, jednak jego brat żenił się w nowo — orleańskim kościele redemptorystów i kierowca pragnął wziąć udział w ślubie.

Wiedzieliśmy, że możemy odesłać limuzynę i wynająć samochód...

Więc nie z tego powodu wracaliśmy.

Przy kolacji Lisa nic nie mówiła, minę miała smutną, niemal tragiczną, z czym było jej do twarzy, z czym wyglądała pięknie, wybornie, porażająco i czym mnie przerażała, sprawiała mi ból i rozdzierała serce. Popatrzyłem na nią i spytałem:

— Wracamy, nieprawdaż?

Skinęła głową. Ręka jej się trzęsła. Znaleźliśmy mały bar przy Cedar Springs, gdzie stała szafa grająca i mogliśmy tańczyć zupełnie sami. Jednak Lisa była zbyt spięta, zbyt nieszczęśliwa. Wróciliśmy jeszcze przed dwudziestą drugą.

Oboje byliśmy całkowicie rozbudzeni o czwartej nad ranem, kiedy światło słoneczne rozświetliło szklane miasto. Znów ubraliśmy się w stroje wieczorowe i wymeldowaliśmy z hotelu. Lisa kazała kierowcy usiąść na tylnym siedzeniu, ponieważ pragnęła prowadzić.

— Możesz mi poczytać, jeśli chcesz — powiedziała do mnie.

Uznałem ten pomysł za wspaniały, gdyż nawet nie zdążyliśmy rozpakować *W drodze* Kerouaca, mojej najukochańszej ze wszystkich powieści, której — ku mojemu zdumieniu — Lisa nigdy nie czytała.

Prezentowała się cudownie, gdy kierowała. Czarna sukienka sięgała jej przed kolana, a nogi Lisa miała śliczne. Z wprawą naciskała pedały stopami w sandałach na długich cieniotkich obcasach i prowadziła dużą limuzynę jak dziewczyna z przedmieścia, która już jako nastolatka nauczyła się jeździć autem, czyli z większym entuzjazmem i spokojem, niż to robi większość mężczyzn. Ilekroć zaszła potrzeba, w trzy sekundy parkowała między dwoma pojazdami, nie piszczała, kierowała tylko jedną ręką, nigdy nie wahała się wyprzedzać i przejeżdżała na żółtym świetle zawsze, gdy miała okazję. Rzadko pozwalała się komuś wyprzedzić, lecz przed czerwonym światłem zawsze hamowała w odpowiednim momencie.

Szczerze mówiąc, manewrowała wielkim samochodem tak łatwo i raźnie, że aż mnie czasem denerwowała, toteż niejednokrotnie musiała mi powtarzać, abym się zamknął. W gruncie rzeczy chyba bardzo chciała dojechać do Nowego Orleanu szybciej, niż zrobiłby to kierowca limuzyny, więc pędziliśmy ponad sto czterdzieści kilometrów na godzinę, jeśli nie było ruchu, i dobre sto dziesięć, jeśli był. Raz przyspieszyła prawie do stu osiemdziesięciu, ale kazałem jej zwolnić, grożąc, że w przeciwnym razie natychmiast wysiadam.

* * *

Powiedziałem, że to cholernie dobra pora na czytanie powieści *W drodze*. Lisa nie miała nawet siły się uśmiechnąć, choć próbowała. Cała drżała. Kiedy zapewniałem ją, że książka jest wspaniała i bardzo poetycka, Lisa tylko kiwała głową.

Czytałem jej kolejne z moich ulubionych fragmentów, naprawdę oszałamiające i oryginalne ustępy, toteż dość prędko się wciągnęła, polubiła powieść, zaczęła przytakiwać, uśmiechać się, a potem śmiać i zadawać mi krótkie pytania o Neala Cassady'ego, Allena Ginsberga, Gregory'ego Corso i inne osoby, które zainspirowały autora do napisania tej książki. Mówiliśmy o beatnikach, poetach i pisarzach tworzących w latach pięćdziesiątych w San Francisco, których na dobrą sprawę — zanim się zestarzel — usunęły z poetyckiej sceny „dzieci kwiaty” lat sześćdziesiątych. Podczas naszej nauki szkolnej tamci twórcy już należeli do historii literatury, więc właściwie nie zaskoczyła mnie konstatacja, iż Lisa tak niewiele o nich wie i że bardzo ją porusza opowiadająca o nich proza Kerouaca.

W końcu przeczytałem jej wesołą część powieści, w której Sal i Dean znajdują się w Denver i Dean kradnie kolejne samochody — tak szybko, że policja nie wie, co się dzieje, po czym fragment, w którym jechali limuzyną do Nowego Jorku i Dean kazał Salowi wyobrazić sobie, że posiadają na własność to długie auto i mogą przejechać nim Meksyk i Panamę, a może nawet całą Amerykę Południową.

Przerwałem.

Właśnie minęliśmy Shreveport w Luizjanie i skierowaliśmy się prosto na południe.

Lisa wpatrywała się przed siebie szeroko otwartymi oczyma, mrugając nagle, jakby usiłowała coś dojrzeć przez mgłę.

Zerknęła na mnie na ułamek sekundy i znowu zagapiła się na drogę.

— Ta trasa nadal istnieje, musi istnieć — zauważyłem. — Przez Meksyk, Amerykę Środkową, w dół, do Rio de Janeiro... I moglibyśmy wynająć lepszy samochód niż ten. Psiakrew, moglibyśmy wynająć samolot, mogliśmy zrobić wszystko...

Odpowiedziała mi cisza.

Wbrew postanowieniom mój głos zabrzmiał zbyt gniewnie. Gniew nigdy nie pomaga.

Wskazówka szybkościomierza ponownie ocierała się o sto sześćdziesiąt. Lisa przetarła oczy. W kącikach zakręciły jej się łzy. W tym momencie jednak zerknęła na szybkościomierz i zwolniła.

Znów zacisnęła zęby, twarz jej pobieląła, wargi drżały. Miałem wrażenie, że zaraz zacznie wrzeszczeć. Jednak uspokoiła się, jej oczy zlodowaciały i skupiła się na jeździe.

Odłożyłem książkę i otworzyłem płaską butelkę johnniego walkera, którą kupiłem gdzieś w Teksasie. Wypiłem mały łyk. Nie mogłem już czytać.

Tuż za Baton Rouge, spytała:

— Gdzie jest twój paszport? Masz go ze sobą?

— Nie, został w pokoju w Nowym Orleanie — odparłem.

— Cholera — rzuciła.

— A twój?

— Mam go przy sobie.

— No to, do diabła, moglibyśmy wydostać mój — zauważyłem. — Moglibyśmy się wymeldować, a później pojechać na lotnisko, wsiąść w pierwszy lepszy samolot i polecieć gdziekolwiek.

Patrzyła na mnie dużymi brązowymi oczyma tak długo, że musiałem wyciągnąć rękę i lekko przytrzymać kierownicę.

* * *

Właśnie zapadł zmrok, gdy bardzo szybko przejeżdżaliśmy wąskie uliczki Dzielnicy Francuskiej, a Lisa przez zestaw głośno mówiący budziła kierowcę.

Wysiedliśmy z auta, potargani, głodni, z garścią lepkich papierowych toreb pełnych śmieci i weszliśmy na kocie łby przed naszym małym hotelem.

Lisa odwróciła się, zanim dotarliśmy do recepcji.

— Chcesz to zrobić? — spytała.

— Jasne, że chcę! — odrzekłem.

Przyglądałem jej się przez chwilę, oceniając jej bladą twarz i czysty strach w oczach. Chciałem zapytać, od czego uciekamy? Dlaczego tak to musi wyglądać? „Powiedz mi, że mnie kochasz, cholera, Liso, powiedz to! Otrząsnijmy się z tego marazmu!”

— Było mnóstwo telefonów do was obojga — oznajmiła recepcjonistka.

Chciałem Lisie tak wiele powiedzieć, lecz się nie odezwałem. Wiedziałem, że przystanę na wyznaczone przez nią warunki.

— Wejdz do pokoju i weź swój paszport — szepnęła. Jej palce wbijały się w moje ramię. — Poczekam na ciebie w limuzynie. Przyjdz jak najszybciej.

— No i macie państwo gości — dodała niestety recepcjonistka. Wyciągnęła szyję i zerknęła przez szklane drzwi na dziedziniec. — Ci dwaj panowie ciągle na was czekają. Czekają cały dzień.

Lisa odwróciła głowę i przeszła nienawistnym spojrzeniem szklane drzwi.

Richard, wysoki Pan Kandydatów, stał w małym ogrodzie oparty plecami o drzwi przybudówki i obserwował nas z uwagą. Towarzyszył mu Scott, niezapomniany Trener Trenerów, który właśnie wyprostował się i zgniół niedopałek papierosa.

Rozdział 28

Mury Jerycha

Obaj nosili ciemne garnitury, eleganckie, lecz ponure. Powitali nas bardzo grzecznie, a może nawet wesoło, kiedy wraz z Lisa przecięliśmy dziedziniec, weszliśmy do przybudówki i włączyliśmy światło.

Panował tam porządek i chłód, sytuacja byłaby zupełnie normalna, gdyby nie obecność tych dwóch mężczyzn w naszym małym domku. W pomieszczeniach wisiał też papierosowy dym. Nagle obaj trenerzy wydali mi się groźni, ich wizyta zaś niebezpieczna.

Mimo uśmiechu na twarzy wyższy ode mnie o dobre pięć centymetrów Richard wyglądał złowroźnie z powodu krzaczastych brwi. Od Scotta, niższego i pełnego gracji w ubraniu z Madison Avenue niemal biła siła fizyczna.

Zrozumiałem, że szacuję ich jako potencjalnych przeciwników w bójce.

Lisa straszliwie się trzęsła. W pewnym momencie przeszła sypialnię i stanęła pod ścianą. Wydawało mi się, że jej zachowanie jest efektem hysterii. Pojąłem, że jestem naprawdę wściekły, gdy kiwnąłem obu facetom głową, po czym podniosłem worek ze śmieciami, który zabraliśmy z motelu.

Poszedłem sprawdzić, czy w łazience albo w kuchni nie kryje się ktoś trzeci. Nie było nikogo więcej.

Scott, przystojny w dopasowanym czarnym garniturze, przyszedł za mną powoli do kuchni — wszystkie ruchy i gesty ich obu były wyważone i prawdopodobnie miały działać uspokajająco — i oświadczył, że chcieliby pomówić z Lisa sam na sam. Jego mina świadczyła o oczywistej udreće. Przyglądał mi się z uwagą, a ja usiłowałem zgadnąć, czy myśli o tym samym co ja: że ostatni raz widział mnie, gdy na oczach widowni, czyli dwudziestu nowych trenerów, w jego klasie graliśmy pana i niewolnika.

Właściwie nie chciałem sobie tego przypominać w tej chwili. A jednak czułem się tak, jakby ktoś właśnie otworzył drzwiczki nagrzanego do maksimum piekarnika. Scott należał do mężczyzn, którzy nawet ubrani w garnitur emanują czymś zwierzęcym.

— Musimy z nią po prostu kilka minut porozmawiać — wyjaśnił niskim, tubalnym głosem, który przypominał mruczenie.

— Tak, jasne, pewnie — bąknąłem.

Położył lewą dłoń na mojej szyi, lekko ścisnął, po czym się uśmiechnął, błyskając przyjaźnie ciemnymi oczyma i białymi zębami, w końcu wrócił do pokoju.

Wyszedłem z kuchni na dziedziniec i usiadłem na ławce z kutego żelaza, która stała najdalej od przybudówki.

Wybrałem miejsce, w którym Lisa może mnie widzieć. Światło rozpraszało się po małym ogrodzie, powoli nadchodził wieczór, a ja usiadłem w punkcie najlepiej oświetlonym. Postawiłem jedną stopę na ławce i zapaliłem papierosa. Żałowałem, że nie mam przy sobie butelki szkockiej.

Z drugiej strony, lepiej było teraz nie pić. Dostrzegałem całą trójkę za oświetlonymi oszklonymi drzwiami, na tle różowawych ścian, ogromnego łóżka z baldachimem i zabytkowych mahoniowych krzesel. Dwaj mężczyźni w czarnych garniturach rozmawiali z Lisa, chodząc w tę i z powrotem po sypialni, gestykulując, a ona siedziała z założonymi rękoma w bujanym fotelu. Wszyscy troje byli ciemni na tle pasteli, światło lampy padało na brązowoczarne włosy mojej pani.

Nic nie słyszałem z powodu pieprzonego klimatyzatora, zauważyłem jednak, że zdenerwowanie Lisy rośnie. W pewnym momencie wstała i wskazała palcem Richarda, który podniósł ręce, jakby wycelowwała w niego załadowany pistolet. Wieczny uśmiezek opuścił jego usta, lecz oczy nadal pozostały zmarszczone jak przy uśmiechu. Jednak głęboko osadzone oczy pod krzaczastymi brwiami często robią takie wrażenie.

Wtedy Lisa zaczęła krzyczeć i łzy spłynęły jej po policzkach. Dostrzegłem wydatne żyły na jej szyi, twarz wykrzywioną w grymasie, łydki na wysokich szpilkach napięte i drżące. Wyglądała na wściekłą.

Nie mogłem tego dłużej znieść.

Zgniotłem papierosa i wstałem, patrząc na drzwi. Lisa kroczyła teraz po pokoju. Odrzuciwszy długie włosy na plecy, naprawdę wrzeszczała. Nadal nie docierały do mnie żadne słowa, ale zdało mi się, że Scott uciszył Richarda i przejął sprawę. Lisa chyba się uspokajała. Scott poruszał się z kocią płynnością, gestykulując dłońmi. Lisa słuchała go, kiwając głową i patrząc na szklane drzwi. Gapiliśmy się na siebie przez szkło.

Scott obrócił się i spojrzał na mnie. Stałem nieruchomo i czekałem, gdyż nie miałem ochoty odwrócić się i odejść.

Podszedł do szklanych drzwi, nakazał mi gestem cierpliwość, po czym zaczął zaciągać zasłonę.

Podszedłem do drzwi i otworzyłem je.

— Nie, stary, przykro mi — oznajmiłem, potrząsając głową. — Nie możesz ich zasłonić.

— Tylko gawędzimy, Elliotcie — odparował Scott. — Znajdź sobie jakieś zajęcie. Nasza rozmowa jest bardzo ważna.

Lisa, znowu siedząca w bujanym fotelu ze zsuniętymi kolanami, wytarła nos w lnianą chusteczkę, podniosła wzrok i powiedziała cicho:

— W porządku, Elliotcie. Wierz mi, wszystko jest w porządku. Idź do baru, napij się. Wszystko jest okej.

— Zanim pójdę, ustalmy pewne sprawy — odrzekłem. — Nie wiem, co się dzieje, ale nikt tu nie będzie nikogo zmuszał...

— Elliotcie, nigdy nie robimy takich rzeczy — odciął się Scott. — Nie zmuszamy nikogo do niczego. Wiesz przecież, kim jesteśmy. — Wyglądał na nieco zranionego i wydawał się boleśnie szczery. Jego czarne oczy błyskały wyraziście, usta ułożyły się w swobodny, nieco smutny uśmiech. — Istnieje jednak pewna ważna dla nas sprawa i musimy ją z Lisa omówić.

— W porządku, Elliott, naprawdę jest w porządku — zapewniła mnie Lisa. — Zadzwoń do ciebie do baru. Chcę, żebyś tam poszedł. Zrobisz, o co proszę?

Spędziłem najdłuższe trzy kwadransy w życiu. Co trzydzieści sekund powtarzałem sobie, że nie mogę się upić, w przeciwnym razie wypiłbym mnóstwo przekłętą szkockiej. Zdarzenia ostatnich minut strzelały jak petardy w moim mózgu. Przez otwarte drzwi dostrzegłem fragment typowej dla Dzielnicy Francuskiej ulicy, długą ozdobioną rozetkami balustradę z kutego żelaza na balkonie nad wąskim chodnikiem, pary przechodzące pod rękę obok oświetlonych gazowymi latarniami drzwi restauracji. Ciągle patrzyłem na światło migoczące nad tymi ciemnozielonymi drzwiami.

W końcu zjawił się Scott, sunąc niczym pantera. Lśniące, lekko falujące czarne włosy, oczy szybko skanujące bar.

— Teraz my porozmawiamy, Elliotcie — zagaił, kładąc mi dłoń na karku. Poczułem jego gorące, jedwabiste palce. „Wszyscy w Klubie mają gorące, jedwabiste palce”, pomyślałem.

W pokoju siedział Richard. Wyjaśnił, że Lisa poszła do kuchni. Jej szpilki, sandaalki na wysokich kryształowych obcasach, leżały na dywanie. Tak jak pantofel na podłodze jej sypialni tego pierwszego dnia w Klubie. Wspomnienie uderzyło mnie mocno, wręcz ogłuszyło.

Usiadłem w fotelu, Scott — na krześle z wysokim oparciem obok sekretarzyka. Richard z rękami w kieszeniach opierał się o słupek łóżka.

— Elliotcie, chcę ci zadać kilka pytań — oświadczył Richard. Twarz miła, maniery uprzejme jak u Martina, radość w głęboko osadzonych oczach, nieco nerwowy uśmiech. Scott wydawał się zatopiony w myślach.

— Byłeś szczęśliwy w Edenie, zanim wyjechaliście? To znaczy... czy wszystko ci odpowiadało, czy wszyscy dobrze się sprawowali...?

— Nie chcę na ten temat rozmawiać bez Lisy — odparłem. Potrząsnął głową, lekko zniecierpliwiony.

— Nie zdołamy rozwiązać tego problemu, Elliotcie, dopóki nie porozmawiasz z nami szczerze. Musimy wiedzieć, co się dzieje. Z naszych raportów wynika... a wierz mi, że jesteśmy diabelnie dobrymi sędziami w takich sytuacjach... że świetnie się sprawowałeś w Klubie. Wiedzieliśmy obaj, że dobrze zainwestowaliśmy. — Zmrużył oczy. Przerwał, a ja miałem wrażenie, że sugeruje mi: „No zaprzecz, jeśli potrafisz”. — Kiedy niewolnik trafia do Edenu, Elliotcie... gdy wylądjuje na wyspie, ma już za sobą mnóstwo doświadczeń związanych z sadomasochizmem. Zna doskonale swoją seksualność i swoje potrzeby. Chcę powiedzieć, że nie trafia się do Klubu po jednym niesamowitym weekendzie spędzonym z perwersyjnym przyjacielem w Castro District w San Francisco. — Kiwnąłem głową. — Taki niewolnik jest zatem nie tylko zainteresowany urzeczywistnieniem swoich fantazji, lecz intensywnie realizował je wcześniej przez długi czas.

Znów kiwnąłem głową. Gdzie Lisa? Czy była w innym pomieszczeniu? Z kuchni nie dochodziły do mnie żadne dźwięki. Poruszyłem się niespokojnie w fotelu, po czym bardzo grzecznie spytałem:

— Mógłbyś przejść do sedna?

— Przechodzę — zapewnił mnie. — Staram się po prostu powiedzieć, że doświadczone w Klubie przeżycia zwykle znaczą dla niewolnika bardzo wiele, w przeciwnym razie on czy ona w ogóle by tam nie przybyli. Eden nie jest jakimś przeciętnym burdelem w...

— Uwierz — wtrąciłem ostro — że całkowicie się z tobą zgadzam. Nie ma potrzeby kontynuować tego wątku.

— No dobrze. W takim razie powiem ci coś, co może zabrzmieć szorstko, musisz wszakże zrozumieć powody, dla których to mówię. Proszę, abyś mi nie przerywał, póki nie skończę. Jeśli nie odejdziesz od Lisy i nie wrócisz z nami dziś z własnej woli... a zapewniam cię, że nikt nie będzie próbował cię do niczego zmusić... zostaniesz wykluczony z Klubu zupełnie, całkowicie i na zawsze. Nigdy już nie zobaczysz Edenu — ani jako niewolnik, ani jako gość, ani jako pracownik na najniższym nawet stanowisku. — Przerwał. Oddychał spokojnie. Podjął nieco ciszej, nieco wolniej: — Nie będziesz też miał wstępu do żadnego podobnego do Edenu miejsca, z którym utrzymujemy jakiegokolwiek kontakty. Nigdzie na świecie. Ani do siedzib trenerów, z którymi handlujemy, łącznie z Domem Martina Halifaxa. Martin nigdy cię do siebie nie wpuści, bo jeśli to zrobi, nigdy więcej nikogo od niego nie przyjmujemy. Rozumiesz zatem, Elliotcie, że przez resztę życia będziesz rozpamiętywał te nadzwyczaj intensywne doświadczenia, ale nigdy nie będzie ci dane ich powtórzyć. Ponieważ Klub stale się powiększa, ma coraz więcej filii, wiąże się z coraz to innymi podobnymi sobie przybytkami, o których będziesz czytał, lecz do których nigdy nie będzie ci wolno wejść. Proszę, przemyśl swoją decyzję.

Nie skinąłem głową i nic nie powiedziałem. Richard podjął:

— Proszę cię tylko, żebyś się nad nią zastanowił. Przypomnij sobie historię swojej seksualności, przeszłość, z jaką do nas przyszedłeś. Pomyśl o wszystkich przygotowaniach, które poczyniłeś, by dotrzeć do Klubu. Zastanów się, czego oczekiwałeś, czego miałeś prawo oczekiwać, zanim Lisa cię porwała. Nie musisz mi odpowiadać w tej chwili. Po prostu wszystko sobie przemyśl.

— Sądzę, że jednej rzeczy nie rozumiesz — zacząłem. — I gdybyś mi pozwolił porozmawiać z Lisa...

— Będziesz musiał zapomnieć na moment o Lisie, Elliotcie — przerwał mi Richard. — Rozmawiamy w cztery oczy. Ja i Scott dajemy ci wybór...

— Ależ właśnie tego nie rozumiem. — Wstałem. — Próbujesz mi powiedzieć, że Lisa nie jest już w Klubie, że ją wyrzuciliście?! — Mówiłem rozgniewanym, zbuntowanym głosem. Zamilkłem, usiłując nad sobą zapanować.

— Nie, nikt Lisy nie wyrzucał — odparł. — Lisa jest nieusuwalna. Mało tego, potraktujemy ją jak najbardziej ulgowo.

— Dobra, więc o co zatem chodzi? — Moja złość rosła, a całkiem nagle zdenerwowałem się także na Lisę. Co ona im nagadała? Próbowałem ją chronić, a nawet nie wiedziałem, co im powiedziała. — Sądziłem — ciągnąłem — że Lisa wam wyjaśniła okoliczności, w których opuściłem Klub. Rozmawiacie ze mną jak z uciekinierem. I nie pozwalacie mi pomówić z nią, więc nie wiem, co wam powiedziała. Nie rozumiem, o co tu chodzi...

— Lisa nie może ci teraz pomóc, Elliotcie — wtrącił głośno Scott.

— Co to znaczy „pomóc”?

— Elliotcie — podjął Scott poważnym tonem, wstając i robiąc kilka kroków w moim kierunku. — Lisa się załamała. — Słowo przez moment drażniąco wibrowało mi w głowie. — Mamy w Klubie — dodał — własne znaczenie dla terminu „załamanie”. — Zerknął na Richarda, który obserwował go z uwagą. — Nie oznacza, że ktoś oszalał — kontynuował Scott — odebrało mu rozum czy coś w tym rodzaju, lecz że nie może dłużej działać w naszym środowisku. Powiem szczerze, że szefostwo bardzo rzadko się załamuje. Taki stan przydarza się raczej niewolnikom. Nie mówię o stawianiu oporu, lęku czy zwyczajnym tchórzostwie. Takie symptomy znamy i widzimy w najrozmaitszych odmianach... niemniej jednak niewolnik czasem naprawdę się załamuje. Po prostu wstaje i mówi własnymi słowami: „Wiecie, co się stało, ludzie? Nie mogę już tego dłużej znieść”. Potrafimy rozpoznać załamanie i bezcelowe jest...

Nagle Richard podniósł rękę i zrobił jeden jedyny doskonale wymowny ruch, sugerujący, że nie ma sensu mi tego wszystkiego mówić.

— Rozumiem — powiedziałem. — Nie rozmawia się o tych sprawach z niewolnikami, chyba że sytuacja przybierze zły obrót...

— Właśnie — zgodził się Scott. — I ta kwestia bardzo zdecydowanie wiąże się z naszym małym problemem. Gdy przybywasz do Klubu, dowiadujesz się, że nie sposób uciec z wyspy, więc nie warto błagać, bo nikt cię stamtąd nie wypuści, po prostu nie ma tam miejsca na tchórzostwo. Jest to część kontraktu, a podpisujesz go jako osoba, która będzie przez wyznaczony okres świadczyć nam bardzo szczególne usługi. My ze swej strony również ci coś gwarantujemy: że nie pozwolimy ci na snucie zbędnych myśli, na przykład o wolności, której nie możesz w tym czasie odzyskać. Mamy swoje oczywiste powody, by tak postępować, Elliotcie. Póki nie uznasz swego więzienia za absolutne, nie będziesz mógł się odprężyć i cieszyć każdym dniem. Zacząłbyś się zastanawiać, myśleć: „Och, to, co robię wydaje się świetne, ale czuję się wtedy tak głupio! Co by powiedziała ciocia Margaret, gdyby mnie zobaczyła w tych uprzężach i łańcuchach? Nie, tu jest fantastycznie, jednak wolałbym stąd wyjechać. Nie mam odwagi zostać w Edenie”. Czułbyś się winny i onieśmielony, doświadczałbyś uczuć ambiwalentnych, do których wszyscy mamy skłonność. Natomiast kiedy zostajesz uwięziony i nie masz przed sobą żadnej alternatywy, wtedy możesz doświadczyć wspaniałych doznań związanych z dominacją i uległością, doznań, z których słynie nasz Klub. Zatem najzupełniej konieczny jest układ, w którym nie ma mowy o rzeczywistej ucieczce, więc nie warto nawet jej planować... I dlatego musisz z nami wrócić do Edenu.

Przerwał, zerkając na Richarda.

— Elliotcie, wszyscy trenerzy i treserzy na wyspie wiedzą o tobie i o Lisie — odezwał się Richard, głosem nieco bardziej znużonym niż Scotta. — Wcześniej niż my wiedzieli, że Lisie nie udało się ciebie usidlić. Podejrzewam, że wielu niewolników także o was wie. Cóż, nie możemy pozwolić, aby sprawa waszego romansu nabrała rozgłosu, Elliotcie, i chyba już ci wyjaśniliśmy powody. Nie możemy doprowadzić do rozprzężenia na wyspie. Ludzie mogą zacząć uciekać, zrywać kontrakty, rozbijać na kawałeczki najbardziej podstawowe i najważniejsze zasady istnienia Klubu. A Klub działa jak szwajcarski zegarek, Elliotcie. Panuje w nim porządek, hierarchia, precyzja.

Przyjrzałem się im obu. Rozumiałem, o czym mówią. Nie było o co się spierać, o co pytać. Znałem te wszystkie szczegóły, jeszcze zanim wsiadłem na jacht.

— Twierdzicie jednak — zagailem, patrząc najpierw na jednego, potem na drugiego — że Lisa nie wraca do Klubu.

— Tak, odmówiła — przyznał Scott. Gapiłem się na niego przez długą chwilę.

— Muszę z nią rozmawiać — powtórzyłem. Ruszyłem ku drzwiom prowadzącym do kuchni.

Scott podszedł spokojnie i zatrzymał mnie, kładąc mi rękę na ramieniu.

— Chcę, żebyś sobie wszystko przemyślał — powiedział ponownie. — Proszę, nie spiesz się.

— Jasne — odburknąłem i spróbowałem się od niego uwolnić.

— Zaczekaj.

Przez kilka sekund mierzyliśmy się wzrokiem.

— Nie jest zabawne zostać wyłączonym przez jakąś grupę osób, Elliotcie — szepnął. — Nie zapominaj, kim jesteśmy i kim ty jesteś. Nie kłamie, gdy ci mówię, że nigdzie nie doświadczysz tego, co poznałeś dzięki nam. I wierz mi, potrafimy cię wykluczyć z całego środowiska.

— Istnieją rzeczy, dla których można wiele poświęcić — odrzekłem.

Richard stanął między mną i drzwiami do kuchni.

— Elliotcie, będę bezwzględny. Ktoś cię namówił do złego i nie jesteś w tej chwili sobą. Musimy popracować nad tobą i naprawić to, co zniszczono.

— Mógłbyś mi zejść z drogi?

— Jest jeszcze jedna kwestia — powiedział Scott, dając Richardowi znak ręką, aby się usunął. — Dość ważna kwestia. Sądzę, że powinniśmy ją teraz wyjaśnić.

Otoczył lewą ręką moje plecy, wywierając presję w ten sam, typowy dla niego subtelny sposób. Popatrzyłem w jego czarne oczy i dostrzegłem w nich spokój, gdy kontynuował przemowę cichym, pieszczotliwym tonem, jakiego używał na zajęciach dla nowych trenerów.

— Nikt nie będzie stosował przeciwko tobie przemocy, Elliotcie — oświadczył. W tonie jego głosu nie znalazłem drwiny czy ironii. — Nikt nie będzie cię zmuszał do ponownej indoktrynacji, którą będziemy dawkować tak powoli, jak będzie tego wymagała sytuacja. Przez tydzień możesz odpoczywać, żyć na wyspie w sposób, w jaki żyją goście Klubu, ze wszystkimi przywilejami, chociaż bez rzucania się w oczy. Później rozpoczniemy reedukację w odpowiednim dla ciebie tempie. — Był bardzo blisko mnie i stale się zbliżał, aż nasze ciała się dotknęły. Jego ręka pozostała na moich plecach. — Wiesz, co myślę? Że kiedy w końcu zobaczysz pod sobą pas lądowiska na wyspie, poczujesz ogromną ulgę. A potem doświadczysz czegoś jeszcze, czegoś naprawdę miłego. Jeśli jednak tego nie poczujesz, będziemy się posuwać bardzo, bardzo powoli. Jesteśmy w tych sprawach ekspertami, wierz mi, Elliotcie. Wszystko się dobrze skończy, obiecuję ci. Dopilnuję tego osobiście.

Czułem promieniującą od niego swoistą „elektryczność”, energię, która leżała u podłoża jego zachowania, a w jego oczach widziałem szczerość. Myślę, że wymieniliśmy jakieś nieme potwierdzenie, coś znacznie mroczniejszego i prostszej niż uśmiech. Połączyła nas niespieszna milcząca, pozbawiona ironii czy humoru, jednomyślność, że to stwierdzenie ma

swój urok. Czulem bijącą od niego władzę i jego wiarę we własną moc. Umiał też przemawiać z potężną, kuszącą poufałością i takim właśnie głosem ponownie się do mnie odezwał:

— Uważamy, że jesteś tego wart, Elliotcie, i że możemy ci poświęcić tyle czasu i wysiłku, ile trzeba. Nie okłamuję cię! Omawiam z tobą interes, prosty, zwyczajny biznes, a wiesz chyba, co leży w naszym najlepszym interesie.

— Ważne — podsumował Richard — abyś wrócił z nami samolotem.

— Słyszałem, co mówiliście, i doskonale was zrozumiałem — warknąłem. — Teraz, proszę, zejdźcie mi z drogi.

Jednak zanim któryś z nas zdążył się ruszyć, drzwi do kuchni się otworzyły i stanęła w nich Lisa oświetlona padającym z sypialni światłem na tle ciemnej kuchni. Rękę trzymała na klamce. Jedno ramię sukienki zsunęło jej się na ramię. Włosy miała splątane i zmatowiałe, jakby ich kondycja zależała od stanu jej duszy. Była boso, w pięknej krótkiej czarnej sukience wyglądała na rozbitą i zmęczoną. Twarz miała czerwoną, makijaż rozmyty od płaczu, tusz rozmazany. Teraz jednak nie płakała.

— Chcę, żebyś z nimi wrócił, Elliotcie — powiedziała. — Mają rację we wszystkim, co mówią. Najważniejsze, abyś z nimi teraz wrócił.

Przyglądałem jej się przez dłuższą chwilę, po czym się obróciłem i zerknąłem na obu mężczyzn. W gardle czulem grudę.

— Wyjdźcie na zewnątrz — poleciłem.

Przez moment się decydowali, po czym Scott dał znak Richardowi i wyszli na dziedziniec.

Gniewnie, szybko zaciągnąłem zasłony na oknach i szklanych drzwiach. Odwróciłem się do Lisy, która nadal stała w wejściu do kuchni.

Stałem i gapiłem się na nią przez pokój. Plecami opierałem się o drzwi na dziedziniec, blokując wszystkim dostęp.

Przez chwilę byłem zbyt wytrącony z równowagi — nazwijcie to gniewem, bólem lub zmieszaniem — by rozmawiać. Ostatecznie wszakże wydukałem:

— Każesz mi wracać?

Lisa wyglądała teraz na zdumiewająco opanowaną, jakby mój gniew ją uspokajał. Na moment jednak przygryzła górnymi zębami dolną wargę i wiedziałem, że lada chwila może się znowu rozplakać.

— Porozmawiaj ze mną, Liso! — poprosiłem. — Twierdzisz, że pragniesz, abym tam wrócił?!

Mówiłem niewiarygodnie głośno.

Nie ruszyła się, lecz jakoś skurczyła w sobie, mimo iż nadal trwała nieruchomo w drzwiach. W końcu zrobiła krok naprzód, mrugając, jakby mój hałaśliwy ton ją ranił.

Próbowałem zapanować nad gniewem.

— Czy to właśnie mi mówisz?! — Nie mogłem się powstrzymać od krzyku. — Że mam tam wrócić?

— Tak — odparła z grymasem. — Myślę, że musisz wrócić. — Nagle wpatrzyła się we mnie twardo. — Złamałam kontrakt, który z tobą zawarliśmy, Elliotcie — wyjaśniła odważniejszym głosem. — Spieprzyłam coś bardzo dla ciebie ważnego. Teraz chcę, żebyś wrócił do Klubu, dając Scottowi i Richardowi szansę naprawienia szkód, które wyrządziłam.

— Nie wierzę ci! — szepnąłem. — Ważne, cholera?! — Podszedłem bliżej, lecz nie ośmieliłem się jej dotknąć. — Chyba nie tylko tego pragniesz, nie tylko to czujesz?! Nie rób mi tego, Liso! Nie rób mi tego! — Znów wrzeszczałem.

— Dokładnie tego chcę i dokładnie to czuję — zapewniła mnie drżącymi wargami. Bałem się, że za chwilę się załamie.

— Nie płacz — poprosiłem. — Nie płacz, błagam! Nie płacz, Liso — powtarzałem. Właściwie nie wymawiałem słów, ale je z siebie wypluwałem. Nie wiedziałem, co robić,

czułem jedynie wściekłość. Zaraz w coś uderzę, coś stłukę. Stałem przed Lisa, zaledwie o krok od niej. Usiłowałem się uspokoić, pochylając się nad nią, aż będę mógł jej spojrzeć w znów spuszczone oczy. Musiałem powiedzieć coś, czego nie mógł usłyszeć nikt poza nią. Obniżyłem głos i spytałem: — Liso, ile razy ci wyjaśniłem, co do ciebie czuję? Przeanalizowałem własne emocje tuż po naszym poznaniu i znam je. Kocham cię, Liso, słyszysz! Nigdy wcześniej nie mówiłem tych słów żadnej kobiecie ani żadnemu mężczyźnie. Spójrz na mnie i porozmawiaj ze mną! I nie wmawiaj mi, że chcesz, abym wrócił do pieprzonego Klubu! Pieprzyć głupi Klub!

Odniosłem wrażenie, że patrzę na osobę, która zabawia się w jakąś dziecięcą grę i absolutnie nie wolno jej się ruszyć.

Lisa wyglądała jak kupka nieszczęścia — smutna, bosa, zapłakana, z rozmazanym czarnym tuszem pod dolną powieką, z rozchylonymi wargami.

— Co oznacza dla ciebie moje wyznanie, Liso? — spytałem. Zaciskałem zęby mocno, aż do bólu. Słyszałem w swoim głosie rozpacz. I błaganie. — Liso, bądź ze mną szczerą, całkowicie szczerą! Powiedz mi, że po prostu miałaś dość Klubu, że po prostu zdenerwowała cię twoja praca i postanowiłaś mnie wykorzystać jako pretekst do ucieczki. Jeśli tak było, powiedz mi to! — Nie mogłem się posunąć dalej. Nie mogłem już mówić i po raz kolejny wróciło do mnie to straszne uczucie, którego doświadczyłem podczas naszej długiej pijackiej nocy, gdy oświadczyłem Lisie, że może mnie zranić. Teraz mnie raniła, teraz naprawdę działa się to, co przewidywałem... — Jezu Chryste, Boże! — mamrotałem cicho. Przez moment chodziłem przed nią w tę i z powrotem, a później znowu się do niej zbliżyłem, złapałem ją, gdy cofała się do ciemnej kuchni, i mocno przytrzymałem za ramiona. — Liso, powiedz mi, że mnie nie kochasz! — Darłem się na nią. — Jeśli nie potrafisz mi wyznać miłości, w takim razie powiedz, że mnie nie kochasz. Chcę to od ciebie usłyszeć, powiedz mi to! Powiedz mi, że mnie nie kochasz, powiedz! — krzychałem.

Przyciągnąłem ją do siebie, a ona z całych sił próbowała się odsunąć. Zamknęła oczy, włosy lepiły jej się do mokrych powiek, gwałtownie chwytała oddech, dławiąc się, jakbym otaczał dłonią jej szyję. Nie dotykałem jej szyi. Trzymałem ją tylko za ramiona.

— Scott! — wrzasnęła nagle. — Scotty! — Wyszarpnęła mi się, kiedy lekko poluzowałem uścisk. — Scotty! — krzychała.

Opadła na jeden z kuchennych stołków. Pierś jej falowała, a spod przesłaniających twarz włosów docierał do mnie jej suchy szloch.

Scott i Richard wpadli do pokoju. Richard minął mnie wielkimi krokami, podszedł do Lisy i bardzo cicho spytał ją, czy nic jej nie jest.

Sam widok pochylającego się nad nią mężczyzny i jego zatroskany głos przyprawiały mnie o szaleństwo.

Nic nie zrobiłem. Po prostu się odwróciłem i wyszedłem z pokoju. Targała mną ślepa furia. Przestało mnie cokolwiek obchodzić. Byłem tak wściekły, że potrafiłbym jednym uderzeniem roztrzaskać ceglany mur. Jak ona mogła to zrobić?! Jak mogła zawołać na pomoc tego faceta?! Jakbym to ja ją ranił!!!

Usiadłem na dziedzińcu, na ławeczce z kutego żelaza, drżącymi rękoma zapaliłem papierosa i zagapiłem się w mroczną, lśniąca płataninę przerośniętej roślinności. Od mojej rozgniewanej twarzy niemal buchało gorąco. Nie słyszałem wokół siebie żadnych odgłosów. Studiowałem fontannę, z uwagą wpatrywałem się w poobijanego małego cherubina, w muszlę i w zamuloną wodę. Dostrzegłem nawet pajęczynę w oku cherubina. Nie wiem, czy ktoś do mnie coś mówił.

Uspokajałem się długo, może ze dwadzieścia minut. W końcu serce zaczęło mi znów bić spokojnie i regularnie. Czuję się nieszczęśliwy, mało tego, mój stan pogarszał się z każdą minutą. Bałem się, że też się załamie. Że rozpadnę się na kawałki — dosłownie i w przenośni.

„Tak jakbym potrafił kogoś zranić”, pomyślałem z ironią. „Jak ci geniusze bólu, bystrzy, wyrafinowani panowie z Klubu”.

„Dranie!”, powtarzałem sobie w myślach. „Pieprzone dranie!” Raz za razem z trudem przetykałem ślinę. Nagle moje uszy zaatakował odgłos czyichś kroków. Ktoś wychodził z naszej przybudówki. Podniosłem głowę i zobaczyłem Scotta, mojego anioła stróża.

— Chodź do środka — powiedział. Słyszając jego ton, można by pomyśleć, że ktoś właśnie umarł, ja jestem głównym żałobnikiem, on zaś właścicielem zakładu pogrzebowego. Ja ze swej strony byłem gotów tu i teraz kogoś zamordować. — Lisa chce z tobą pomówić. Pragnie cię o czymś poinformować.

Lisa znów siedziała w bujanym fotelu. W dłoni ścisnęła lnianą chusteczkę. Z nie znanych mi powodów nałożyła buty. Richard stał za nią jak kolejny anioł stróż, a Scott kręcił się po pokoju, wyraźnie się obawiając, że nagle się na kogoś rzuci. I miał rację — mógłbym się rzucić.

— Nie winię cię za twój gniew, Elliotcie — obwieściła Lisa.

— Daruj sobie te patetyczne teksty, pani — odwarknąłem.

— Nie mów mi takich bzdur.

Skrzywiła się, jakbym uderzył ją pięścią między oczy. Nie mogłem na nią patrzeć, gdy tak siedziała z pochyloną głową. Na szczęście, szybko ją podniosła i popatrzyła na mnie przez świeże łzy.

— Błagam cię, Elliotcie, wrócić z nimi — powiedziała. — Błagam. Wróć do Klubu przez wzgląd na mnie i tam poczekaj.

— Łzy spłynęły jej po twarzy, głos drżał. — Błagam cię, wróć

— powtórzyła — i zczekaj tam na mnie. Tylko dwa dni... aż przyjadę. — Tego się nie spodziewałem. Zerknąłem na Richarda. Był uosobieniem szczerości i współczucia. A Scott, który mnie pilnował spod ściany, patrzył na Lisę z przekrzywioną głową i smutkiem w oczach. — Oni nic ci nie zrobią, Elliotcie, wierz mi. Nic ci... no wiesz... nic ci nie zrobią.

— Zgadza się — przytaknął Scott szeptem.

— Po prostu pokażemy wszystkim, że wróciłeś — dodał Richard. — Że wysiadasz z samolotu. I że możesz dalej robić, co zechcesz.

— Elliotcie — nalegała Lisa. — Obiecuję ci, że przylecę.

— Usta znowu jej drżały, więc przygryzła dolną wargę zębami.

— Potrzebuję tylko tych paru dni. Muszę pobyć sama, aby zrozumieć przyczyny mojego załamania, pojąć, dlaczego do niego doszło. Ale obiecuję ci, że wrócę. Cokolwiek o tym myślisz, wrócę i wtedy porozmawiamy. Wtedy powiesz mi wszystko, co zechcesz, wszystko, na co twoim zdaniem zasługuję. Jeśli nadal będziesz pragnął opuścić Klub, załatwimy to odpowiednio oficjalnie.

Spojrzałem na Richarda, który pokiwał głową.

— Tylko trochę z nami współpracuj — rzucił Scott.

— Błagam cię — dodała Lisa. — Zrobisz to dla mnie? Przez minutę nie odpowiadałem. Odczekanie tej długiej chwili wydawało mi się ważne. Bez słowa patrzyłem na mokrą, smutną twarz mojej pani, częściowo przykrytą opadającymi włosami, na jej stopy — jedną bez buta, jedną w sandałku na kryształowym obcasie. Lisa skulona na krawędzi fotela, kolana nagie, sukienka pognieciona.

— Jesteś zupełnie pewna — spytałem jak najciszej — że mam cię tutaj zostawić? Chcesz tego?

— Wierz mi, Elliotcie — odparła tym samym drżącym głosem — to jedyna rzecz, jakiej w tej chwili chcę.

Przez sekundę nie mogłem oddychać.

Zostałem tak strasznie zraniony i tak okropnie cierpiałem, że chyba pobladłem. Cierpienie uwierało mnie jak maska, nałożona na twarz i coraz mocniej do niej przylegająca. Nie

patrzyłem na żadnego z mężczyzn, lecz wiedziałem, że Richard mi się przygląda, a Scott z szacunkiem pochylił głowę i zbliżył się do drzwi.

W twarzy Lisy dostrzegłem zadziwiającą niewinność. Jej duże oczy spoglądały na mnie tak zachwycająco mimo zmęczenia i mimo smug tuszu do rzęs.

Maska bólu zaciskała się coraz bardziej. Czuję, że rwie każdą tkankę i że dławi mi gardło. Potem zaczęła pękać i topić się. Było mi lepiej, wygodniej, przyjemniej.

— Wszystko, co robisz i mówisz — zauważyłem — jest takie wieloznaczne. Teraz także możesz mieć na myśli co najmniej dwie różne rzeczy!

Popatrzyliśmy na siebie i mógłbym przysiąc, że coś między nami zaiskrzyło, że osiągnęliśmy jakieś bardzo prywatne porozumienie. Może jej oczy złagodniały, zaledwie na moment, by nikt poza mną tego nie zauważył, a może zaskoczyłem ją jakimś pomysłem, którego nie oczekiwała.

Kiedy znów się odezwała, mówiła powoli; w oczach stały jej łzy.

— Moje życie rozpada się na kawałki, Elliotcie — powiedziała cicho, niemal szeptem. — Rozpada się wokół mnie niczym mury Jerycha. Musisz wrócić na wyspę i tam na mnie poczekać.

Richard i Scott uznali tę kwestię za zakończenie naszej rozmowy. Richard pochylił się i pocałował Lisę w policzek, Scott natomiast delikatnie pchnął mnie ku drzwiom.

Wyszedłem do ogrodu, nieco zdumiony, że to robię. Na chwilę znieruchomiałem, niczego nie widząc i o niczym nie myśląc, aż usłyszałem, że stojący obok Richard stwierdza powściągliwie zimnym głosem:

— Czy masz pewność...

— Nic mi nie będzie — odparła Lisa znużonym, niemal śpiewnym tonem. — Tylko już idźcie. Obiecuję, nie opuszczę tego hotelu. Włączę telefon. Będę tu. Postaw jednego ze swoich zbirów, lecz niech pozostaje dla mnie niewidoczny. Potrzebuję tylko kilku dni samotności, nic więcej.

— No dobrze, moja droga. Możesz do nas dzwonić o każdej porze dnia czy nocy.

Gapiałem się na odległe szklane drzwi prowadzące do frontowego holu hotelu. Subtelne gorąco nocy pulsowało do muzyki granej przez świerszcze. Na niebie, w prostokącie pomiędzy dwiema ścianami, jarzyło się fioletowe światło.

— Zobaczysz, uda się — oznajmił Scott. Wyglądał na nieszczęśliwego.

— Zostawimy ją tutaj? — spytałem.

— Będzie jej pilnował nasz człowiek. Siedzi teraz w barze. Lisie nic nie grozi.

— Jesteś tego pewien? — spytałem.

— Słuchaj, facet, ta kobieta tego właśnie pragnie — odburknął Scott. — Nic jej nie będzie, znam ją.

„On ją zna!”

Odszedłem od niego kilka kroków po kocich łbach. Zapaliłem następnego papierosa. Prywatny gest, pochYLENIE głowy, otoczenie dłońmi płomienia. Sekunda prywatności.

Richard wyszedł i zbliżył się do mnie, po czym, ukradkiem zerkając za siebie, na Lisę, szepnął:

— Wybrałeś naprawdę najwłaściwsze rozwiązanie.

— Odczep się, dupku — odwarknąłem.

— Kochasz tę kobietę? — spytał lodowatym głosem, mrużąc głęboko osadzone oczy. — Chcesz wszystko dla niej zrujnować? Lisa nie wróci do Klubu, chyba że będziesz tam na nią czekał.

— Współpracuj z nami, Elliotcie — dodał Scott — dla jej dobra.

— Dla was wszystko jest jasne, co?

Odwrociłem się i popatrzyłem na moją panią. Zdążyła już wstać z fotela i podejść do oszklonych drzwi. Jej nogi chwiały się niepewnie na niebezpiecznie wysokich obcasach. Ręce założyła na piersi i wyglądała na wstrząśniętą, wręcz zdruzgotaną.

Zdeptałem papierosa na kamieniach i wskazałem palcem na Lisę.

— Dwa dni — zawołałem.

Pokiwała głową.

— Nie złamię danego słowa — zapewniła mnie. Chciałem powiedzieć jej zimno i spokojnie, że nie obchodzi mnie, czy w ogóle przyleci na wyspę. Chciałem obrzucić ją wszystkimi znanymi mi paskudnymi epitetami, jakimi można nazwać kobietę, każdym kiedykolwiek zasłyszonym straszliwym przekleństwem w najrozmaitszych językach. Ale nie pasowały mi do niej. Lisa była dla mnie po prostu Lisa. I tym jednym kłamstwem, które mi powiedziała, do którego przyznała się tego pierwszego ranka w „Court of Two Sisters”. Później nie wypowiedziała żadnego kłamstwa, nie dała żadnej obietnicy, żadnego oświadczenia.

A jednak miałem uczucie, że coś niezwykle istotnego i cennego zostało zniszczone, coś absolutnie nadzwyczajnego i przełomowego. I nie mogłem już patrzeć na twarz Lisy, na twarz osoby, która to wszystko zrujnowała. Odniosłem wrażenie, że otwarto drzwi, za którymi czaiła się jakaś okropność — coś straszego, czego obawiałem się przez całe życie.

Rozdział 29

Wizyta w „Kościele”

„Prosimy cię tylko, abys nam wyjaśniła... abys pozwoliła nam zrozumieć twoje pobudki. Jak mogłaś to zrobić, Liso?”

To była nora, dziura, spelunka... i jak tam jeszcze można nazwać obskurną pułapkę na turystów, wąską długą knajpkę, z jedną ławą pod ścianą dla klientów i pasem jaskrawych świateł za barem naprzeciwko.

Gigantyczny mężczyzna przebrany za kobietę tańczył — jeśli tak to można nazwać, gdyż w gruncie rzeczy szurał nogami to w jedną, to w drugą stronę w atłasowych klapkach. Światło migotało na białej satynowej sukni, grubej warstwie pudru na jego policzkach, przędzy szklanej białej peruki, pustych, nie skupionych oczu. Osobnik obserwował swoje ciało w lustrze, tańczył sam ze sobą, bezgłośnie wymawiał słowa piosenki, huczącej z głośników, ponurej, monotonnej, rytmicznej. Srebrne boa drzące na gładkich i potężnych ramionach, sylwetka dziwaczna, niezaprzeczalnie zmysłowa, piękna w swej upiorności.

Dla mnie w każdym razie. Wszyscy jesteście aniołami. Czysty teatr, wspanialszy niż wszystko. Modlę się.

„Chcę powiedzieć, że jesteś szefową, mentorką, aniołem stróżem całego układu... i ty mi mówisz, żebym cię o nic nie wypytywał?!”

Siedziałam bez ruchu przy ścianie, oglądając ją — jego, ciężkie, prawie niezdarne kroki stawiane przez wielkie stopy, mocno pomalowane tanią różową szminką usta, tępe, wpatrzone przed siebie oczy skryte pod firanką sztucznych rzęs. Fetor uryny dochodzący z małej toalety tuż za brudną czerwoną aksamitną zasłoną. Smród brudnego dywanu, wilgotnego, spleśniałego, leżącego na wąskiej podłodze. Słaby słodki odór kosmetyków do makijażu i brudnego stroju. Transwestyta przypominał mi olbrzymie marmurowe anioły w kościele, które oferują nam muszle z wodą święconą do zanurzenia palców. Większe i gładsze niż rzeczywistość, stworzenia bezsprzecznie doskonałe.

Przesiedziałam tu dobre kilka godzin.

„Jak mogłaś mu to zrobić, jemu... niezależnie od powodów? Jak mogłaś się z nim tak zabawiać? Kim twoim zdaniem jest ten facet, że możesz nim tak manipulować, tak go wykorzystywać? Właśnie ty zawsze nas uczyłaś, że nigdy, ale to nigdy nie wolno bagatelizować tego psychologicznego dynamitu, z którym mamy do czynienia”.

Dwa studolarowe banknoty, aby lokal pozostał otwarty. Dziesięć, jedenaście, dwanaście drogich dwustumililitrowych typowych dla nocnych knajpek butelek piwa. Za oknem prawie pusta Bourbon Street i tylko jedna (oprócz mnie) osoba w klubie, a raczej w norze, na pewno nie w Klubie, w dziurze, spelunce, kaplicy perwersji, katakumbach — wychudzony facet zgarbiony nad drinkiem na końcu baru, w marynarce w kratkę.

„Jak mogłaś?”

Co jakiś czas wchodzili naganiacze. Nikt mi się nie naprzykrzał.

Mężczyzna przebrany za kobietę przesuwał się w tę i z powrotem po jaskrawym pasie wzdłuż rzędów ciemno oświetlonych butelek. Nagie ramiona, gładkie różowe ręce, ślad dekoltu pod brudnym pasem satyny obszywanej cekinami, klapki na płaskim obcasie, wysoki połysk sztucznego estrogenu — wszędzie.

„Co ten facet ma teraz twoim zdaniem robić? Jak ma się przygotować do zmysłowych doświadczeń całego życia, skoro tak go porwałaś? Sama decydujesz, że unosisz zasłonę? Chcę cię zrozumieć, lecz czy ty byś mnie zrozumiała, gdybym zrobił coś takiego, gdybym

zabrał z Edenu Diane, Kitty Kantwell lub kogoś innego? Sądziś, że przeleciałabyś dwa tysiące kilometrów, by to ze mną omówić, panno Perfekcjonistko?”

Już nie byłam wcale pewna, czy potrafię wrócić. Musiałam się zatrzymać w miejscu i zastanowić, przypomnieć sobie, gdzie jest hotel, znaleźć go na mapie, którą miałam w głowie. Dwie przecznice w tę, dwa kwartały w tamtą. A co ze zbiorem, któremu kazali się gdzieś tam ukryć? Czy pojawi się, gdy padnę twarzą na ulicę? „Nie chodzi o pieniądze ani o rozmowy na wyspie. Pomyśl o tym mężczyźnie, pomyśl, co mu zrobiłaś. Co, do diabła, powiemy Martinowi? Przecież Martin nam go przysłał”.

Wstałam, aby sprawdzić, czy w ogóle jestem w stanie iść, a w chwilę później już szłam chodnikiem. Spytałam naganiacza, gdzie mogę znaleźć telefon. Spojrzałam w dół i dostrzegłam bardzo osobliwą rzecz — odkryłam, że noszę te brzydkie, lepkie sandały z rzemieni, które kupiliśmy w sklepie dyskontowym. Elliott wspaniale wyglądał w szortach safari, białej koszuli i białych tenisówkach...

„Pytamy cię tylko o powody. Dlaczego to zrobiłaś? I prosimy cię jedynie, żebyś wróciła. Jeśli wsiądziesz z nami do samolotu, pomożemy ci go odzyskać, usiąść i omówić całą sprawę...”

Szłam ulicą w tych strasznych sandałach i w jakimś płaszczu przeciwdeszczowym w kolorze burgunda, w typie poncho; niejasno pamiętałam, że kupiłam go w San Francisco na Castro Street w sklepie o nazwie „Ali American Boy”, a moja siostra mówiła: „Niby mi nie przeszkadzają, chociaż ich towarzystwo mnie denerwuje”. Miała na myśli homoseksualistów. Powinna zobaczyć te anioły, moje anioły. Mój płaszcz przeciwdeszczowy był zbyt ciężki na Nowy Orlean, nawet tej wiosennej nocy — jak wzniosie powiedział Elliott — wcale nie gorącej... Te — raz jednak sobie przypominałam, dlaczego go noszę. Bo pod nim nie miałam prawie nic.

Gdy zaczęłam wymiotować, podałam tę śliczną sukienkę, moją ulubioną, moją najbardziej ulubioną sukienkę. Zniszczyłam ją, a wcześniej włożyłam ją, gdy szliśmy na tańce, kiedy się kochaliśmy na tylnym siedzeniu limuzyny, kiedy spaliśmy na kopie narzut w Monteleone i kiedy jechaliśmy.

Tej sukienki już nie ma, podarta i zniszczona została na podłodze łazienki. Kiedy wstałam z łóżka, pomyślałam, że założę to poncho. Jest piękne. Włożyłam pod nie tylko bawełnianą halkę.

Żadnej bielizny. Ach, to sekretne uczucie nagości. Które zresztą nie miało w tej chwili znaczenia. Wszystko otwarte przez miłość, cudowne uczucie braku materiału między nogami.

„Jesteś mu to winna, jesteś. Wsiądź z nim teraz do samolotu. Boże, to jest najmniej, co możesz zrobić! Leć z nami”.

Więc stałam na Bourbon Street, pijana, w tym burgundowym przeciwdeszczowym poncho z halką pod spodem. W kieszeniach miałam pieniądze, zbyt wiele pieniędzy. Studolarowe banknoty i mnóstwo monet. Rozdawałam banknoty, tak jak robił to Elliott, składając każdy na pół i wsuwając go danej osobie, nie robiąc z tego żadnej dużej sprawy, tylko się uśmiechając. A jedna z tych mężczyzn — dziewczyn, duża piękna brunetka z głosem wysokim, brzmącym trochę jak dziecięce organki, usiadła obok mnie i rozmawiała ze mną, zwracając się do mnie per „kochanie”. Różowa i gładka, jak anioł albo olbrzymia foka, zależnie od...

„...Czy to nic dla ciebie nie znaczy, Liso? Wiesz, na co się narażasz, jeśli z nami nie wrócisz?”

One wszystkie przechodziły operacje, te dziewczyny. Te anioły. „Przerabiały się” po kawałku. Moja rozmówczyni nadal miała jeszcze męskie genitalia, a penisa jakoś sobie przywiązywała, dzięki czemu nie wystawał, gdy rozbierała się do samych stringów. Ale miała już piersi i przyjmowała estrogen w zastrzykach.

Wiedziała, że jest piękna, że wygląda jak śliczna Meksykanka, która wie, że jest ładniejsza i inteligentniejsza od wszystkich swoich siostr i braci, toteż właśnie ona dostanie pracę

hostessy w przydrożnej restauracji; będzie nosiła krótką czarną sukienkę z dużym dekoltem i rozdawała menu, podczas gdy reszta rodziny zostanie kucharzami i pomocnikami kelnerów. Tego rodzaju uroda, Miss Universe garów i patelni.

„Słuchaj, próbujemy cię zrozumieć, naprawdę próbujemy”.

Kastracja dla czegoś takiego?!

— Chyba im nie pozwolisz... to znaczy, chyba ci nie ode — tną jąder, prawda?

— Kochanie, nie uważamy jąder za organy kobiece! Jest telefon!

— Co mówisz?

— Telefon, kochanie. Telefon... — poufny ton, jakbyśmy się w sobie zakochali, cholera

— ...czy ktoś może tu przyjść i się z tobą spotkać?

„No dobrze, więc jak to nazwiesz w takim razie, jeśli nie przyspieszonym prześladowaniem? Wykorzystałaś swoją pozycję i władzę. Chcesz usłyszeć prawdę? Zachowałaś się jak pieprzona stereotypowa, samolubna i przesadnie emocjonalna baba”.

— Która godzina?

— Druga. — On — ona patrzy na swój tani zegarek. Druga rano. Elliott odleciał dokładnie siedem godzin temu. Pewnie dotarli już do Meksyku i kierują się do Panamy. Omijając Salvador.

„Co w twoim mniemaniu facet teraz sobie myśli? Postanowił na dwa lata porzucić wszystkie sprawy, karierę, całe swoje życie, a tu szefowa zabiera go na pieprzone pięciodniowe uciechy w Nowym Orleanie?”

— Kochanie, zamykamy już.

Jasne, zamykajcie sobie „Dreamgirls Club”. I tak mam to w nosie. Pierwszorzędna muzyczka grająca dla pustej sceny za butelkami. Teraz im wszystkim wyrosną białe satynowe skrzydła pokryte cekinami i wszystkie anioły wylecą tylnymi drzwiami, po czym wzniosą się w ciemne, wilgotne niebiosa nad dachy Nowego Orleanu i na zawsze poza plugastwo kaplicy. (Chociaż w oddali i pod okryciem nocy będą śmiertelnikom nadzwyczaj przypominać gigantyczne latające karaluchy.) Lustra odbijające puste rzędy ławek i stołów, gdzie właśnie siedziałam na samym końcu, nie niepokojona, samotna. Ulica pełna śmieci, ogromnych, błyszczących śmieci w zielonych plastikowych workach. Karaluchy! Nie myśleć o karaluchach.

Smród chińskiego zarcia z budki. Spacerująca para: dziewczyna w białych szortach, bluzce trykotowej z odkrytymi plecami i mężczyzna w koszuli z krótkim rękawem; pili piwo z dużych papierowych kartonów, w jakich zwykle sprzedaje się mleko. Dużo piwa. Kupić piwo, ot, tak, aby się napić. Piwo ma cudowny smak. Piwo marki „Miller”. Elliott twierdzi, że to najlepsze amerykańskie piwo. Najlepszym europejskim jest według niego heineken, a na całym świecie najsmaczniejsze jest haitańskie. Obudź się, Elliotcie, będziemy jechać całą noc i rano znajdziemy się w Meksyku. Gdyby tylko wziął ze sobą paszport... Moglibyśmy być do tej pory w Nowym Jorku i czekać na lot do Rzymu. Nigdy by nas nie złapali.

„To jest bezmyślność, której nie pojmuję. I zdrada zaufania, absolutne lekceważenie delikatnego mechanizmu, stopnia wrażliwości...” Nie, trzeba przestać!

Potem z Rzymu do Wenecji. W żadnym mieście nie spaceruje się przyjemniej niż w Wenecji. I jest tam stosunkowo mało karaluchów.

— Gdzie telefon? Możesz mi powiedzieć, gdzie znajdę telefon?

Otwarty narożny bar. Nie, to nie jest ten sam bar. Ależ tak, to ten sam! Ten sam bar, w którym stoczyliśmy spór o *Ślicznotkę*. Ten sam, w którym piliśmy szkocką i dzin, zanim poszliśmy do Michaela, a Elliott powiedział... wszystko to Elliott powiedział.

Smak Elliotta, dotyk jego golfa, ściśle przylegającego do piersi. Usta Elliotta, uśmiech Elliotta, jego niebieskie oczy, włosy mokre od deszczu. Uśmiech Elliotta. Pocałunek Elliotta.

— O tam, kochanie. („Naprawdę jest pijana”.

„Nic jej nie jest. Nic jej nie jest”.)

„Nie, nic mi nie jest!”

Wrzuciłam ćwierćdolarówki do aparatu, jedną po drugiej, jedną po drugiej. Nie uważam właściwie za konieczne wkładania na początku aż tylu ćwiartek. Chwilowa luka w pamięci. Koncentracja. Prawdopodobnie wrzuciłam jedną ćwierćdolarówkę i czekam na operatora. Prawda jest taka, że nie dzwoniłam z automatu od... trzech dni?! Jeśli przez siedem lat jego numer się nie zmienił... ale dlaczego miałby się zmienić, nic się wszak nie zmieniło, zupełnie nic. Telefon dzwonił w San Francisco. Tam jest dwie godziny wcześniej, więc będzie dopiero północ. A o północy Martin Halifax nigdy nie śpi.

Z baru wyszedł mężczyzna w naprawdę okropnym poliestrowym garniturze. Słomkowy kapelusz, gładka biała koszula, spod której wystawał podkoszulek. Facet z Atlanty, przybyły na jakiś zjazd. Och, wymyślamy takie rzeczy o ludziach, których stroje nam się nie podobają. Ten jednak wygląda nieco zbyt schludnie jak na tubylca.

O, tam stoi oparty o uliczną latarnię zbir z Klubu. Skąd wiem? Bo to jedyny facet na Bourbon Street o drugiej rano z cudowną opalenizną, pięknymi białymi zębami, džinsami od znanego projektanta i w różowych tenisówkach! Nie zatrudniamy prostaków, zgadza się? (A w San Francisco telefon dzwoni.) Na pewno nie zatrudniamy ludzi, który chodzą w poncho, sandałach z rzemyków i bez bielizny.

— Słucham.

— Martin!

— Tak, Martin. Kto mówi?

— Możesz mnie najpierw wysłuchać? Martinie, musisz mi pomóc. Martinie, potrzebuję cię. („Martin będzie musiał się o tym dowiedzieć. To on go tu przysłał. Co, do diabła, powie — my Martinowi? Że Lisa po prostu porwała Elliotta Slatera?!”) Martinie, potrzebuję cię, jak nigdy wcześniej cię nie potrzebowałam. Muszę z tobą porozmawiać.

— Liso, czy to ty? Liso, gdzie jesteś?

— W Nowym Orleanie, Martinie. Na Bourbon Street. Mam na sobie przeciwdeszczowe poncho i sandały. Tu jest druga w nocy. Martinie, proszę cię, pomóż mi. Proszę, przyjeźdź. Zapłacę za wszystko, zapłacę każdego dolara, koszty nie grają roli. Mógłbyś przylecieć następnym samolotem i spotkać się ze mną? Martinie, wiem, o co proszę. Wiem. Proszę, abys wszystko rzucił i przyleciał trzy tysiące kilometrów, żeby mi pomóc. Nie poradzę sobie sama, Martinie. Przylecisz?

— Masz pokój w Nowym Orleanie, Liso? Możesz mi powiedzieć dokładnie, gdzie się znajduje?

— Dziedziniec Marie Laveau, Rue Saint Anne, taksówkarz będzie wiedział, gdzie to jest. Mieszkam w dawnej przybudówce służby pod nazwiskiem Elliottowa Slater. Przylecisz?

— Elliottowa Slater?!

— Zrobiłam straszną rzecz, Martinie, zrobiłam to Elliottowi Slaterowi. Zdradziłam wszystko, Martinie, wszystko, w co wierzymy. Tak bardzo cię potrzebuję. Proszę, pomóż mi.

— Liso, przylecę najszybciej jak mogę. Zaraz zadzwonię na lotnisko. Chcę, żebyś poszła prosto do swojego hotelu. Myślisz, że znajdziesz tam taksówkę? Mogę wysłać ludzi tam, gdzie jesteś...

— Wrócę do hotelu, poradzę sobie, Martinie. Zaszłam już tak daleko tydzień temu. Umiem znowu wrócić.

No i ten zbir stoi tam, bystry, lśniący mięśniak o białych zębach, rozpiętej koszuli, obcisłych džinsach biodrówkach; członek sterczy mu pod džinsami i wygląda, jakby był we wzwodzie, a nie jest... Właśnie straciłam całą zawartość mojej portmonetki. Nie, nie straciłam. Nie mam portmonetki. Zostawiłam tylko kilka ćwierćdolarówek. Facet podnosi je. Co za miły młodzieniec!

— Liso, wróc do hotelu i prześpij się. Przylecę, gdy tylko będę mógł, obiecuję. Zjawię się, zanim się obudzisz, jeśli tylko zdołam to zorganizować.

— Zrobiłam straszną rzecz, Martinie. Zrobiłam to Elliottowi Slaterowi. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam.

— Jestem w drodze, Liso.

Mężczyzna w poliestrowym garniturze stał tuż przy szybie kabiny telefonicznej. Zbir w pobliżu liczył ćwierćdolarówki. Facet musi być z Klubu. Jaki inny tak doskonały obcy mężczyzna w dżinsach od projektanta kradłby kobiecie dwudziestopięciocentówki?

— Jesteś naprawdę ładną dziewczyną, wiesz? Chyba najładniejszą, jaką widziałem w mieście przez całą noc. — Miły facet. W stylu tych, co sprzedają rodzicom odkurzaczy albo polisę ubezpieczeniową.

Stolik w barze, można sięść. Nie. Nie wolno iść do baru. Trzeba wrócić wprost do hotelu. Skręcić za róg. Piwo w lodówce. Nie, nie ma tam piwa. Ubrania Elliotta. Nie, zabrali je.

— Chciałabyś się ze mną napić, ładna dziewczyno? Zbir podchodzi ukradkiem. Mruga okiem.

— Dobry wieczór, Liso — zagaja. Jasne.

— Taka ładna dziewczyna, a spaceruje sama. Może się ze mną napijesz?

— Dziękuję. Jesteś bardzo uprzejmy. — Zbir podchodzi. — Niestety, należę do zakonu o bardzo ścisłej regule i dlatego dniem i nocą chronią nas młodzi mężczyźni. Widzisz, mój strażnik jest w pobliżu. A nam nie wolno rozmawiać z obcymi facetami.

— Chcesz, żebym cię odprowadził do hotelu, Liso?

— Jeśli nie zdobędziesz dla mnie sześciopaku millerów gdzieś w tym mieście, zanim dotrzemy do hotelu, możesz o tym zapomnieć.

— Dobranoc, kochanie.

— Chodź, Liso. Dobranoc, aniołowie.

Rozdział 30

Miłość i ideały

— Może zaczniesz od początku?

Siedzieliśmy w rogu małej włoskiej restauracji. Martin wydawał mi się taki spokojny i działał na mnie nieskończenie uspokajająco. Był bardziej siwy na skroniach niż przed laty, dostrzegłam też siwe włoski w jego brwiach, które dodawały jego spojrzeniu dociekliwości i otwartości. Oprócz tych szczegółów wyglądał jednakże jak ten sam znajomy, stary, dobry Martin. Trzymał moją dłoń w swojej bardzo mocno i najprawdopodobniej nie zamierzał jej puścić, póki się nie zrelaksuję.

— Dzwonili do ciebie, nieprawdaż? — spytałam. — Kiedy nas szukali.

— Nie, nie dzwonili — odparł natychmiast.

— Cóż, to świadczy o powadze sytuacji. Nie chcieli, żebyś się dowiedział, co zrobiłam. Szkoliłeś Elliotta i przysłałeś go nam. Zapewne woleli, aby nikt się nie dowiedział. To była szalona myśl z mojej strony, sądzić, że do ciebie zadzwonili.

Popijałam białe wino, starając się nie myśleć o kacu po ubiegłonocnym pijaństwie i długiej jeździe na lotnisko (pojechałam po potwierdzeniu, że Martin leci tym rejsem), próbując cieszyć się jedzeniem i winem. Nie odkryliśmy z Elliottem tego lokalu, chociaż znajdował się tuż za rogiem i podawano tu naprawdę pyszną cielęcinę; Elliottowi ogromnie by smakowała.

Martin pił kawę i usiłował się nie krzywić.

— Ach, Nowy Orlean. — Potrząsnął głową i uśmiechnął się lekko, cudownie. — Kawa i cykorja. — Udał, że się złości.

— Powiem, żeby ci przynieśli lepszą kawę — zadeklarowałam się.

— Daj spokój. My, masochiści uwielbiamy paskudną kawę. — Jego lewa ręka lekko zacisnęła się na mojej. — Opowiedz mi o Elliotcie. Powiedz mi wszystko.

— Nie wiem, co się popsulo. Nie wiem, jak ta sprawa mogła zajść tak daleko. Coś się ze mną stało i straciłam nad sobą panowanie, wszelką kontrolę. Zdradziłam wszystkie ideały, w które wierzyłam, wszystko, w co dzięki moim naukom wierzyli inni.

— Liso, porozmawiaj z mną. Mów sensownie.

— Porwałam go, Martinie. Kazałam sobie przynieść jego ubrania z magazynu. Namówiłam go, aby się ubrał, i wsiadłam z nim do samolotu. Początkowo sądził, że to normalna wycieczka, że tak się „postępuje” w Klubie, że trener na prawo zabrać dokądś niewolnika, a potem odstawić go z powrotem. Przylecieliśmy tu, do Nowego Orleanu, i przez pięć dni... nie wiem... może dłużej... byliśmy sami i robiliśmy różne rzeczy. Chodziliśmy na tańce, poznawaliśmy się, pojechaliśmy nawet do Dallas... Boże, było tyle spraw, których nie powinniśmy robić... — Przerwałam. Znowu zawładnęły mną emocje. Ogarnięta uczuciami zgubiłam przekłętą wątek. — Zrobiłam coś strasznego — powtórzyłam. — Naruszyłam jego kontrakt. Zdradziłam go, Martinie, zdradziłam Klub i zdradziłam ciebie.

Zmrużył oczy, co uznałam za gest uprzejmości. Martin dawał mi do zrozumienia, że słucha mnie z uwagą, chociaż jego twarz pozostała równie spokojna i pełna akceptacji jak zawsze.

— Gdzie jest teraz Elliott? — spytał.

— W Klubie. Przyjechali tu, wzięli go i odlecieli z nim. To było niewiarygodne. Zachowywali się jak para policjantów, Richard i Scott. Jakby pracowali dla pieprzonego FBI. Zarząd się wścieka. Oczywiście zapewnili mnie, że nikt nie wyrzuci mnie z pracy. Cross powiedział, że jeśli musi wskazać najbardziej niezbędną osobę na wyspie, wskazuje mnie. Chcą tylko, żebym wróciła. Zabrali Elliotta i Bóg jeden wie, co się teraz dzieje w jego głowie.

Nie mogłam dłużej mówić. Straciłam głos, miałam nagle kompletnie zaciśnięte gardło. Nie patrzyłam na Martina, lecz na talerz o srebrnym brzegu. Chciałam sięgnąć po wino, ale jakoś nie potrafiłam. Żaden ruch nie wydawał mi się w tej chwili możliwy.

— Dlaczego przerwałaś? — zapytał. Ciepłe, suche palce. Opuścił nieznacznie głowę i spojrzał mi w oczy.

— Pomóż mi, Martinie — szepnęłam.

— Nie jestem lekarzem, Liso, wiesz o tym. Jestem jednak dobrym słuchaczem, więc opowiedz mi całą historię, aż po najdrobniejsze szczegóły.

Skinęłam głową. Niemal zbyt bolesna była wszakże myśl, że muszę komuś streścić te pięć dni i to w taki sposób, by słuchacz mnie zrozumiał. Znowu płakałam. W tym miejscu. Płakałam w „Court of Two Sisters”, w motelu, hotelu i tutaj. Nie płakałam tyle przez ostatnie dziesięć lat!

— Martinie, powiedz mi coś najpierw, proszę. — Wyjęłam swoją dłoń z jego rąk. — Muszę to wiedzieć.

Widziałam na jego twarzy zmartwienie, jednak Martin nie wydawał tak przestraszony jak Elliott, gdy się popłakałam w „Court of Two Sisters”. Elliott wyglądał wtedy, jakby miał za minutę zemdleć.

— Czy to, co robimy, jest właściwe, Martinie? A może jest złe? Czy postępujemy dobrze i normalnie, żyjąc na swój sposób i namawiając do takiego życia innych? A może jesteśmy źli, zboczeni i stuknięci? Czy jesteśmy źli?

Przyglądał mi się przez długi moment, wyraźnie kryjąc zaskoczenie wywołane moim pytaniem. Jeśli go uraziłam, również to zataił.

— Liso, ty mnie o to pytasz? — odparł powoli. — Tej nocy, gdy po raz pierwszy przyszedł do mojego Domu w San Francisco, powiedziałem ci o wszystkich swoich uczuciach.

— Muszę o nich znów usłyszeć, Martinie. Proszę. Zapomniałam, że je kiedyś rozumiałam.

— Liso, w mojej opinii Dom potwierdza, że nie jestem złym człowiekiem... Wręcz przeciwnie, w mojej działalności nie dostrzegam niczego nieodpowiedniego i niczego się nie wstydę. Po prostu preferuję pewien rodzaj stosunków seksualnych. Przecież o tym wiesz.

— Ale to, co robimy... jest złe czy dobre? — naciskałam.

— Liso, zabraliśmy egzotyczny seks z barów, ulic i brudnych, obskurnych pokoi hotelowych... Nie musimy już korzystać z usług twardych, cynicznych prostytutek, niemiłych małych gejów i wszystkich ludzi, którzy w przeszłości czynili z nas przestępców i żebraków. Nasze posunięcie nie może być zatem złe, nie sądzisz? Zrozumiałaś to, gdy pierwszy raz we — szłaś do Domu, a od tego czasu nic się jednak nie zmieniło. Klub zaś jest dziełem sztuki skonstruowanym według tych samych zasad co Dom, wspaniale kierowaną instytucją, która nigdy nie zawiodła nikogo, kto przeszedł jej bramy.

— No cóż, zawiodł Elliotta Slatera — jęknęłam.

— Hmm... Dziwię się. Powiedz, co się stało, że przestałaś wierzyć w to, co robimy?

— Stało się i już. Nie wiem jak! Nie starczy mi życia, by to pojąć. Wszystko po prostu rozpadło się na kawałki. W jednej chwili wiedziałam, kim jestem i gdzie przynależę, a w następnej przestałam znać siebie i rozumieć, co robię.

Przypatrywał mi się bez słowa. Czekał. Ja jednak wiedziałam, że nie mogę mu powiedzieć niczego nowego, tylko w kółko to samo. Kazał mi zacząć od początku. Ale jak zacząć?

— Liso — ciągnął cierpliwie — minęło kilka lat od naszych szczerych rozmów, szczególnie od tej pierwszej, którą odbyliśmy w gabinecie w suterenie, a ja ci wyjaśniłem wszelkie sprawy związane z działalnością Domu. Pamiętam doskonale, jaka wtedy byłaś. Byłaś śliczną młodą dziewczyną, choć nie tak piękną jak teraz. Miałaś w twarzy jakąś mądrość i coś niemal seraficznego, toteż rozmawiało mi się z tobą tamtej nocy tak jak z małym kim w życiu.

— Pamiętam tę noc — stwierdziłam.

Chciałam, by Martin przywrócił teraz nastrój tamtej nocy, jej cud, towarzyszące mi wówczas uczucie odkrywania tajemnic, wielką uspokajającą iluzję Domu, czegoś już zrozumianego, ustalonego, pewnego.

— Opowiadałem ci wtedy o miłości i o ideałach — podjął. — I o moim przekonaniu, że któregoś dnia „urozmaicony” seks przestanie się ludziom kojarzyć ze zboczeniami. — Kiwnęłam głową. — Pamiętam, że cię spytałem, czy będziesz umiała kochać odwiedzających mój Dom gości — dodał. — Pamiętasz swoją odpowiedź? Odparłaś mi, że w bardzo prawdziwy sposób kochasz wszystkich poszukiwaczy seksualnych przygód, którzy nie ranią drugiego człowieka, że nie potrafisz czuć do nich niczego innego. Że czujesz miłość i litość dla starego ekshibicjonisty rozchylającego płaszcz w parku i do faceta w autobusie, który ociera się o ciało ładnej dziewczyny, choć nigdy nie ośmielił się do niej odezwać. Kochałaś mężczyzn przebierających się za kobiety, transwestytów i transseksualistów. Twierdziłaś, że w jakimś sensie jesteś nimi wszystkimi, a oni są tobą. I że takie emocje ogarniają cię od zawsze, odkąd pamiętasz.

Odsunął na bok filiżankę z kawą i pochylił się nad stolikiem.

— Wiesz, kiedy mi się z tego zwierzyłaś — podjął — pomyślałem, że oto mam przed sobą dziewczynę równie romantyczną jak ja, a w dodatku pięćdziesiąt razy bardziej niewinną, niż ja byłem kiedykolwiek... I prawdopodobnie trochę zwariowaną. Dostrzegałem w tobie potężną zmysłowość, która cię ukształtowała, równocześnie być może wyzwalając w tobie lekkie rozgoryczenie. Zdołałaś jednakże nasycić swoją seksualność niemal nie znaną mi duchowością. Mimo to tamtej nocy nie potrafiłem ci do końca uwierzyć.

Cudowne słowa. Dla mnie jednak cała ta sprawa wyglądała już nieco inaczej — tak jak to opisałem Elliottowi, jakbym nigdy nie czuła tego, co mi przypominał Martin.

Zacząłem podejrzewać, że zanim poznałam Elliotta, postępowałam źle, że uprawiałam „niewłaściwy seks”.

— Uwierzyłem ci jednak dwa lata później — kontynuował Martin — kiedy pracowałaś w Domu w każdy weekend, a moich „gości” znałaś równie dobrze jak ja. Wtedy wiedziałem, że mówiłaś prawdę. Nie chodzi tylko o to, że potrafiłaś bez cienia wątpliwości tworzyć i odgrywać scenariusze obracające się wokół dominacji i uległości. Chodzi bardziej o tę miłość. Naprawdę kochałaś, czułem to. Nie brzydziłaś się niczym, co miało związek z seksem, nic cię nie wprawiało w zakłopotanie, przed niczym się nie cofałaś. Sprzeciwiałaś się jedynie tym samym aspektom, które i mnie były obce — prawdziwej przemocy, fizycznemu ranieniu drugiej osoby, uszkodzeniu ciała. Z tym walczyliśmy: i ja, i ty. Okazałaś się dokładnie taka, jak mi obiecałaś. Wiedziałem wtedy, a już na pewno podejrzewałem, że taka miłość nie może trwać wiecznie, po prostu nie może!

— Ależ nie, nie o to chodzi — wtrąciłam. — Nic się właściwie nie zmieniło. Ja także się nie zmieniałam. Raczej przydarzyło mi się coś zupełnie niewytłumaczalnego.

Martin napił się wina, którego nie tknął przez cały posiłek, potem podniósł butelkę i dolał sobie.

— To dobrze — stwierdził. — Więc zacznij opowieść od pierwszej chwili, w której zauważyłaś, że sytuacja się zmienia na gorsze, że źle się wokół ciebie dzieje. Opowiadaj, a ja będę słuchał.

Oparłam głowę na dłoniach i pochyliłam się nad stołem. Zamknęłam oczy.

— Wydaje mi się, że moje problemy zaczęły się podczas mojego urlopu — wyjaśniłam. — Pod koniec wakacji utknęłam sama w luksusowym hotelu w Dallas. Oglądałam wtedy na wideo film o nowojorskich Cyganach pod tytułem *Angelo moja miłość*. Cyganie w tym filmie byli tacy żywi... i niezaprzeczalnie normalni, obojętnie, co robili. Wiesz, kradli, bajerowali, kłamali, a jednak żyli w swojej niewiarygodnie sensualnej, zamkniętej społeczności, z którą byli ogromnie związani. Nie bywali samotni, gdyż stanowili część grupy.

— Tak jak wy w Klubie.

— Cóż, wcześniej na pewno bym tak nie pomyślała... Że ich świat przypomina mi mój. Teraz jednak mój sposób postrzegania się zmienił. Odnosiłam wrażenie, że oni mają coś, czego ja jestem pozbawiona. Przypomniała mi się pewna emocja sprzed lat. Gdy byłam małą dziewczynką i pragnęłam naszego... no wiesz, naszego sekretnego życia, naszego aktualnego życia... zawsze myślałam: „Boże, może nigdy coś takiego nie będzie mi dane. Może zawsze to pragnienie pozostanie jedynie fantazją w mojej głowie”. Wiesz, takie desperackie uczucie.

— Oczywiście, rozumiem.

— Hmm... tak czy owak tkwiłam w hotelu i strasznie chciałam wrócić już do Klubu. Musiałam wrócić. No więc wróciłam. I niemal natychmiast po powrocie zobaczyłam zdjęcie Elliotta, zdjęcie w jego teczce... Och, z pozoru jego fotografia nie miała zupełnie nic wspólnego z filmem, lecz kiedy na nią patrzyłam, coś się działo... w mojej głowie.

— Mów dalej.

— Wiesz, Martinie, zawsze zgadzałam się z teorią, że kobiety nie są wzrokowcami, że wygląd mężczyzny nie stymuluje ich w taki sposób, w jaki mężczyźni podnieca oglądanie aktów kobiecych czy męskich albo filmów erotycznych. Zawsze tak uważałam... A jednak to zdjęcie... jego zdjęcie...

Rozdział 31

Śmierć komiwojażera

Zapadał zmierzch. Nadal rozmawialiśmy.

Zmienialiśmy lokale — drink tutaj, filiżanka kawy tam.

Teraz wracaliśmy ulicami do hotelu. Całe miasto jarzyło się w zachodzącym słońcu. Tak może wyglądać wieczorem tylko Nowy Orlean. Może we Włoszech światło ma podobny odcień, choć w tej chwili nie miałam co do tego pewności. „Po co myśleć o Wenecji, skoro jesteś w Nowym Orleanie?” A w Nowym Orleanie było teraz naprawdę pięknie: różnobarwne, pastelowe ściany starych budynków, duże jasnozielone okiennice, kolorowe kocie łby poprzerastane kępami soczystozielonego mchu.

Nadal opowiadałam Martinowi naszą historię — zdarzenia, słowa Elliotta, najgłupsze nawet szczegóły. O tańcach i o naszych wielogodzinnych pogawędkach. O seksie. O domu, tu, w tym mieście, który Elliott chciał dla nas kupić, o programach, które oglądaliśmy w telewizji, i o wylewanych przeze mnie łzach.

Martin otaczał mnie jednym ramieniem, przez drugie zaś przewiesił sobie płaszcz przeciwdeszczowy, marynarkę i sweter. W balsamicznym gorącu Nowego Orleanu zdejmował z siebie kolejne ciemne, przywiezione z San Francisco warstwy, niemniej jednak nie narzekał na upał.

Słuchał mnie i słuchał, przerywając od czasu do czasu najdziwniejszymi z pytań.

Na przykład: „Jakie piosenki grali w Marriottcie?” Albo: „O którym meczu Warriors mówisz?” Jak gdybym wiedziała, który mecz wtedy oglądaliśmy! Albo: „Jaki fragment książki czytał ci przy basenie?” Albo: „Jak się czułaś, gdy Elliott uśmiechał się w ten sposób?”

Ilekoć się denerwowałam, przeczekiwał mój atak gniewu, a później łagodnie namawiał mnie do kontynuacji opowieści.

W końcu wszakże dobiegłam do końca. Wyczerpało mnie i przeraziło przeżycie wszystkich tych godzin na nowo.

Dotarliśmy do hotelu i weszliśmy do długiego mrocznawego — go baru na parterze. Zamówiliśmy drinki, on jak zwykle białe wino, ja jak zwykle džin „Bombay” z lodem, po czym wyszliśmy na niewielki dziedziniec i usiedliśmy przy jednym z małych stołów z kutego żelaza. Byliśmy na dziedzińcu tylko we dwoje.

— Po prostu nie wiem, jak mogłam to zrobić — powtórzyłam. — Znam powody naszych zasad lepiej niż ktokolwiek. Sama je stworzyłam. Wszystko sama wymyśliłam, wszystko. Chociaż nie o nie chodzi. Najgorsze, że jeśli wrócę do Edenu i zobaczę, że Elliott czuje się dobrze — to znaczy, jeśli będzie zadowolony z pobytu w Klubie, ponownie przystosowany do tamtejszych reguł, jeśli będzie taki, jak przed naszą ucieczką — chyba na jego widok oszaleję. Nie zniosę tego dłużej, nie zniosę samotności... bez niego. Dlaczego? Właśnie tych swoich odczuć nie mogę zrozumieć. Z ich powodu nie mogę tam wrócić, nie potrafię naprawić wszystkiego, żyć tak, jak mi kazali Richard i Scott, pracować jak przedtem. Na widok Elliotta zwariuję. I na widok wyspy. Kompletnie oszaleję i się wścieknę. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

Patrzyłam na Martina, który siedział, podtrzymując prawą ręką podbródek i mrużąc oczy. Od samego początku całym sobą słuchał i akceptował kolejne części mojej opowieści. Wy — dawał się kompletnie zrelaksowany, usadowiwszy wygodnie długie, szczupłe ciało na ogrodowym krześle z kutego żelaza.

Wyraźnie czuł się jak u siebie w domu i pewnie mógł mnie tak słuchać do końca świata.

— Wiesz, najgorsze, że nie mogę zapomnieć pewnych jego zachowań, gestów... — jęknęłam. — Niezależnych zapewne od niego samego. Był tak cholernie zmysłowy. Podniecający. Sensualny. Strasznie na przykład podobał mi się sposób, w jaki jadł. Nie tylko jadł, lecz wchłaniał jedzenie jak podczas aktu miłosnego. W ten sam sposób ze mną tańczył. Och, brakuje słów, aby ci wyjaśnić... Ludzie cofali się i patrzyli na nas. Nie wiedziałam, co robimy. I nic mnie to nie obchodziło. Nigdy tak nie tańczyłam. A seks?! Odnosiłam wrażenie, że Elliott zdolny jest do wszystkiego, że osiągnie wszystko, co sobie zamyśli. Wszystko przychodziło mu tak naturalnie — czy to ostry sadomasochizm, czy to delikatność. Bałam się, że za chwilę porazi mnie prąd, a równocześnie nasza miłość była taka, taka...

— Jaka? — naciskał Martin.

— Taka cholernie czuła! Czasami tuliliśmy się do siebie w ciemnościach, na wpół śpiący, trzymając się jak... No nie wiem... Nic już nie wiem...

— I jaki ci się wydawał, gdy był naturalny? — spytał szeptem. — To znaczy bez rytuałów... — mówił powoli — ...bez rytuałów i przyborów.

Milczałam, ponieważ może od samego początku rozmowy obawiałam się, że zmierzamy właśnie do tej kwestii. Zadrzałam nagle — tak jak drżałam przez cały ubiegły tydzień, ilekroć sama zadawałam sobie to pytanie.

— Chcesz usłyszeć coś okropnie szalonego? — spytałam. — Szalonego jak cała reszta mojej historii? Pierwszy raz coś takiego przeżywałam. — Patrzyłam na Martina i zastanawiałam się, czy choćby podejrzewa, jak ogromnie nadzwyczajne wydają mi się własne słowa, własne wyznania. — Nie twierdzę, że nigdy nie doświadczyłam takich fantazji, że różne myśli nie przelatywały mi przez głowę. Myślę, że zawsze będzie istnieć jakieś niewzruszone powiązanie między przyjemnością i bólem, którego nie sposób zerwać. Były jednak takie chwile, takie przebłyski, a nawet długie, powolne okresy, kiedy leżeliśmy w łóżku i czułam coś niesamowitego, co nie zdarzyło mi się nigdy przedtem. Nigdy.

Odwróciłam się od niego. Miałam wrażenie, że cisza wokół nas rośnie i rośnie. Wypiłam łyk lodowatego dżinu, który rozlał się gorąco w moim gardle i od którego oczy mi się za — łzawiły. „Muszę przestać myśleć o Elliotcie, o jego obecności”, postanowiłam. Niestety nie potrafiłam o nim zapomnieć.

Martin milczał. Przestał mnie już namawiać do dalszego snucia opowieści.

Nadal przebywaliśmy sami w małym ogrodzie, docierał do nas słabiutki hałas z baru, noc zapadała powoli, ukradkiem, w sposób typowy dla Południa, bez postępującego chłodu. Tylko cykało coraz więcej cykad i pogłębiała się ciemna czerwień ceglanych ścian. Upstrzone tu i ówdzie nadpływającymi od rzeki chmurami niebo przybrało barwy czerwieni i złota.

Wkrótce przyjdzie moment pierwszej ciemności, gdy liście na drzewach osobliwie się wyostrzą i skurczą, światło za nimi stanie się białe i na kilka sekund wszystko przybierze odległe, niewyraźne formy. Później ciemne bryły i inne kształty zgęstnieją i zleją się ze sobą. Nie mogłam już patrzeć na swoje otoczenie, nie potrafiłam znieść całego tego piękna. Bałam się, że znów się rozplączę. Smutek stał się moim zbyt bliskim towarzyszem.

Martin wypił kolejny łyk wina, ponownie rozsiadł się wygodnie, wyciągając długie nogi i krzyżując kostki, po czym odezwał się półgłosem, jakby panująca cisza i zmierzch wymagały półtonu:

— Naprawdę możliwe, że nie wiesz, co ci się przydarzyło? — spytał.

— Boże, powtarzam ci to w kółko — odparłam. — Nie rozumiem, nic nie rozumiem. O mało się nie załamalam. Odnoszę wrażenie, że wcześniej nie żyłam, że byłam nikim i właśnie to odkryłam. Ściany wydawały się przesłonami, a świat był oszustwem od początku do końca. Wsiadłam do samolotu z Elliottem niczym ktoś, kto skacze z klifu. Równocześnie wszakże czuję się tą samą osobą, jaką byłam. Boże, przecież w moim życiu odniosłam pewne nadzwyczajne zwycięstwa.

Martin obserwował mnie bacznie, wreszcie skinął głową.

Odsunął się trochę i zatonął w myślach. Sądziłam, że coś powie, lecz milczał przez długi moment, popijając wino, smakując je. Gdy odstawił kieliszek, odwrócił się do mnie i lekko musnął palcami grzbiet mojej ręki.

— W porządku — odezwał się, a mnie się wydało, że spokojnie podejmuje jakąś decyzję. — Powinnaś teraz uzbroić się w cierpliwość i mnie wysłuchać. Przez całe popołudnie, kiedy słuchałem twojej historii, przypominałem sobie raz za razem inną opowieść, a dokładnie mówiąc, opowiadanie, które czytałem przed laty. Napisała je prawdziwie genialna autorka nazwiskiem Eudora Welty. Nie potrafię zapewne oddać w słowach uroku jej prozy, jednak pragnę ci streścić opowiadanie najlepiej jak potrafię.

— Więc mów — rzuciłam, nieco zbyt szybko.

— W porządku — znów powtórzył, po czym po raz kolejny zamilkł, jakby zbierał myśli. — Nazywało się *Śmierć komiwojażera*. Nie wiem, czy dokładnie je pamiętam. Zdaje mi się, że komiwojażer wyruszył w drogę po długiej, osłabiającej chorobie, podczas której opiekowali się nim w hotelowym pokoju obcy ludzie. Tak czy owak ponownie przemierzał gorący kraj i chyba się zgubił. Jego samochód utknął na klifie, toteż bohater musiał szukać pomocy w stojącym na odludziu domu. Drzwi otworzyła mu kobieta, później dołączył do niej mężczyzna. Chociaż mężczyzna zdołał uwolnić samochód obwoźnemu sprzedawcy, niemniej jednak sprzedawca chciał przedłużyć swój pobyt w tym małym wiejskim domu i zjeść z parą kolację. Jednak niemal od samego początku komiwojażera dziwiły rozmaite zdarzenia, tajemnicze zdarzenia (takie przynajmniej mu się zdawały), których nie potrafił do końca zgłębić. Każdy szczegół domu wydawał się głęboko na niego oddziaływać, był prawie fantasmagoryczny. Najprostsze słowa mężczyzny i kobiety zaczynały mieć dla niego ogromne znaczenie. W pewnym momencie wyczuł nawet zagrożenie. Jednak jeszcze przed końcem nocy zrozumiał, co tak — z pozoru — tajemniczego dzieje się w domu. Para była małżeństwem i spodziewała się dziecka. Gość obserwował zatem zwyczajną miłość między dwojgiem ludzi, lecz jemu ich związek wydawał się niezwykle, niemal przerażający i wręcz magiczny. Podróżował już tak długo i tak bardzo się oddalił od prostej intymności, że będąc jej świadkiem, ledwie mógł ją rozpoznać.

— Widzisz — ciągnął — podejrzewam, że coś w tym rodzaju zdarzyło się tobie z Elliottem Slaterem. Liso, po prostu się w nim zakochałaś. Z powodów skomplikowanych, osobistych czy podstawowych, zakochałaś się. Dostrzegłaś w Elliot — cie cechy godne miłości. A gdy cię ta miłość ogarnęła, zareagowałaś instynktownie, dokładnie tak, jak uważałaś, że powinnaś. Ku twojemu zdziwieniu miłość nie umarła, lecz rozkwitła. Rozrosła się, rozszalała i już nie było od niej ucieczki. W tej chwili zapewne cię przytłacza. Miłość to żywioł, który zmienia człowiekowi życie i łamie serce. Są ludzie, którzy przez całe życie nie zaznają jej ani razu. Trudno mi wszakże uwierzyć, że ty, która poświęciłaś się do badaniu miłości we wszystkich jej odmianach, nie potrafiłaś rozpoznać tej najzwyczajniejszej, najnormalniejszej... Na pewno wiesz. Na pewno wiedziałaś od początku.

Chyba tak bardzo skupiłam się na jego słowach, że początkowo umknął mi sens jego wypowiedzi, w sekundę później jednak zalała mój umysł prawdziwa powódź obrazów związanych z Elliottem. Elliott mówi „kocham cię” pierwszej pijackiej nocy, a ja siedzę w milczeniu na łóżku i nie mogę poruszyć ustami jak po narkotyku, który zmienia człowieka w posąg.

Pomyślałam, że za chwilę coś we mnie wybuchnie. I znowu nie potrafiłam wydobyć z siebie głosu, znów moje wargi wydawały się zapieczętowane. Nie byłam w stanie mówić. Chciałam, lecz nie mogłam. Kiedy w końcu usłyszałam własny głos, zabrzmiał zgrzytliwie i łamał się.

— Martinie — szepnęłam, usiłując zachować spokój i starając się nie wybuchnąć. — Martinie, nie mogę się ot, tak zakochać, nie mogę. Mam wrażenie, że się rozpuszczam.

Rozpadam się, rozsypuję niczym mechanizm zależny od tysiąca małych kólek i sprężynek, który nagle się zepsuł i teraz każda część zaczyna się poruszać we własnym tempie, w niekontrolowany sposób. Nie umiem kochać jak normalna osoba.

— Ależ umiesz i kochasz — odrzekł. — Przez te wszystkie godziny opisujesz mi właśnie normalną miłość, nic innego. Pasują do niej wszystkie elementy. I wiesz, że mam rację.

Staralam się zaprzeczyć. Zaprzeczenie wydawało mi się ważne. Wyjaśnienie Martina było za proste, szukałam więc ulotnych i strasznie złożonych powodów moich osobliwych uczuć wobec Elliotta.

Mój rozmówca przysunął się bliżej. Jego twarz była częściowo zaciemniona w półświetle padającym z odległych szklanych drzwi. Palce Martina zacisnęły się na mojej dłoni. Cudowne, uspokajające dotknięcie.

— Nie potrzebowałaś mnie, aby się tego dowiedzieć. Dobrze o tym wiesz. Jednak coś innego wydaje się tu niewłaściwe.

— Tak...?

— Wydaje ci się, że ta miłość pozostaje w sprzeczności w twoim sekretnym życiu, z życiem w Klubie, że nie można pogodzić tych dwóch spraw. Uważasz, że jeśli ciebie i Elliotta rzeczywiście łączy miłość, w takim razie wszystkie twoje wcześniejsze uczynki są złe. A twoje życie to nie jakieś proste równanie, Liso. Nie możesz tak surowo siebie oceniać! — Zakryłam ręką oczy i odwróciłam się od Martina. Najwyraźniej doszliśmy w naszej rozmowie do najgorszego miejsca, do prawdziwej przepaści. Nie podejrzewałam, że cała ta pogawędka zmierza właśnie do takiego wniosku... — Liso, nie uciekaj od tych myśli — podjął. — Nie kwestionuj swojej przeszłości i nie uciekaj od niej. Wróć do Klubu i powiedz Elliottowi wszystko to, co powiedziałaś mnie, wszystko, co chciał od ciebie usłyszeć, gdy ci wyznawał miłość.

— Martinie, to niemożliwe. — Potrząsnęłam głową. Najważniejsza, najbardziej podstawowa wydała mi się konieczność powstrzymania wewnętrznej dezintegracji, doświadczanego straszliwego uczucia rozpadu mojej osobowości.

Przyszła mi jednakże do głowy niezwykła i dziwna myśl: Jeśli naprawdę mi się coś takiego przydarzyło, co wtedy? Jeśli Martin miał rację i rzeczywiście mnie i Elliotta łączyła miłość? Gdyby było mi z nim choć w połowie tak dobrze przez rok albo choćby w jednej czwartej tak dobrze... przez dekadę... Chryste, dla takiej miłości mogłabym przekreślić całe swoje dotychczasowe życie, zniszczyć siebie taką, jaką kiedyś byłam, nieprawdaż? Niestety, w tym tkwił też problem.

— Wiesz przecież o mnie wszystko — szepnęłam. Błagałam Martina o zrozumienie. — Znasz ścieżki, które przeszłam.

— Ależ, Liso, skup się i pomyśl — odparł. — Nie tylko ty, także Elliott ma za sobą różne doświadczenia. Pamiętaj, Liso, że wasza miłość zrodziła się w Klubie. Zrodziła się w samym środku waszego sekretnego życia. Sądzisz, że mogła ci się przydarzyć w jakimś innym miejscu? A co z Elliottem? Myślisz, że przeżył coś takiego wcześniej?

— Nie wiem.

— No cóż, ja wiem. Elliott kocha cię, mimo iż wie o tobie wszystko. I ty kochasz Elliotta, wiedząc, jakim był i jest człowiekiem. Nie mamy tu do czynienia z układem miłość normalna kontra miłość egzotyczna. Trafił ci się wymarzony partner, taki, jakiego pragnie każdy człowiek na świecie — kochanek, przed którym nie musisz niczego ukrywać. Podobnie Elliottowi.

Podniosłam rękę, prosząc, aby przestał. Ta rozmowa toczyła się dla mnie zbyt szybko, zbyt prędko po sobie następowały kolejne niesamowite dla mnie wnioski. Nie mogłam nadażyć za Martinem.

— W takim razie dlaczego nie jestem w stanie tam wrócić?! — zawołałam. — Dlaczego, do diabła, przeraża mnie sama myśl o Klubie?

— A dlaczego postanowiłaś wsiąść z Elliottem do samolotu i uciec z Edenu?

— Ponieważ jako trenerka nie mogłabym go poznać tak dogłębnie, jak poznałam go poza wyspą! Nie potrafiłam zmieszać elementu prywatnego z zawodowym, swojej roli trenerki ze zwyczajną dziewczyną. Bóg wie, że inni umieją. Na przykład Scott. I Richard. I ty to potrafisz, Martinie. Potrafisz sypiać ze swoimi kochankami, normalnie z nimi rozmawiać i nie przeszkadza ci...

— A ciebie zawsze chroniły przed tym rytuały.

— Tak! — Gapiliśmy się na siebie przez kilka minut, ja z dłonią podniesioną do ust. Zdumiała mnie ta ostatnia myśl. I przytłoczyło mnie uczucie niesprawiedliwości, bo przecież naprawdę spodziewałam się skomplikowanego wyjaśnienia, a rozwiązanie mojej zagadki okazało się najprostsze z możliwych. — Nie mogę się skupić — jęknęłam. Głos mi się łamał, co mnie rozwścieczyło i znów zbierało mi się na płacz. Płacz, nie kończący się płacz... — Nie dam się przekonać, bo nie potrafię uwierzyć, że ktoś, kto robił w życiu takie rzeczy jak ja, mógłby się zakochać!

Martin odpowiedział mi nie słowami, lecz cichym zaszokowanym pomrukiem.

Przez chwilę usiłowałam wyciągnąć z torebki chusteczkę, po czym skryłam w nią twarz. Po raz pierwszy tego dnia zapragnęłam być sama.

— Wiesz, odnoszę wrażenie, że wcześniej dokonałam tego wyboru, że...

— Ależ nie musiałaś dokonywać żadnych wyborów! — Chciał dodać coś jeszcze, lecz się powstrzymał. Odczekał moment, po czym oświadczył cicho: — Nigdy nawet nie podejrzewałam, że czujesz się tak bardzo winna z powodu swojej seksualnej aktywności. Nie miałem pojęcia, że czułaś się tak źle.

— Bo nigdy nie czułam się źle — odparłam. — Z chęcią robiłam w Klubie wszystko, co było trzeba. Nie czułam się tam źle. Wierzyłam w to, co robię. Klub stanowi prawdziwe uzewnętrznienie moich przekonań. Klub to moje powołanie!

Znów wstrząsnęły mną własne słowa. Właśnie takimi stwierdzeniami wielokrotnie przekonywałam innych i samą siebie. Klub był moim klasztorem.

„A ciebie zawsze chroniły przed tym rytuały”, powtórzyłam w myślach podsumowanie Martina.

Wpatrywałam się w ciemność przed sobą, po czym się odwróciłam i popatrzyłam na mojego rozmówcę. Trochę mnie zdziwiła jego czujna, ale i spokojna mina. I absolutny optymizm, którym promieniowała jego twarz.

— To powołanie wymaga strasznego opanowania i poświęcenia, nieprawdaż? — spytał Martin.

— Nigdy tak nie uważałam — zaprzeczyłam gwałtownie. Tym niemniej poczułam się jakoś osobliwie stłamszona, zmiażdżona, a jednocześnie dziwnie podekscytowana.

— Może chodzi tu po prostu o problem etyczny — zauważył. Pokiwałam głową. — Chociaż nigdy tak nie myślałaś, prawda? Wszystko, co robiłaś, robiłaś w imię wolności i — co powtarzaliśmy tysiące razy — w imię miłości.

Tym razem potrząsnęłam głową i zamachałam ręką, prosząc Martina o milczenie.

— Ta rozmowa rozwija się zbyt szybko — wyjaśniłam. — Potrzebuję czasu na przemyślenie tych szczegółów. — Było to jednak kłamstwo. W samotności w ogóle nie potrafiłam myśleć i z tego właśnie względu zadzwoniłam do Martina, dlatego przecież błagałam go o przyjazd. Wyciągnęłam rękę i chwyciłam jego dłoń. Trzymałam go tak mocno, że prawdopodobnie sprawiałam mu ból, lecz mój towarzysz nie cofnął ręki.

— Wiesz, Liso, bardzo niewielu z nas przeżywa życie bez choćby jednej dramatycznej próby uzyskania wolności. Dramatyczne pragnienie wolności jest oznaką naszych czasów. Niestety, większość z nas nigdy nie osiąga tego celu. Utykamy gdzieś w połowie drogi między płataniną mitów i moralności, które porzuciliśmy oraz utopią, którą syciliśmy nasz wzrok. Tu właśnie tkwisz — w samym środku pomiędzy krainą ponurej, pełnej represji

katolickiej moralności, z której się wywodzisz, i wizją świata, w którym żadna forma miłości nie jest grzechem. Odniosłaś pewne prywatne zwycięstwa, zwycięstwa całkiem spektakularne, lecz — jeśli uważasz, że z ich powodu nie możesz kochać Elliotta — zapłaciłaś też straszliwą cenę.

Nie odezwałam się. Ale dotarła do mnie każda wypowiedziana przez Martina sylaba.

Przez długi czas siedziałam nieruchomo, nawet nie próbując myśleć świadomie o słowach, które padły. Czułam jedynie smutek, smutek i żal. Podświadomie usiłowałam się od tych emocji uwolnić.

Czas upływał nam w milczeniu.

Zapadła słodka podzwrotnikowa noc, rozświetlona nielicznymi światłami widocznymi pod drżącymi gałązkami paproci i sennych liśćmi bananowców. Niebo nad nami było kompletnie czarne, zupełnie pozbawione gwiazd.

Martin trzymał mnie za rękę. Delikatnie, uprzejmie ją ścisnął i powiedział:

— Zrób coś dla mnie, proszę.

— Co takiego?!

— Kiedy do mnie zatelefonowałaś, natychmiast przyleciałem. Teraz ty zrób coś dla mnie.

— Przerażasz mnie — jęknęłam.

— Wróć do Klubu, proszę. Idź teraz do telefonu, zadzwoń do Richarda, powiedz mu, że wracasz. Niech przyśle po ciebie samolot. A kiedy znajdziesz się na wyspie, zrób dwie rzeczy. Pozalutuj zaległe sprawy, aby zadowolić pana Crossa i pozostać w dobrych stosunkach z Klubem. Potem znajdź Elliotta i powiedz mu to samo, co powiedziałaś dziś mnie. Wyjaśnij, co cię zatrzymało, dlaczego nie umiałaś się od razu zaangażować w tę miłość i dlaczego wasz związek zaczął się rozpadać.

— Byłoby strasznie przyjemnie... wytłumaczyć mu. Wyjaśnić... — Znowu poczułam w oczach łzy. Ten ciągły płacz był taki egzaltowany, taki przerażający. Więc tylko pokiwałam głową i zakryłam dłonią twarz. — Chciałabym, żeby tu teraz był...

— Elliott nie jest wcale tak daleko. Wierzę, że pojmie twoją sytuację, może nawet lepiej niż ty sama. — Wzmocnił uścisk. — Nie musisz dokonywać żadnych wyborów. Żyjemy w najlepszym z możliwych światów. Jak zauważyłaś, twój mężczyzna i tak już podjął decyzję. A jeśli ty nie czujesz się gotowa podjąć własnej, powiedz mu o tym. Gdy mu powiesz, na pewno cię zrozumie. Pragnie cię przecież taką, jaka jesteś.

— To sprawa kluczowa — szepnęłam. Ledwie sama siebie słyszałam. — Niestety ta rozmowa wydaje mi się gorsza niż sześćdziesiąt innych spraw i dlatego stale jej unikam. A jeżeli Elliott postanowi pozostać w Klubie... Co wtedy, Martinie? Może wszystko zepsułam?

— Cóż, wówczas na pewno ci o tym powie. A ty się pięknie uklonisz i pozwolisz im się ponownie zindoktrynować. Nie sądzę jednak, by Elliott chciał zostać w Klubie. Moim zdaniem nigdy tam nie pasował. Gdyby chodziło mu tylko o doznania związane z Edenem, wiedziałabyś o tym. Wysłałby ci tysiące sygnałów. Wówczas nie przeżylibyście tego gorącego romansu. Nie zaszlibyście razem tak daleko.

— Wierzysz w to?

— Dobrze się zastanów, Liso. Przemyśl sobie historię, którą mi właśnie opowiedziałaś. Przeanalizuj każdy krok, który zrobiliście we dwoje. Z tego, co opowiadasz, Elliott na pewno był zadowolony, szczęśliwy...

— Boże... — szepnęłam. — Gdybyż to tylko była prawda.

— Teraz ja ścisnęłam mocniej jego rękę.

— Ale kilka kwestii musisz z nim ustalić. — Nie odpowiedziałam. — Liso, utknęłaś w martwym punkcie i nic się nie zdarzy, póki nie wrócisz do Edenu i nie pomówisz z Elliottem.

— Odczekał kilka minut, po czym dodał: — Daj spokój. Elliott wie o tobie więcej, niż kiedykolwiek wiedział o tobie drugi człowiek. Sama mi tak powiedziałaś.

— Nie mogę temu oczywiście zaprzeczyć — odrzekłam zmęczonym i okropnie przestraszonym głosem. — Lecz... co, jeśli... jeśli jest już za późno?

Przeraziła mnie ta myśl. Wspomniałam wszystkie przegapione okazje, ostatnie chwile, nie wypowiedziane słowa.

— Z pewnością nie jest za późno — odparł spokojnie — Elliott to... a wiem, że strasznie by się ucieszył, słysząc moją opinię... Elliott to ogromnie twardy młodzieniec. Myślę, że przez cały czas tam na ciebie czeka. Prawdopodobnie czuje się zraniony. I wściekły jak cholera! Ale na pewno na ciebie czeka. Ostatecznie... obiecałaś, że wrócisz. Więc idź do automatu i zamów samolot.

— Daj mi minutę.

— Miałaś już swoją minutę.

— Może popełnię straszną pomyłkę!

— Możliwe. Musisz jednak spróbować, musisz porozmawiać z Elliottem. Znasz wszystkie detale. Nic nowego się nie dzieje.

— Nie naciskaj na mnie! — zawołałam.

— Nie naciskam. Robię tylko to, co potrafię najlepiej: pomagam ci zrozumieć twoje fantazje. Opowiadasz mi swoje fantazje od popołudnia. Teraz pragnę ci pomóc je ziszczyć. — Wbrew sobie uśmiechnęłam się. — Właśnie po to do mnie zatelefonowałaś, nieprawdaż? — spytał. — Idź do pokoju i zadzwoń. Polecę z tobą, jeśli chcesz. Pomogę ci. Właściwie nie potrzebuję wakacji na Karaibach z dwoma tuzinami nagich młokosów z całych sił usiłujących mnie zadowolić, ale poświęcę się dla ciebie i potowarzyszę ci do Edenu.

Pochylił się i pocałował mnie w policzek.

— Idź, Liso, idź.

* * *

Włączyłam światło, usiadłam na łóżku i wpatrzyłam się w telefon stojący na szafce. Na moim zegarku i na budziku na toalecie była osiemnasta. Podniosłam słuchawkę i wykreciłam numer.

Na nieuchronne połączenie oczekiwałam trzy minuty i czterdzieści sześć sekund.

W końcu usłyszałam głos Richarda.

— Mówi Lisa — odezwałam się. — Jestem gotowa do powrotu. Przyślesz samolot tutaj czy mam jechać do Miami?

— Wyślemy natychmiast. Do Nowego Orleanu.

— Pragnę się spotkać z zarządem i z Crossem. Chcę uporządkować zaległe sprawy i porozmawiać o urlopie. Ma się rozumieć, o ile naprawdę nie chcesz mnie zwolnić...

— Tak, Liso, musimy od siebie odpocząć. Zrobimy, co zechcesz. Urlop wydaje mi się dobrym pomysłem. Pan Cross na pewno poczeka na twój powrót.

— Co u Elliotta?

— Wydajesz mi się weselsza. Bardziej przypominasz dawną siebie...

— Jak się miewa Elliott? — przerwałam ostro.

— Tak, wraca twoja dawna niecierpliwość i rozkazujący ton...

— Daruj sobie, Richardzie, i odpowiedz mi na pytanie. Jak się miewa Elliott?! Poproszę o pełne sprawozdanie.

— Cóż za słodka dziewczyna... — Westchnął. — Elliott jest w najlepszym zdrowiu, zapewniam cię, chociaż jego szkolenie utknęło chwilowo na samym początku... Jeśli chcesz znać szczegóły, Elliott przebywa obecnie na jednym z jachtów dalekomorskich, wcześniej grał w tenisa tak wojowniczo, że o mało nie zabił swego rywala piłeczką. A jeśli nie pływa i nie grywa w tenisa, pływa bez końca w basenie. Albo chodzi na parkiet i tańczy z dwiema czy trzema niewolnicami równocześnie. Nie pija „Chivas Regal”, musi mieć szkocką marki „John

— ny Walker”. Dał nam spis ze dwudziestu filmów, które chce mieć na kasetach wideo, i nie smakują mu steki. Wskazał nam jakiejś kalifornijskie ranczo, z którego mamy dla niego zamawiać wołowinę. Nie podoba mu się nasza biblioteka, uważa, że powinniśmy zrobić w niej generalny remanent. Mówi, że ludzie nie chcą się w Edenie tylko pieprzyć, pływać i jeść, lecz pragną także czytać dobre powieści, więc mamy zamówić lepsze książki. Wymarzył sobie również jakiś wspaniały dodatek do sportowego pasażu. Nazwał dyscyplinę „Polowanie w labiryncie”. Scott właśnie urzeczywistnia jego pomysł. Elliott i Scott zostali... hmm... kumplami, zdaje mi się.

— Chcesz mi powiedzieć, że Elliott dupczy Scotta?

— Moja droga, kumple się nie dupczą — obruszył się Richard. — Kumple grają w pokera, popijają piwsko i gawędzą, nie przerywając jedzenia. A co ja chcę ci powiedzieć? Nie rozumiesz? Mówię, że pan Slater umie nas trzymać za jaja. A jego „kumpel”, Scotty zaproponował, aby pan Slater zamienił swój status niewolnika na status członka bez żadnych opłat.

Przykryłam dłonią słuchawkę. Nie wiedziałem, czy się śmiać, czy płakać.

— Czyli że ma się dobrze.

— Dobrze?! To mało powiedziane. Co do plotek krążących po wyspie...

— Tak...?

— Zostały skutecznie uciszone przez pogłoskę, jakoby pan Slater zawsze był członkiem personelu, tylko przez jakiś czas po kryjomu testował panujące w Klubie zasady.

— Świetne!

— Tak, sam to zasugerowałem. Dodam, że nam również ta plotka wydała się wysoce prawdopodobna! Twój Elliott doskonale pasuje na członka naszej ekipy. Ma absolutnie nadzwyczajny talent do dyrygowania ludźmi. A propos, prosił, żebym ci przekazał wiadomość. Wręcz kazał mi przysiąc, że to zrobię, natychmiast, gdy zadzwonisz.

— Więc dlaczego, do cholery, jej nie przekazujesz? — Zdenerwowałam się. — Co to za wiadomość?

— Twierdził, że zrozumiesz, o co mu chodzi.

— No to mów wreszcie!

— Powiedział, że powinien ci wrzucić tego karalucha za koszulę. — Milczałam. — Rozumiesz, co to znaczy? Najwyraźniej dla Slatera jest to bardzo ważne.

— Tak, rozumiem — odparłam. Znaczyło to, że Elliott nadal mnie kocha. — Chcę teraz wrócić.

Rozdział 32

Końcowy raport dla zarządu

Samolot przyleciał do Nowego Orleanu dopiero o trzeciej nad ranem. W Klubie wylądowaliśmy o ósmej. Natychmiast zabrałam się do pracy.

Gdy weszłam do swojego biura, zastałam tam pana Crossa, Richarda i Scotta. Nad śniadaniem w postaci „Krwawej Mary” zaczęliśmy porządkowanie spraw.

* * *

Tak, weźmiemy na próbę piętnastoro „ludzkich kucyków” ze stajni w Szwajcarii. Będziemy ich używać wyłącznie jako zwierząt pociągowych. Przygotujemy dla nich odpowiednie pomieszczenia, zapewnimy im pokarm i kary zgodnie z zaleceniami. Akceptujemy wszystkie warunki. Scott i Deena dopracują szczegóły związane z wykorzystaniem kuców.

Tak, wznowimy interesy z Arim Hasslerem z Nowego Jorku, ponieważ udowodniono bez najmniejszych wątpliwości, że odesłana przez nas nastolatka jest młodszą siostrą niewolnicy, którą Ari wyćwiczył i zarekomendował nam w dobrej wierze. Zalecam dokładniejsze sprawdzanie wsiadających na pokład jachtu kandydatów na niewolników i porównywania tych osób z ich zdjęciami. Na razie rezygnujemy ze zdejmowania odcisków palców. Niewolnicy niechętnie pozwalają sobie pobrać odciski palców i któż ich może za to winić?

Tak na nowy słonowodny basen i na apartamenty z widokiem na wybrzeże na południowej stronie wyspy.

Grzeczne, lecz zdecydowane „nie” na prośbę o oficjalny wywiad dla CBS. Należy też odmówić CBS pozwolenia na wprowadzenie ich łodzi na nasze wody.

Zarząd Klubu jest wszakże jednomyślny, że próśb o oficjalne wywiady nie da się unikać bez końca. Należy wystąpić do społeczeństwa z dobrze przygotowanym oświadczeniem, bardzo prawdopodobne, że z pełną broszurą. Dzięki niej może uda nam się zaspokoić ciekawość reporterów, stale usiłujących wtargnąć na teren wyspy. Trzeba zacząć przygotowania do takiego publicznego oświadczenia. (Naradźcie się albo wynajmijcie Martina Halifaxa. Który zresztą przypadkiem tu jest.)

Zgoda na prośby niewolnic, pragnących uczestniczyć w grach pasażu sportowego. Niech jednak trafią tam jedynie te, które rzeczywiście o to poproszą. Dobierać starannie! Wcześniej wszystkie kobiety powinny przepracować w pasażu jakiś czas jako kelnerki i podawać drinki, dzięki czemu zaznajomią się z tym szczególnym męskim otoczeniem. Gdy kobiety zostaną dopuszczone w pełni, przez jakiś czas należy badać reakcję mężczyzn. Wskazane porady. Zgoda na nowe zabawy na rolnkach oraz projekt i budowę sąsiadującego z pasażem leśnego labiryntu, który zostanie wykorzystany do polowań na niewolników.

Zgoda na nieograniczony urlop dla Lisy Kelly z pełną pensją, o którą zresztą nie prosi. Tak, niezależnie od miejsca pobytu Lisa będzie dla Klubu dostępna pod telefonem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. (Prywatny dopisek pana Crossa: „Starać się nie niepokoić Lisy Kelly podczas urlopu, chyba że zajdzie konieczność”.)

Zgoda na użyczenie samolotu, który zabierze Lisę Kelly (samą bądź w towarzystwie — bezpośrednio do Wenecji, natychmiast po udzieleniu zezwolenia na lot. Konieczna rezerwacja apartamentu z widokiem na lagunę w Royal Danieli Excelsior.

(Tak, przed opuszczeniem wyspy porozmawiam z Dianą, niewolnicą, która służyła mi przez cztery lata, i wszystko jej wyjaśnię. W moim pokoju, za godzinę.)

Zgoda na pełne członkostwo w Klubie dla pana Elliotta Slatera. Proces kwalifikacyjny zakończony, opinia bardziej niż pozytywna. Wszystkie opłaty za pierwszy rok anulowane. Elliott Slater jako niewolnik przechodzi na emeryturę.

Rozważyć wysokie stanowisko wśród personelu Edenu dla Elliotta Slatera, niepełny wymiar godzin, działalność doradczą itp. Pomysł leśnego labiryntu i pierwsze szkice przedstawione zarządowi powstały podczas rozmów Elliotta Slatera i Scotta.

Obecne miejsce pobytu Slatera?

Nieznane.

— Nieznane?!

Rozdział 33

W zdrowiu i w chorobie

— Odleciał godzinę przed twoim przybyciem.

— Mówiliście mu, że przylecę?

— Tak. — Scott zerknął na Richarda. Miałam ochotę pobić ich obu.

— Niech was szlag. I nie poinformowaliście mnie o tym, pozwalając mi wierzyć, że Elliott jest tutaj!

— Ależ, Liso, co chciałaś zrobić, ścigać go aż do Port au Prince? Poszłaś przecież wprost do sali posiedzeń. Nawet nie dałaś mi szansy cokolwiek powiedzieć. Tak cholernie się palił do odlotu z wyspy, że nawet nie poczekał na cessenę. Wsiadł w helikopter, poleciał na Haiti, stamtąd do Miami i na Zachodnie Wybrzeże.

— Ale dlaczego odleciał? Czy zostawił dla mnie jakąś wiadomość?

Dwaj mężczyźni wymienili spojrzenia.

— Liso, nie zrobiliśmy mu nic złego — rzucił Scott. — Przysięgam ci na Boga. Wszedłem do jego pokoju dziś rano i powiedziałem, że opuściłaś Nowy Orlean. Całą wczorajszą noc pił. Był naprawdę w podłym nastroju. Akurat oglądał film *Mad Max 2: The Road Warrior*. Miał fioła na jego punkcie. Wyłączył tylko telewizor i zaczął chodzić po pokoju. A potem powiedział: „Muszę się stąd wynieść. Chcę tego”. Próbowałem mu wyperswadować tę decyzję, skłonić go, żeby pokręcił się po wyspie choć godzinę, na litość boską. Nie udało mi się go zatrzymać. Zadzwoił do biura „Time-Life’a”, a oni dali mu jakiś przydział w Hongkongu. Powiedział, że będzie tam pojutrze, bo musi wstąpić do domu po sprzęt. Zadzwoił do jakiegoś faceta, któremu kazał podstawić samochód na lotnisko w San Francisco i otworzyć dom.

— Dom w Berkeley. — Wcisnęłam interkom. — Przyślij natychmiast do mojego pokoju Diane. Zmień też port docelowy dla samolotu na San Francisco. I przynieś mi akta Elliotta Slatara. Potrzebuję adres jego domu w Berkeley.

— Adres mam tutaj — powiedział Scott. — Elliott mi go zostawił. Na wypadek, gdyby ktoś go szukał. Tak powiedział...

— No więc dlaczego, do ciężkiej cholery, nie mówisz od razu? — Wyrwałam mu kartkę z ręki.

— Liso, przepraszam...

— Akurat, kurczę — odburknęłam, zmierzając do drzwi. — Do diabła z tobą. I do diabła z Klubem.

— Liso...

— Co?

— Powodzenia.

* * *

W kwadrans po wylądowaniu limuzyna była już na Bayshore Freeway i pędziła na północ przez lekką wieczorną mgłę, do San Francisco i dalej ku Bay Bridge.

Szaleństwo mojej gonitwy uderzyło mnie jednakże dopiero, gdy zobaczyłam brzydką miejską nędzę University Avenue; wróciłam do mojego miasta rodzinnego. Ta krótka pogoń, która zaczęła się w innej galaktyce, zaprowadziła mnie z powrotem na wzgórze Berkeley, gdzie dorastałam.

Nieźle tempo, Elliotcie. Wyłącznie dla ciebie.

Limuzyna kołysała się niezgrabnie na stromych, krętych uliczkach. Widok był bardziej niż znajomy. Zarośnięte ogrody, domy skulone wśród splecionych gałęzi dębów i cyprysów wielkoszyszkowych, na które patrzyłam, zmroziły mi serce w piersi. Nie, nawet nie chodziło o dom, o miejsce — raczej o krajobraz tożsamości, o okres życia, który kojarzył mi się jedynie ze stałym bólem.

Nieoczekiwanie przeraziłam się, że ktoś mnie zobaczy mimo zaciemnionych szyb i będzie wiedział, kim naprawdę jestem. Tym razem nie przyjechałam tu na czyjś ślub czy pogrzeb ani na tygodniowy urlop. Byłam sir Richardem Burto — nem wślizgującym się do zakazanej dla „niewiernych” Mekki. Jeżeli mnie złapią, zabiją mnie.

Spojrzałam na zegarek. Elliott miał nade mną dwie godziny przewagi. Może już go tu nie było.

A ja w chwili czystej przekory poleciłam kierowcy skrócić i zawieźć mnie na moją własną ulicę. Nie rozumiałam swoich pobudek, po prostu czułam, że muszę choć na moment zatrzymać się przed własnym domem. Sunęliśmy powoli wzdłuż chodnika, aż dostrzegłam światła w bibliotece mojego ojca. Kazałam kierowcy stanąć.

Pod czarną akacją panował spokój. Nie docierały do mnie żadne dźwięki, choć widziałam, że spryskiwacz nawadnia trawniki — w ciemnościach połyskiwały wyrzucane w powietrze krople wody i połyskiwała wilgotna trawa. Na piętrze w sypialni mojego młodszego brata niebiesko — biało migotał ekran telewizora. Jakiś cień zbliżył się do rolet w bibliotece.

Moja panika zmieniła się w melancholię, w ten straszny smutek, który ogarniał mnie zawsze, gdy widziałam ten zarośnięty zakątek świata, te stare łuszczące się gonty i przyćmione lampy, które oznaczały dom.

Nikt mnie nie zobaczy. Nikt nie będzie wiedział, że tu byłam. Wszystkie słowa, które powiedział Martin, wirowały mi w głowie. Nie jesteś złą osobą, Liso, zwyczajnie jesteś inna... I może pewnego dnia ta osoba... ja... znajdę w sobie odwagę (którą cechuje mojego ojca), by nie tylko żyć wedle swoich przekonań, ale także mówić o nich, przyznać się do nich, pokazać je światu. Może wtedy ból zniknie — z powodów, które nigdy nie staną się jasne.

I nagle... strach zaczął niknąć, smutek topił się. Małe prywatne pożegnanie.

Wszak Elliott znajdował się prawdopodobnie zaledwie o pięć minut ode mnie.

* * *

To był dokładnie tego rodzaju dom, jaki sobie wyobrażałam. Jeden z tych małych kamiennych domków z zaokrąglonymi drzwiami i wieżyczką, która nadawała całości wygląd miniaturowego zamku, kurczowo trzymającego się krawędzi klifu. Ogród był zaniedbany: drzewo mydleńcowe niemal blokowało dostęp do frontowych drzwi, a płatki białych stokrotek spadały na ścieżkę z kocich łbów.

Dalej widziałam atramentowoczną wodę zatoki i odległe wysokościowce San Francisco wyrastające z warstwy różowawej mgły. Dwa mosty wyginały się nad mrokiem, a w oddali po prawej czaiły niewyraźne zarysy wzgórz Marin.

Same swojskie szczegóły, a całość taka obca. Prawdziwa ja w prawdziwym miejscu. I prawdziwy on tam, w domu, ponieważ porszak w kształcie odwróconej wanny stał zaparkowany na niemożliwie wąskim podjeździe, a w całym niewielkim domu Elliotta paliły się światła.

Przekręciłam gałkę i drzwi nieco się uchyliły.

Kamienne podłogi, w kącie duży otwór z kominkiem, w którym płonął ogień, kilka przyćmionych lamp rozstawionych w różnych punktach pod niskimi sufitami z belek. I witrażowe okna ukazujące spektakularny widok miasta, wody i nocnego nieba.

Miły dom. I piękny. Zapach palącego się drewna. Mnóstwo książek na ściennych półkach.

Elliott siedział przy stole w małej jadalni i z papierosem w ustach rozmawiał przez telefon. Pchnęłam drzwi nieco szerzej.

Mówił coś o Katmandu. Że prawdopodobnie opuści Hongkong przed końcem tygodnia i chciałby spędzić pełne trzy dni w Katmandu.

— Potem może Tokio, nie wiem. — Miał na sobie kurtkę safari i biały golf. Był opalony na brąz, włosy zdobiły mu naturalne białe pasemka i pomyślałam, że chyba przez cały okres naszej rozłąki opalał się i pływał. Praktycznie niemal buchało od niego słoneczne światło, toteż niezbyt pasował do tych mrocznych, zimowych pomieszczeń. — Dajesz mi ten przydział, dobrze — mówił. — Jeśli nie, i tak lecę. Zadzwoń do mnie. Wiesz, gdzie będę.

Jednocześnie zakładał film do aparatu fotograficznego i w pewnej chwili musiał poprawić słuchawkę przy uchu, gdyż o mało mu się wysliznęła. Przesunął film o kilka kadrów.

Wtedy dostrzegł mnie. Nie miał czasu na ukrycie zaskoczenia.

Zacisnęłam uścisk na gałce, ponieważ drżała mi cała ręka.

— Tak, oddzwoń do mnie — zakończył rozmowę i rozłączył się. Wstał i powiedział bardzo cicho: — Przyszłaś.

Strasznie się trzęsłam. Dygotały mi kolana. A powietrze z dworu wydało mi się nagle okropnie zimne.

— Mogę wejść? — spytałam.

— Jasne — odparł. Nadal się dziwił. Nawet nie próbował być twardy czy niemły. A przecież właśnie przeleciałam za nim trzy tysiące kilometrów. „Dlaczego miałby być niemły?”, zastanowiłam się. Tkwił tylko w miejscu, z aparatem zawieszonym na szyi i patrzył na mnie, kiedy zamykałam drzwi.

— Dom jest zatęchły — oświadczył. — Stał zamknięty przez dwa tygodnie. Ogrzewanie nie działa. To jest rodzaj...

— Dlaczego nie poczekałeś na mnie w Klubie? — spytałam.

— A dlaczego ty nie porozmawiałaś ze mną, gdy dzwoniłaś? — Nagły błysk gniewu. — Dlaczego rozmawiałaś z Richardem zamiast ze mną? I potem przyszedł Scott i powiedział, że poprzedniego wieczoru telefonowałaś, a teraz jesteś w drodze. — Twarz miał czerwoną aż po cebulki włosów. — Czekając tam, czułem się jak pieprzony eunuch. I nie wiedziałem, na co czekam. — Czerwień zaczęła blednąć. — Poza tym skończyłem z Klubem — dodał. Milczenie. — Nie usiądziesz? — rzucił w końcu.

— Wolę stać — odburknęłam.

— Ale chodź.

Powoli weszłam do jego pokoju. Duże kręte żelazne schody daleko po prawej stronie, nad głową pokój w wieżycy. Aromat kadzidła mieszał się z wonią płonącego drewna. Zapach książek.

Odległe światła San Francisco wydawały się pulsować silniej za witrażowymi szybami.

— Mam ci coś do powiedzenia — oznajmiłam.

Wyjął z kieszeni kolejnego papierosa i przez moment męczył się z zapalniczką. Wreszcie zapalił, po czym posłał mi spojrzenie, z jakim ludzie zadają cios pięścią. Na tle ciemniejszej opalenizny twarzy jego oczy wydawały się jeszcze bardziej niebieskie. Elliott należał do najprzystojniejszych mężczyzn, jakich kiedykolwiek widziałam. Nawet kiedy się krzywił.

Wzięłam głęboki wdech.

— No wchodź — ponaglił mnie. Patrzył teraz wprost na mnie, wytrzymując mój wzrok.

Chłód w jego głosie.

— Ja... eee... przyszłam tu... — Przerwałam. Zacerpnęłam tchu. — ...Przyszłam tu, żeby ci powiedzieć...

Odpowiedziało mi milczenie, po czym Elliott rzucił:

— No słucham.

— ...Że cię kocham. — Nie zauważyłam najmniejszej zmiany na jego obliczu. Po chwili bardzo powoli podniósł papierosa do ust. — Kocham cię — bąknęłam znów. — I... ja... eee... kochałam cię już, gdy wyzwalałeś mi miłość. Tylko nie potrafiłam ci tego powiedzieć. Bałam się. — Cisza. — Zakochałam się w tobie i straciłam głowę. Uciekłam z tobą, a później spięrzyłam wszystko, ponieważ nie wiedziałam, jak sobie poradzić z tym uczuciem, nie wiedziałam, co robić.

Milczenie.

Jego twarz nieznacznie się zmieniła. Rysy złagodniały... choć to mogło być złudzenie. Elliott leciutko przekrzywił głowę. Gniew i chłód topiły się tak powoli, że naprawdę nie miałam pewności, czy się nie mylę.

Nagle od ognia napłynęły mi łzy do oczu, jakby w domu było zbyt wiele dymu. Ale, do diabła, co za różnica, skoro Elliott był nadal wściekły?!

Postanowiłam mu wszystko powiedzieć, niezależnie od jego reakcji. Obojętnie, co mi odpowie. Wiedziałam, że słowa są właściwe, że właściwa była decyzja przyjscia tutaj i powiedzenia mu wszystkiego, a w samym środku mojego wyznania, w samym środku bólu, poczułam dziwne uniesienie i ulgę.

Przestałam na niego patrzeć. Spoglądałam tuż obok niego, na błyszczący zarys Golden Gate, na światła wielkiego miasta.

— Kocham cię — powtórzyłam ponownie. — Kocham cię tak bardzo, że mogłam zrobić z siebie idiotkę i tu za tobą przylecieć. Nie chcę już nigdy się z tobą rozstawać. Poleciałabym za tobą do Hongkongu czy Katmandu, aby ci to powiedzieć.

Cisza.

Światła wzdłuż krzywizny mostu wydawały się żywe, tak samo żywe były w wysokościowcach, które pięły się niczym drabiny do gwiazd.

— Ja... och... jestem ci winna przeprosiny — powiedziałam — za wszystko, co zrobiłam, za zniszczenie dla ciebie Klubu...

— Do diabła z Klubem — przerwał mi.

Powoli, ostrożnie przeniosłam na niego wzrok, myśląc, że jeśli zobaczę naprawdę paskudną minę, mogę szybko odwrócić od niego wzrok. Tyle że niewiele widziałam poza migoczącym ogniem i cieniem.

Pewna byłam jedynie, że mam przed sobą Elliotta, który stał teraz nieco bliżej mnie niż kilka minut temu. Jednakże w oczach stały mi teraz wielkie łzy i wiedziałam, że po raz któryś z rzędu muszę wyjąć cholerną chusteczkę.

— Myślę, że ktoś inny poradziłby sobie z tą miłością lepiej — podjęłam. — Ktoś inny wiedziałby, co mówić i co zrobić. Ja wiedziałam tylko, że nie mogę z tobą pozostać w Klubie i tam się z tobą kochać. Nie potrafiłam równocześnie cię kochać i być tą osobą, którą byłam w Edenie. Rozumiem, że powinnam ci to wyjaśnić w Nowym Orleanie, lecz tak bardzo się bałam, że zechcesz wrócić do Klubu. Czułam, że nie jestem w stanie robić tego dłużej, grać roli i tak dalej. Myślałam, że cię... rozczaruję, kompletnie rozczaruję. Że pogorszę sytuację. Naprawdę cię zawiodłam. — Milczenie. — Cóż, faktem jest, że nie mogę tak dłużej żyć. Nawet teraz. W mojej głowie wyrosła jakaś blokada, która uniemożliwia mi dalszą... pracę. Nie potrafię... robić już tego z tobą. I nie wiem, czy zdołam zrobić to z kimkolwiek. Wszystko wydaje mi się sztuczne. I kojarzy się z pułapką.

Zamknęłam oczy na parę sekund.

Gdy je znów otworzyłam, Elliott gapił się na mnie bez słowa.

— Ale nigdy nie wykorzystałam ciebie jako pretekstu do ucieczki z Klubu. To przez ciebie... znieubiłam Klub... — Ciągle się we mnie wpatrywał, lecz jego oblicze wyraźnie już złagodniało, powoli ujawniając liczne emocje, choć Elliott bardzo starał się je ukryć. — Jeśli mnie nie chcesz — ciągnęłam — jeśli nie chcesz, żeby było między nami tak jak przez te kilka dni, zrozumieć. Może nie tego szukałeś, prawda? Zrozumieć, jeśli mi nic nie

odpowiesz. Zrozumiem, jeśli obrzucisz mnie wyzwiskami. Jednak... stało się. Zakochałam się w tobie. Kocham cię, a nigdy nikomu tego nie mówiłam.

Wytarłam nos i oczy.

Stałam nieruchomo, wpatrując się w podłogę i myśląc: „No, mam to za sobą. Cokolwiek się teraz stanie, najgorsze mam za sobą”. Cieszyłam się, że się odważyłam. Dałam losowi szansę, a reszta zależy już tylko od Elliotta. Niech będzie, co ma być. Ja już nie stawiam przeszkód, z mojej strony nie ma oporu.

Teraz jego ruch.

Odpowiedziała mi cisza.

— No cóż, musiałam ci to powiedzieć — dodałam. — Że cię kocham i że cię przepraszam za wszystko, co zrobiłam. — Znów w oczach stanęły mi łzy. — Coś dziwnego się ze mną dzieje — zażartowałam — płacząc w regularnych czterogodzinnych odstępach. Zaczynam się z tym czuć prawie naturalnie, a te naprzemienne fale gorąca i chłodu są jak nowy rodzaj sadomasochizmu.

W pokoju zrobiło się ciemniej, jakby ktoś przygaszał światło. A później znowu jaśniej — stopniowo. To Elliott podchodził do mnie, nieco przysłaniając lub odsłaniając blask ognia. Zrobił kolejny krok i dostrzegłam światło nad jego ramieniem. Poczulałam zapach wody kolońskiej mojego mężczyzny oraz aromat morskiej soli bijący od jego włosów i skóry.

Odnosiłam wrażenie, że cała się rozpadam. Było ze mną dokładnie tak źle, jak opowiadałam Martinowi. Chciałam wyciągnąć ręce do Elliotta i chwycić go. A jednak tylko trwaliśmy nieruchomo naprzeciwko siebie. Nie mogłabym, nie miałam śmiałości dotknąć go pierwsza.

— Wiesz... — kontynuowałam — ja... eee... zarezerwowałam samolot do Wenecji. Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy zacząć od nowa. Że tym razem byłoby inaczej. W Wenecji byśmy chodzili i rozmawiali. Możemy spróbować wszystko naprawić, jeśli ty... To znaczy, jeśli nie spieprzyłam czegoś dokumentnie. — Elliott milczał. — Pamiętasz? Powiedziałeś, że na całym świecie tak wspaniale jak po Nowym Orleanie spaceruje się jedynie w Wenecji.

Cisza.

— Ty to powiedziałaś — oświadczył w końcu.

— Ja? No może ja. Wiesz? W Wenecji jest też świetne jedzenie, makarony, wino i tak dalej. — Wzruszyłam ramionami. — Pomyślałam, że może warto spróbować. — Spojrzałam mu w oczy. — Pomyślałam, że zrobię wszystko... naprawdę wszystko... aby cię odzyskać.

— Wszystko? — spytał.

— Tak, wszystko... Oprócz. — „Bądź Perfekcjonistką”, przemknęło mi przez myśl. — Nie poprosiłbyś mnie chyba o...

— O rękę? Zostaniesz moją żoną?

— Żoną?!

— To właśnie zaproponowałam.

Przez sekundę byłam tak ogłuszona, że nic mu nie potrafiłam odpowiedzieć. Elliott patrzył na mnie z absolutną powagą i ta mina dodawała mu jeszcze atrakcyjności, toteż ledwie wytrzymałam jego wzrok.

— Mam za ciebie wyjść?! — spytałam.

— Tak, Liso, mówimy o małżeństwie — stwierdził z leciutkim uśmiechem. — Wiesz, zejdziemy ze wzgórza, przedstawiś mnie swojemu ojcu. A później pojedziemy na północ, do Sonomy, i spotykamy się z moim. Weźmiemy cichy ślub w krainie wina... tylko moja rodzina i twoja...

— Czeka! — przerwałam.

— Sądziłem, że wyznałaś mi miłość. Że chcesz spędzić ze mną życie... Że zrobisz wszystko, aby mnie odzyskać. No cóż, ja ciebie też kocham, wiesz o tym i masz pewnie już

dość słuchania tego w kółko... Ale kocham cię i pragnę się z tobą ożenić, Liso. Miłość oznacza dla mnie ślub! Zawsze to dla mnie oznaczała. — Elliott mówił coraz głośniejszym, coraz pewniejszym głosem. — Nie chcę dłużej żyć sam, chcę być z tobą i to w pełni. Obrączki, ślub i cała reszta.

— Krzyczysz na mnie, Elliotcie — zauważyłam, cofając się o krok. Czułam się jak po mocnym ciosie w głowę. Zejść ze wzgórza i przedstawić go mojemu ojcu?! Pobrać się?! Na rany Chrystusa!

— Nie krzyczę — odparł. — Zaciągnął się papierosem, po czym podszedł do stołu i zgasił niedopałek w popielniczce. Jego gesty były gwałtowne, jakby przygotowywał się do bójki w barze. — A może i krzyczę! Muszę krzyczeć, skoro tak głupio się zachowujesz — mruknął. — Ponieważ nie wiesz, kim naprawdę jesteś. I ponieważ ja zachowałem się jak idiota i nie powiedziałem ci czegoś w Nowym Orleanie... nie powiedziałem, że nie chcę, aby któreś z nas wracało do Klubu, do tamtejszych gier i zabaw. Ci durni specjaliści od bzykania wmówili mi, że mogę cię zostawić w pokoju hotelowym. Dałem im się przekonać. Nie wiem, jak mogłem im na to pozwolić, nie wiem. Nie chcę się więcej za siebie wstydzić. Chcę się z tobą ożenić. Właśnie tego chcę.

— Słuchaj, Elliotcie. Tak bardzo cię kocham, że zatracam własną osobowość — jęknęłam. — Zmieniam całe swoje życie, porzucam wszystko, co robiłam, odkąd ukończyłam osiemnaście lat. Życie, karierę, wszystkie osiągnięcia, choć możesz ich nie cenić. Dla ciebie ze wszystkiego rezygnuję! Ale małżeństwo?! Zwyczajne, staromodne małżeństwo? Ślub, wesele, obrączki, przysięgi...?

— Mylisz się. Kompletnie się mylisz — stwierdził. — Nie zwyczajne, staromodne małżeństwo, lecz... nasze. — Wyjął kolejnego papierosa i znów przez moment zmagał się z zapalniczką. — A kto cię prosił, żebyś poniechała dla mnie kariery?

— Co próbujesz mi powiedzieć?

— Że chcę cię poślubić. Ciebie, taką, jaka jesteś! Interesujesz mnie cała, a zatem jesteś dla mnie i szefową Klubu, i moją nowoorleańską miłością, i kobietą, która stoi teraz przede mną. To ty najwyraźniej wstydzisz się swojej działalności, ba, tego, co robiłaś od lat. Ja nigdy cię nie prosiłem, żebyś z tego rezygnowała. I teraz cię nie proszę.

— Mam wyjść za ciebie za mąż i dalej pracować w Klubie? To byłoby wariactwo.

— Nie, to byłoby życie. Liso, w tej chwili Eden nie obchodzi ani mnie, ani ciebie. Mamy to, czego pragniemy, i jesteśmy w tym zgodni. Jednak przyjdzie zapewne moment, gdy zechcesz wrócić na wyspę.

— Nie.

— Tak — upierał się. — Stworzyłaś coś niezwykle wyszukanego, niezwykle popularnego... nie możesz nie być dumna z Edenu, nie być nadal weń zaangażowana...

— A co z tobą? — odcięłam się. — Przyjdzie czas, że i ty zapragniesz znowu edenowych zabaw i gier? Może już teraz za nimi tęsknisz?

— Nie — odparł spokojnie. — Ale powiem szczerze, że nie wiem, co się zdarzy w przyszłości. Obecnie wydaje mi się niemożliwy powrót na tę drogę. Obecnie pragnę tylko ciebie. Jednak cokolwiek się stanie, chcę się z tobą połączyć, podpisać kontrakt, stworzyć mały dwuosobowy klub. Wspólnymi siłami ze wszystkim sobie poradzimy. Mówię o wierności, ale i o uczciwości.

— Elliotcie, po prostu stąd wyjedźmy. Odlemy stąd i...

— Nie ma mowy, Liso.

Stałam bez ruchu, utkwivszy wzrok w ogniu, lecz kątem oka łypałam ku Elliottowi.

— Poznaliśmy zbyt wiele perwersyjnych dróg, ty i ja. Romans między nami nie miałby szans. Obudzisz się pewnego ranka, zaczniesz myśleć o Klubie i nasza sytuacja się zmieni. Nigdy nie będę miał pewności, czy cię za moment nie stracę. Nie chcę ryzykować.

Małżeństwo wszakże jest czymś innym. Przejdziemy odpowiednie rytuały, zawrzemy kontrakt i będziemy żyć jak prawdziwa para. Jedynie w takim układzie mamy szansę.

Odwrociłam się do niego i popatrzyłam mu w oczy. Chyba nie dostrzegałam w tym momencie wszystkich cudownych szczegółów — błękitnych oczu czy łagodnej linii ust. Nie bałam się, że Elliott mnie dotknie, pocałuje, zmiesza. Widziałam tylko kogoś, kogo naprawdę dobrze znam, do kogo zbliżyłam się bardziej niż do kiedykolwiek do kogokolwiek. Pomimo panującego między nami napięcia czułam się niemal bezpieczna.

— I wierzysz, że może nam się udać? — spytałam.

— Oczywiście, że wierzę — odrzekł. — Jeśli potrafiłaś stworzyć coś takiego jak Klub, jesteś zdolna do wszystkiego.

— Ech, kpisz sobie ze mnie.

— Nie, wcale nie. Po prostu doceniam twój wkład pracy. — Posłał mi wyzywające spojrzenie. Patrzył na mnie przez chwilę tym wzrokiem. — Pozwól mi siebie kochać — powie — dział. — Tyle ryzyka podjęłaś, a nie możesz mi po prostu zaufać? — Podeszedł i wyciągnął do mnie rękę, lecz odwróciłam oczy i zrobiłam krok w tył. — W porządku! — oświadczył gniewnie. Podniósł rękę i się wycofał. — Przemyśl to sobie. Zostań tutaj i przemyśl to. W zamrażalniku leży stos steków. Jest drewno do kominka. Masz cały dom do swojej dyspozycji! Ja lecę do Hongkongu. Zadzwoń, gdy zechcesz za mnie wyjść. Gdy zechcesz powiedzieć „tak”. Wtedy się pobierzemy. Wrócę natychmiast i staniemy na ślubnym kobiercu.

Pomaszerował do stołu, zgasił papierosa w popielniczce z taką mocą, jakby go mordował, po czym podniósł słuchawkę. Jego twarz znów przybierała gorący czerwony odcień.

— Zaczekaj chwileczkę — poprosiłam.

— Nie, muszę lecieć do Hongkongu — odparł. — Nie mogę dłużej czekać, aż szefowa Edenu zastanowi się, czy moja propozycja pasuje jej do scenariusza.

Zaczął wystukiwać numer.

— To nie fair — jęknęłam.

— No to nie, do diabła.

— Chcesz polecieć do Hongkongu... wygodnym prywatnym odrzutowcem? — Zastygł z ręką na guziczkach telefonu.

— A później miły lot do Katmandu? I może do Tokio? — Odwrócił się do mnie i zapatrzył na mnie. — Ukradniemy samolot

— dodałam. — Polecimy też do Wenecji i... Hej, wiem, co zrobimy. Pojedziemy na festiwal filmowy do Cannes!

— Nie dostaniesz teraz miejsc w Carltonie. Wszystkie pokoje są zarezerwowane. Lećmy do Hongkongu.

— Do cholery z Carltonem. Klub ma tam własną łódź mieszkalną. Polecimy najpierw do Cannes, a potem zmusimy pilota, aby nas zabrał do Hongkongu. Będą wściekli, że ukradliśmy samolot.

— I weźmiemy ślub w Cannes. Może w jakimś małym francuskim kościółku.

— Jezu Chryste! W kościele?!

— Daj spokój, Liso!

Z całych sił rzucił słuchawkę, o mało jej nie roztrzaskując.

— Martin miał rację co do ciebie — szepnęłam. — Jesteś romantykiem. I szaleńcem.

— Niewłaściwie interpretujesz jego słowa — stwierdził. — Po prostu lubię trochę ryzykować. Lubię nieco niebezpieczeństwa. Wiesz, o czym mówię?

Przez chwilę łypał na mnie spoode łba, ze zmarszczonymi brwiami i lekko zaciśniętymi ustami.

Później powrócił mu przepiękny uśmiech.

— Na przykład skakać z klifu na spadochronie — zauważyłam.

— Na przykład...

— Albo prowadzić ultralekki samolot najwyżej jak się da...

— Na przykład...

— Albo kręcić się po Salwadorze czy Bejrucie podczas wojny...

— Może trochę...

— Albo podpisać dwuletni kontrakt i zostać niewolnikiem w takim miejscu na Eden.

— Właśnie. — Roześmiał się, lecz bardzo cicho. A przecież nie był to sekret ani żart, który tylko on potrafił naprawdę docenić. W sekundę później był znowu przy mnie. Objął mnie mocno i tym razem nie dał mi okazji do ucieczki.

— Nie rób tego — wymruczałam. — Staram się przemyśleć...

Te cudowne pocałunki, zapach Elliotta, jego smak, usta Elliotta, skóra Elliotta...

— Teraz wiesz, że będzie warto — szepnął.

— Przestań — poprosiłam cicho. Znowu nie widziałam niczego poza nim. Jego pocałunki kompletnie mnie sparaliżowały. — Zastanawiam się, do diabła, dlaczego staram się z tobą walczyć.

— Hmm... Zastanawiam się dokładnie nad tym samym — odparował. — Boże, jak ja za tobą tęskniłem. I założyłaś tę przeklętą białą sukienkę, aby mnie pozbawić zmysłów, nie — prawdaż? Tę przeklętą białą sukienkę i ten cholerny biały kapelusz.

Nie przestawał mnie całować. Już odpinał mi guziki przy szyi.

— Przestań. Poczekaj, aż się znajdziemy w samolocie.

— W jakim samolocie? — odciął się, sięgając mi pod halkę, zdejmując majtki, zsuwając zamek błyskawiczny z tyłu mojej sukienki.

— Przestań, proszę, podrzecz mi sukienkę. Niech to szlag, w porządku, zrobię to. Ale przestań. Zaczekaj, aż wsiądziemy do samolotu.

— Co zrobisz? — spytał wesoło. Gładził moje włosy, równocześnie zdejmując mi kapelusz.

— Wezmę z tobą ślub, psiakrew! — zawołałam. — Właśnie tak! — Usiłowałam go lekko uderzyć, ale się uchylił.

— Zrobisz to. Poślubisz mnie!

— Tak, właśnie to usiłowałam ci powiedzieć, podczas gdy ty darłeś na mnie ubranie. Na litość boską!

— O mój Boże, mówisz poważnie. Wiem, że mówisz poważnie! Cholera, Liso, jestem śmiertelnie przestraszony.

— Niech cię diabli, Elliotcie. — Zamachnęłam się w niego torebką i trafiłam go, gdy podniósł rękę. Śmiał się głośno.

— No dobrze, jedźmy zatem wreszcie — powiedział, uchylając się przed kolejnym ciosem i łapiąc mnie w pasie. — Wynośmy się stąd. Lećmy do Cannes, maleńka. I do Hongkongu, i do Wenecji... W ogóle mnie nie obchodzi, dokąd polecimy!

Pociągnął mnie do drzwi.

— Złamiesz mi nadgarstek! — jęknęłam.

Kiedy kierowca wraz z Elliottem pakowali jego torby do bagażnika limuzyny, próbowałam naprawić zamek sukienki. W chwilę później Elliott wrócił, aby zamknąć dom.

Zapadła już noc i San Francisco płonęło światłami nad krawędzią ogrodu. Dom Elliotta pociemniał.

Serce straszliwie mi waliło. Pierwszy raz mi tak biło wiele lat temu, gdy przekraczałam most i wchodziłam do miasta wraz z Barrym, którego nigdy do końca nie poznałam. Później podobnego drżenia doznałam, idąc na spotkanie z Jeanem Paulem, jadąc do posiadłości mojego pierwszego pana w Hillsborough lub składając wizytę Martinowi w Domu.

Tym razem wszakże ostre, stare podniecenie mieszało się z nową emocją — tak pełną i rozkoszną, że mogła to być jedynie czysta miłość.

Elliott był już dwa kroki ode mnie. Kierowca włączył silnik. Przytrzymując kapelusz, patrzyłam w górę na konstelacje gwiazd, patrzyłam, stojąc na tej górze tak samo jak tysiące razy wcześniej — odkąd byłam małą dziewczynką.

— Jedźmy, pani Slater — powiedział Elliott. Podniósł mnie w ten sam sposób jak w Nowym Orleanie i umieścił w aucie na siedzeniu.

Gdy limuzyna ciężko i niezdarnie zawracała na wąskim stoku, opadłam na Elliotta i przylgnęłam do niego.

— Powiedz mi znów, że mnie kochasz — poprosił.

— Kocham cię — zapewniłam go.